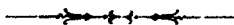


S. Maksimow.



SYBERYA i CIĘŻKIE ROBOTY

(SYBIR i KATORGA)

W TRZECH CZĘŚCIACH.

2 wydania drugiego, poprawionego i uzupełnionego

PRZEŁOŻYŁ

Zenon Pietkiewicz.

Część pierwsza.



WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Mazowiecka 8.

1899.

Дозволено Цензурою,
Варшава, 2 Февраля 1898 г.

CZĘŚĆ PIERWSZA.

N I E S Z C Z Ę Ś L I W I .

W drodze, w ciężkich robotach, podczas ucieczki, na wyżywieniu, na osiedleniu.

Pieśni więzienne. Język więzienny.

ROZDZIAŁ I.

W drodze.

Litościwi nasi ojcowie,
Pamiętajcie o nas, niewolnikach,
Zamkniętych—na miłość Chrystusa!
Dajcie nam jeść, ojcowie.
Nakarmcie nas biednych, uwieczonych!
Ulitujcie się, nasi ojcowie,
Ulitujcie się, nasze matki,
Nad uwieczonymi, na miłość Chrystusa!
Sledzimy w niewoli,
W niewoli, w więzieniach murowanych,
Za kratami, za żelaznemi,
Za drzwiami, za dębowemi
Za kłódkami, za wiszącemi.
Rozstaliśmy się z ojcem i matką,
Z całą rodziną, ze swoimi.
Pieśń „Miłosierna“.

Oto w jakiej prostej formie zamknięta i jakimi niewyszukanemi słowy brzmi prośba aresztantów, idących po stepach syberyjskich; prośba skierowana zwykle do serc litościwych mieszkańców wsi, napotkanej po drodze. Nie dużo jest wyrazów w tej pieśni, ale wielkie bogactwo treści, ale słowa te nie przebrzmiewają pustym dźwiękiem, a treść i układ, szczególnie zaś motyw, wzruszają nie tylko serca miękkie, nastrojone miłosiernie.

Słyszałem tę pieśń raz jeden w życiu, ale nigdy nie zapomnę tego wrażenia, jakie pozostawiła ona w mojej, tym razem bardzo znużonej pamięci i wyobraźni, przymglonej różnorodnością obrazów.

Nie pomnę daty, dnia, ani godziny. Pamiętam jasny dzień słoneczny, ciepło wiosenne, które pobudziło mię do

otworzenia okna i spojrzenia na ubogie treścią i jednostajne życie codzienne wsi syberyjskiej. Wpatrywanie się w takie obrazy nie prowadzi daleko. Prędko się wzrok odrywa i zapomina o nich, bo się stłoczą wspomnienia z przeszłości, zawsze żywe świeże, wspomnienia o stronach rodzinnych, które były dla mnie naonczas dalekie i drogie.

W takim nastroju właśnie byłem i wtedy, w jednej z najdalszych wsi zabajkalskich, kiedym siedział przy oknie wątlej i starej chałupy, w której uwięziła mię bezdróż wiosenna.

Siedziałem zasłuchany; dochodziły mnie dźwięki jakiejś niewypowiedzianej tęsknej piosnki. Zwrotki te przeniosły moją wyobraźnię nad Wołgę, gdzie flisak, walcząc z falami, męcząc zboliałe piersi pasem, ciągnie swoją pieśń smętną, stosując do niej kroki nóg zerwanych. Podobieństwo motywu pieśni syberyjskiej do flisaczkiej na Woldze zrazu wydało mi się rażącym. Ale zwrotki jej stają się wyraźniejsze i bardziej określone, a wyobraźnia moja skwapliwie odtwarza już inne obrazy: Przyjaciółki rozplotły warkocze dziewczicy przed ślubem, ażeby jej głowę okryć i oto ta dziewica, przypomniawszy, że wkrótce utraci całą swoją swobodę panienską, wylewa żal w płaczu piosnki, której skończona jest tylko forma zewnętrzna. Melodja jednak posiada cechy samodzielności i siły. W piersiach dziewczyny, zdaje się, wezbrały wszystkie cierpienia i łzy; jakby postanowiła ona ostatni raz w życiu wylać je, potokiem skargi jawnej. Nuta piosnki takiej bywa nie mniej tęskna i nie mniej chwytą za serce. Wydała mi się ona podobną do tej, która dochodziła do moich uszu z ulicy wsi syberyjskiej. Ale oto piosnka się zbliża. Wyobraźnia pośpieszyła skwapliwie dobrać do jej nuty inne, nowe, lecz znane i podobne obrazy. We wspomnieniach odrodziła się, jak żywa, cerkiew wiejska z cmentarzem: ubogie pokrzywione krzyże, ogrodzenia zgniłe, zwalone; człowiek żywy, leżący twarzą do ziemi. Z piersi jego wybiega jęk żaloszny, płacz cmentarny. Żalosińszej nuty od tego płaczu nie słyszałem przedtem i nie przy-

puszczałem, że posłyszę kiedyś inne, podobne, a tak wiernie treść odtwarzające. Ale gdy z za węgła wsi syberyjskiej wysunęła się gromada aresztantów, z kozakami konnymi na czele, z żołnierzami po bokach i gdy rozległa się piosnka całkowita, zapomniałem o wszelkich porównaniach. Porzuciłem je, jako nieprawdziwie, dalekie od obrazów, przyniesionych powiewem pieśni rzeczywistej. Nuty piosnki aresztanckiej zlewały się w jedną. W całej zaś melodii słychać było tylko jęk. Ale jęczał nie jeden człowiek; jęczał cały tłum. Słów, pomimo wytężenia słuchu, nie można było posłyszeć; zlewały się one z melodią—jękiem, która tak silnie ścisnęła za serce, że trudno było słuchać. Wiał z tej piosnki podmuch podziemi kopalnianych, czuło było w niej mroki ścian więziennych, ołowiany ciężar katorgi.

Przez długi czas potem prześladowała mnie męcząca nuta piosnki aresztanckiej i, gdy ją teraz przypominam, nie mogę wskazać innej, która byłaby tęskniejszą. Jestem pewny, że żadna pieśń rosyjska nie odtwarza tak wiernie rzeczywistego nastroju i położenia, żadna nie chwyta tak za serce, jak ta, wysnuta z cierpień aresztantów w więzieniach i na stepach. Partya więźniów zakutyh w kajdany z wysiłkiem przebywa ostatnią setkę wiorst w długiej, uciążliwej, rocznej podróży swojej na przestrzeni siedmiu tysięcy wiorst. Niewiele już pozostawało do domu, t. j. do katorgi.

Dopóki mamy więźniów przed oczami, nie możemy od nich się uwolnić, nie opuścimy tej gromady, posuwającej się wzdłuż ulicy męcząco wolnym krokiem, ledwie poruszając nogami. Szczęk kajdan stał się przytłumionym; jest jednak głośnym, bo to idą katorżnicy, a każdy z nich porusza łańcuchami pięciofuntowymi. Tym razem krok jest zwolniony rozmyślnie, w celu zebrania jałmużny. Pochód ten robi wrażenie, bo każdy aresztant do chóru ogólnego dołącza swój głos zerwany, żeby tym sposobem prosba była skuteczniejsza i bardziej wzruszająca. Ulicą płynie jęk tej pieśni, wydzierającej się z piersi aresztantów, którzy jakby w obawie opuszczenia jednego słowa, sfalszowa-

nia jednej nuty, śpiewają głośno, rzekłbyś, iż chcą skorzystać ze sposobności i ostatecznie wypowiedzieć swą niedolę.

Kozacy i żołnierze, zasluchani uważnie, wpadli w zadumę, do tego stopnia, że zdają się nie widzieć wychodzących z szeregu więźniów po jałmużnę. Pieśń wywołała pożądany skutek: datki tak są hojne i gęste, że aresztanci nawet czapek nie mogą podnieść; i nie podnoszą.

Z jałmużną spieszy każdy, nawet znajoma mi staruszka, której syn jednak zginął nad Amurem. Skutkiem wielu nieszczęść, doznanych przez długi szereg lat, cała zamieniła się w serce i mówi tylko westchnieniami. Nie posiada ona żadnych środków do życia, nie ma sił; ale się znalazły i jedno i drugie na odgłos pieśni miłosiernej. Daje jałmużnę z pieniędzy, przeznaczonych na koszulę śmiertelną i gromnicę. Daje i zawstydzona znika, ażeby jej nie spostrzeżono.

Niesie swój datek także włościanin, handlarz, kupiec, który nie dawniej, jak wczoraj, zdążył oszukać kozaka na owsie i chlebie, całe zaś swoje życie poświęcił zbieraniu grosza. Daje on jałmużnę i ogląda się; daje—i nie znika z przed oczu ludzkich.

Dalej wyciąga swój grosz lub piątkę ubogi kozak, który dużo niedoli zaznał w życiu uciążliwym nad Amurem. Daje jałmużnę i dziecko, posłane przez matkę, i matka z oszczędności, zebranych Bogu na świecę, lub schowanych na czarną godzinę.

Za wszystkie te datki aresztanci już za wsią odpowiadają następującem dziękczynieniem:

Wiecznie do Boga modlić się trzeba
Za to, że o nas pamiętać chcecie,
O niewolnikach biednych, nieszczęsnych.

Ta końcowa zwrotka i wogóle cała pieśń smutna słynie pod nazwą „Miłosiernej“. Słyszeć ją można tylko na Syberyi. Ale i tam w początkach wieku niniejszego tylko znany jej był początek, w formie krótkiego recytatywa, na podobieństwo śpiewu ubogich lub zbierających

ofiary w cerkwi: „Ulitujcie się, nasi ojcowie, nad nami, biednymi niewolnikami, zamkniętymi, na miłość Chrystusa“. Temi słowy proszono o jałmużnę głośno, t. j. krzyżąc rozwlekle. Następnie z biegiem czasu ta prośba głośna zamieniła się w śpiew. W Rosyi nie śpiewają jej wcale, gdyż tam więźniów pozbawiono prawa uświęconego zwyczajem, prawa dopełniania przez ludzi miłosiernych niedostatecznej na utrzymanie placu skarbowej. Ale w Rosyi, zamiast „Miłosiernej“, bito w bęben. Wywierało to również skutek, chociaż mniej pomysłny, jak zapewniają aresztanci.

— Gbyby nam wolno było,—mówił mi jeden ze zbiegów, katorżników;—gdyby nam wolno było śpiewać tę „Miłosierną“ w Rosyi, przychodzilibyśmy tutaj z dużymi kapitałami. Bęben nie to...

— Gorzej?—pytałem.

— Bęben to rzecz skarbową: w bęben żołnierz bije. Nie każdy to rozumie, ale każdemu jest przykro od tego odgłosu. Każdemu strasznie. Skóra cieleca tego nie powie, co język ludzki.

Postaramy się tu zobrazować wędrówki aresztantów ze stron rodzinnych do miejsc zamknięcia lub wygnania.

W Moskwie złączeni w jedną partyę i oddani pod opiekę konwoju z oficerem na czele, wychodzą co tydzień z więzienia centralnego.

Po wyjściu na ulicę, długo się przesuwiają przed oczami tłumu, który zna ich smutne losy, wie, że idą w daleką i uciążliwą drogę, ciągnącą się kilka tysięcy wiorst i trwającą nie jeden rok. Mało chwil jasnych, lecz wiele niedoli obiecując. ta droga daleka aresztantom, tem bardziej, że pójdą oni pieszo, w kajdanach, nie zaznają wytchnienia przez rok cały; będą i na deszczach wiosennych i na spiekocie letniej i na błotach jesiennych i na ostrych mrozach zimowych. Szlak długi; długie zamknięcie,—tem smutniejsze, że droga aresztancka prowadzi prosto do katorgi, która w pojęciu tłumu ma takie znaczenie jak piekło.

„Tam—mówi lud—tam gdzieś daleko za Syberyą usypane strome pod niebiosa góry. W górach tych wykopane jamy, których głębokość równa się najgłębszym łozyskom rzek i jezior. Do owych jam pędzą wszystkich skazańców, pędzą na całe życie, raz tylko i nigdy już potem nie wydobędą ztamtąd i nie wypuszą. I będą oni tam siedzieli, dni bożych nie rozpoznając, o świętach pańskich nie wiedząc. Siedzieć będą w ciemnościach i zaduchu przy piecach silnie rozpalonych, wśród stosów kamiennych, przy takich robotach, które ani końca, ani terminu nie mają, które nie dają ani płacy, ani wypoczynku! Usychać będzie ten cały tłum w cierpieniach i smutku, bo już ztamtąd wszelkie wyjście wzbronione i kraj rodzinny odcięty i drodze sercu odebrani. A jama na katordze głęboka, głęboka i zapieczętowana. Z łańcucha zerwać się nie można, władza wszędzie znajdzie. Z piasku nie da się uwić powróż; na dalekiej obczyźnie umrzeć trzeba; a kości z żalu po kraju rodzinnym zapłaczą. Radaby dusza ulżyć tej ciężkiej niedoli, lecz mocy niema. Oto wam, nieszczęśliwi, biedni więźniowie, moja lza sieroca, westchnienie ciężkie i grosz pracą krwawą zarobiony, może wam potrzebny będzie. Przyda się na chleb, na świecę Bogu za grzechy żywota doczesnego. W drodze ulgę on wam przyniesie, do jamy katorżnej, ciemnej, a głębokiej, światła trochę przyśle i ducha pokrzepi. Bądźcie zdrowi, kochani! Oto wam kopiejka moja, niewyszczerbiona; czem chata bogata, tem rada“.

Partya aresztantów, idąc przez Moskwę, zbiera jak-muzną obfitą od tych, których porywy serca płyną bezpośrednio, więc są szczerze i od tych, u których kopiejka zapracowana nie jest zbytkiem, lecz służy na nieodbite potrzeby. Popęd ku dobroczynności w tej masie nie przybrał jeszcze postaci zwykłej. Nie szuka on wypadkowych pobudek, czeka tylko przypomnienia. Dość ażeby się pojawili aresztanci na ulicy, dość jednego szczerku kajdan, ażeby ten poryw przeszedł w czyn natychmiast dokonany. Tłum nie sypie datkami większymi, ale za to

gęstymi wszędzie: w Moskwie na ubogich Butyrkach, w bogatym Zamoskworeczju, na handlowej Tahance i w do-
rożkarskiej Rogoskiej ¹⁾. Im więcej ludzi na ulicy, im bar-
dziej sprzyja pogoda i pora roku skupieniu się publiczno-
ści na placach i rynkach, tem obfitsza jałmużna. Ale tru-
dno sprawdzić, kto daje więcej: czy przypadkowy przechod-
zień, nabywca jakiego towaru, czy człowiek przykuty
do ulicy, handlarz, przedsiębiorca, czy dorozkarz, sklepi-
karz i t. d.. Kto wie, czy w takich wypadkach nie są
wszyscy o równych siłach. Trudno tu określić jakakol-
wiek różnicę. Trzeba jej szukać w innej kategorii do-
broczyńców, t. j. wśród tych, którzy już skończyli swoje
interesy na ulicy, którym szczęście posłużyło. Weszli oni
teraz do dużych domów i prowadzą duże interesy. Oni
także nie są pozbawieni współczucia dla arsztantów, ale
w tej swojej krętaninie oczekują silnej podniety. Życie
tych ludzi, zmuszonych do poszukiwania systemu i po-
rządku, przechodzi krokiem miarowym, podzielone na dni
i tygodnie. Śród tych dni są i takie, które według dawne-
go zwyczaju przykazań rodzicielskich i wypadków życio-
wych, ale bądź co bądź według modły z góry określonej,
są przeznaczone dla miłosierdzia. Źródło jego spoczywa
w tem samym uczuciu i szczerem przekonaniu, które w da-
wnych czasach usiało całą szeroką ziemię ruską klaszto-
rami i cerkwiami, zaopatrzyło ją w donośne dzwony i bo-
gato darowizny. Do różnych świąt i dni uroczy-
stych jest przywiązana jałmużna w chlebie i pieniądzach
na rzecz cierpiących, prześladowanych i zamkniętych—na
miłość Chrystusa. Zwyczaj ten, ściśle i jednakowo prze-
strzegany przez całe kupiectwo rosyjskie we wszystkich
miastach blizkich i dalekich, dużych i małych, szczególnie
jest święty i miły tej większości, która zarazem ze starym
zwyczajem trzyma się i wiary dawnej. Jeżeli z jednej
strony współczucie dla nieszczęśliwych jest silniejsze

¹⁾ Przedmieścia Moskwy. *Przyp. tłum.*

w uciśnionym, a wiara w naukę, według której ręka dającego nie może być pokalana, jest bardziej skończoną i określona u starowierców, to z drugiej znowu—zamożność i zadowolenie materialne w bractwach i rodzinach odszczepieńców wybornie tłumaczy nam duże ofiary w tych miastach i na tych ulicach Moskwy, które przeważnie składają się z domów kupców starowierców. „Nagich przyodziejmy—mówią oni; bosych obujmy, głodnych nakarmijmy, spragnionych napóijmy, zmarłych pogrzebajmy, a zasłużymy na Królestwo niebieskie. Pieniądz, modlitwy, to ostre brzytwy: wszystkie grzechy zgolą, a więc jedną ręką należy brać, a drugą—rozdawać, bo kto osieroconych nakarmi, o tym Bóg pamięta.“ Te przepisy życiowe, zaczerpnięte z przysłowia, pochodzą z dawnych jeszcze czasów, kiedy lud pomieszał bez różnicy pojęcia o zesłańcach i więźniach z pojęciami o ludziach nieszczęśliwych, godnych współczucia. W jednym ze starych dokumentów, który dosadnie maluje położenie wygnańców (w końcu w. XVII), znajdujemy oczywisty dowód, że lud oddawna ujawniał gotowość do pomocy i osłody ciężkich dni życia każdego skazańca. Protopop Awwakum, jeden z pierwszych wygnańców, przeciwników Nikona, miał pomoc na Syberyi od rodziny wojewody, jego żony i synowej („przysłał kawałek mięsa, czasem bochenek chleba, czasem mąki lub owsa“) i od oficjalisty („dał mąki, krówkę, owieczek 5—6, mięsa“). Na Bajkale spotkani ludzie nieznajomi zaopatrzyli go w żywność obficie; „przywieźli 40 jesiotrów świeżych, mówiąc: ot, ojcze, Bóg nam dał na twoją korzyść, weźmij to wszystko“. Naprawili mu łódź, zszyli żagiel i na drogę zaopatrzyli we wszelkie zapasy. W Moskwie obdarzał sam Car z Carycą i bojarami („dał Car 10 rubli; Łuka duchowny 10, Rodion Streszniew także 10, a Fedor Rtiszczew nawet 60 kazał swemu kasyerowi włożyć mi do czapki“).

To współczucie i pomoc dla wygnańców, zupełnie nieznane w Europie zachodniej, są objawem dawnym i wrodzonym w społeczeństwie rosyjskiem.

Niewątpliwie poczucie miłosierne wzrosło i utrwaliło się wśród ludu w tych czasach, gdy na wygnanie obierano tak strasznie odległe miejscowości, jak syberyjskie, i tym sposobem zwiększano wygnańcom cierpienia, do których dźwigania trzeba było dużo sił i hartu. Tylko dzięki temu miłosierdziu w postaci pomocy materialnej, wygnańcy (dawniejsi i późniejsi) mogli poniekąd stawić czoło wszelkim wrogim siłom, bądź ze strony przyrody, bądź ludzi okrutnych. Godzenie tych dwu zupełnie sprzecznych warunków losu i udziału społecznego pod postacią pomocy z jednej strony i zbyt surowego wykonywania obowiązków przez dozorców z drugiej—to było położenie pierwszych skazańców, w jakim spędzili oni większą część swego życia na wygnaniu. Swoje doświadczenie i sposoby przekazywali późniejszym nieszczęśliwcom. Obie siły: i wroga, i dobroczynna, przetrwały lata i zachowały się do dni dzisiejszych w całej, chociaż poniekąd może zmienionej postaci. Obecnie już nawet nikogo nie dziwią ofiary pieniężne, wysyłane z murów więziennych, dla tych, co cierpią po za ich ścianami.

Po wszystkie czasy, a szczególnie w ciągu ostatnich dwu stuleci, rząd usiłował regulować tę ofiarną publiczną, która tak się rozwinęła i wrosła w zwyczaj, że gdy chciano przeciwdziałać temu, wszelkie środki były bezskuteczne. Oto krótkie dzieje tej sprawy:

Cesarz Teodor uświęcił prawem wypuszczanie z więzień po dwu aresztantów dziennie, w celu zbierania jałmużny. Na to prawo powoływali się więźniowie w swych prośbach, zanoszonych do cesarzy późniejszych, gdy doznawali utrudnień i ucisku ze strony dozorców. Uciśnięć było dużo i wszystkie prośby więźniów w czasach przed Piotrem przepelnione są skargami na to. Piotr, który nie lubił tego rodzaju spraw z charakterem ludowym i przyjmował z niedowierzaniem bezpośrednie skargi ludu, uznał i tym razem za najwłaściwsze środki surowe i stanowcze. R. 1711 postanowił, że ci, którzy się wazą wypuszczać więźniów w celu zbierania jałmużny, będą ska-

zywani na ciężkie roboty. Skargi jednak na to, że więźniowie „z głodu i szkorbutu umierają”—nie ustawały; prawo zaś obchodzono. W Moskwie oprowadzano aresztantów „na uwięzi“ w celu zbierania jałmużny, tak iż senat (ukazem z 20 września 1722 r.) musiał powtórnie zabronić tego zwyczaju. Tych, którzy w więzieniu nie mogli się wyżywić, zaczęto wysyłać do różnych miejsc: mężczyzn na roboty skarbowe w gub. Moskiewskiej z płacą 4 grosze dziennie dla każdego; kobiety zaś do przędzalni, gdzie im także płacono po 4 grosze. Jeżeli pomimo to zwyczaj zbierania jałmużny utrzyma się nadal, winni będą karani grzywną. Ale już po upływie miesiąca praktyka zmusiła do ustępstwa. „Tam, gdzie niema robót skarbowych, mówi ukaz z 17 października 1722 r. wolno wypuszczać do zbierania ofiar po jednej, a gdzie wielu jest ludzi—po 2 i 3 „uwięzie“. Do uwięzi używać należy długich łańcuchów, „na wzór tych, jakie w ciężkich robotachw prowadzono“. Zebraną jałmużnę wolno dzielić tylko między tymi, którzy są uwięzieni za przestępstwa państwowe. Uwięzieni za długi powinni być żywieni na rachunek wierzycieli. Katarzyna I, ślepo idąca za wszystkimi wskazówkami męża, dowiedziawszy się, że więźniowie potrafili wyjednać sobie prawo świąteczne chodzenia po jałmużnę od 1 do 6-go stycznia, ukazem z dnia 23 grudnia 1726 r. zapobiegła skorzystaniu z tego ustępstwa i potwierdziła poprzednie ukazy Piotra. Następnie posypały się inne potwierdzenia tego rodzaju, obarczając sądy nadmiarem papierów, krępując więźniów i pobłażając dozorcóm w nadmiernych zyskach, z kar ściąganych. Wreszcie za panowania Anny różne rozporządzenia w Moskwie pozwalały oprowadzać przestępców na uwięzi, bez ubrania, w samych tylko starych koszulach; „inni ze śladami męceń, z zakrwawionemi koszulami na grzbiecie, a innym przez dziurawe koszule przeglądają rany od bicia“. Kazano puszczać z dobrymi konwojowymi, nieodzianych karmić tą jałmużną, którą zbiorą odziani. Dnia 7 lutego 1738 r. znowu zabroniono więźnióm chodzenia z prośbą o jałmużnę.

W r. 1744 Elżbieta (w ukazie z dnia 16 listopada) ze

względu, że więźniowie zbierają datki wraz z włóczęgami ubogimi, poleciała postępować, zgodnie z ukazami. W roku 1753 rozporządzenie to potwierdzono; jak świadczy zaś ukaz z d. 30 marca r. 1754, więźniowie znowu, dawnym zwyczajem zbierają jałmużnę, chodząc licznie na uwięzi, a z ukazu datowanego 3 listopada 1756 r. widzimy, że więźniowie chodzą na uwięzi w Moskwie po cerkwiach „podczas nabożeństwa“ a nadto zaglądają do domów, szynków, wałęsają się po ulicach i miejscach targowych z doróżkarzami, przyczem piją i wszczynają zwady. Ukazy nie pomogły. Prokurator Tołstoj świadczył, że więźniowie „istotnie chodzą pijani w podartych i pokrwawionych koszulach, mówiąc, że jakoby są torturowani i skazani na wygnanie, proszą zaś jałmużnę z wielkiem zuchwalstwem i krzykiem. Wałęsających się kazano chwycić i postępować według ukazu, ze straży zaś ściągać kary pieniężne. Ukaz z r. 1761 znowu świadczy, że więźniowie zbierają jałmużnę „zuchwale“. Po stworzeniu Towarzystwa opieki już za Aleksandra (r. 1819) wałęsanie się więźniów powstrzymano nie środkami nacisku, lecz uregulowaną dobroczywnością. U wrót więziennych przytwierdzono puszki do pieniędzy. Następnie poprzybijano je w kordegardach zarządów gubernialnych i przy ścianach świątyń. Pieniądze tam wrzucane używano na polepszenie strawy, jako dodatek do środków przez skarb wyznaczonych. Co zaś zostało od tego, przeznaczano dla aresztantów przy uwolnieniu z więzienia i przy wysłaniu na Syberję. W więzieniach urządzono stoły artelowe. To osłabiło chęć chodzenia po jałmużnę. W podróży na Syberję aresztanci spostrzegli, że ofiarowane im pieniądze obracano na kupno dla nich niezbędnych przedmiotów w drodze. Zachęcony powodzeniem takich środków, prezydent komisji książę Golicyn, czynił już zabiegi o nowe sposoby; żądał mianowicie od generał-gubernatorów rozporządzenia, ażeby ofiarodawcy nie dawali pieniędzy aresztantom do rąk, lecz wrzucali do puszek. Rozporządzenie to oczywiście wydano bardzo chętnie, ale wywołało ono tylko po-

czątek nowej walki z regulowaniem ofiar dobrowolnych, na co już przedtem niepotrzebnie stracono dużo sił, jak świadczą powyżej opowiedziane dzieje. Dawanie jałmużny do rąk, prócz tej, którą wrzucano do puszek więziennych zewnętrznych i wewnętrznych, w dzisiejszych czasach nie ustało także; prawa zwyczajowego ludności nie zdołały złamać żadne środki. Między innymi jeszcze w roku 1767 zauważono, że ofiary nie są wydawane więźniom lecz wnoszone do rubryki żywności. Zalecono, ażeby z ofiar tych dawano każdemu więźniowi nie więcej niż 3 kopiejki dziennie. Z reszty zaś należy kupować ubranie niezbędne. Pomimo jednak, że wedle prawa, aresztantom nie wolno mieć przy sobie pieniędzy (w tym celu ustanowiono rewizję), pomimo, że dawne doświadczenie wskazało bardzo niepewnego pośrednika, z zawistnym i chciwym wzrokiem, ofiarność publiczna nie ustaje. Nawet zdaje się wzrasta w miarę zwiększających się środków przeciwdziałania.

Ofiarodawcy ze sfer kupieckich, chcą swoje uczucia religijne wyładować w czynie, według wzorów Pisma świętego, oprócz ofiar obowiązkowych, bardzo chętnie otwierali swoje sakwy przy każdej pobudzającej sposobności. Partya aresztantów korzysta z tego źródła miłosierdzia i ma na to jedyne środki, dozwolone przez władzę: W Rosyi odgłos bębna, niesionego przez dobosza konwoju; w drodze na Syberyi, śpiewanie pieśni „Miłosiernej“ przez całą rzeszę aresztancką. W Moskwie, gdzie według świadectwa wszystkich więźniów, skazanych na wygnanie, ofiary są szczególnie obfite i duże, środki pobudzenia do miłosierdzia były niezbędne tem bardziej, że droga prowadziła zdaleka od tych dzielnic, gdzie się usadowiło jednolicie kupiectwo bogate. Imiona tych ludzi skazańcy pamiętają nawet na katordze.

— W partyi naszej na każdego człowieka wypadło po 30 rubli, zebranych w samej tylko Moskwie. Na pierwszym etapie robiliśmy podział. Pr—ow i C—w rzucają takie datki, że aż się dziwi cała partya. Pr—ow w Preobrażeń.

skiem dał wszystkim perkalu na koszulę i nadto dla każdego po trzy ruble; prócz tego kazał dać w Bogorodzkim „sierpianki“¹⁾ na spodnie i po rublu gotówką.

— Moskwa lubi obdarzać jałmużną; więcej niż 10 rubli na ogół rzadko kto daje. Jeżeli wypadają akurat tego dnia imieniny ofiarodawcy, daje on więcej. I nie było jeszcze takiego zdarzenia, ażeby jakakolwiek partya nie wiozła za sobą z Moskwy całego wozu kołaczy. My ubieraliśmy aż dwa. Z oficerem była taka umowa; na ulicach zatrzymywać się dłużej; za pięć godzin postoju sto rubli oficerowi i 10 podoficerowi.

— Włodzimierz, mówili inni, to miasto najgorsze. Jałmużna mała. Więźniki lepsze, ale również nie należą do hojnych. „Niżny“ już znacznie lepszy. Na Niżnym Bazarze datki były wielkie. Niema miast bogatszych i miłosierniejszych dla naszej braci aresztanckiej, nad wieś Szyezkowo, miasto Kazań, Kungur, Jekaterynburg, Tiumeń, a to dla tego, że w miastach owych dużo starowierców mieszka. Gdy chodzi o jałmużnę nie są oni skąpi...

— Ja oto, człowiek grzeszny, piję, a jednak zebrałem w drodze rubli dwieście i tu przyniosłem, z tą sumą życie katorżne rozpocząłem. Zebrałbym ze trzysta, gdybym nie był pijakiem. Osiedleńcy są oszczędniejsi od katorżników; umieją nawet po pięćset rubli zbierać.

Oprócz tych ofiar dobrowolnych i kopiejek skarbowych na wikt, wydawanych aresztantom do rąk, partye skazańców niewiele już mają innych źródeł dochodu. Pieńiądze własne przed wywiezieniem do ciężkich robót odbierają w zarządzie gubernialnym i wysyłają do Tobolska pocztą, więźniom zaś dają kwity. W postojach więzennych po drodze skazańcy otrzymują czasami datki w naturze: żywność, ale to nie zwiększa funduszów partyi, pomimo zabiegów i pragnień aresztantów. Jest jeszcze je-

¹⁾ Tkanina cienka. *Przyp. tłum.*
Syberyja i ciężk. roboty.

dno źródło dochodu pieniężnego, oryginalne, niespodziane wypadkowe, ale nie zawsze pewne.

Wiadomo np., że o kilka wiorst przed dużemi miastami gubernialnemi na spotkanie partyi wyjeżdżał wygadany, sprytny i zwinny w ruchach młody człowiek, ofycjalista lub pełnomocnik kupca, dostawcy ubrania zimowego dla aresztantów. Człowiek ten był zwykle w przyjaznych stosunkach z oficerem konwojowym. Za jego wiedzą prowadził interes, korzystny dla aresztantów. Proponował ażeby mu sprzedali to ciepłe ubranie, które mieli na sobie, zwykle kozuszki, otrzymane niedawno w niezbyt odległym mieście gubernialnem. Płacił on niedużo, ale gotówką i przy tem brał nawet bardzo zniszczone i w zamian dawał łachmany, przywiezione z sobą. Odnaczał się zdumiewającym sprytem w kupnie, zdolnością ubijania interesu z korzyścią obustronną. Cały interes załatwiał w ciągu trzech lub czterech godzin, bez względu na liczbę aresztantów. To wszystkich w podziw wprawiało. Wyjeżdżając na dobrym wierzchowcu, młodzieniec ten zdążył zwykle przywieźć i oddać gospodarzowi odzież kupioną; gospodarz zaś miał jeszcze czas odwieźć towar władzy powolnej, zanim ona zdoła obejrzeć partyę i zanim ta partya przyjdzie do miasta. Kozuszki, dostarczone przez sprytnego przekupnia, wracały znowu na te same ramiona, z których przed trzema dniami wzięto; rzadko kiedy poprawiono lub zamieniono je na lepsze.

— Przynajmniej kozuch nie trąci świeżą skórą; tą wonią, którą zawsze posiadają skórki romanowskie i kazańskie.

— Chociaż ryzykowny interes załatwiał ofycjalista, ale przecież dał mi możność zarobienia rubla na rublu. Bez tego w handlu ani rusz!—myślał dostawca odzieży, gładząc z zadowoleniem brodę i popijając tanią herbatę.

— Do pensyi rządowej jest przynajmniej dodatek niezbyteczny—dzieciom na mleko;—mówili inni współnicy

i, wszyscy zadowoleni, prowadzili takie operacje lata całe w wielu miejscach.

Prowadzono ten handel kozuchami bez udziału wszystkich skazańców, proponując dozorczy, ażeby przyjął hurtownie nawet takie krótkie i wąskie, że na chłopaków małych byłyby niezdatne. Chodziło tu tylko o zachowanie pozorów i zapisanie rzeczy w odpowiedniej rubryce wydatków. Skazańcy mają kozuchy przeważnie dobre, bo nie noszone i nie cuchnące. Mogą je powtórnie sprzedać temuż dostawcy, który znowu dostarczy je drogą utartą.

Słowem, wszyscy zadowoleni podwójnie; ale najbardziej aresztanci, bo widzieli jaką taką troskliwość władzy, a co ważniejsza, że mieli pieniądze, nieodbicie dla nich potrzebne. Po drodze mają oni mnóstwo pokus oczekiwanych i niespodzianych. Pewien dowódca etapowy utrzymywał niegdyś szynk (i dla tego etap ten, oprócz nazwy oficjalnej, nosił inną: „pijacki“). Dając partyi możliwie najwięcej swobody osobistej, pozwalał on jej upijać się i przepijać wszystko, do ostatniego grosza. Robili to tem chętniej, że niedaleko od owego etapu po drodze leżało bogate miasto Kungur, rozdające hojnie jałmużnę. Tam odbito straty, a następnie zwiększono znowu zasoby w Jekaterynburgu i Tiumentiu. Ofiary podczas Bożego narodzenia i Wielkiej Nocy w Tiumentiu były tak wielkie i obfite, że aresztanci etapowi płacili dozorczy, ażeby ich dalej nie wysyłał, lecz pozwolił przez te dni pozostać na miejscu, jeść jaja, mleko kwaśne, wogóle to wszystko, za co w innych miejscach i dalej trzeba płacić z własnej kieszeni, i to bardzo dużo.

Pieniądze to potęga, cuda stwarzająca. Rozpraszają one ciemne mroki na drodze etapowej, ratują aresztantów od wielu nieprzewidzianych klęsk. Bez pieniędzy już na etapach zaczęłyby się katorga, życie w drodze byłoby nadzwyczaj ciężkie, niewolnicze, zależne. Wiedzieli o tem wybornie zwierzońnicy, więc brali; wiedzieli aresztanci, więc dawali za wszystko, za co wymagał zapłaty odwrotny zwyczaj i nieskończenie wielka, nieograniczona, po-

zbawiona sumienia — samowola. Samowola i zwyczaj zrobiły to, że życie etapowe aresztantów złożone było z najróżnorodniejszych ucisknień i wymagań. Tu widzimy cały system, który przez długi szereg lat się utrwał i przybrał postać określoną; daje się ona sformułować w sposób następujący: każdy człowiek najrozmaitszemi drogami szuka swobody; pozbawieni jej — szukają tem usilniej. Od ciebie zależy swoboda moja. Całkowicie nie możesz mi jej dać, bo to twoje siły i prawa przekracza; sam mało masz swobody. Ale tyś człowiek wytrawny, doświadczony, a więc i śmiały. Zadasz sobie niewiele trudu i nam udziolisz odrobinę tej swobody. Śmiałości i stanowczości nie trzeba ciębie uczyć. Nam zaś wszystko jedno: potrafiemy oszukać siebie, nieraz oszukani w życiu; część danej nam swobody i prawa przyjmujemy za całość. Ale ty nie chcesz, ponieważ nie możesz dać nam tego darmo. Wymagasz wynagrodzenia za tę stanowczość i śmiałość, za tę ofiarę ryzykowną dla mnie, bierz! Bierz, ile ci trzeba, ile to jest w granicach naszych środków! Ale daj nam odetchnąć tę swobodą choć za piątkę lub grosz, którym ją mierzysz. Wiemy wybornie, że oszukujemy siebie, że jutro zapłacemy, ciężko pożałujemy pieniędzy straconych, sarkać na siebie będziemy za słabość ducha; ptasiego mleka zapragnęliśmy! Ale dziś chcemy zapomnieć o kajdanach, o etapach za nami i przed nami. Dziś jesteśmy tylko ludzie, posiadający pieniądze, a jutro — może warnacy, cząłdoni i chrapy. Dziś pijemy i tańczymy, ile się tylko da, bośmy tym razem za pieniądze zdobyli niemożliwe do kupienia przywileje szacowne.

Aresztanci kupują wszystko; nawet możność zbierania jałmużny nie zawsze przychodzi im darmo: wymaga nieraz zapłaty. Potem opłacać się będą nieustannie, ale początek datków z ich strony musi się zacząć z chwilą wyruszenia w drogę.

Jeszcze w Moskwie, natychmiast po wyjściu partyi z więzienia centralnego, doświadczeni zwierzchnicy etapowi śpieszą wskazać i wyświetlić te zwyczaje i zasady,

któremi oni kierować się będą, a następnie inni, bliżsi i dalsi dowódcy etapowy.

— Jakimi ulicami mam was prowadzić? — zapytał aresztantów doświadczony etapowy.

— Debremi, jasnie wielmożny panie! — odpowiadali wytrawni.

— Proszę pozwolić bić w bęben i wypocząć; — dodawali inni doświadczeni.

— Wypoczynek 50 rubli kosztuje; bęben tyleż, a więc sto rubli dla mnie, dziesięć dla podoficerów, po rublu dla żołnierzy. Czy zgoda? — mówił oficer.

— Dobrze! — odpowiadali wytrawni aresztanci, zupełnie zdecydowani, jeżeli to było święto albo też podróż nie wypadła w martwym sezonie letnim. Targowali się zaś, gdy nie widzieli pewnych i pomyslnych warunków.

Nowicyusze niedoświadczeni zamysłali się, podziwiali krok ryzykowny i stanowczy swoich towarzyszków, bo wiedzieli, że z tego, co skarb wypłaca, nie można takiej sumy zebrać; wszystko trzeba oddać na składkę. Ale już przed rogiem Rogoską rozpraszają się ich wątpliwości. Partya zaczyna iść powolnym krokiem nie temi ulicami, które prosto prowadzą do owej rogiatki i według marszruty, ale temi, gdzie są przeważnie sklepy i domy kupców dobroczyńców. Partya idzie w porządku od dawna ustanowionym: na przedzie katorżnicy w kajdanach, w środku skazani na osiedlenie, bez kajdan nożnych, ale ze skutemi rękami, po czwórce na jednym łańcuchu. Za nimi także z rękami przykutymi do łańcucha idą kobiety, skazane do ciężkich robót. Na samym końcu szereg wozów z chorymi i bagażem, z żonami i dziećmi, jadącemi dobrowolnie na osiedlenie z mężami i ojcami. Po bokach, na czele i styłu idą konwojowi żołnierze i jadą kozacy. Obraz ten zawsze i wszędzie jednakowy; czy to w Petersburgu, czy za Tomskiem, czy Krasnojarskiem, czy wreszcie w Irkuoku. Czasem tylko niema kozaków. Obrazy te były szczególnie jednostajne za czasów Sperańskiego.

Kto widział nieraz ten pochód, łatwo zauważył w stronie zewnętrznej pewien rygor nieszczerzy, który wzmaga się podczas przejścia przez miasto i słabnie po za jego obrębem. Rozumie się, rygor ten i porządek istnieje tylko w Rosyi i dla Rosyi ¹⁾. Na Syberyi aresztanci korzystali z większej swobody. Tam nie pilnowano ściśle porządku przepisanego, za co aresztanci wyrażali swą wdzięczność i zadowolenie z dróg syberyjskich.

— Do Tiumenia idziemy, niesiemy kajdany, na paskach, zawieszonych na szyi, po rosyjsku. Kajdany uciskają szyję i ramiona w drodze uciążliwej. W Syberyi niesiemy okowy na rzemykach u pasa: po syberyjsku, — lżej!

— Przez Syberję idziemy wolniej, czujemy ulgę i myślimy. A myślimy tak: jeżeli zwierchość jest dla nas łagodniejszą, to znaczy, żeśmy do swoich stron przyszli, a przynajmniej zbliżamy się do nich.

— Syberya z tego względu jest dobra, że nie zmusza do kłamstwa. W Rosyi trzeba zachować karność; po za oczami rób, co ci się podoba. Na Syberyi idź, jak chcesz, i bądź sobą, nie udawaj. Do tego nikt nie zmusza.

— W Rosyi myślą, żeś najgorszy człowiek. W Syberyi zaś wiedzą, żeśmy nie gorsi i nie lepsi od innych. Na swobodzie często ludzie chodzą gorsi od nas, my zaś idziemy na uwięzi dla tego tylko, żeśmy prostsi, a raczej głupsii od innych. Wpadliśmy, bośmy nie umieli końców schować.

Do Tobolska kobiet od mężczyzn nie odosobniano, mogli się widywać z sobą i siadać razem na wozach. Tam się tworzyły pary kochanków, którzy się poznali podczas długiej drogi, porozumieli się z sobą i prowadzącymi par-

¹⁾ Malarzowi Jacobi, który chciał pochwyć charakterystyczny nieład pochodu aresztantów, próby się nie udały wcale. Wyjeżdżał w poje, korzystał z objaśnień oficera konwoju, ale aresztanci szli ciągle sztywnym, wyciągniętym szeregiem żołnierskim. Artysta musiał poprzestać na własnej fantazji i stworzył obraz, mało zbliżony do prawdy.

tyę. Dzięki temu, mogli na własny rachunek najmować jedną podwodę. Parom kochanków nie przeszkadza to, że często podwoda bywa najmowana za pieniądze składkowe, a więc siadają na niej po dwie i trzy pary. Jak twierdzą znawcy, kobiety zbrodniarki wyrabiają na etapach szczególne cechy duchowe, które nie pozwalają im kochać jednego przez cały długi czas trwania wędrówki. Kochanka etapowa nie jest zwolenniczką węzłów małżeńskich. Rzadko bywa wierną temu, kto pod jej serce występne podłożył minę; cokolwiek więcej kocha tylko tego, kto jest dzielny i mężny. Dzielność ta w jej pojęciu polega na oszczędności. Większość kobiet idzie na Syberję za podpalanie lub dzieciobójstwo.

Obie te zbrodnie wynikają z zazdrości, która znowu powstaje z temperamentu tych kobiet.

Ów temperament z jednej strony przyczynił się do zguby i prowadzi na katorgę, z drugiej — daje mężczyznom lekką zdobycz. Kochankami są przeważnie żołnierze etapowi (na przystankach etapowych np. kobiety — według ustawy — spijają w izbie żołnierskiej). Mniejszą część stanowią towarzysze — aresztanci. Zresztą nie należy do rzadkich wypadków stałość uczuć, prowadzących nawet do pewnego rodzaju ślubu cywilnego w takich razach, gdy serce niewieście zdobędzie młodzieniec, skazany na bezterminowe ciężkie roboty, a więc pozbawiony prawa wstępowania w związku małżeńskie przed upływem 11-tu lat. We wszystkich tych zbliżeniach niewątpliwie tkwi przyczyna, dla której aresztanci nie uciekają w drogę.

Gospodarze więzienia tomskiego świadczą, że aresztanci, korzystając z okien, wychodzących naprzeciwko łaźni, po całych godzinach stoją w jednym miejscu, napawując się zdale widokiem kobiet w kąpielu. Do celu pożądanego prowadzi datek, czasem gwałt. W więzieniu aresztanci zrecznie chowają się za drzwiami i czekają tam wyjścia kobiet. Te zaś same idą chętnie do mężczyzn, całemi gromadami (po 20) robią wycieczki, szczególnie do szpitala. Pewien folczer usiłował przeszkodzić temu; ale kobie-

ty narzuciły mu chustkę na głowę i tak go łaskotały, że z trudem udało mu się ratować ucieczką z położenia niebezpiecznego dla życia. W niektórych więzieniach sami dozocy ułatwiali schadzki za rubla.

Etapy w każdym razie były dogodniejsze do zbliżeń miłosnych. Tak twierdzą sami aresztanci.

- A gdy się nie uda?
- Zawsze sobie poradzimy.
- Jakim sposobem?

— W wielkim mieście lub na dobrym etapie w szpitalu. Panowie doktorzy są dla nas łaskawi: pozwalają wytchnąć. Czasem felczerów umiemy sobie kupić: to są ludzie tani, na pieniądze choiwi.

- No, a dalej?

— W szpitalu oczekujemy, dowiadujemy się, czy już dużo kobiet przybyło z Tomaska. Udajemy się do dozocy więziennego z prośbą o ułatwienie za trzy ruble srebrem; on zaś do partyi żeńskiej zapisze; na to jest prawo! Tak się do bab dostaje. Drogo, ale cóż począć?! Felczer jednak tańszy od dozocy; za ówierć rubla do łóżka położy, za 20 kopiejek wypuści ¹⁾.

— Kto lubi pleć żeńską — opowiadali nam inni aresztanci — ten musi dużo wydawać i dużo mu potrzeba pieniędzy: na podwody, na datek dla każdego żołnierza; dla oficera osobno. Na wódkę trzeba wydawać podwójnie lub

¹⁾ Kobiety rodziły w drodze przed Tobolskiem, następnie prosiły, ażeby im pozwolono wstąpić w związki małżeńskie, albo udać się do jednego miejsca z kochankiem. „Bywały nawet niejednokrotnie wypadki, że ci, co zostawili w domu żonę lub męża z dziećmi, nie pozbawieni wszystkich praw stanu, a więc i nierozzerwalności więzów małżeńskich, prosili, ażeby im pozwolono jeszcze za życia dozgonnego towarzysza lub towarzyszki zawrzeć nowe związki małżeńskie z osobą idącą w jednej partyi“. Tak świadczy pewien dokument urzędowy. Według prawa, kobietom przed Tobolskiem nie wolno było wychodzić za mąż, w żadnym zaś razie nie pozwalano na związek małżeński kobiecie — ktorżuicy ze skazanym na osiedlenie.

potrójnie. Droga strasznie kosztowna, daleka i bardzo uciążliwa! Na Syberyi jałmużna w pieniądzech mniejsza, więcej obdarzają produktami spożywczymi i westchnieniami. Jeżeli się nie udało zebrać pieniędzy w Rosyi, w Syberyi ich się nie zbierze. O tem pamiętać trzeba!

— Na Syberyi zbierają pieniądze tylko „majdaniarze“. Kobiety im także usługi przynoszą, jako szwaczki.

— Któż szyje, gdy w partyi niema kobiet?

— Ludzi pijanych w partyi zawsze bywa więcej, niż trzeźwych. Tych ostatnich nawet prawie wcale niema. Ponieważ piją, więc i przepijają, następnie biorą na kredyt od majdaniarza tytoń i wódkę. Wziął, musi tedy płacić, czem może: jeżeli jest rzemieślnikiem — to robotą odpowiednią. Krawiec jesteś: dłubaj igłą! Szewc — bierz dratwę w zęby i t. d. Rzadko kto nie posiada jakiegokolwiek rzemiosła; wiedzą o tem wybornie majdaniarze i kupują sami dla majstrów zapasy od włóścian we wsiach. Dlatego właśnie majdaniarz ¹⁾ ma dużo pieniędzy, jest człowiekiem najbogatszym. Kopiejka jego ma siłę, daje złotówkę.

W Tiumeniu oczekuje aresztantów więzienie i wypoczynek. Więzienie największe, najobszerniejsze ze wszystkich w Rosyi na drodze etapowej. Wypoczynek i pobyt tam jest najdłuższy (od dwu do pięciu tygodni). W Tobolsku po stworzeniu gubernij syberyjskich, według planów hr. Sperańskiego, istniała kancelarya (*prikaz*), otwarta zamiast „ogólnego urzędu do spraw skazańców“, istniejącego do r. 1623 w Tiumeniu ²⁾. Zadaniem tej kancelaryi jest podział wszystkich skazanych na kategorye, wyznaczanie miejsc wygnania i t. d. Ponieważ na to wszystko trzeba dużo czasu, więc aresztanci mogą dłużej

¹⁾ To są zasobni w pieniądze i sprytni aresztanci. Sprzedają oni wódkę, karty, produkty spożywcze i t. d. Powicmy o nich osobno w rozdziale następnym.

²⁾ Tutaj znowu przeniesiono kancelaryę, całkiem słusznie, na właściwe miejsce.

wytechnąć, przyjść trochę do siebie, rozważyć przeszłe i przyszłe warunki życia. Słowem, więzienie tobolskie grało bardzo dużą rolę w całym bycie etapowym aresztantów. Nabierali oni tam doświadczenia: grupy wychodziły ztamtąd bardziej zwarte i mocne. Więzienie to, bardzo bogate w wypadki różnorodne, było jakimś środowiskiem, ważnym punktem, gdzie aresztanci wiele się uczyli, wiele nabierali wskazówek, niezbędnych w ich położeniu wyjątkowym, w nowych warunkach życia na obczyźnie. Pomimo podziału na grupy według kategorii, pozostaje taki sam porządek, jak na etapach poprzednich, z tą wszakże różnicą, że przybiera bardziej określone formy. Prawo kancelaryi posyłania więźniów na roboty miejskie ułatwiało ucieczki z więzienia i z tych robót. Pomimo surowego dozoru i zamknięcia, robiono fałszywe monety srebrne, dokumenty, pasporthy i pieczęcie. Chociaż więzienie w Tobolsku odgrywało rolę nieokreśloną, jako miejsce chwilowego pobytu, oborzy, było jednak ważną szkołą doświadczenia i nauki dla aresztantów; nauki życia na wygnaniu, katordze, na osiedleniu i etapach. Historia tego więzienia jest oryginalna i pouczająca, która może być prototypem dla wszystkich więzień rosyjskich. To zbiornik, do którego ścickaly wszelkie nieczystości, zebrane we wszystkich innych więzieniach rosyjskich. Było ono niegdyś samo przez się miejscem ciężkich robót; przebywali tam skazańcy, przykuci do łańcuchów i tacek.

W więzieniu tobolskiem partye aresztantów dzielono na dziesiątki; nad każdą zaś czuwał osobny zwierzchnik, — dziesiątnik; nad wszystkimi dziesiątkami główny dowodzący, starszy („starosta“), obierany przez partyę. Kancelarya zatwierdzała wybór i następnie już żaden oficer etapowy nie miał prawa zmienić tego zwierzchnika, chyba tylko na żądanie całej partyi. Zbiera on zwykle jałmużnę, dawaną w drodze. Chodzi z konwojowym po chatach tych wsi, w których stoi etap, gdy tam oznaczony jest wypoczynek całodzienny.

Z więzienia tobolskiego aresztanci wychodzili zasobni, z zapasem nowych danych co do swego znaczenia społecznego. Każdy miał w worku dwie koszule, dwie pary spodni, na ramionach nowy jarmak — sukmanę z grubego szarego sukna z żółtym albo czerwonym asem lub dwojką na plecach; w spodniach z tegoż materiału i w „brodniach“, obuwiu wynalazku syberyjskiego, prostem, nietrwałem, albo w „kotach“. W zimie majątek ruchomy jeszcze bardziej wzrasta. Aresztant może to wszystko zachować lub sprzedać, amatorów znajdzie dużo: żołnierz z konwoju, handlarz-majdaniarz, włościanin ze wsi przydrożnej i t. d. Cena kożucha nigdy nie jest wyższa nad dwa ruble, bywa nawet pół rubla, brodnie 25—40 kop., rękawice 20 kop. Sprzedają nie tylko sztuki pojedyncze, ale i wszystko razem, szczególnie w pobliżu dużego miasta gubernialnego. Tam się tłomaczą, że zginęło, że się zamienili na strawę, że towarzysze skradli. Czeka za to niewątpliwie chłosta, lub, dla przyspieszenia egzekucyi, pobicie po twarzy, — kara zawsze nieunikniona. Muszą ich ubrać, gdyż niema innej rady. Tym sposobem w nową odzież trzeba było zaopatrywać skazańców w każdym mieście gubernialnem. Tego rodzaju handel jednak trwa w całej pełni, pomimo ukazów, z których pierwszy ogłoszono jeszcze w r. 1808. Przehandlowywano nawet kajdany syberyjskie, wążące 10—12 funtów na 4—5 funtowe. Za resztę wagi przekupnie dopłacali aresztantom.

Wieżenie tobolskie wpływało na pewne zmiany w pochodzie. Dawniej skazańcy szli przez Rosyę wszyscy razem, następnie osobnemi grupami: katorżnicy, osiedleńcy i kobiety, według ukazu z r. 1826. W dalszej drodze aresztanci umieli te grupy zmieszać, porządek nakazany przez prawo zmienić. Ale w urzędzie (kancelaryi) usilnie starano się zachować ten podział. Raz na tydzień wyprawiano ztamtąd albo kajdaniarzy, albo kobiety, albo wreszcie osiedleńców. Czasem inaczej: pierwsza partya kajdaniarzy, pierwsza, druga, trzecia osiedleńców, potem kobiety, znowu osiedleńcy — czwarta i piąta; dalej — dru-

ga kajdaniarzy i potem znowu cztery lub pięć partyi osiedleńców, wszystkie w odstępach tygodniowych. Osiedleńców po trzy i cztery pary przykuwano do łańcucha, po dwu za ręce. Do tego służyły kajdany ręczne, pomysłu generała Kapcewicza, zatwierdzone 1 marca r. 1832. Dawały one możność przykuwania do łańcucha; zamiast, jak dawniej do pręta, który był niedogodny, gdyż podczas pochodu ręce tarły się o kajdany, nie zawsze dobrze dopasowane. Ludzie wysokiego wzrostu ciągnęli do góry niskich i odwrotnie, ręce wysokich ciężły w dół. Słabi nie mogli zdążyć za silnymi. Od nieustannego tarcia ręce nabrzmiewały i pokrywały się ranami; przy tem z powodu przymocowania do pręta, nie można było nakładać rękawic. Podczas mrozów zimne żelazo sprawiało straszne męki, tem bardziej, że nie można było wykonywać żadnych ruchów dla rozgrzania się. Oficer, prowadzący partyę, nie miał prawa podczas pochodu otwierać kłódki na końcu pręta. Klucz zamykano w osobnej skrzynce pod pieczęcią rządową. Można go było wyjąć tylko na stacyi etapowej. Jeżeli więc ktoś zachorował w drodze, trzeba było wszystkich sadzać na wóz. Podczas noclegów aresztanci nie mieli najmniejszego spokoju, gdyż ruch jednego czuli wszyscy inni, przykuci do pręta. Za każdym razem, gdy jeden wychodził w nocy na dwór, wszyscy inni, razem przykuci musieli mu towarzyszyć. „Strach i pogńębienie — czytamy w dokumencie urzędowym — malujące się na twarzach aresztantów w chwili gdy przystępowano do przykuwania; radość ogólna i wdzięczność dla władzy, gdy im pozwalala iść pojedynczo w kajdanach, wymownie przekonały, że pręty są o wiele uciążliwsze niż, kajdany“. Pręty, używane przez osiem lat (od r. 1824) zastąpiono łańcuchami różnej długości (od 11 wierszków do 1½ arszyna). Ale oto nowa bieda: szybko chodzący ciągną za sobą opieszalszych; gdy się jeden zatrzyma, wszyscy muszą stanąć. Idzie czasem po ośmiu lub dziesięciu ludzi, skutych razem. Ale aresztanci umyślnie zwalnając chód, tak ażeby nie podobna było zauważyć, kto głównie to robi, potrafili i ten sposób zaku-

wania uczynić tak niedogodnym, że sami konwojowi chętnie zarzucają go. Trzeba w ciągu jednego dnia do miejsca postoju przejść wiorst 30 i więcej, żeby złączyć do etapu. Gdy rano wyjdą, trzeba nocować na przystanku etapowym; znowu dzień iść, żeby dotrzeć do etapu, a tam już „dniówka”, wypoczynek („rastach”). Na trzeci dzień znowu droga i nocleg na przystanku, dalej dniówka na etapie i t. d.

Na pierwszej stacyi aresztanci urządzą osobny, samodzielny artel, który ma takie same znaczenie, jak w ogóle wszelkie artele. Taka grupa zsolidaryzowana pozostając następnie nierozzerwalną przez cały czas pochodu etapowego, samodzielna i odrębna od zorganizowanej na mocy prawa. Nie niweczając, a nawet nie osłabiając zadania i znaczenia tej, którą stworzono w Tiumeniu na rozkaz władzy, utrzymują własną, w której chętniej i łatwiej zbliżają się towarzysze. Artel taki nie wymaga reformy, zmian i ulepszeń. Przychodzi w formie gotowej, nie wiadomo kiedy obmyślanej, ale dotychczas święcie zachowywanej. Aresztanci bardzo upodobali tę postać zjednoczenia i zawsze ją zachowują, czy to w więzieniu, czy podczas pochodu. W rządowym artelu jest starszy; w aresztanckim przekupień — majdaniarz. Na tem polega różnica, na pozór błaża, w rzeczywistości jednak ogromna.

Stworzenie artelu aresztanckiego poprzedza licytacya ze wszystkimi cechami zwykłych obrotów handlowych. Wchodzi tu w grę oddzielne przedmioty: 1) trzymanie wódek, 2) kart, 3) produktów spożywczych, 4) ubrania i t. d. Do licytacji dopuszczani są wszyscy bez różnicy; zwycięża zaś ten, który posiada worek najgrubszy i doświadczenie. Są to przeważnie ludzie oszczędni, ciułacze, którym w duszy wygasła wszelka pokusa, których życie więzienne nie jest stargane rozpaczą i niedolą, lecz płynie takim obfitym strumieniem, bez troski, jak na swobodzie. Biedak, nie posiadający danych i zdolności odpowiednich, nie chwyci się tego procederu. Ale za to nie wypuszczają go z rąk ci, którzy trudnili się handlem na swobodzie a w drodze zdołali zaoszczędzić pieniądze. Przedmioty han-

dlu zagarniają najczęściej jedno ręce; ale gdy idzie wielka partya (przeszło sto osób), handel rozdrabnia się. Jedni otrzymują prawo sprzedaży kart, kości i wogóle wszelkich przedmiotów gry; inni — tytoniu, wódki i wszelkich produktów, osładzających życie; inni jeszcze — prawo handlu artykułami spożywczymi. Czasem handel rozpada się jeszcze na liczniejsze kategorie; postacie jednak i kierownicy tego procederu zmieniają się w drodze. Jedna np. umowa istniała do Tomska, gdzie poraz pierwszy dzieliła się partya, następnie druga od pierwszego etapu za Tomskiem do Krasnojarska. Ztamtąd trzecia do Irkucka, dalej nowa aż do Nercyńska. Na Syberyi partye liczą po 200 osób¹⁾. Zapłaciwszy artelowi kilka, a czasem nawet kilkadziesiąt rubli za prawo handlu, przekupnie obowiązani są mieć wszystko na każde zawołanie aresztantów. Część pieniędzy, otrzymanych od przekupniów, idzie do równego podziału dla wszystkich, część zaś mniejsza — na ręce „starosty“ urzędowego, który powinien sumiennie strzedz tej sumy. Za zgodą ogólną i na mocy postanowienia całego artelu może on za te pieniądze kupować wszelkie ulgi od zwierzchników etapowych (oficera lub podoficera): prawo śpiewania „Miłosiernej“, zbierania po wsiach, na rzecz całego stowarzyszenia, pieniędzy i artykułów żywności, prawo korzystania z łaźni na etapie, czasem kąpieli w rzece; pozwolenie, dla przekupnia lub jego zastępcy, udania się do szynku, możność zdjęcia kajdan pod warnackiem słowem honoru, najęcia podwody (oprócz przepisanej liczby skarbowych) za pieniądze artelu dla osłabionych, chorych i na umieszczenie kajdan, zdjętych w drodze, aby ulżyć całej partyi.

— Gdzież konie najmują?

— Mają je sami etapowi; to jest środek utrzymania żołnierzy i panów oficerów.

¹⁾ Prawo określa liczbę ludzi, stanowiących jedną partyę, w guberniach wewnętrznych od 20 do 60, w syberyjskich od 50 do 60, 100 lub więcej. Tymczasem średnia cyfra w partyach, wysyłanych co tydzień (50 razy na rok), bywała w rzeczywistości różna.

— Czyż to podobna?

— My, doprawdy, nie wiemy, kto lepszy. Czy ci, co prowadzą, czy ci, co idą? W pobliżu Kazania etap nazwano pijackim, bo był pijackim. Tam upajano wszystkie partye. W gub. Jenisejskiej był drugi taki etap, gdzie mieszkał oficer. Utrzymywał on szynk i miał pięć córek. My — ludzie ułomni, a dusza jednaka: nie odebrano nam siły pokus, bo i walczyć z niemi trudno.

— Proszę posłuchać:

— Wyruszyliśmy z „miasta Tobolskiego“ i nie uszliśmy wiorst dziesięciu, gdy naraz słyszemy krzyk etapowego, który szedł za nami.

— Starszy!

Wezwany zbliżył się.

— Zapytaj partyę, ile da za listy kateryczne?

Zapytał i otrzymał odpowiedź:

— Po pięć kopiejek od osoby.

— Mało. Niech dadzą po dziesięć; — i znowu posłał starszego, który proponuje partyi po osiem; ta się nie zgadza. Ostatecznie dobijają targu po dziesięć.

Zapłacili, a za to przeczytano im listy kateryczne.

— A przecież wiemy, darmo powinien to zrobić; darmo do miejsca doprowadzić.

— Czy takie tylko działy się rzeczy! — mówili skazańcy. — Nieraz słyszeliśmy, jak oficer wzywał starszego i mówił: „Niech-no partya uczętuje naczelnika etapowego jajami“.

— Można! — odpowiadali na to i wybierali dziesięciu towarzyszy z głosami najdonioślejszymi, którzy szli do wsi i śpiewali smętną „Miłosierną“. Lud dawał im jaja, z których pan naczelnik przyrządzał sobie jajecnicę i jadł z wielkim apetytem.

W dalszym ciągu zobaczymy, że partya stara się zaw sze żyć w harmonii z oficerami i innymi konwojowymi i we wszystkim im dogadzać. Swoją drogą i oficer musi pobłażać.

Aresztanci podczas pochodu zapominają o swoich nawyknieniach włóczęgskich. Konwojowi muszą czynić ustępstwa. W rezultacie tworzy się wzajemna poręka, zobowiązanie żyć zgodnie i harmonijnie. Ztąd znamienne zjawisko: aresztanci z etapów i drogi etapowej prawie nigdy nie uciekają. Bywały zdarzenia takie, ale bardzo rzadko, i to przeważnie na Zabajkalu, w pobliżu miejsc ciężkich robót albo na pustyniach, jak np. za Leną. A przecież sposobności nie brak.

Przy samej drodze takie gęstwiny leśne, że dość tylko rzucić się w bok, a nikt już zbiega nie potrafi nawet z psami wytropić, szczególnie na wiosnę albo latem. Trawa wysoka, a w niej korzonki słodkie i jagody. Na dany sygnał mogliby naraz wszyscy aresztanci wpaść w te gęstwiny. I cóżby poradziło 20 lub 30-tu konwojowych?

— Niedobrze uciekać z etapów; — mówili doświadczeni aresztanci. Zresztą i artel tego nie lubi. Wytrawni zwierzęcy tak mówią: „róbcie, chłopcy, co wam się podoba, ale niech nikt z partyi nie zbiegnie. Jak jeden zemknie,—wszystkich do łańcucha przykuję“. A z łańcuchem ciężko! Latem miazdzy on stawy; w zimie wszystkie kości cierpią. W naszej partyi raz się zdarzył taki wypadek: zakuto! W zimie łańcuch straszny, zimniejszy od mrozu. Heż wycierpieliśmy! Zdawało się, że szpik w kościach zamarza ¹⁾.

— Z naszej partyi—mówili inni—pewnego razu zbiegł młodzieńiec gorący, lecz niedoświadczony. Strach! Myśleliśmy, że łańcucha nie unikniemy; a tu zima w całej pełni. Naradziliśmy się i przysliśmy do zwierzchnika:

— Tak i tak się stało, jasnie wielmożny panie! Zrób nam łaskę; pozwól odszukać zbiega. Znajdziemy go, ażeby nie było odpowiedzialności przed władzą.

— Dobrze! — mówi.

¹⁾ Za dwie kopiejki od osoby można było pozbyć się łańcucha. Uszczuplano tą daniną strawne.

Był to oficer stary, doświadczony, znał przestępców i rozumiał słowo warnackie.

Ruszajcie! — zawołał. I nawet nie dał nam konwojowych. Poszliśmy za poręką artelu. Sami wybraliśmy poszukiwaczy. Zrobiliśmy oblawę w lesie. Szukaliśmy przez całą noc i rano. O południu po upływie doby przyprowadziliśmy zbiega, ale nie tego. Nasz—młody parobczak, lat 18, a ten — człowiek stary, lat 50. Był to włóczęga, a takich w lasach syberyjskich jest tyle, co pni.

— Nie tego przyprowadziliście! — mówi oficer.

— A czyż wam, wielmożny panie, niewszystko jedno!

Pomyślał trochę zwierzchnik i zgodził się, żeby tylko liczba była ta sama. A tam — niech sprawdzają, na którym etapie zdarzyła się zamiana...

— No, a starzec? — spytałem.

— Uparty był na razie; wiadomo! Za kogo wy mnie podacie? Może za katorznika, może za bezterminowca? W lesie mi lepiej, niż z wami. Mówił dużo, a nam wszystkie jego słowa śmiesznymi się wydały.

— Stary jesteś, a głupi. Jaki djabeł broni ci w Irkucku powiedzieć: Jam nie ten; przez omyłkę zamiast innego podano. Zaczną się poszukiwania, a ty siedz sobie tymczasem w ciepłym kącie. Na mrozie jest gorzej, przytem nie zawsze strawę sobie zdobędziesz, a tam w więzieniu przecież skarbowa!

Pomyślał starzec i pogodził się z losem.

— Żeby tylko władza się nie rozgniewała...

— A tobie co do niej? Dzieci z nią chrcić będziesz. Niech się gniewa, niech poszukuje. Nie ma ona roboty, czy co? Patrzcie! Pozałowali!... Myślisz, że ci ona krzyż na grzbiecie zawiesi za to, żeś się włóczył jak wilk po lasach?

Starzec znowu się zamyslił, a my tymczasem jemu od całego artelu rubla wsunęliśmy: zgodził się! I poszedł z nami. Potem powie, że jest „niepomnym“. Tak też władza wszędzie go zapisze.

Zwyczaj zamiany imion, upodobania w pseudonimach na etapach bardziej są rozwinięte, niż gdzieindziej. Czasem za marne wynagrodzenie osiedleńca bezrolny bierze imię katorżnika na etapach, żeby potem w pobliżu już samej katorgi powiedzieć, iż jest osiedleńcem, gdy obdarzony jego dobrodziejstwem i przykryty jego imieniem katorżnik pozostał daleko i skorzystał gdzieś z praw włóścianina. Zwyczaju tego nie mogło zniweczyć nawet prawo surowe, skazujące osiedleńca z pseudonimem na pięć lat katorgi, a katorżnika, po wymierzeniu chłosty (stu uderzeń), na dodanie pięciu lat w stosunku do 20-letniej katorgi. Zamiana imion nie ustała także między osadnikami, pomimo, że obu zamieniającym groziły roboty fabryczne po dwa lata.

Drugi wypadek, opowiedziany nam przez świadka naocznego, wymownie dowodzi, że partya aresztantów w drodze bynajmniej nie czyha na sposobność ucieczki i nie dąży do niej. Hamulcem tu bowiem jest ustrój artelowy.

Było to w pobliżu Tiumenta. Partya składała się z trzystu ludzi. Przybyła do przystanku etapowego zwykle ciasnego i niewygodnego. Aresztanci chcieli iść dalej, ażeby odpocząć w etapie, i to dłużej, z doliczeniem czasu zyskanego w drodze. Oficer przystał na to. Poszli dalej po krótkim postoju. Ale w drodze niespodzianka: zbiegło trzech: Oficer złapał skazańców i zagroził im karą. Oni zaś wybornie odczuli jego przykre położenie i całą odpowiedzialność wzięli na siebie. Wybrali odpowiednich ludzi, doświadczonych włóczęgów, także bez konwoju, i zrana dnia następnego dostarczyli wszystkich trzech zbiegów. Przyprawdzili do oficera, który zapowiedział karę i, nie doznawszy protestu ze strony aresztantów, wymierzył winnym po sto plag.

— Teraz proszę nam pozwolić rozprawić się z nimi;— rzekli skazańcy. Otrzymawszy zezwolenie, dodali jeszcze od siebie każdemu po *pięćset* plag, i to tak surowych, że ich okrucieństwo w zdumienie wprawilo oficera etapowego, obytego z widokiem kar cielesnych.

Trzecia partya w upalny dzień lipcowy zażądała kąpieli w jeziorze. Otrzymawszy zezwolenie, zdjęła kajdany i ubranie na brzegu, nasyciła się przyjemnością zakazaną i przybyła na punkt zborny w całym swym składzie.

Na wzgórzni Borszczowskiem (za Bajkałem) z pod dozoru oficera surowego zbiegło z czwartej, następnej partyi naraz sześciu ludzi. Towarzysze nie poszli ich szukać.

Im dalej, tem bardziej się wikłają stosunki wzajemne konwojowych i aresztantów. Pierwsi wymagania swoje rozszerzają, drudzy ustępstwa coraz większe czynią. Konwojowi nie pomijają najmniejszej sposobności, ażeby z aresztantów ściągnąć haracz. Pomysłowość w tym względzie jest zdumiewająca.

W większości wypadków pretensye żołnierzy są wyrazem jakiejś ostateczności. Każdy z nich, otrzymując z kasy skarbowej około 3 rubli rocznie, szuka sobie płacy dodatkowej za służbę uciążliwą z okrucich aresztanckich. Rzekłbyś, że ten żołnierz przez całe życie nie jadł i oto teraz, z obawy ażeby, nie umrzeć śmiercią głodową, chwytą na oslep, co mu się nawinie, nie gardzi niczem, nie czuje wyrzutów sumienia, że nędzarza obdziera z ostatków. W rzeczywistości jest tak, że gdzie żołnierze szeregowi — tam katorga, gdzie zaś kozacy syberyjscy (jak np. w Syberyi wschodniej), tam inna piosnka. Kozak nie jadł kaszy, nie mieszkał w koszarach, nie otrzymywał kijów. W spokojnej pracy wiejskiej wyrobił w sobie cechy łagodne, więc jest wrażliwym i współczującym niedoli skazańców; skłonny do ustępstw. Oto proszę słuchać i rozważać:

Pewna partya kończy wypoczynek dzienny na Syberyi. Nad ranem słyszy zwykłą komendę: „Wstawać!“ Godzina czwarta w nocy, mróz straszny. W koszarach etapowych tak zimno, że aresztanci dzwonią zębami.

Rozpoczęła się krętanina: „w drogę!“ Rozlega się odgłos bębna, to znaczy: „Na wozy!“ „Wychodzić na podwórzel!“ Aresztanci kładą na wozy worki; siadają chorzy. Bęben ucichł. W tem nowa komenda: „Myć podłogi!“

— Znużeni jesteśmy. To nie nasza rzecz.

— Kto zabrudził, ten czyścić musi. Wszędzie tak jest. Myć podłogi przepis każe.

— O takim przepisie nie słyszeliśmy. Proszę czytać na ścianie: Władza nie pozwala uciskać.

— To było w roku przeszłym. Teraz nowe rozporządzenia.

— Gdzież są one?

— Nie zdążono jeszcze przybić.

— To proszę pokazać je.

— Przyjdź drugim razem, zobaczysz.

Następnie podoficer wybiera z partii czterech najreżolutniejszych, drzwi etapu każe zamykać. Żołnierze biorą strzelby i tworzą łańcuch. Czterech wybranych wychodzi na przód i musi wziąć szafiki z wodą. Jest ona zimna dlatego, ażeby dłużej myto podłogi, żeby partya stała nie-ruchoma na mrozie. W koszarach jest pięć, sześć izb. Błoto narastało przez cały rok, a może nawet dłużej. Końca niema tej robocie. Partya będzie musiała czekać bardzo długo, zmarznieć, skostnieje. Namysłają się. Brama zamknięta, żołnierze pilnują, ale jest sposób. Aresztanci wzywają starszego.

— Idź, zapytaj, ile trzeba zapłacić według nowych przepisów. Niech ich tam djabli!

— Po groszu od człowieka!

I sprawa załatwiona.

W dalszym ciągu nowa postać haraczu, tak nieodłączna, jak są nieodłączni w tym pochodzie uciążliwym żołnierze surowi i chciwi grosza — od Tomśka aż do Sahalina.

Partya żąda łaźni według prawa i przepisów.

— Łaźnia w naprawie.

— W naprawie była poprzednia. Wskazano tam waszą.

— Nie mamy łaźni dla was, idźcie dalej! Tam będzie nowa.

— A może i tamta w naprawie. Prawo każe dawać łaźnię co sobota.

— Jeżeli dacie po kopiejce od osoby, to i nasza jakos się da napręde wykończyć.

Aresztanci skrobią się w głowy i po namysle całą gospodarzowi artelu wydobyć z ich kasy pieniądze.

Wzbronienie ognia, — to nowa pozycya dochodu żołnierzy, szczególnie, jeżeli idzie o skazańców ze szlachty ¹⁾.

Żołnierze i naczelnicy etapowi dotychczas bywają rozmaici ²⁾.

Przykład pierwszy:

Aresztant w Tomsku oznajmił, że pewien naczelnik etapu pożyczyl od niego 15 rubli i nie oddał. Zarządzono śledztwo, zawiadomiono dowódcę batalionu i otrzymano odpowiedź, że pieniądze ściągnięto z oficera i wysłano aresztantowi.

Drugi przykład, stwierdzony licznym faktami:

W wielu zabudowaniach etapowych ginęły rzeczy skarbowe, przeważnie żelazne, jako posiadające wartość większą niż inne: zawiasy i klamki, drzwiczki od pieca, a nawet na jednym etapie znikły całkowicie bez śladu nowe drzwi sosnowe. Zarządzono śledztwo, które wykazało, że wszystkie te rzeczy sami dowódcy etapowi sprzedawali handlarzom.

— I niema żadnych środków na wykorzenie zle-go; — mówili nam ludzie zainteresowani, którzy naprawiali zabudowania etapowe. Jedno tylko zastosowano: zamiast wjuszek wprowadzono cegłę, zamiast drzwiczek—rogozę moczona, drzwi zaś są dobre i bez klamek.

¹⁾ Przepisy międzyinnemi mylnie tłumaczą właściwości ognia. Nie wolno go używać w żadnej postaci, jak tylko w węglach rozżarzonych. Skazańcom — szlachcie nie wolno „nastawiać“ samowarów. Podają je z węglami i — już niema niebezpieczeństwa podpalenia! Aresztanci szlachta, jak wiadomo, mają jeszcze ten przywilej, że są wolni od kajdan i mogą na żywność wydawać 15 kop. dziennie, gdy inni muszą się nasycić za 10 kop., chociażby mieli nigdy nienasycone apetyty farmańskie.

²⁾ Naczelnicy etapu muszą towarzyszyć partyi, jeżeli ta liczy przeszło 80 osób.

Przykład trzeci:

W gubernii Permskiej traktem pocztowym od Jekaterynburga do Moskwy ciągnie niewielka karawana z herbatą, którą wiezie pięciu, sześciu ludzi. Z tyłu partyi na podwozcie jednym koniem jedzie oficer. Woła on do aresztantów: — „Dajcie po dwa ruble od osoby i robcie, co chcecie“.

Nastąpiła zgoda, ubito interes, wyliczono pieniądze. Wszyscy aresztanci rzucili się na wozy, porwali kilka pak herbaty. Furmani, chcąc odebrać, rzucili się na rabusiów; ale żołnierze konwojowi zrobili łańcuch, nie puścili. Herbatę sprzedano w mieście drogami tajemnymi za pośrednictwem ludzi pewnych i podzielono się pieniędzmi. Wszczęto śledztwo, które ciągnęło się bardzo długo.

Tacy bywali naczelnicy spokojni. Nie brak było także surowych:

— Przychodzi, budzi partyę, a spostrzegłszy, że ktoś na noc ulżył sobie, zdjął kajdany, — w tej chwili karę pieniężną nakłada, „według postanowienia“. A to postanowienie węglem w kominie pisane..

— I tak się zdarzało: Z mrozu twarz mi spuchła. Spostrzegł to oficer etapowy i zbił mi ją jeszcze.

— Chcesz — mówi — znaki stempla zniszczyć!

— Nie myślałem, jasnie wielmożny panie. To mróz tak ze mnie zażartował.

Zastukał nogami i syknął:

— Chłosty!

— Nie miałem czem się opłacić, więc wymierzył mi plagi. Inny, który miał pieniądze, wywinął się od takiej napaści.

Przykład czwarty:

Po głośniejszej sprawie omskiej, kiedy tamtejsi Polacy wygnani uknuli zbiorową ucieczkę przez stopy Kirgizkie, — zaczęło się przrzucanie ich po Syberyi. Między innymi stworzono partyę z 30-tu Polaków, którzy byli w Troickiej fabryce wywarzania soli (w pobliżu Kańska), i okutą w kajdany wysłano do Nerczyńska. W Irkucku dodano

do niej nowych wygnańców i wyprowadzono z więzienia w dalszą drogę. Otoczeni konwojem ze wszystkich stron, znaleźli się razem ze zwykłymi zbrodniarzami. Tym wygolono natychmiast na podwórzu więziennem po pół głowy i to samo chciało zrobić Polakom. Oficer konwojowy zresztą oznajmił, że za 60 kop. od każdej głowy chętnie zaniecha tej operacji. Polacy, nie mając ani pieniędzy, ani chęci ulegania kaprysom konwojowego, zdobyli się na kilka stanowczych i dość ostrych uwag; oficer zaś w odpowiedzi na nie wysłał balwierza z tępą brzytwą i brudnem mydłem. Pierwszy, Wieniarski, uderzył żołnierza z brzytwą w twarz, a gdy golibroda zerwał mu czapkę, — chwycił go za kołnierz i rzucił z ogromną siłą. Wtedy wszyscy, żołnierze z okrzykiem — „Polacy bunt robią!“ — rzucili się na nich. Wszczęła się bójka, którą przerwał wezwany do więzienia gubernator. Oficera posadził na odwachu, Polaków zaś wysłał w dalszą drogę z głowami nieogolonemi. Gdy partya przybyła do Wierchnieudińska, policmajster tamtejszy kazał wypędzić z podwórza więziennego wszystkich przekupniów z produktami spożywczymi, pod pozorem, żeby Polacy nie mieli styczności z rodakami, mieszkającymi w mieście. Dla większej pewności zamknął ich nawet w kazamatach na klucz, o zaopatrzeniu zaś w żywność wcale nie pomyślał. Jeden z powstańców, Żmujdzin, wyważył drzwi w swoim numerze i uwolnił innych towarzyszków, ażeby wspólnemi siłami skuteczniej zakłócić o żywność. Wszczęła się wrzawa i znowu okrzyk: „Polacy bunt robią!“ Nadszedł policmajster i pozwolił pojedynczo każdemu po kolei iść pod konwojem po żywność. Za „bunt“ zaś w więzieniu zemszczono się, jak powiadają, w ten sposób, że dalej wysłano partyę polską otoczoną włóścianami, zaopatrzonymi w koły i psy. Pod taką strażą, jak głosi podanie, przeszli oni przez całe stopy Brackie i dopiero w Nerczyńsku zmniejszono konwój i doprowadzono do zwykłej postaci.

Przykład piąty:

Idzie etapem aresztant, włóczęga bywały i doświad-

czony. Po drodze, jak zwykle, wyzuł się z ostatniego grosza. Trzeba było zdobyć znaczniejszą sumę. Nie sztuka pożyczyc od starszego lub od artelu. Prawdziwym sprytem jest dostać pieniędzy od oficera, i to bezzwrotnie. Trzeba spróbować; o takim sposobie nikt jeszcze nie słyszał na etapach. Pomysłem swoim podzielił się z towarzyszami, którzy przyjęli projekt z uznaniem i postanowili dopomóc mu. Podstęp ukartowano w ten sposób: Włóczęga puścił w partyi pogłoskę, że przypadkowo udało mu się dostać w proszku złoto przemycane. Rzecz droga, ale on, biedak, więzień, nie drożyłby się, sprzedałby chętnie, gdyby miał komu. Dogodniejsze byłoby dla niego srebro kursujące. Do sklepu pójść nie może, bo straż nie pozwala, władzy zaś swojej sprzedałby na warunkach dla niej najkorzystniejszych. Wieść ta doszła do żołnierzy, a następnie do oficera. Ten zapalił się do łatwego zysku, kupił złoto i zaniósł je (było to w Tomsku) do srebrnika:

— Skąd pan wziął?

— Od aresztanta.

Srebrnik zrozumiał rzecz całą i odrzekł:

— Złoto. Proszę kupować i dawać, co zażąda.

— A czy kupisz je odemnie?

— Dla czegoż mam nie kupić? Proszę się zgłosić z powrotem, po odprowadzeniu partyi; teraz pieniędzy nie mam. Zresztą i świadkowie blisko.

Jakoż po odprowadzeniu partyi, oficer nie omieszkał przyjść.

— Proszę iść, jasnie wielmożny panie, tam gdzie kołty sprzedają; może tam kupią. Ten proszek — to miedź prawdziwa. Złoto nie takie..

— Jakim sposobem dostajecie wódkę w więzieniu? spytałem pewnego aresztanta.

— „Sztrof“ kosztuje na swobodzie 80 kop. Jeżeli dam żołnierzowi 1 rs. 60 kop., — przyniesie.

— Aresztancka zasada taka, — mówili inni; — gdy jeden się nie zgodzi, poprosić innego; ten się upiera — prosić

trzeciego. Czwarty nie zawiedzie, skusi się. Takiego wypadku nie pamiętamy, ażeby aż czterech żołnierzy było nieubłaganych.

Tylko długie doświadczenie do takich wniosków prowadzi.

— Etapy stare, zimne, nigdy nie naprawiane, żołnierze tam chytrzy, przebiegli, nie są zmieniani. Dobrych — mówią — na Syberji w żaden sposób znaleźć nie można. Ciężko nam z tego powodu. Etapowi pamiętają o sobie, my także baczmy na to, ażeby nasze okrucy nie ginęły marnie. Ręka rękę myje i obie są czyste.

— Chłopcyl — mówił pewien oficer do swojej partyi. — Muszę wracać na termin w ważnej sprawie. Idźmy dalej do etapu bez przystawania, jednym ciągiem. To przecież bagatela; tylko 12 wiorst.

Aresztanci już przedtem przeszli 15 wiorst. Oficer ich nie krzywdził, człowiek dobry. Było lato, ciepło. Oficer obiecał za to nakarmić aresztantów barszczem gorącym na własny koszt, przyrzekł dostać mięsa na etapie.

— Dobrze, pójdziemy dalej! Proszę nas prowadzić, jasnie wielmożny panie!

Zima daje co innego. Między miastami Niżnieudińskiem i Krasnojarskiem spalił się etap w jesieni. Na zimę nie zdołano go odbudować, a tymczasem przepisy wzbraniają rozmieszczać aresztantów w mieszkaniach prywatnych, pod surową odpowiedzialnością. Do dalszej podróży brak sił. Zamiast 25 wiorst trzeba było przejść 60 — przestrzeń przekraczającą siły ludzkich ramion i nóg. Oóż tu począć? Naczelnik wpadł na pomysł, ażeby pośpiesznie przerobić stajnie etapowe, ocalone od ognia, na mieszkania dla ludzi. Aresztanci pozornie byli zadowoleni, nie szemrali, pomimo mroźnej jesieni, którą w Rosji śmiało nazywać można zimą. Gdy próbowano prowadzić dalej (z pominięciem tego etapu) partyę następną, zaprotestowała ona krzykiem, zagroziła gwałtem i ucieczką.

— Ludzkość i sprawiedliwość aresztanci lubią; — mówił mi naiwnie pewien etapowy.

— Któż tego nie lubi? — chciałem mu dorzucić, ale wiedząc, że nie wszyscy oceniają te zalety, napisałem w swoim dzienniku następującą notatkę:

Etapy i „póletapy“ (przystanki) drewniane, stare, nieodnawiane, zbudowane na Syberji między r. 1824 a 1830, doszły do takiej ruiny, że obecna naprawa daje możność czuwającym nad robotami czynić znaczne oszczędności na własny rachunek. Daje się stare, przegniłe łąty i pokrywa się budynek nową farbą skarbową. W tydzień po naprawie i oględzinach komisji widziałem 10 etapów takich (w zimie), gdzie po kątach leżą kupy śniegu i wiszą sople lodu. W jednym miejscu widziałem nawet śnieg, leżący przez całą długość koszar, wpędzony wiatrem pod nary. Nie pomogły łąty drewniane, nie zapobiegł złemu ani nadzór komisji, ani rewizya. Zdrajca wiatr odsłonił całą robotę.

Jeszcze inna bieda. Etapy, zbudowane według dawnych planów, są ciasne, nie mogą zmieścić całej partyi aresztantów. [W pięciu, sześciu izbach na etapach, w trzech na przystankach, trzeba czasem zmieścić około 500 ludzi. Aresztanci kładą się na podłodze, prawie jeden na drugim, weiskają się pod nary, gdzie ich przez różne otwory owiewa wiatr zimny, wilgotny.

Tym, co leżą na narach, jest tak ciasno, że ledwie się mogą poruszać. Zwykle wielu, uczepiwszy się brzegów nar, leży w poprzek innych towarzyszków, w ich nogach. Taka ciasnota wytworzyła inną postać nadużyć. Aresztanci doświadczeni płacą żołnierzom, ażeby im pozwolili jechać naprzód. Kop. 8—15 płaci się od osoby za to, ażeby można było sięść na wóz, prócz tego, po 4 za to, ażeby pozwolono uprzedzić innych¹⁾. Tutaj szczęśliwi zajmowali miejsca lepsze na piecu i narach. Nadużycia tego rodzaju były tak częste i żądanie za to zapłaty tak zwykłe,

¹⁾ Czasem prawo krzywdzenia towarzyszków kupowano za mniejszą sumę, ale przed samym etapem. Żołnierz wybierał ochotników i prowadził ich pieszo naprzód.

że aresztanci patrzyli na to wszystko, jako na rzecz prawną, nieuniknioną. Opowiadając następnie o takich faktach towarzyszą, mówią oni o przeszłości zupełnie obojętnie, bez goryczy. Wogóle jednak ci, którzy, zgodnie z ideją organizacji etapowej, wymagają równouprawnienia, wprost protestując walce o przywileje — ci łamią takie prawa zwyczajowe. Tylko kajdaniarze, t. j. skazani do ciężkich robót, wiernie się trzymają zwyczajów utartych. Śród nich prawo wygodniejszego rozlokowania się w koszarach zdobywa ten, kto zręczniejszy i szybciej biega. Przyjęto za zasadę rzucać się do koszar kajdaniowych gwałtownie, natychmiast po kontroli i oględzinach (dokonanych w razie, jeżeli aresztanci nie wykupili się od tego). Tam szukają pieniędzy, fajek, nożów zgubionych.

W dzień bardzo mroźny zaszedłem do pewnego ota-
pu za Tomskiem w godzinę po zapelnieniu go przez par-
tyę i spostrzegłem taki obraz: aresztanci rozlokowani, jak
stado owiec. Większa część skupiła się koło pieca; jeden
dostał się na jego wierzch i zwiesił nogi w kajdanach.

— Idź precz! — gniewnie i surowo zawołał na niego
oficer, który wszedł razem ze mną. Nie był etapowym,
lecz miał pewne prawo do takiego wołania.

Zdumiony jego krzykiem i gniewem, nieśmiało
zreklamem:

— Niech się ogrzeje!

— Ależ panie! — krzyczał oficer.

— Kajdanami tynk obija, cegły kruszy, piec psuje.
Ledwie się zdąży wybielić i znowu trzeba smarować.

— Ależ tu zimno, nawet mroźno.

— Koszary stare, zrujnowane! — dodał dowódca eta-
powy.

— Proszę nie wierzyć, jaśnie wielmożny panie! —
rozległ się głos w tłumie z tyłu. W piecu palą dopiero
przed samem przyjściem partyi. Oto nawet drzewo nie
przeżalone jeszcze. Przez cały tydzień etap stoi zimny.
Po takim wychłodzeniu nie można go ogrzać nawet w cią-
gu dwu dni.

Oficer krewki znów zaczął krzyżeć. Aresztant jednak powiedział, co miał powiedzieć. Szukano mowy, ale dzięki tłumowi, ciasnocie i zręczności nie zdołano go odnaleźć.

Zimne etapy, to złe dotkliwe, które się odbywa za najłżejszem dotknięciem w niezadowoleniu więźniów. Umiarkowani dodawali jeszcze:

— Gdy komin zatknijemy, czad taki straszny, że głowy na karku utrzymać nie można. Niejeden nawet zagorzał na śmierć. Nie zamknę komina — to zębami dzwonić trzeba, pot cygański siły odbierze.

— W małych przystankach etapowych skupi się w koszarach nieraz tak dużo ludzi, że przejść niepodobna. Okna podwójne, zakratowane, odetchnąć nie można. We drzwiach jest okienko, chciałoby się je otworzyć, ale żołnierz zatrzaskał je zewnątrz. — „Otwórz, zrób łaskę! — „Dawaj grosz! — Masz! Dyabeł z tobą!“ Oto, jakie nasze położenie.

Zwiedzałem etapy także, gdy było ciepło, na wiosnę i zapisałem w dzienniku następujące uwagi:

„Etap bajeczny (między Tobolskiem a Tiumeniem). W koszarach, skutkiem bezdroży wiosennej i zatamowania ruchu na Irtyszu, zebrało się 230 aresztautów. Na niewielkiem ciasnem podwórzu etapowem, otoczonym zwykle z jednej strony koszarami więźniów, z drugiej oficyną oficerską od ulicy, z dwóch innych częstokołem — na podwórzu tem był formalny rynek. Do koła siedziały baby, dziewczęta, żołnierze. Przed każdym i każdą różne produkty i towary: twaróg, mleko, kwas, barszcz, kasza, pierogi. Jeden żołnierz sprzedawał różne drobiazgi: mydło, guziki, nitki i słodycze: konfitury, rodzyнки, pierniki.

— Kto to kupuje? — spytałem żołnierza.

— Osiedleńcy dla swoich dzieci, ale mało.

Widzę, jeden ogolony aresztant, z asem na plecach i w kajdanach, niesie czerpak z kwasem i bochenek chleba.

— Ile zapłaciłeś?

— Po trzy kopiejki.

Na schodkach rodzina osiedleńców — pięć osób, je mleko (były to ostatnie dni wielkiego tygodnia). Zapytałem o cenę:

— Dziesięć kopiejek.

Osiedleńców pobiera od rządu tylko $3\frac{1}{2}$ —6 kopiejek, a czasem nawet mniej, gdyż skala strawnego zależy od wykazu urzędowych cen zboża w danej gubernii. Choć ceny zmieniają się w ciągu roku, norma rządowa przez cały rok pozostaje niezmienną. Przekupnie nie biorą tego w rachubę: zdzierają, co się da. Kontroli niema. Przekupnie owi (przeważnie kobiety, żony żołnierzy etapowych, rzadko wiejskie, czasem sami żołnierze, szczególnie dymisjonowani z etapowych) działają zgodnie, na podstawie umowy solidarnej ¹⁾. Według ich taksy, 50 kop. kosztuje $1\frac{1}{2}$ funta mięsa gotowanego, bardzo podejrzanego; 25 kop. kubek barszczu ²⁾. Przy kupnie tego rodzaju aresztanci robią zwykłe składki, po dwu, lub czterech: „choć troszkę skosztuje się stawy gorącej“ — mówią oni i uskarżają się na nieustanne bóle w żołądku, na ciężki oddech i t. d.

— Na Syberyi, bądź co bądź, wikt jest tańszy; — mówią inni. W gub. Permskiej także ceny przystępniejsze. Jadamy lepiej; kupujemy zwierzynę, gotujemy i pieczemy ją. Ale w gub. Kazańskiej wprost nic kupić nie można.

— Skarb na etap nie daje; — mówił mi oficer etapowy; — nie, prócz opału i światła. Ale dawniej światło wyznaczano na całą noc, dzisiaj tylko do świtu.

¹⁾ Dawniej przekupniów wolnych nie dopuszczano. Handlem zajmowali się sami oficerowie, ale z powodu licznych skarg, że pobierają oni dwa razy wyższe ceny, niż „inni“ — zabroniono im zajmować się tym procederem. Nadużycia jednak pozostały w dalszym ciągu, zamaskowane tylko, zwłaszcza tam, gdzie etapy są bardzo odległe od wsi.

²⁾ Wysokie ceny dają się tłumaczyć tem, że przekupnie sami muszą nabywać prawo handlu od gospodarzy etapowych, i to często pod naciskiem. Partya nieraz trafia na głośne dobijanie targu. Bywały zaś i takie wypadki, że przekupnie przez długi czas musieli pozostawać na ulicy, przed oficyną oficerską. Podoficerom każdy przekupień płacił zwykle nie więcej niż kopiejkę. Czasem zaś odrazu traktował ich wódką lub piwem na wsi podczas święta.

Poszliśmy obejrzeć koszary. Było ich sześć, jak na poprzednich etapach, tak zapewne i na tych, które są przed nami. Nigdzie bowiem niema takiej jednostajności i stałości urządzeń, jak na etapach. Opisać jeden, to znaczy wszystkie:

Dwa domy. Jeden z oknami od ulicy — dla oficera i straży; drugi wewnątrz na podwórzu, — dla aresztantów. W płocie szerokie wrota: prawe na podwórze aresztanckie, lewe — na stajenne, oddzielone od pierwszego także częstokołem. Wszedłszy po schodkach przez sień i korytarz koszar zewnętrznych, już wiemy z góry, że na prawo są dwie izby, z których bliższa przesiąknięta dymem tytoniowym żołnierzy etapowych, dalszą zajmują kozacy konwojowi. W lewej połowie dwie izby dla oficera etapowego, zarządzającego dwoma najbliższymi przystankami etapowymi. Tam także mieści się przedpokój i kuchnia. Na etapie, oprócz oficera, mieszka jeszcze stróż i nikt już więcej.

Wszedłszy korytarzem na podwórze, mamy przed sobą koszary aresztanckie, na przeciw konwojowych, tej samej długości i z takim samym rozkładem, t. j. także rozdzielone na dwie połowy, każda zaś połowa na dwie izby: prawą i lewą dla skazanych na osiedlenie. Dwie tylne prawa i lewa, rozdzielone ścianą poprzeczną na dwie mniejsze. W jednej na prawo kobiety, na lewo — spóźnieni osiedleńcy. W dwóch tylnych — kajdaniarze, t. j. skazani do ciężkich robót. Ażeby dojść do nich, trzeba iść dookoła budynku i trafić do drzwi zewnętrznych. Tam się dowiemy, że na prawo od koszar aresztanckich podwórze nazywa się żeńskim, a domek na niem — łaźnią.

Rozejrzyjmy się w koszarach. Razem umieszczono kawalerów i zonatych osiedleńców. Katorżnicy osobno. Ale ztąd do Tomsku pójda i jedni i drudzy, a także i kobiety razem w gromadzie.

W koszarach uderzyła nas strasznie przykra woń, pomimo że były okna otwarte. Cięższem i trudnem do zniesie-

nia powietrzem napelnione były izby kobiece, gdzie zarazem umieszczono dzieci.

— Biedne dzieci! — mówił mi oficer etapowy, obojętny na wiele rzeczy i do wszystkiego przyzwyczajony, — W zimie strach patrzeć na nie! Skostniałe, chore, kaszlące, pokryte ranami i wysypką...

Ale jeszcze nie tak straszne są rany fizyczne, jak te, które się tworzą w miękkich sercach dziecięcych od obcowania z dorosłymi. Zresztą nie lepsza jest dola dziecięca od doli tych dorosłych, którzy do Irkucka wędrują czasem prawie rok cały. Nędza i choroby zjadają ich wszędzie o każdej porze roku. Szpital więzienny w Tobolsku każdej zimy jest przepełniony chorymi, którzy podmrażali sobie członki aż do zgangrenowania. Szpitale więzienne w Tiumeniu i Jekaterynburgu znalazłem przepełnione w kwietniu r. 1862) chorymi na tyfus ¹⁾. Aresztanci muszą ujsć 500 wiorst co miesiąc, bez względu na stan pogody. Tylko dwa razy droga zepsuta z powodu ruszenia lodów i zamarzania rzek (na wiosnę i w jesieni), zatrzymała partycję w więzieniach i na etapach. Podczas mego przyjazdu na trakcie tiumeńskim w jednym etapie skupiło się 250, w drugim 230 w trzecim 280 ludzi. W więzieniu tobołskiem zebrało się około dwu tysięcy, w tiumeńskim — około półtora ²⁾.

Nie dziw więc, że przy tak wielkiem skupieniu aresztantów panuje w koszarach zaduch i woń trudna do zniesienia. Przytem ściany pogniły zupełnie, większą część

¹⁾ Oto są przeciętne cyfry z okresu trzyletniego: Z 9,500 ludzi (przeciętna roczna liczba wysłanych, przechodzących przez Syberję), pozostaje skutkiem chorób na drodze do Nerczyńska 1,260. Z tych 260 umiera, co stanowi 0,027% ogólnej liczby wysłanych. Po przyjeździe do Tomsku podczas pobytu w więzieniu umiera w ciągu roku około 100 aresztantów — osiedleńców. Do najczęstszych chorób zaliczyć należy weneryczne, przyniesione z Rosyi lub nieraz zdobyte w drodze.

²⁾ Były wtedy wylewy rzek Tobola i Irtysza. W r. 1860 wylew Irtysza zatopił na jednym z etapów tiumeńskich 512 Indzi.

budynków wzniesiono na nizinach błotnistych, wiele etapów podczas wylewu woda otacza ze wszystkich stron i tworzy wysepki, następnie zaś pół łokcia głębokie cuchnące bagnisko na podwórzach, a nawet w budynkach.

Szczególnie jest nieznosny zaduch koszarowy i woń zabójcza, gdy aresztanci podczas deszczu i śloty przychodzą zupełnie przemoknięci. W nocy, gdy jeszcze do izb wniosą „parasze“, powietrze jest tak okropne, że trudno opisać. Według słów świadka „smród z paraszy“ niemożliwy jest do wytrzymania! I ci nieszczęśliwi jakby się starają możliwie najbardziej wykazać wstrętne strony istot ludzkich, że tak powiem, hartują się we wszystkim, co jest najgorsze. Zawsze gwar, krzyk, karty, kości, zwady, piosnki, tańce. Boże, co za tańce! Słowem istne piekło!

Jasnym jest teraz, dla czego w więzieniu tobolskiem najwięcej ludzi zapadało na choroby ostre; śmiertelność zaś była wielka braku z felczerów i lekarstw ¹⁾. Stróż etapowi z żołnierzów nie dbają wcale o porządek. Są to ludzie, którzy przeważnie nie mieszkają na miejscu. Przysłani z żonami, starają się możliwie najprędzej urządzić własne gospodarstwo, dom. Zapłaciwszy 15, 18, 20 rs. za całą izbę, żołnierz spędza tam wszystkie czas wolny, następnie trudni się handlem, sprzedaje aresztantom po trzy kopiejki garnek mleka, za trzy rybki smażone pobiera 6 kop., za funt chleba 1½ kop. za niewielki kubek zepsutego, spleśniałego kwasu kopiejkę. Żołnierze z rodzinami otrzymują ziemię orną i sianokosy, ale gospodarstwa nie lubią i wolą ciągnąć zyski z aresztantów. Pola nie uprawiają, zboża nie sieją, łąki oddają w dzierżawę. Dodajmy, iż każdy żołnierz, pełniąc służbę rządową, powinien

¹⁾ Oprócz szpitalów przy wszelkich więzieniach w miastach, są jeszcze inne co trzy etapy, przy każdym czwartym. Zamiast lekarzy nad szpitalami etapowymi czuwają felczerzy, który także jak i zakłady pod ich opieką oddane, noszą tylko nazwę, właściwej zaś treści w sobie nie zawierają. Dzięki tym zakładom i trudności podróży, bywały wypadki, że niektórzy aresztanci, zamiast po roku, docierali dopiero po czterech latach na miejsce kary.

przejsię pieszo sto wiorst w ciągu tygodnia; w ciągu roku (50 tygodni) pięć tysięcy, więc przez cały czas służby (od 15 do 20 lat) musi przejsię 75—100 tysięcy wiorst! O prawnidłowem i stałem gospodarstwie niema nawet mowy. Już bardzo dobrze, jezeli żona żołnierza potrafi urządzić ogród, zasiać kapustę, z której następnie barszcz gotuje i sprzedaje drogo aresztantom.

Na pewnym przystanku etapowym znalazłem dwu żołnierzy — stróżów. Przystanek był pusty, pomimo że etapy sąsiednie przepelnione. Jeden z żołnierzy był familijny, który z powodu znacznej odległości wsi musiał mieszkać na przystanku. W izbie wygodnie i porządnie; na ścianie wisiała uprząż końska.

— Konia trzymam. Muszę dwoje dzieci żywić. Wynajmuję szkapę chłopom do roboty.

— A czemuż aresztantów nie wozisz?

— Nie mogę. Przy nich się nie pożywię; — odpowiedział mi żołnierz, ale kłamał.

Nie kłamał tylko, zapewniając, że i na tym przystanku zdarza się wielkie skupienie aresztantów i że całą tę masę poprowadzi 20-tu konwojowych; do tej liczby jeszcze przybędzie czterech kozaków i oto przy wzajemnych ustępstwach, usługach i zaufaniu pójdzie ta olbrzymia gromada, strzeżona przez tak małą liczbę żołnierzy. W ciągu trzech dni przychodzą do porozumienia z konwojowymi. Na czwarty mają z nowymi już do czynienia.

Wypoczynki co trzeci dzień mało dają sił. Prawo w razach wyjątkowych pozwala trzymać aresztantów w miastach gubernialnych najwyżej 6—7 dni. Za zatrzymywanie skazańców w drodze jest przewidywana kara taka, jak za ukrywanie zbiegów. Aresztanci po przyjeściu do Tobolska prawie wszyscy zwykle się skarżą na ogólne osłabienie w całym organizmie, na łamanie w nogach i wielką duszność. Reumatyzm jest tak częstym i nieuniknionym towarzyszem, że nawet otrzymał nazwę choroby etapowej. Prócz tego mężczyznom tworzą się ruptury, ko-

biety cierpią na choroby macicy ¹⁾. Oto dlaczego większą część przybyłych zbrodniarzy musiano zaliczać do kategorii *niezdolnych*. Stanowili oni wśród ludności syberyjskiej osobną klasę ludzi, nie płacących podatków i obarczających ogół. Byli rzeczywiście *niezdolni*.

Kierunek drogi etapowej, Bóg wie, kiedy i przez kogo wytknięty, dziś nie ma najmniejszej racji bytu. Wydawano zupełnie niepotrzebnie dużo pieniędzy skarbowych, zużywano zbytecznie dużo sił ludzkich, kazano bezcelowo przebywać olbrzymie przestrzenie. W bardzo odległych czasach, kiedy najbliższy szlak syberyjski prowadził do Tobolska przez Wołogdę i Wierchoturje, zboczenie dla skazańców było większe; ale i teraz przez Perm i Jekaterynburg droga nie jest właściwą. Aresztanci idą daleko w bok od traktów syberyjskich, stworzonych przez kupców, którzy zawsze biorą pod uwagę czas i przestrzeń, zawsze i wszędzie wytykają krótkie i proste drogi, nawet na dzikich obszarach syberyjskich. Aresztanci zaś nie idą tam nawet traktami pocztowymi, które zwykle są dłuższe od kupieckich, lecz krótsze od rządowych. Tak np. od Tiumenia, zamiast przez stepy Barabińskie prosto do Tomaska, kierowano partye na Tobolsk, według dawnego zwyczaju, i prowadzono wprost na północ, gdzie wiatry surowe i śloty rujną zdrowie. Jeżeli natura srożyła się przez czas długi, aresztanci przychodzili do Tobolska z chorobami piersiowymi i podmrażanymi nosami, twarzami i palcami. Z Tobolska partye szły przez Tarę, znowu nakładając drogi bardzo dużo. Przytem szli przez miejscowości mało zaudnione, niepomyślne pod względem ekonomicznym i klimatycznym. Przez Irtysz kilkakrotnie musieli przechodzić zupełnie niepotrzebnie. Po przeniesieniu urzędu do

¹⁾ Roczna przeciętna cyfra chorych w szpitalu więziennym tobołskim stanowiła przeszło $\frac{1}{5}$ ogólnej liczby wysłanych (na 11 tysięcy 2,070 chorych). Z tej $\frac{1}{5}$ umarło w ciągu roku 163. Na wiosnę każda partya zostawiała po drodze między Tiumeniem a Tobolskiem przeciętnie 10 chorych.

Tiumenia stan rzeczy zmienił się na lepsze ¹⁾. Nie mówimy już o tem niepotrzebnem nakładaniu drogi, którą przebywać muszą osiedleńcy, wysłani do okręgów: Tiumeńskiego, Jałutorowskiego, Kurhańskiego i Turyńskiego. Kazano im iść napowrót z Tobolska, do którego przychodzili tylko z powodu istnienia tam urzędu i przebywali skutkiem tego niepotrzebnie 435—517 wiorst.

Wróćmy do etapów, których Syberya liczyła 70, prócz tego 64 przystanki etapowe.

Życie etapowe aresztanci wolą, niż więzienne, może dla tego, że więcej jest zbliżone do swobody. Z etapami rozstają się niechętnie. Widziałem ich w przeddzień katorgi. W wyrazach twarzy, w chodzie, wreszcie w tonie „Miłosiernej“ czuć było ciężar smutku i rozpacz. Daje się to tłumaczyć przybliżeniem do miejsca, na którego wspomnienie trwoga ściska serce aresztantów. Nie każdy umie się zdobyć na taką siłę, ażeby zachować hart ducha. Aresztanci przychodzą na katorgę bez pieniędzy, obdarci, bez wszelkiej nadziei i rodziny...

Zwolna partya posuwa się ku miejscu pracy, milcząca, otoczona wszelką urzędowością. Na kilka wiorst przed kresem pochodu rozlega się komenda: „do porządku!“ To znaczy, że wszyscy powinni być na miejscach właściwych w kajdanach, z węzłkami. Wszyscy powinni uroczystie się nastroić.

Oto już partya na miejscu; urzędnicy miejscowi przyjmują aresztantów według spisu.

— Trzeba kajdany zdjąć

Podróżne muszą być zwrócone konwojowym, a natomiast włożone inne.

— Zrobimy to jutro. Dziś nie zdążymy zdjąć ze wszystkich i zakuć na nowo; — mówi urzędnik przyjmujący w prostocie ducha.

¹⁾ Niegdyś skazańców przewożono przez Bajkał na statkach floty syberyjskiej i to była jedyna ulga, która ustała po zniknięciu floty.

—[†] Rozkucie potrwa niedługo; — wyjaśnia oficer etapowy, doświadczony, i prosi:

— Bardzo mi pilno wracać. Proszę pozwolić teraz.

Rad, że jeszcze jednej partyi pozbył się pomyślnie i z braku zbiegów nie stracił pensyi rocznej, w nagrodę każe partyi zdejmować kajdany. W ciągu dwóch lub trzech godzin uwolnione są wszystkie nogi.

Mało doświadczony oficer katorgi zdziwił się, widząc, że aresztanci zdejmują kajdany, jak buty.

Przyszli osłabieni, chorzy, odzwyczajeni od pracy, niektórzy zaś wcale niezdatni do niej. Ale, co najważniejsza, że większość moralnie zepsuta do gruntu. Inni, skutkiem chorób i zatrzymywania się po drodze, przybyli do katorgi na czwarty rok po wyjściu z Rosyi, ale przybyli bogaci w doświadczenie.

W więzieniu i na katordze zbrodniarze umieją rozwinać pomysłowość i przebiegłość. Jak sobie radzą, zobaczymy niżej.

ROZDZIAŁ II.

W ciężkich robotach.

Na początkach grudnia w ciemną noc zbliżyłem się do kopalni Niższo-Karyjskich, jednej z miejscowości centralnych, przeznaczonych dla tych skazańców, którzy na mocy wyroków sądowych są skazani do t. zw. kopalni Nerczyńskich.

Droga prowadziła w bok od rzeki Szyłki przez gęsty las sosnowy. Niedogodna, lecz, o ile można było sądzić z wybojów, bardzo uczęszczana. Gałęzie drzew uderzały po koniach, wsuwały się do sanek. Trzeba było się strzedz, ażeby nie powybijały oczu i nie pokaleczyły twarzy. Droga tak wązka, żeśmy musieli pozdejmować skrzydła przy saniach, pomimo że te były właśnie zastosowane do takich dróg i przejechały już przeszło tysiąc wiorst.

Ciemność i gęsty las narażały nas na przykre niespodzianki: wpadaliśmy na pnie i z trudem ściągaliśmy z nich sanki, zsuwaliśmy się w wyboje. Przewodnicy moi pomrukiwali i gniewali się.

— To już prawdziwie droga katorżna! — zauważył jeden.

— Dla tego i katorżna, że prowadzi do katorgi! — dorzucił drugi.

— Tak! Spojrzysz — mówił pierwszy: droga na katorgę, zdaje się, wązka, a pomyśl tylko, jak ona rzeczywiście jest szeroka.

— Tam — to szeroka, ale ztamtąd znowu wązka. Trafic łatwo, ale wrócić trudno.

Rozmowa skończyła się obustronnem westchnieniem.

Cisza i ciemność rozbudziły wyobraźnię. Oto przed nami miejsce, w którym się skupiają wszyscy wielcy zbrodniarze, wysłani z Rosyi, wszyscy mordercy, zbóje i rabusie. Roboty w tych skarbowych kopalniach złota są najwyższą karą dla wszystkich złoczyńców tego rodzaju. Z powodu zmniejszenia się w ostatnich latach produkcji srebra w kopalniach nerczyńskich, tudzież po zniesieniu kopania rudy rękami wysłanych zbrodniarzy, kopalnie karyjskie (Górna, Średnia, Niższa i Łunzankińska) stały się jedynym terenem typowych robót ciężkich. Śpieszyłem tam z podwójną niecierpliwością, tem bardziej, że w całym „krajku Nerczyńskim“ tylko przy tych czterech ogniskach (nadto jeszcze przy Piotrowskiej fabryce żelaza) zostały więzienia właściwie katorżne.

Nazajutrz po przyjeździe poszedłem obejrzeć katorgę. Oto jestem na ulicy.

Po obu stronach stare, pokrzywione, wątłe chaty. Cała wieś tem się różni od szyłkowskich i innych, że jest uboga, nigdy nie odnawiana. Niektóre chałupy, jak lepianki, brudne zewnątrz, płoty nawpół zwalone. Widać, że nędza tu osiadła. Ale wieś ta, jak wiadomo, rządowa; więc oto nieodłączny spichrz na zboże i sól, z typowym szyldwachem. Ale gdzież turma i częstokół, — mieszkanie głównych gospodarzy wsi? Rozglądam się dokoła i nie widzę. Oto stoi domek schludniejszy, niż inne, zapewne zwierzchnika robót. Dalej jeszcze drugi, prawie taki sam, — może inspektora więziennego. Dokoła zwykle domy, wolne od straży. Gdzież więc nareszcie turma?

— A oto ona! — mówi mi urzędnik, pokazując jeden z domów, który zewnątrz zupełnie przypomina koszary syberyjskie. Jakoż istnienie turmy ujawniał poniekąd odwach i kilku kozaków syberyjskich.

Ale cóż to za ludzie, idący naprzeciwko mnie? bez kajdan, więc nie więźniowie, lecz zapewne ci, którzy od-

byli już termin kary? Uprzedzają oni grzecznie nasz ukłon, zdejmując czapki. A oto i zbrodniarze, brzęcząc kajdanami, spełniają robotę domową; pod opieką szyldwacha we dwu niosą na kiju ceber, przykryty szmatami, z pod których wydobywa się para i i roznosi znany typowy zapach kapuśniaku. I ci grzecznie zdejmują czapki.

— Chce pan widzieć katorznika? Oto pierwszy z nich; — mówi zwierzchnik.

— Iwanie, chodź no tutaj! — zawołał.

Z bramy domu sąsiedniego wyszedł człowiek w czapce podartej z potarganą, rzadką bródką. Szyję miał obnażoną, „jarmiak“ zupełnie zsunął się z ramion i pokazał koszulę poszarpaną. Na nogi tego człowieka nie miałem nawet odwagi spojrzeć. Cały drżał, głowa się chwiała. Zdaje się, czuje on, że wszystkie jego członki nie na właściwym są miejscu, więc usiłuje przyprowadzić je do porządku. Widać, że mu ciężko nosić głowę, a i z resztą ciała trudno poradzić. Na dworze przeszło 30 stopni mrozu, on zaś oba ramiona ma zupełnie nagie.

— Czy to robota katorżna doprowadziła go do takiego stanu? Zapewne w fabrykach srebra nalykał się pary rtęciowej i teraz chwieje mu się głowa. Czy może za czyjąś radą przyjął coś wewnątrz, ażeby złagodzić chorobę lub ciężar katorgi i tym sposobem wciągnąć się do szeregów niezdatnych?

— Niel — odpowiadają mi; — Iwan już w takim stanie przybył tutaj.

— Gdzieś był? — zapytał go łagodnie urzędnik.

— Śnieg odgrzebałem. Nakarmiono za to! — odrzekł. A głowa mocniej mu się zakołysała. Ramię podniosło się do uszów.

— Ktoś ty? — pytał dalej urzędnik.

— Ja — boży człowiek! — odrzekł starzec.

— Jak się nazywasz?

— Kaza nazywać się osiedleńcem.

— Skąd jesteś rodem?

— Z Wiatki.

— Za coś tu wysłany?

— Sam nawet nie wiem. Czas mi już wracać do domu, do stron rodzinnych... Tam zostali ojciec i matka.

— Wszakże nie możesz już wracać?...

— Można tam! — i wskazał ręką więzienie.

— Trzeba tylko dostać taki papier. Bez papieru nie pozwolą wrócić. Daj mi taki papier, żebym mógł wrócić do Rosyi. Już tak dawno proszę!

— Za każdym razem zwraca się on do mnie z tą prośbą; — mówił mi potem urzędnik.

Oto, com później słyszał o Iwanie:

List kategoryczny, który dla każdego aresztanta ma takie znaczenie, jak pasport lub atestat, wyjaśnia, że skazano go na wygnanie za zaspakajanie popędów płciowych na zwierzętach. Sam zaś twierdzi, że dostał się tu za „rozkolnictwo“. Świadomi rzeczy dodawali, że rozkolnictwo tylko podniosło stopień kary. W rzeczywistości jednak, jako uposledzony na umyśle, nie był zdatnym nie tylko do żadnej dogmatycznej pracy umysłowej, ale nawet do fizycznej w domu. Został więc pastuchem. Śród stada, bydlą wiedziony najgrubszymi instynktami zwierzęcymi, wpadł w ten grzech, który go zagwał do najdalszych okolic osiedlenia. Iwan jest pośmiewiskiem w więzieniu; pośmiewiskiem był także przez całą drogę etapową. Wszyscy go jednak lubią, wszyscy uczą i dobrego, i złego. Żyje on z jałmużny, o ubranie nie troszczy się; ubiorą go inni; uważa to za rzecz naturalną i nie dziękuje. W Karze jest zupełnie niezdatny i zbyteczny.

— Daj mi taki papier, żebym mógł wrócić do Rosyi! — prosił mię, przyszedłszy do mieszkania.

— Dałbym ci taki papier, ale nie mogę.

— A mnie powiedziano w więzieniu, że możesz.

— Dałbym ci, Iwanku, taki papier, któryby ci zapewnił miejsce w przytułku szpitalnym, ale także nie mogę.

— Do przytułku, to byłoby dobrze.

— Oj, dobrze! Wyleczyłbys się tam. Wyszedłbys zdrowy i pokochał dziewczynę, ożeniłbys się.

— Nie! Dziewcząt nie cierpię, w nich djabli siedzą.

Rozgniewał się i drzeć zaczął. Zawsze łagodny, nie lubił kilku wyrazów, które mogły go do pasyi doprowadzić. Zamiast do przytułku, dostał się do katorgi i mus obcować z rzeczywistymi katorżnikami. Nie przylgnie do niego błoto występku, bo jest grunt niepodatny, ale nie wyleczy się tu z choroby, którą jako tako złagodzić mogłaby tylko medycyna ¹⁾.

— A oto drugi obraz skazańca — katorżnika! — mówił mi urzędnik karyjski, pokazując starca wysokiego, siwego, starannie ogolonego, w czystym ubraniu. Starzec przykuł moją uwagę niezwykle regularnymi rysami. W oczach było jeszcze dużo życia, na twarzy malowała się łagodność. Ani w spojrzeniu, ani w uśmiechu nie znać wcale zbrodniarza. Patrzył śmiało, uczciwie i otwarcie, szedł krokiem pewnym. Zbudowany doskonale, nie posiadał tej sutułowatości, charakterzującej każdego skazańca, bitego knutem, ani tego zahukania, które zmusza patrzeć gdzieś w stronę. Nie miał wreszcie tej lekliwości, która każe zdejmować czapkę przed każdym (zwykle robią to ludzie, którzy długi czas spędzili w więzieniu katorżnym).

Cała postać jego usposobiła mię przyjaźnie, tak że nawet zdawało się nieprawdopodobnem wyjaśnienie urzędnika:

— Trzy lata w Akatui na łańcuchu siedział.

Sam zaś starzec potem opowiadał:

— W Kałudze zrabowaliśmy pocztę, zabiliśmy pocztyljona i furmana.

¹⁾ Piotr I kazał takich ludzi, niespełna rozumu, posyłać do klasztorów. Katarzyna I potwierdziła ten ukaz. Anna Iwanówna przestępców tej kategorii kazała także posyłać do klasztorów. W r. 1860, oprócz powyższego (Iwana), było na katordze jeszcze dwu tego rodzaju. Jeden, Niemiec obłąkany z Rosyi, wysłany za podpalenie archiwum. Powiadają, że wpadł w obłąd jeszcze w Ryzdzie. Drugi, waryat, także uznany za niezdatnego do pracy, wałęsał się w koszuli, poszytej ze szmatek, poruszających się od wiatru. Wysłany był z gub. Kostromskiej, nie wiadomo za co.

Opowiadał to z dziwnie zimną krwią.

— A za cóż do łańcucha przykuto? — Pytał za mnie urzędnik.

— Sami wiecie, wielmożny panie; — odrzekł starzec, i miękki, łagodny uśmiech zaigrał mu na twarzy, wyraz zaś jej pozostał zupełnie spokojnym w dalszym toku zapytań i odpowiedzi.

— Do łańcucha byłem przykuty dla tego, zem zbiegł z więzienia, po drodze zrabowałem jurkę burjacką i jednego człowieka zamordowałem.

Spokojny ton tego zeznania jak gdyby świadczył, że starzec teraz po odbytej karze nie boi się już o siebie.

— Wziąłem go za woziwodę i słów pochwały nie mam dla niego za pracowitość i gorliwość; pije czasem, ale rzadko; — mówił urzędnik. Naczelnik nasz miał mamkę, wysłaną tu za zabójstwo dziecka własnego. Pełniła swoje obowiązki tak gorliwie, że niejedna matka nie potrafiłaby być tak troskliwą o swoją dziecinę. Tłumaczyliśmy to skruczą, chęcią zmazania strasznego grzechu za pomocą miłości sztucznie rozgrzanej. Ale myliliśmy się. Teraz jest ona niańką przy wielu dzieciach — i oto już czwarty rok taka sama troskliwa, uczciwa i bezsenna robotnica.

Trzeci, Mokiejew, także przypadkowo nam się nawinął na oczy. Należał do tych bojaźliwych i niesmiałych, którzy chowają swój wzrok, są zamknięci i skryci. Skazaniec ten np. pisał wiersze i nawet przez pewien czas był poetą pułkowym, napisał, zamówioną przez władzę, pieśń na cześć wysłania pierwszej ekspedycji w celu zawojowania Amuru. Stworzył cały kajet wierszy, poświęconych opisiowi życia skazańców w więzieniu i po za więzieniem. Prosiłem go, ażeby się podzielił ze mną płodami swej myśli, sądząc, że znajdę w nim jednego z tych autorów, którzy tworzą dla więźniów nowe piosnki koszarowe, zamiast dawnych ludowych; ale on mi powiedział, że wierszy nie pamięta, a kajet gdzieś krąży wśród towarzyszków. Na usilne prośby przyrzekł mi nareszcie przynieść kajet; ale nie dotrzymał słowa.

Mokiejew dostał się do Nerczyńska za rabunek i zabójstwo kupca na stepach. Według wyjaśnień w „listach rekomendacyjnych“, był on tylko świadkiem zabójstwa. Znany pod nazwą syna lub brata kupca, prowadził życie odpowiednie do tego stanowiska, t. j. nie nie robił, tylko hulał; nie nie widział, prócz restauracyi i handelków. W ten sposób pędził życie wesołe bardzo długo, aż się wyzerpały zasoby ojcowskie. Brak pieniędzy zaprowadził go z restauracyi do szynku. Tam znalazł wesołych towarzyszków, którzy stworzyli bandę w celu poprawienia warunków i prowadzenia życia próżniaczego na cudzy rachunek. Środkiem tym był rabunek na wielkiej drodze. Chcieli poprzestać tylko na rabunku, napotkawszy jednak opór, zamordowali swą ofiarę, ale bez udziału Mokiejewa, chociaż w jego obecności. Jako współnik i przyjaciel morderców który nie zawiadomił władzy o zbrodni, nie był od towarzyszków oddzielony i razem z nimi dostał się na katorgę. Tutaj, gdy się uwolnił z więzienia, bogata rodzina przysyłała mu pieniądze. Dzięki względności władzy, Mokiejew zajął się handlem. Prowadził proceder pomysłnie, i zaczął zbierać pieniądze. Ale, chcąc zagłuszyć wspomnienia i świadomość swego położenia, uciekł się do kieliszka. Pijaństwo pochłonęło wszystkie jego środki. Pieniądze przysyłane przez rodzinę, tonęły w szynku. Wreszcie Mokiejew pokochał kozaczkę wolną, ożenił się z nią i handel na nowo rozpoczął. Po pewnym jednak czasie znowu zaczął pić. Nic nie pomogły ani zabiegi żony, ani innych. Rozpił się ostatecznie. Narzeka na swoją niemoc, kocha żonę, przez sąsiadów byłby lubiany, ale się opuścił zupełnie, na wszystko machnął ręką.

— Nic już poradzić nie można; — mówiła żona. — Człowiek zgubiony! Pieśni pisze, a jak przeczyta którą, to same łzy do oczu się cisną...

Skończywszy te sylwetki oddzielnych postaci, chodźmy teraz się przyjrzeć gromadzie w więzieniu. Oto turma kopalni Niższo-Karyjskiej; nie taka wszakże, jak wyobrażaliśmy. Nie podobna ona do więzień etapowych. Niema

tych zaostrzonych u góry berwion, szczelnie przylegających do siebie, czarnych, zgniłych; niema tej ogromnej bramy na środku, ciężkiej, skrzypiącej, otwierającej się raz tylko na tydzień, ażeby wchłonąć, a następnie wyrzucić partycę. Niema furtki małej przy tej bramie i walących się budek po obu stronach. Turma karyjska zupełnie wygląda, jak koszary. Zewnątrz bardzo stara i nawet nie znać, ażeby była kiedy poprawiana. Kraty zardzewiałe, ganek zgniły, dach siwy.

— Kaprala! — zawołał szyldwach, stojący przy drzwiach.

— Starszego! — zawołał wezwany.

Przybiegł starszy z wygoloną do połowy głową, gotów do usług, ruchliwy nerwowo, jak ptak przed odlotem.

Przed nami otworzyły się drzwi i jak z piwnicy, szczelnie przez kilka lat zamkniętej z wodą zastalą, uderzyło nas zatechłe powietrze, ciepłe, lecz niemożliwe do oddychania. Z trudnością poruszaliśmy płucami. Ze wszystkich nar szybko zsunęły się nogi, okute w kajdany, wyciągnęły się przed nami postacie sztywno, jak żołnierze. Wielu było w łatanych kozuchach, zarzuconych na ramiona pośpiesznie, większość stała tylko w koszulach, które kiedyś musiały być białe, lecz teraz niemożliwie brudne. Przez całą długość izby koszarowej ciągnęły się dwa szeregi nar drewnianych, a nadto stały one dokoła przy ścianie. Na nich leżały różne łachmany, sienniki cienkie, kozuszki wytarte — cały, nieposiadający żadnej wartości, majątek ludzi, pozbawionych praw i wszelkiego majątku. Straszna, krzyżująca nędza i nieszczęście. Zamknięci w zepsutem powietrzu w gnijącym budynku, oddychają zabójczymi miazmatami, stąpają boso po brudnej, mokrej i zimnej podłodze. Zanieczyszczenie tej podłogi przechodzi wszelkie pojęcie: na dwa palce narosło lepkiego, cuchnącego błota, po którym ślizgały się nasze nogi, a nioraz chodziła władza, zasobna w środki i prawo działania i nie zauważyła a jeżeli zauważyła, to z pewnością zapomniała. Powietrze zabójcze, unoszące się z podłogi, szło aż do sufitu, również

okropnego. Nie mogło więzienia oczyścić otwieranie lufcików, nie mogły go nagrzać i wchłonąć strasznej woni ogromne piece. Na nic tu się nie zdadzą wszelkie naprawy; trzeba wszystko zburzyć i budować na nowo, nie według dawnej modły i nie dawnemi, zabrudzonymi rękami ¹⁾). Długo jeszcze, niestety, katorżnicy będą musieli przebywać w tych wilgotnych i cuchnących norach, zanim dojdzie do nich promień światła przez instancje skarbowe, przez mnóstwo papierów.

— Oby ten czas prędzej upłynął! — mówi katorżnik, w oczekiwaniu końca zamknięcia więziennego. Starannie kłoci, cierpliwie stroi skrzypce lub bałajkę, dla skrócenia czasu.

Zdjął z gwoździa skrzypce, dał nam do obejrzenia pociągnął smyczkiem po strunach — niezłe!

— Śpiew do tych skrzypiec nie da się dopasować, ale zatańczyć można!

— Za co dostałeś się tutaj? — zapytałem pierwszego lepszego aresztanta.

— Konie kradłem; dużo cudzych koni kradłem; — odparł Tatar.

— A tys za co?

— Materje zagraniczne nasi żydkowie wozili... — zaczął mówić żyd z kresów zachodnich, ale przerwał mu inny

— A kto się trudnił przemytnictwem i do straży celnej strzelał; dwu żołnierzy trupem położył na miejscu?

¹⁾ Latem r. 1857 w więzieniach karyjskich panował śmiertelny szkorbut. Ludzie, zapadali na tę chorobę skutkiem uciążliwej pracy wymagającej wydobywania historycznych *stu pudrów złota*, skupieni w ciasnych i wilgotnych norach. W rezultacie zmarło przeszło tysiąc ludzi. O fakcie tym mówi złożone w archiwum świadectwo lekarza, który pisał, że „przyczyną złego jest przedewszystkiem starość więzienia, szczególnie zaś wynikająca stąd wilgoć“. Należałoby, zdaniem jego, osuszyć budynki, zostawiając na dwa miesiące letnie okna zupełnie otwarte, a nawet wyjęte z ramami do 20 sierpnia. Grunt błotnisty trzeba osuszyć za pomocą kanałów. Upłynęło od tego czasu dziesięć lat i nic się nie zmieniło. Pozostały te same brudy, wilgoć, brak powietrza, ten sam szkorbut, panujący od wczesnej wiosny do późnej jesieni. Prawie nikt nie może się oprzeć tej chorobie.

Żyd nie odpowiedział.

— A ty?

— Ja, jasnie oświecony panie, zupełnie za nic. Pytałem władzy, nie powiedziała. Skazano i przyprowadzono tutaj. Jak Boga kocham, niech mi oczy powyłazą—za nic.

Był to Cygan, który zapewne dostał się tu za coś cięższego, niż koniokradztwo; może za rozbój.

— Czy nie zechce pan przejść się przez gubernie? Z każdej możemy dać przedstawiciela; proszę wybierać.

Przysłała na myśl pierwsza Kijowska i znalazło się trzech. Przeszedłem się wzdłuż Wołgi od początku do ujścia. Ze wszystkich dziewięciu gubernii znalazłem zbrodniarzy, po jednym z każdej. Z Symbirskiej odezwało się znowu trzech.

— Z gubernii o gęstem zaludnieniu—wyjaśniono mi—zawsze katoga nasza zamyka najmniej po dwu i przy tem najwięcej zwykle dostarczają gubernie południowo-zachodnie, z nadwołżańskich zaś — Symbirska; im bardziej zbliżona gubernia do Syberyi, tem więcej daje przestępców. Z Finlandyi obcoplemieńcy częściej dostają się na osiedlenie, niż do katorgi. Jeżeli zaś przychodzą tutaj, to już z osiedlenia. Zauwazyliśmy, iż gub. Tobolska najwięcej daje zbrodniarzy, i to najgorszych. Można na pocieszenie zaznaczyć, iż gub. Tobolska, leśna, jak Archangielska, Wołogodzka i Ołonecka, rzadko dostarczają katordze zbrodniarzy; w ciągu lat 12-tu nie przybył tu ani jeden. Ludzi z tych miejscowości nie znam i rodzaju ich chorób określić nie mogę. Z obcoplemieńców nie widzimy nigdy Samojedów, Ostjaków i Tungusów. W Borszczowie nawet niema więzienia. Tatar idzie za różne przestępstwa, góral kaukazki za rabunek; Kirgizów tylko powyższe przestępstwo prowadzi na katogę. Żydzi przeważnie są przemytnikami, Cyganie trudnią się koniokradztwem. Reszta obcoplemieńców nie odznacza się osobnymi kategoriami przestępstwa.

— Kobiety idą na katogę za zabójstwo dzieci, ale

częściej za podpalanie, które także jest przestępstwem dzieci. Starcy — to krwawi mściciele i skaziciele moralni. Są także między nimi heretycy i odszczepieńcy.

— Co do wieku, cyfry wykazują następujący stosunek: Wysłañcy do 40-go roku życia stanowią 0,65 liczby ogólnej, od 40 do 50 lat 0,2, od 50 do 60-ciu 0,8, po za granicą 60 lat 0,025.

— W klasyfikacyi według stanów widzimy, że ciężkie zbrodnie, prowadzące wprost do katorgi, najczęściej popelniają mieszczanie i żołnierze—stany sztucznie stworzone.

Wszystkich katorżników w kopalniach karyjskich liczono około 1,200, w całym zaś okręgu Nerczyńskim niespełna cztery tysiące ¹⁾). Karyjskich trzymano w czterech więzieniach. Prawie w równej liczbie umieszczono w dwóch więzieniach: przy Środkowej i Nizszej kopalni, mniej przy Łunzankińskiej, najmniej w więzieniu przy kopalni Górnej. To ostatnie więzienie było dawniej w samej wsi, ale skutkiem odsunięcia się robót kopalnianych (r. 1850) przeniesiono je na inne miejsce, w górę złotonosnej rzeki Kary, o wiorstę od środka produkcyi u podnóża góry. Więzienie to składa się z ośmiu izb, z których każda może zmieścić najwyżej 50 ludzi. Więzienie średnie, zbudowane r. 1851, znajduje się w środku wsi Średnio-Karyjskiej i podobne jest do pierwszego; Łunzankińskie skutkiem odsunięcia robót przeniesiono r. 1856 w górę rzeczki, od której pochodzi nazwa kopalni, o tr. y wiorsty, w miejscowości, zwanej Kowrzyka.

Taki jest urzędowy topograficzny opis więzień, który ze strony naszej wymaga uzupełnienia.

Każde więzienie ma zwierzchnika bezpośredniego, inspektora, korzystającego z praw służby państwowej. Każdy z nich ma pomocnika, znanego pod nazwą nadzorcy więziennego. Nadto każdy artel więzienny wybiera swego „starostę“ (starszego) — na 40-tu aresztantów jeden.

¹⁾ W chwili, gdy miejsca ciężkich robót zwiedzał p. Makstow, (Przyp. łom.).

Otrzymuje on numer oddzielny; jest jednocześnie gospodarzem artelowym,—musi się troszczyć o żywność, — i pomocnikiem nadzorcy (sub—inspektorem); jest nareszcie szpiegiem izbowym i podglądaczem.

W każdym więzieniu, stosownie do liczby aresztantów, jest takich starszych trzech, czterech lub pięciu. Nad nimi jest jeszcze jeden zwierzchnik, który w języku więziennym nazywa się „wspólnym“.

Taka jest hierarchia służbowa i biurokracja więzienna. A oto cały zakres ich obowiązków, naszkicowany przez jednego z inspektorów więzień karyjskich. „Inspektor zarządza działem gospodarczym i kancelaryjnym. Nadzorca musi się troszczyć o odzież i żywność aresztantów i prócz tego prowadzić rachunki. Rano, w godzinach przeznaczonych na robotę, idzie wydać rozporządzenie w więzieniu, wraz z szyldwachem ustawia wszystkich aresztantów w szeregu, wywołuje podług tabeli, ażeby sprawdzić, czy wszyscy są na miejscu (tak samo jak na etapach). Skończywszy ten przegląd, oddaje partyę pod konwój. Po wyprawieniu do roboty wydaje starszym prowizję na cały dzień, którą przyjmuje przedtem od komisarza kopalni ¹⁾. Skończywszy to wszystko, idzie do kancelaryi inspektora, rozdaje aresztantom robotę według dziennika i w odwachu wojennym otrzymuje pokwitowanie co do przyjęcia aresztantów na robotę. Potem już pozostaje tabela wiktury, w której jest wykaz ludzi, wyprawionych na roboty i żywność, użyta dla nich. Wykaz ten otrzymuje inspektor. Wieczorem, gdy aresztanci wracają z roboty, nadzorca sprawdza, czy wszyscy są w komplecie, i nareszcie sam się podpisuje w dzienniku powyżej wzmiankowanym“.

¹⁾ Dla każdego aresztanta wyznacza się po funcie mięsa latem i po $\frac{3}{4}$ funta w innych porach roku; $\frac{1}{4}$ f. krup i 10 złotych soli. Prawda, iż jedzą oni i barszcz, i kartofle, i cebulę, ale to wszystko muszą kupować za własne pieniądze, zapracowane w dniu świąteczne. Na to idą także pieniądze, otrzymane przez artel za przewóz ciężarów artelowym byłdem rogatem, oraz te produkty, które się zbierają z zapomóg, udzielonych osobom pojedynczym z artelowej sumy ekonomicznej (r. 1860

Ten sam los, ten sam stopień kary, wspólność warunków życia, wszystko to bardzo naturalnie dopomaga do zbliżenia, które się staje nie tylko możliwem, ale i koniecznem. Wobec jednakowego stopnia rozwoju moralnego i nastroju duchowego zbliżenie to następuje prędko, staje się trwałem i rzeczywistem w miarę wzrostu przesładowania, a więc w stosunku prostym do nierozwagi i krótkowzroczności przesładowców. Korzystając z chwili przyjaznej, stowarzyszenie więzienne gromadzi wewnątrz siebie siły w tak wielkiej ilości, że pod ich naciskiem muszą ustąpić wszelkie przeciwdziałania zewnętrzne, chociażby były prowadzone systematycznie. Tyle oczów ślodzi zbrodniarzy, tyle praw, przepisów, postanowień spadło na nich, a pomimo to łączność aresztantów nie osłabła i trwa samodzielnie, pomimo że więzienie nie jest wieczne, że podobne ono do zajazdu, w którym ludzie bardzo często się zmieniają. Zdaje się, że tym coraz nowym przybyszom ściany dyktują przepisy dla gminy więziennej.

Przedstawicielem prawa dla każdego artelu jest wybrany z gromady aresztantów *starosta* (starszy). On przede wszystkim dba o żywność dla skazańców, jest ekonomem, czuwa nad pieniędzmi wspólnymi—jest kasyerem. Odpowiedzialnym jest za czyny całego artelu przed władzą, która traktuje go jak osobę urzędową, a nawet zatwierdza na tem stanowisku. Za wszystko odpowiada on swoją skórą, ale nie pozbawieniem godności piastowanej. Władza nie mo-

resztki jej wynosiły 2,781 r. 26 $\frac{1}{2}$ k.). Cały dochód więzienia stanowią zarobki aresztantów w dnie świąteczne. Każdy z nich otrzymuje miesięcznie: robotnicy po 75 kop. i majstrowie, stosownie do kategorii, po rs. 1, rs. 1 kop. 50 i 2 rs. Skarb daje tylko na wikt po 5 kop. dziennie i 4 funty chleba dla każdego. Latem podczas robót po 5 funtów chleba i 1 funcie mięsa. Chorym wypłaca się połowa, bez strawnego i prowiantu, resztę się zatrzymuje na zapłacenie wiktów szpitalnego. Po wyjściu z więzienia każdy otrzymuje na ręce swoją sumę z pieniędzy artelowych. Ci, co się odznaczyli dobrem prowadzeniem, otrzymują odzież i różne zapasy od inspektora. Utrzymanie każdego aresztanta z pieniędzy artelowych wynosi rocznie rs. 13 kop. 22.

że usunąć go z zajmowanego stanowiska bez zgody artelu, jak również wybrany „starosta“, za ten honor, zrobiony mu przez towarzyszków, nie może się zrzec narzuconego obowiązku. Warunki poszanowania wzajemnego, opartego z jednej strony na zaufaniu, z drugiej — na wdzięczności, mają jednakową siłę, zarówno w społeczeństwie przestępców, jak i wszelkiem innym.

Tym sposobem „starosta“ jest wzięty we dwa ognie. I jedna i druga strona wkłada na niego obowiązki, żąda ich wypełnienia, pomimo, że obowiązki te wręcz sobie są przeciwne.

Gmina więzienna trzyma swego starostę w pewnych granicach: pozwala mu przyjmować prowianty, zbierać jałmużnę, opiekować się pieniędzmi artelu i więcej nic. Po za tem starszy nie ma najmniejszego wpływu na moralną stronę więźniów. Boją się oni skarżyć agenta władzy i dla tego wymagają od starosty wielkiej ostrożności i roztropności. Za najmniejszą omyłkę artel strąca go ze stanowiska.

—Byłem świadkiem — opowiadał mi jeden z więźniów, — jak usuniętych starszych przepędzano przez szeregi, wymierzające chłostę (kara nie gorsza od urzędowej tego rodzaju, na której ta się wzorowała). Starosta usunięty następnie podlega ogólnej pogardzie, najcięższej karze moralnej w więzieniu. Na starszego zwykle jest powoływany taki człowiek, który, wolnym będąc, odznaczał się sprytem i doświadczeniem.

Donosiciele i oskarżyciele to najwięksi przestępcy w łonie przestępców. Choć tacy zdarzają się bardzo rzadko, nie mniej jednak poddawani są surowej karze. Jeżeli ich nie wyleczy chłosta szeregów i pogarda, to nareszcie muszą być otruci jadem roślinnym (pospolicie bielunem). Do tego środka ostatecznego aresztanci uciekają się bardzo rzadko i tylko w takim razie, gdy władza nie zechce winnego odosobnić od ogółu więźniów.

Jedność w więzieniu jest ściśle przestrzegana, jak np. we wszystkich instytucjach zamkniętych, gdzie również

często drobne przekroczenie jest podnoszone do stopnia przestępstwa, gdzie także nadmierna surowość wywołuje nieuniknioną skrytość, jako jedyny podręczny środek protestu. Przestępcy pod względem przesładowania idą dalej, niż zamknięte zjednoczenia na wolności; są stanowczy i bardziej bezwzględni.

Winnego, lecz nie zdemaskowanego towarzysza aresztanci nigdy i za nic nie wydadzą. Ujawniony, lecz bez dowodu, nigdy się nie przyznaje do winy i nie było wypadku, ażeby złapany na pewnem przestępstwie wydał swych współników. Cały ciężar kary przyjmuje na siebie. Również, jeżeli aresztant dał się złapać z dowodem i, jako zupełnie winny, musiał się poddać karze władzy, aresztanci są zadowoleni i nie przeszkadzają wykonaniu wyroku, ślepo wierząc, że kara nauczy ich towarzysza być ostrożniejszym.

Dążąc do możliwej zgody i jedności, wyrabiając jednomyślność, jako główną zasadę wszelkich towarzystw, artel nie znosi upartych, zanadto gniewnych, piniaczów i wogóle ludzi niespokojnych. Bywały wypadki, że wszyscy aresztanci skarżyli się przed władzą na tego rodzaju ludzi i prosili o usunięcie ich ze swego grona. Nie chcąc się uciekać do środków, stosowanych względem donosicieli, byli zadowoleni, jeżeli towarzysza niespokojnego zamknięto osobno. Na mocy doświadczenia są oni przekonani, że człowiek gniewny i niespokojny musi się poprawić i, jak powiadają — nie mylą się. Odosobnieni po upływie pewnego czasu często wracali do rodziny więziennej już spokojni, łagodni i cisi. Odosobnienia aresztanci nie cierpią i boją się bardziej, niż jakichkolwiek innych środków kary. Doświadczywszy raz tego, starają się już następnie unikać. Dla każdego aresztanta artel jest drogim, lepsze życie w tej gminie. Dlatego to oni wszyscy tak starannie baczą na spokój i ład wewnętrzny, usuwają niespokojnych, złych oraz szpiegów, winnych surowo karzą sądem własnym, a sąd więzienny, jak rzekliśmy, jest najsurowszy i najnieubłagańszy.

Jak dalece jest mocna spójnia, wymownie świadczy fakt następujący. Rzecz się działa w jednej z fabryk Syberji wschodniej.

Inspektor więzienny zły był na aresztanta za jego niedbalstwo i grubijaństwo, za brak uszanowania dla władzy. Aresztant był zręczny, sprytny. Inspektor, pomimo wszelkich starań, nie mógł go złapać, chociaż bardzo pragnął usunąć nieprzyjaciela z fabryki i to tak, ażeby on dobrze popamiętał.

Inspektor wzywa innego aresztanta i zaczyna go wybadywać, kto jest ten przesładowany i nienawistny mu drzestępca; jeżeli zmienił on imię i nosi cudze, to pójdzie prosto do kopalni Karyjskich, t. j. do właściwej katorgi.

— Ja bym się dopytał, wielmożny panie, ale mi życie jeszcze miłe. Sam pan wio, jakie są u nas zwyczaje. Ciężka to sprawa!

— Oto masz trzy ruble.

— Miałbym tak tanio sprzedąć towarzysza swego? Zresztą z trzema rublami co poradzę? Ani obuwia, ani odzioży nie kupię.

Targ w targ — stanęło na dziesięciu rublach. Wziął aresztant pieniądze, poszedł do więzienia i wprost towarzyszowi rzecze:—Wiesz, bratku, sprzedałem cię inspektorowi; powiedziałem, że ty cudze imię nosisz. Otrzymałem za to dziesięć rubli. Podzielimy się na połowę. Ty zaś wybaw mię z kłopotu: czy niema tu we wsi podobnego do ciebie? Nie ściągnij na mnie hańby przed inspektorem!

— Przyszedł jeden z partyi, podobny do mnie, mieszka w fabryce. Nazywa się Kłygin.

— Kłygin! — zaraportował inspektorowi aresztant namówiony. — Sprawdzić można w listach katogorycznych cechy podobne. (Małoż to w paszportach jest cech, które można zastosować do każdego z osobna i do wszystkich razem!).

Ma nareszcie inspektor wroga — ucieszył się niezmiernie. Ten zaś nie chce iść na daleką katorgę; o śledztwo prosi. „Małoż to rzeczy na świecie się dzieje? Ja sam

swego sobowtora widziałem w partyi. On i teraz jest w fabryce tutaj“. Czynią „naoczne stawki“. Inspektor działa śmiało, licząc na donosiciela płatnego. Sprawa się nie udała. Inspektor zawiedziony napadł na swego adwokata.

— Pocóżes kłamał?

— Zazartować chciało się z wielmożnego pana; co mam taić?!

Długo i głośno śmieli się skazańcy z tego fortelu. Wielu o nim dotychczas jeszcze pamięta.

Jak daleco aresztanci strzegą tajemnic swego artelu i jak dbają o jego interesy, — świadczy o tem także mnóstwo faktów. Oto jeden z nich, charakterystyczniejszy:

— Był przy naszym więzieniu — opowiadał mi jeden z arosztantów — powien podoficer, gniewny, surowy i nie dający się przekupić. Tacy ludzie są nieznośni. Aresztanci postanowili go, bądź co bądź, usunąć. Ale w jaki sposób? Trzeba było znaleźć odpowiedniego człowieka. Szukano go niedaleko; był wśród nas włóczęga Sienka, człowiek sprytny, który nie z jednego pieca chleb jadał. Nie zastanawiał się nad niczem, życie traktował lekko. W Rosyi chodził po jarmarkach z Piotrusiem; — sztuki pokazywał. Ale szczęście mu nie posłużyło. W Moskwie przez długi czas był złodziejem; zręcznie wyciągał chustki z kieszeni, zegarki, okradł cerkiew i dostał się na Syberyę. Otóż do niego zwrócili się aresztanci.

— Pomóż nam; usuń podoficera!

— Dobrze! — mówi; — bić mię będą, a więc nicch każdy artel da mi po dwie kopiejki za różgę.

— Zgoda! — mówią, i czekają co będzie. Chodzi Sienka po koszarach, chodzi i do każdego się czepia udaje pijanego. Spozrzegł to podoficer i zawiadomił inspektora. Ten zaś przyszedł i pyta:

— Skąd dostałeś wódki, kto ci przyniósł?

— On! — mówi Sienka, wskazując podoficera.

— Łzesz! — woła inspektor; — nie wierzę, nie jest to taki człowiek.

Sienka zaklina się.

— Różgi! — krzyknął inspektor.

Sienka mrugnął na towarzyszów: „Liczcie, bracia, ja zaś będę sprawdzał, żeby potem nieporozumienia nie było“.

Zaczęto liczyć. Pięćset uderzeń naliczono. Inspektor znowu spytał: „cóż łzesz, psi synu?!“ Sienka przysięga, więc znowu zaczynają go bić. Jeszcze dodano pięćdziesiąt uderzeń. Wypadło po dwa ruble srebrem od artelu. Zbyt wielki uszczerbek w kasie artelowej. Aresztanci zaczęli wołać:

— Dosyć, Sienka! Proś, szelmo, przebaczenia.

Nie prosi.

— Kto dostarczył wódki?

— Oto ten, — podoficer!

Znowu położono go. Aresztanci zaczęli głośno szemrać.

— Mów, Sienka, idź już do dyabła! (dużo pieniędzy aresztanckich wyciągniesz, sam nie wart jesteś tyle).

Leży sobie Sienka gotów na przyjęcie drugiej setki. Aresztanci jeszcze głośniejsze zaczęli wołać: „Tobie, djable, nie nie szkodzi, skórę masz jak na bębnie, przyzwyczajoną, ale w pieniądzach aresztanckich uszczerbek wielki“.

Sienka uparł się: „podoficer przyniósł“! Otrzymał dwieście różeg, wstał i rzecze:

— Mówiłem; nie uwierzył mi wielmożny pan! Proszę zrewidować podoficera, może on flaszki jeszcze nie zdążył schować.

Inspektor posłuchał rady: zrewidował podoficera i znalazł flaszkę w jego tornistrze, którą zdążył tam zręcznie wsunąć Sienka.

Artel osiągnął cel pożądaný: podoficera usunięto, Sienka otrzymał cztery ruble. Wszyscy się śmieli długo i jeszcze bardziej polubili Sienkę.

Wogóle nie przobierając w środkach, nie cofając się przed żadnymi przeszkodami, artel więzienny ściśle dochowuje tajemnicy, starannie kryje się za jej zasłoną, której jeżeli odsłonimy tylko rąbek, zobaczymy taki obraz:

W każdym więzieniu (rosyjskiem i syberyjskiem) istnieje tak zwany *majdan*.

Ściśle określając, jest to rozpostarta na narach szmata, kozuszek, albo poprostu miejsce tam oczyszczone, na którym aresztanci grają w karty, kości, „jułkę“ i gdzie się skupiają wszyscy gracze.

Gra jest jedną z największych i najuporczywszych namiętności. Ciągła obawa, ażeby nie wykryto (pomimo stróżów i drzwi), podnieca gorączkę gry i tem samom nadaje tej rozrywce dużo uroku. Gry hazardowne uprawiane są we wszystkich więzieniach na całej kuli ziemskiej. Oto co mówi Fregier w swoim dziele p. t. *Les classes dangereuses* o więzieniach francuskich: „Aresztanci, którzy się przyzwyczaili tracić w jednej chwili owoce pracy tygodniowej, doprowadzają swoją namiętność w grze do tego stopnia, że przegrywają chleb za miesiąc, dwa lub trzy miesiące z góry. Ale co najdziwniejsza, między aresztantami bywają tak niecierpliwi i łapczywi, że podczas rozdawania chleba wrywają go z rąk, a jednak, przegrawszy strawę w karty, godzą się z losem. Lekarze domu centralnego „Mont—Saint — Michel“ obserwowali pewnego zbrodniarza, który grał tak namiętnie, że, leżąc w szpitalu, przegrywał porcyę bulionu i wina, pomimo, że to były niezbędne dla podtrzymania jego sił nikańczych. Nieszczęśliwy umarł z wyczerpania“.

Prawo utrzymania majdanu nabywa się przez licytacyę. Majdaniarz, jeżeli nie cieszy się poważaniem i sympatya aresztantów, to w każdym razie pozostaje pod opieką artelu. Znajdzie on w nim zawsze takich gołców którzy za kilka kopiejek stają na straży i alarmują w razie niebezpieczeństwa (więźniowie grają zwykle w nocy). W tym celu istnieją osobne umówione wyrażenia i słowa:

— *Strioma!* — krzeczy aresztant, stojący na straży w więzieniach nerczyńskich.

— *Woda idzie!* — w tobolskiem i innych więzieniach.

Na takie hasło majdan znika, świeca gaśnie, karty schowane tak, że najdoświadczeńszy nadzorca nie znajdzie

ich. Gdy zaś on (*strioma, woda*) wyjdzie, znowu się rozpoczyna gra, krąży z rąk do rąk *kuryncza* (pieniądze miedziane) i *sary* (banknoty i srebro we wszelkich postaciach, nawet talary zagraniczne, pięciofrankówki i ruble stare).

„Woły pędzić“ — w języku więziennym znaczy grać w kości. „Światem obracać“, „głową kręcić“ — grać w Julkę ¹⁾ „Chamło pić“ — woła aresztant do towarzysza, gdy, dostawszy wódki, chce nią poczęstować. *Dymu* pragnie kupić aresztant, gdy chce palić. Pali zaś w postaci papierosów, a właściwie tutek kręconych z bardzo grubego papieru; bo im grubszy papier, tem miększa machorka. Papier kradziony, tytoń kupiony od majdaniarza. Czasem i papier jest przedmiotem handlu, ale częściej pochodzi on z tych kstążek, które rozdają do czytania członkowie komitetów opiekuńczych więziennych. Inne rodzaje papieru wzbronione w więzieniach. Papierosy są dogodne jeszcze z tego względu, że się dają łatwo chować, zresztą, gdy spostrzeże dozorca, -- niewielka strata. Z fajkami rzecz inna. Są one w użyciu tam tylko, gdzie dozór łagodniejszy.

Aresztant robi sam lub kupuje od innych *zmijkę* w celu przepiłowania krat więziennych w oknie lub kłódki przy kajdanach, gdy uciekać zamierza. Kajdany nazywają się *nożne bruszlety* (bransoleta), knut *łyko* albo *łyko Adamowe*. *Pies fabryczny szczeka!* — mówi aresztant, gdy dzwonią na robotę. Zbieg — *garbacz*. Ucieka aresztant z więzienia „do generała Kukuszkina“, albo po prostu — „kukułki słuchać“. Ale często idzie tylko „mleka kwaśnego zjeść“, t. j. dotrze do Wierchnieudińska i, tam złapany, wraca do Kary.

W więzieniu aresztant prosi stróża o „przyprawienie *mazi*“ (kobiety), na swobodzie zaś stara się „puścić koguta czerwonego“ w tej wsi, która przyczyniła się do jego schwytania.

¹⁾ *Julkę* robią z kości, którą rozpiłują nitkami, maczanymi w roztworze ługu i węgla brzozowego. Jeden piłuje, drugi polewa nieustannie.

Część umówionych słów więziennych pochodzi od złodzieiów moskiewskich i petersburskich, część zaś prawdopodobnie wprowadzili zbóje nadwołżańscy i inni, którzy jeszcze niedawno zapełniali więzienia syberyjskie i zabajkalskie.

Majdan w więzieniach syberyjskich przybiera szersze rozmiary i dlatego cena licytacyjna znacznie jest wyższa, aniżeli podczas pochodu. Jakiśmy wyżej mówili, majdan wydzierżawiano za Tobolskiem do Tomska, z Tomska do Krasnojarska, znowu od Krasnojarska do Irkucka — cena najniższa, — od Irkucka do kopalni nerczyńskich — najwyższa. Biorąc w rachubę większą lub mniejszą liczbę wiorst, a więc i czas, artel, oddając komuś majdan, ma także na względzie większą lub mniejszą liczbę ochotników do gry. Z tego powodu za prawo sprzedaży kart majdaniarz płacić musi od 15 do 30 rs. Obowiązany jest także dawać oświetlenie w postaci świec łojowych. Pieniądze te wpływają do ogólnej kasy artelowej na ręce starosty (który czasem bywa także majdaniarzem, ale rzadko, chociaż na starostę aresztanci starają się wybierać pioniężnego, a więc wpływowego do pewnego stopnia). Najczęściej karty są wydzierżawiane temu, kto dzierżawi artykuły spożywcze. Warunki są następujące:

1) Za karty gracze płacą pierwszy raz 30 kop., drugi 20, trzeci 10. Następnie ograne karty dawane są darmo graczom groszowym, czyli *żyganom*.

2) Za pewne kategorye gry każdym razem pobiera się 10 kop. od rubla wygranego, z potrąceniem pieniędzy zwróconych temu, co przegrał.

W więzieniach miejskich karty są nabywane za pośrednictwem stróżów, czasem nowe, czasem używane. Chodzi tylko o to, żeby można było je rozpoznać. Mniejsza, że są niemożliwie zatłuszczone i zabrudzone. Ale w więzieniach pozamiejskich (katorżnych) sami aresztanci wyrabiają karty. Zamiast figur, odpowiednio rozmieszczane są oczka; więc walet powstaje z dwójki, dama z czwórki, król z trójki. Do dwójki dodają dwa oczka: jedno u góry z le-

wej strony, drugie na dole z prawej obok zwykłych. W czwórkach dodają po jednym oczku u góry i u dołu, w środku rzędu gotowego. Czwórka taka służy za waleta, oryginalna zaś, umówiona szóstka — za damę. Króla robią z trójki: ścierają oczka stare i tworzą nowe, po cztery u góry i dołu. Dostałem jeden egzemplarz tych *czaldonek* (tak się nazywają karty własnego wyrobu w więzieniach), ale wszystkie były zrobione na nowo, z prostego, szarego papieru do pisania przy pomocy kleju stolarskiego. Spód pomalowany na jeden kolor czerwony. Oczka czarne zrobione sadzą z klejem, czerwone z cegły tartej również z klejem. Format dla wygody prawie o połowę mniejszy od zwykłego. O ile sądzić można, karty są robione pośpiesznie w najsurowszym więzieniu, może wojennem, omskiem (twierdzy). Oczka czerwone bywają robione krwią i nawet sadze do czarnych rozrabiane są również w krwi.

Aresztanci mają jeszcze mnóstwo sposobów w razie konfiskaty wszystkich kart. Gdy im zabiorą kości, wychodzi na porządek dzienny *jułka*, gdy zaś i tę skonfiskują, pojawia się prosta i tania gra w „szachy“, do których deska zawsze jest gotowa na narach. Ale szczególnie zręczna jest gra w tak zwane *bieguńce*, znane w całej Rosyi. Bieguńce rodzą się we włosach; puszczają je na szkło, posmarowane tłuszczem dokoła, albo na papier z dwoma kołami koncentrycznymi. Wszystkie bieguńce od razu puszczają do koła mniejszego; pierwsza współzawodniczka, która przekroczy koło, wygrywa. Zwycięzoną karają śmiercią na miejscu przestępstwa. Bohaterkę sadzają znowu na dawne miejsce. Jeżeli dwie przepelzną jednocześnie, — wygrana dzieli się na połowę.

Gracze umyślnie pielęgnują starannie i utrzymują zawsze na głowach takie zwierzyńce. Również zawsze jest w pogotowiu prosta gra w *petlę*. Zakładający bank bierze do ręki sznurek, lub nitkę i robi kilka pętlic. Ci, którzy pragną pochwycić stawkę, starają się trafić w pętłę palcem, tak ażeby jedna z nich zacisnęła się na nim, lub na palczecce i zrobiła węzeł. Ale i tu bywają podstępny. W rękach

sprytnego kuglarza wszystkie pętle się zrywają i nigdy nie robią węzła.

W więzieniu tobolskiem z powodu przesładowania kart zachowało się podanie o następującym wypadku: (cytujemy go możliwie z taką dokładnością, z jaką zapisany jest w kronice więziennej). „Dnia 27 czerwca, po skończeniu kontroli wieczornej i zamknięciu aresztantów we wszystkich koszarach i osobnych celach, inspektor, zmęczony i osłabiony po trudach całodziennych, postanowił udać się na wypoczynek. O 11-ej wieczorem wezwał do siebie na kolację dyżurnego chorążego Tiedemanna i, wydawszy mu rozporządzenia stosowne, pożegnał się z nim około 12-ej. Następnie położył się do łóżka i natychmiast zasnął. W tym właśnie czasie oficer zbliżył się do okna kuchni inspektora, ażeby powiedzieć jego żonie, że szyldwach podpatrzył aresztantów, grających w karty. Żona, nie chcąc budzić inspektora, sama kazała wydać Tiedemannowi klucz od rzezonego więzienia, ażeby się tam udał z dozorcami lub stróżami i całą sprawę załatwił spokojnie, oznajmiwszy tylko aresztantom winnym, że zrana rozprawi się z nimi inspektor.

P. Tiedemann, stosując się do polecenia kobiecego chociaż niewłaściwego, kazał swoim żołnierzom wezwać dozorców dyżurnych. Sam zaś postanowił rzucić się nagle do koszar, żeby niespodzianie pochwycić winnych. Stało się jednak inaczej. W koszarach było wówczas 126 ludzi. Wielu z nich, skutkiem okropnego zaduchu, leżało bez ubrania i przykrycia przy samych drzwiach. Żołnierze, wtargnąwszy nagle, musieli doptać po nich butami, padali na nich, bili ich okrutnie pięściami. Aresztanci wszczęli krzyk wielki. P. Tiedemann musiał z koszar uciekać, a za nim żołnierze, którzy wypchnęli skazańca Muchanowa na podwórze; stojący zaś tam szeregowcy zbili go w obecności p. Tiedemanna kolbami okropnie i rzucili do koszar prawie omdłego. To jeszcze bardziej wzburzyło więźniów, tak dalece, że żołnierze, bojąc się dalszych zająć, podparli drzwi. Nadbiegł zbudzony inspektor; żoł-

nierze, podparłszy drzwi drągami, nie radzą mu wchodzić: „zabijają!“ Inspektor jednak nie posłuchał. Zbitego posłał do szpitala, gdzie mu puszczo krew. Sam zaś poszedł do więzienia i kazał aresztantom zachować spokój.

Wracamy do umowy aresztantów:

3) *Od majdana nikt bez wygranej nie odchodzi.* Tak np. ktoś przegrywa trzy ruble, ten co wygrał musi mu zwrócić trzecią część, t. j. rubla. Również ten, co wygrał rzeczy skarbowe (ubranie, koszule, buty i t. d.), musi je zwrócić bezpłatnie po upływie pewnego czasu, wystarczającego na to, ażeby ostudzić zgranego zapał do zabawy hazardowej. W wielu więzieniach, kto łamie ten przepis, traci prawo do wszelkiej wygranej, t. j. sam sobie zamyka wstęp do gry. Również są pewne przepisy, zapobiegające bójkom, awanturom, lub zagarnianiu wszystkich pieniędzy przez jednego szczęśliwego gracza. Nazajutrz ten, co przegrał i otrzymał swoją trzecią część, stawia ją znowu i jeżeli przegrywa, to otrzymuje powtórnie trzecią część (33 kop.) i grać już tego dnia nie ma prawa, zresztą nikt go nie weźmie za partnera. Na trzeci dzień znowu ma pieniądze i prawo do gry, a gdy przegra, na czwarty dzień ma 11 kop. i t. d. Przestanie grać, zrujnowawszy się do szczeru, jeżeli nie cieszy się powodzeniem wśród aresztantów; gra zaś nieustannie, jeżeli jest arystokratą więzienia, t. j. włóczęgą, człowiekiem doświadczonym, a więc szanowanym przez wszystkich więźniów.

4) *Włóczęgom majdaniarz powinien zawsze kredytować na 1½ rubla,* chociaż by oni nie mieli. Ta suma fantastyczna, nigdy w postaci pieniężnej nie urzeczywistniana, bywa najczęściej wypłaconą w formie wódki dla pijaków lub prawem udziału w grze na kredyt. Wystarczy włóczędze położenie na majdanie cegły lub nawet pięści własnej, ażeby pod postacią tych znaków rzeczowych krążyła podczas gry suma 1½ rubla, pożyczona przez majdaniarza. Gracz powinien kredytować włóczędze, chociażby ten przegrał swoje półtora rubla. W pojęciu oderwanem suma ta nie ginie. Jeżeli bankier nie kredytuje, musi oddać wszystkie

wygrane pieniądze. Takie prawo więzienne. Gdy się będzie opierał, odbiorą mu gwałtem. Aresztanci ślepo wierzą włóczędze na jego *słowo uczciwe warnackie*. Termin opłacenia majdanu zwykle się kończy co miesiąc. Pozostają długi włóczęgów. Według prawa więziennego, są one umarzone, chociażby było 50 dłużników. Do najhałasliwszych należą włóczęgi w więzieniu. I najzuchwalsi i najpotulniejsi skaczą na jednej nodze i wykrzykują językiem więziennym: „łachman długom, łachman długom!“ Następny dzierżawca znowu otwiera kredyt dla włóczęgów (1½ rs.) i tym sposobem ciągnie się on nieskończenie. Dla tego majdaniarzo przy umowie dzierżawnej biorą pod uwagę i te przywileje włóczęgów. Wyłączone są owe artykuły prawa tylko w takim razie, jeżeli majdaniarzem zostaje włóczęga.

5) Jeżeli gra włóczęga z włóczęgą, to przegrywający otrzymuje nie trzecią część, lecz połowę sumy przegranej. Z tej połowy stara się zapłacić wszystko swoje długi według własnego uznania, bez żadnych zobowiązań. Może jednak nie płacić (co zresztą rzadko się zdarza), bo przecież ma prawo grać następnym razem za swoje wieczne 1½ rubla. Włóczęga może nawet ukraść od majdaniarza pieniądze, chociaż to trochę uważa się za wykroczenie; inny towarzysz przy sposobności robić będzie przytyki. Ale wódkę od majdaniarza może kraść zawsze. W czynie tym żaden skazaniec nie widzi nic zdrożnego z tego jeszcze względu, że przekupień nie cieszy się niczyją sympatją i nawet jest w pogardzie ogólnej, jako szalbierz, wysysający pieniądze katorżników. Przeciwno kradzieży wszyscy więźniowie zawsze stoją w pogotowiu obronnem. W więzieniach kradną wszystko, najmniejszą drobnostkę. Dla tego każdy kryje przed towarzyszem swą nędzną własność. Szczególnie starannie chowają pieniądze, przewiązując je pod pachą, wpychając w dziury, wydłubane w obcasach, przytem butów nie zdejmują wcale na nos. Zaszywają także pieniądze w ubraniu, bieliznie i t. d. Zresztą i to nie zawsze jest skuteczne. Złodziej zbrojowi potrafi ukraść. Rzeczy skradzione najpierw chowają w ten sposób,

jak Żydzi, t. j. tak, że ich nikt nie potrafi znaleźć; następnie również tym sposobem wysyłają przedmioty drogą etapową. Kradzieże w więzieniu nie są masowe, gdyż aresztanci umieją strzedz się wzajemnie.

6) Majdan—szynk istnieje jako osobne przedsiębiorstwo więzienne. Majdaniarz taki rzadko kiedy ma karty, ale stara się czasem zagarnąć w swe ręce produkty spożywcze. Za prawo sprzedaży wódki artel pobiera zwykle do swojej kasy 30—60 rs., mając to na względzie, że majdaniarz będzie sprzedawał wódkę filizankami (120 w wiadrze); za każdą będzie pobierał 30—50 kop. Przeciętna zaś norma spożycia gorzałki w więzieniu dużem wynosi wiadro dziennie. Każda mniej więcej znaczna wygrana pociąga za sobą pijatykę, jak również żaden dzień świąteczny nie obejdzie się bez niej. Są tacy, którzy poza wódką nie mają już dla siebie żadnego ukojenia. Jednocześnie istnieje mnóstwo postanowień, przestrzegających, ażeby aresztanci nie mieli przy sobie pieniędzy i instrumentów, nie pili wódki, nie grali w karty, nie stykali się z kobietami. Wszystkie te zakazy pozostają bez skutku wobec pomysłowości aresztantów. Wódka i inne przedmioty dostają się do więzienia za pośrednictwem stróżów przekupionych. Wszyscy inspektorowie w raportach swoich do władzy otwarcie mówią o tem. W pewnym więzieniu aresztant ze sfery urzędniczej, wiecznie pijany, zdradził podoficera, który kupował zawczasu wódkę, chował ją i dostarczał więźniom. Gdzieindziej przynosił gorzałkę stróż, posyłany do apteki po lekarstwa. Pewnego razu pośliznął się, upadł, upuścił kuferek, potłukł naczynia szklane; nagle rozszedł się taki zapach, jakby kto kufę z wódką otworzył. Śledztwo wykryło, że wszystkie sygnaturki były podrobione przez pewnego specjalistę po za więzieniem i że stróż nosi do szpitala, zamiast lekarstw, wódkę już nie pierwszy miesiąc.

7) Za sprzedaż artykułów spożywczych (w to się wlicza i tytoń) oraz słodyczy artel pobiera od pięciu do dziesięciu rubli miesięcznie, stosownie do liczby spo-

zywców. Przy sprzedaży tych przedmiotów istnieje taksa obowiązkowa. Dywidenda wynosi najwyżej 20%. Przekupień, sprzedający tę kategorię towarów, również, jak inni, otwiera kredyt włoścągom na ową sumę 1½ rs. I ten musi także liczyć na stratę. Bywają wszakże wyjątki: jeżeli majdaniarz poniesie jakies, nieprzewidziane przez artel, wyjątkowe straty, spłata długów obowiązuje wtedy wszystkich. Potrącają je następnie przy ogólnym podziale jakichś przypadkowych dochodów (jałmużny), albo też długi owe obarczają następnego majdaniarza, który wypłaca je swojemu poprzednikowi.

Każdy nowicyusz, wstępując do więzienia i artelu, powinien wnieść pewną ilość pieniędzy, rodzaj wpisowego. Włościanin i człowiek wszelkiego wolnego stanu wnosi jednorazowo 3 rs., osiedlenie (t. j. skazany na osiedlenie) — 50 kop. włoścąga 3 kop. Wogóle zaś każdy nowicyusz niedoświadczony jest przedmiotem pośmiewiska i ucisku. Jeżeli zauważą, że ma pieniądze, to się starają wyciągnąć możliwie najwięcej. Jeżeli jest łatwowiernym i szczerym starają się go zgniebić postrachem wszelkiego rodzaju, zabić w nim miłość własną i samowiedzę. Doprowadziwszy go do stanu dla nich pożądanego, stawiają w szeregach popychadeł, t. j. używają do posyłek, robią z niego stróża majdanów: karcianego i wódczanego, każą wynosić wiadro nocne, t. zw. paraszę, albo czyścić miejsca ustępowe. Słabi poddają się, oporniejsi po namyśle zasięgają rady doświadczonych. Ci zaś za pieniądze i wódkę skorzy są do wszystkiego, uczą przepisów, których jest niewiele, lecz wszystkie mocne. „Za towarzyszków stać murem, tajemnice święcie zachowywać. Staraj się wplątywać w swoją winę i sprawę takich aresztantów, którzy mają pieniądze dużo. Wplątaj ich, jak można, najwięcej. Naczelnicy lubią pieniądze; można ich zawsze kupić. Pieniądzy twoich, hołyszu, nie starczy, bogaci zaś zwierchników stanowczo kupią; nie było takiego wypadku, ażeby się to nie udało. Jeżeli zaś kupią, to i od łańcucha, i od haraczu można być wolnym; najwyżej różgi będą w ro-

bocie; jeżeli zaś lubią ciebie towarzysze, to i tego unikiesz“.

Ważną jest rzeczą dla nowicyusza, ażeby zaskarbił sympatyę towarzyszków. Jeżeli go polubią, to wszystkiego nauczą: kłamać na zeznaniach, jeżeli się jest podsądnym, po dowody posyłać gdzieś daleko, ażeby tym sposobem odwlec czas kary i osłabić ją i t. d. W tym zakresie istnieje w więzieniach osobna, samodzielna nauka, są profesorowie — znawcy prawa. Przy ich pomocy nowicyusz w krótkim przeciągu czasu staje się tem, czem być powinien, t. j. aresztantem. Nie da się on już ani złapać podczas śledztwa, ani nastraszyć. Wstępuje do związku więziennego.

Kapitał artelowy, powstający z pozycyi czynszowych, wynosi od 50 do 100 rs. i zwykle idzie do równego podziału między wszystkimi aresztantami. Przyczem kwotę podwójną dostają starsi „parasznicy“. Nowicyusze są ostatni. Ci, co siedzą dwa tygodnie, nie dostają. Potrójną kwotę otrzymuje oprawca. Prócz tego dostaje „na rogozę“ z kasy ogólnej, powstałej z ofiar dobrowolnych. Na rogozę dostaje zawsze, gdy karze podlega włóczęga.

Pieniądze, wychodzące z więzienia na kupno wódki, kart i artykułów spożywczych, wracają pod postacią haccazu, nakładanego na nowicyuszów. Nie mówimy już o tych pieniądzach, które przychodzą zewnątrz do rąk różnych aresztantów, posiadających jakiekolwiek rzemiosła lub wrodzone do nich zdolności. Są tacy, którzy świetnie umieją robić różne zabawki, cacka ładno. Niejeden kupiec chętnie je nabywa dla przyozdobienia mieszkania swego. Zabawki dziecinne, z chleba lub kości, szczególnie się odznaczają dokładnym wyrobem. To też w miastach i miasteczkach można nieraz widzieć w handlu wyroby więzienne, najczęściej stolarskie i tokarskie. Na Syberji zyskał w tej mierze rozgłos niejaki Cezik, który przesiadział w wielu więzieniach. Doszedł on nawet do artyzmu, szczególnie w przedmiotach lepionych. Jego wyroby dla sybiraków miały poważno znaczenie i wysoką

wartość pod względem moralnym i materyalnym. Przedmioty te stały się rzadkimi i bardzo cennymi po śmierci samego majstra, starca, wysłanego na Syberyę w r. 1830 z Litwy podczas powstania polskiego. Gdy zabrakło jego wyrobów, które przyozdabiały gabinety najbogatszych i najwybredniejszych przemysłowców i naczelników syberyjskich, zaczęto się zadawać wyrobami syna Cezika, które wszakże nie już nie miały wspólnego z artystycznymi przedmiotami ojca. Płacono jednak dobrze i za roboty młodego. Starzec przekazał synowi sekret robienia gliny różnych kolorów i gatunków, dał kilka wzorów figur lepionych, sylwetek i t. d.. Ale poniósł z sobą do grobu ten sekret, który wlewał życie, myśl i artyzm w jego wyroby. Wcisłem znaczeniu ojciec Cezik nie był artystą; ale umiejętność wyrabiania przedmiotów drobnych istotnie wprawiała w zdumienie. Podanie mówi, że niektóre rzeczy wyrabiał on w więzieniu, w braku ostrych narzędzi, kawałkami szkła ze szklanki, odłamkami gwoździ i t. d.

Aresztanci starają się usilnie, ażeby pieniądze stałe nie przelewały się z rąk do rąk w więzieniu; ale nie poradzić nie mogą na to, ażeby one nie wychodziły po za mury więzienne. Na Syberji z jałmużny mają oni bardzo mało wpływów, gdyż kupcy syberyjscy dają więcej w naturze: mleko kwaśne, bułki, kołaczki, słoninę i wiele innych produktów, najczęściej zepsutych, które aresztanci wyrzucają, gdy się robactwo załęgnie, lub jedzą, gdy produkt spożywczy nie bardzo jeszcze cuchnie.

W celu zwiększenia środków pieniężnych, aresztanci szukają pobocznych dróg i sposobów. Jest ich dużo. Jak wiadomo np., więzienie tobolskie słynęło z wyrobu fałszywej monety srebrnej z ołowiu ¹⁾. Rubel taki sprzedawano zwykle za 30 kop. Żołnierze, stojący na straży, chętnie kupowali po tej cenie i zbywali następnie ciemnym

¹⁾ Ażeby dłużej i mocniej trzymała się rękę na ołowiu, aresztanci monetę obrobioną kładą na całą noc w usta. Tym sposobem oddziaływała się niedokwas.

Kirgizom, Ostjakom i Tatarom. Innem źródłem dochodu w więzieniu tobolskiem była sprzedaż pieczęci i paszportów fałszywych. Pieczęć ceniono od 50 kop. do rubla, dowód legitymacyjny (*wid*), od jednego do trzech rubli. Więźniowie sprzedają między sobą wszystko, co tylko sprzedać mogą, a więc najdogodniejsze miejsca na narach z brzegu. Cena tych miejsc waha się od 2 kop. do rubla. Ten, co sprzedał je, śpi na podłodze. Więzienie irkuckie znalazło nowy sposób czynszu, skorzystawszy z tej okoliczności, że po wodę dla aresztantów trzeba było chodzić prawie o wiorstę, do rzeki Uszakówki. Noszenie tedy wody wydzierżawiono dwom ludziom. Po drodze od rzeki do więzienia zbierali oni sobie jałmużnę. W braku ludzi uzdolnionych rzemieślnicy w więzieniach syberyjskich zawsze mają robotę, a więc i zarobki. Robią złe, pośpiesznie, za pomocą zepsutych narzędzi skarbowych, biorą za to mało, ale nie zrażają się wcale, bo dobrze cośkolwiek zarobić, odetchnąć świeżem powietrzem i zajść do szynku, a czasem można nawet zupełnie uciec do lasów nieprzebytych.

Tego wszystkiego wszakże nie mają właściwe więzienia katorżne. Karyjskie pod tym względem jest najgorsze i najuboższe, więc aresztanci przegrywają tam i przepijają wszystkie rzeczy skarbowe, odzież i żywność. Pomagają w tej mierze więźniom ci aresztanci, którzy wyszli z więzienia i osiedli na skraju wsi, zdobyli się na chałupę, a w niej tak zwaną *jurdówkę*, t. j. zakład, zaspakający wszelkie potrzeby aresztantów. Tam właśnie więźniowie wszystko sprzedają za bezcen, np., szynel, za który skarb płaci po 2 r. 17 kop., w jurdówkach sprzedają po 75 kop., najwyższej zaś po 1 rs. 50 kop.

W więzieniach katorżnych zwyczaje, sposoby i prawidła są bardzo zbliżone do tych, jakimi się posługują aresztanci w zwykłych więzieniach rosyjskich. I tam włoczęga cieszy się poszanowaniem i sympatją. Nazywa się *powrotnym* dlatego, że był już kiedyś w katordze, lecz pojmany gdzieś w Rosyi, musiał znowu wrócić do Nerczyńska.

O włóczędze aresztanci mają opinię, jako o człowieku, który dużo doświadczył i widział. Za liczne swe cierpienia ma uznanie, za doświadczenie — szacunek, bo inni mogą dużo skorzystać. Podnosząc włóczęgę do ideału życia więziennego, aresztanci podziwiają jego cierpienia i męczeństwo. Są przekonani, że część spełnionych przez niego przestępstw wynikała mimowoli z prostoty ducha, część zaś przypisana przez sędziów, o czym on się dowiedział dopiero w więzieniu. Są oni przekonani, że i przyszłość włóczęgi będzie także smutna. Ciężkie życie w więzieniach, tułanie się po etapach, zrodziły we włóczędze lekceważenie, a nawet wstręt do wszelkiego rodzaju własności. Nie ceni jej i kradnie, nie pojmuje nawet swojej osobistej własności. (Aresztanci mówią o sobie: „jemy rzeczy wyproszone, nosimy rzucone, żyjemy z kradzieży“). Włóczęga tak jest dobry, że jeżeli zdobędzie pieniądze, to każdy może do niego się zwrócić, odmowy nie zazna. Nic mu nie potrzeba; stracił wszelkie dla siebie poważanie, nie ceni się wcale. Włóczęgi nie mają nigdy pieniędzy, ale za to są bogaci sercem.

Aresztanci, otoczeni błotem, materyalnem i moralnem, sami się stają cynikami i żywią wstręt do tych rozporządzeń i ludzi, którzy, doprowadziwszy ich do przestępstwa, pozbawili wolności. W swoich przepisach są oni surowi i zawsze oryginalni. Np. nie lubią się chwalić swoją zbrodnią i nie uważają jej za jakieś bohaterstwo, a jednak z wielkim szacunkiem traktują tego włóczęgę, który wypróbował na swojej skórze i batogi, i różgi, a zatem popełnił wielkie kryminalne przestępstwo. Imiona takich stają się historycznemi, jak bohaterów. Z takich włóczęgów wybitnych więzienie tobolskie pamięta: Żukowskiego, Tumanowa, Ostrowskiego (który, przykuty do ściany na łańcuchu, przesiedział w Tobolsku dziesięć lat), Koreniowa; więzienia Nerczyńskie: Gorkina, Aprelkowa, Smółkina, Dubrowina, Niewzorowa i innych. Pamięć o nich przechodzi z artelu do artelu w opowiadaniach i legendach, które są zarazem przykładem i nauką.

Ażeby dać pojęcie, do jakiego stopnia włóczęgi wywierają wpływ na artele, przytaczamy jedną z wielu legend, która zarazem świadczy, jak dalece zwarta i mocna jest gromada więzienna. Rzecz się działa w więzieniu tobolskiem, starem, stojącym na urwisku (obecny nowy gmach zbudowano nad brzegiem Irtysza).

Był w więzieniu włóczęga, niejaki Tumanow, oczekujący wyroku sądowego. Obarczało go dużo zbrodni, z wielu starał się wykręcać, wplątywał różne osoby, przeciągnął śledztwo na cały rok i żył sobie przez ten czas, nie troszcząc się o nic. W końcu roku spostrzegł, że czas już się zbliża, zamiarkował, że wyrok zapadnie niemniej surowy, niż sądu wojennego. Wiedział on, stary znawca prawa, że batogów, połamanych na karku, nie uniknie. Ilość kijów obliczył już z góry. Opowiedział to towarzyszącom. Uskarżał się przed nimi. Poważnie, prawie ze łzami, opowiedział im, że to wszystko dokuczycyło mu strasznie. „Bracia! — mówił — dla mnie knuty, to bagatela; nie lubię kijów żołnierskich. Katorgę nerczyńską znam. Całe nieszczęście, że jest ona daleko, nieprędko z niej można się wydostać. I to już mi dokuczycyło. Dwa razy ztamtąd uciekałem. Nie dokuczycyła mi tylko matka Rosya; głupców tam dużo, a lud prosty, naszemu bratu lepiej tam i wygodniej żyć. Tak, czy inaczej, muszę od katorgi umykać dalej; bliżej ku Rosyi. Pomóżcie mi, bracia! Chodzi mi o to, żebyście teraz milczeli, a później starali się mię rozumieć. Wszystko obmyślałem, tylko mi nie przeszkadzajcie, o to proszę!”

Umiął on sztuki różne. Zaczął tedy stare pokazywać i nowe tworzyć; ale darmo nie chciał urządzać widowisk. Kto ma ochotę patrzeć, niech płaci! Zrozumieli to aresztanci, zaczęli pomagać. Dali mu miejsce na narach, franki zrobili ze szmat różnych, żołnierzy zawiadomili, że Tumanow będzie pokazywał „teatr.” W Tobolsku jest to rzecz rzadka i osobliwa; amatorów znalazło się dużo. Od swoich towarzyszków Tumanow brał grosz, od żołnierzy — pięć kopiejek. Rosły jego dochody i sława, której promienie zrazu doszły do odwachu, a następnie i do mie-

szkania nadzorcy. Przyszedł on z rodziną, pochwalił Tumanowa i dał 25 kop. Suma niewielka, ale to dużo znaczy, że dał nadzorca. Teraz można być śmielszym, działać na pewno.

Ni ztąd ni zowąd w więzieniu wszczął się hałas. Tumanow dyryguje wszystkimi: jednego stawia przy ścianie, drugiego mu na ramiona, albo dwu obok, znowu jednego na ramiona. Cały ranek ma do czynienia z nogami skazańców. W więzieniu kurz ogromny, śmiech i gwar. Stróżce patrzą na to wszystko i nie mają najmniejszego podejrzenia; myślą sobie: skarbowych rzeczy nie psują, szkła nie tłuką, tynku nie obijają; niech się bawią sobie! Tumanow z więźniami! A więc musieli coś zabawnego wymyślić. Święta nadchodzą. Zapewne chcą urządzić jakąś zabawę. Przyjdzie i władza. Już raz zaszczyliła widowisko, dane przez więźniów, swoją obecnością. Żołnierze milczeli.

Święta się zbliżyły. W koszarach rozpuszczono pogłoskę, że Tumanow ma dać „nadzwyczajne, niebywałe widowisko.“ Przyjdzie z drągiem i odtworzy żywą piramidę; ale ponieważ w więzieniu sufit przeszkadza, więc pożądanem byłoby urządzić widowisko na podwórzu. Czy tylko władza pozwoli?

— Niech przedstawiają! — rzece nadzorca, — ja sam przyjdę popatrzeć.

— A czy nie można — proszą więźniowie — na tem podwórku, które jest z tyłu? Tam grant równiejszy i dogodniej.

— Można!

Oznaczono dzień widowiska. Na miejscu obranem więźniowie postawili ławkę dla władzy, która miała przyjść z gośćmi. Zbiegło się na widowisko, co żyło! w więzieniu. I żołnierze z odwachu, choć jednym okiem popatrzeć i oficer dyżurny. Przyszedł wreszcie naczelnik z gośćmi.

Widowisko rozpoczęło się od drobnych kuglarstw, już znanych; były wszakże i takie, których jeszcze

nie widziano. Przyszła nareszcie kolej na piramidę. Sta-
nęli, jak jeden człowiek; jak z miedzi odlani. Na sam
szczyt dostał się Tumanow. Miał w rękach drag i zaczął
nim wywijać. Piramida posuwała się spokojnie, tryumfal-
nie. Tumanowowi rzucono kozuszek. Pochwycił i nie
stracił równowagi; nową sztukę pokazał! Więźniowie
wszczęli wrzawę. Oficer dyżurny, z kadetów wygnanych,
zaklaskał w dłonie, chcąc przed gośćmi nadzorca pokazać,
że pochodzi ze świata stołecznego. Słowem, wszyscy byli
zadowoleni.

Tymczasem piramida idzie sobie dalej, nie tracąc rów-
nowagi, a Tumanow wznosi się wysoko nad wszystkimi,
nad murem więziennym. Piramida posuwa się koło tego
muru, dochodzi do węgła, staje. Widzowie spojrzeli w gó-
rę: niema Tumanowa. Zanim oprzytomnieli (a oprzyto-
mniał pierwszy nadzorca), zanim pobiegli przez podwórze
(a podwórze bardzo długie), zanim zwołali straż, zanim ta
przebiegła dokoła muru więziennego, ciągnącego się dale-
ko, upłynęło co najmniej pół godziny. Zaczęto szukać; ani
śladu! Pod górę szła kręta ścieżynka między gęstymi krza-
kami. A tam dalej urwiska, rozdoly głębokie, pustkowie,
prawie aż do Tiumenia. Któż znajdzie tam człowieka?!
Zabłądzić można! Obejrzano mur. Więźniowie dobrze go
zbadali: Wszędzie podwójny; tam zaś w kącie zwy-
czajny. Znalezione tylko na gwoździu dużą z kądzieli
brodę Tumanowa, którą dla facecyi sobie przyczepiał. Przy-
nieśli ją naczelnikowi. Ten napisał raport, brodę dołą-
czył, przypieczętował i sam pojechał zawiadomić guber-
natora.

Generał rozgniewał się, nakrzyczał na inspektora,
wyrwał z rąk nie raport, lecz brodę z kądzieli, i, przy-
łożywszy mu ją do ogolonego podbródka, zawołał:

— Ot, każę, głupcze, tobie tę brodę przyczepić i bę-
dziesz z nią chodził do grobowej deski. Trzeba było lepiej
zbiega przyprowadzić!

Krzyczał zwierzchnik długo, a Tumanow tymczasem
był już daleko.

— Mówią, że Poszechońcy między trzema sosnami zabłądzili; nam zaś, włóczęgom, dajcie dwa, tylko dwa drzewa, a tak się schowamy, że dziesięciu ludzi nie znajdzie. Jest to dla nas rzecz łatwa, gdyż ciągle w lasach przebywamy; jesteśmy włóczęgami leśnymi.

Tak opowiadali ci, którzy znali Tumanowa; ale co się z nim stało, nikt nie potrafił powiedzieć. Wiedzieli tylko, że generał przebaczył nadzorcy i dał możność więźniom jeszcze nieraz z niego się naśmiewać.

— Śmieszny to był człowiek! — opowiadali mi. — Uciekł jeden nasz towarzysz przez komin z ustępu. Powiedziano nadzorcy. Ten przyszedł do nas, głową siwą pokiwał.

— Takie bydlę! — mówi; — no, patrzcie, kędy on polazł!... Jak mu to do głowy przyszło?

— I jak on, powiedzcie mi, przełaził tędy, niegodziwiec?!

— Głową! Nogami niepodobna.

— Zawalał się cały. Ze też, chciało mu się, psiemu synowi, przełazić tędy! Dyabeł go popychał, przekłętogo.

Potrząsa główką staruszek i ciągle jedno powtarza. Patrząc na niego, nareszcie wszyscy śmiechem parsknęliśmy.

„Głupi jesteś — mówiliśmy sobie — stary dyable. Nie wiesz, jak jest mocne twoje więzienie. Swoboda przecież lepsza, niż ból, a odwaga wszystko pokona.

Ale chociaż ta odwaga jest wielka, ucieczki z koszar więziennych zdarzają się rzadziej i przytem na taki krok decydują się ludzie energiczni i doświadczeni. Prawda, że więźniowie nie ominą najmniejszej sposobności, ażeby nie skorzystać z nieuwagi konwojowych, szczególnie po za murami więzienia, podczas robot. Uciekają, ale ucieczka nie jest jedynem wyjściem z ciężkiej doli katorżnej. Istnieją jeszcze inne drogi, któremi więźniowie dążą ku swobodzie. Robią oni podkopy pod więzieniem, ażeby skorzystać z wolności chwilowej. W wypadki takie szczególnie obfitują więzienia katorżne.

Robota skarbowa z dnia na dzień, ciągle jednostajna w najdrobniejszych szczegółach, wyczerpuje nie tylko fizycznie, lecz i moralnie; wysysa, jak wampir, zapas cierpliwości nawet ludziom słabego ducha i hartu. Tacy nie mają odwagi uciekać i radzą inaczej.

Latem podczas robót nacinają sobie czemś ostrem (kawalkiem szkła, żelaza, krzemienia) skórę, najczęściej na organach płciowych i do rany świeżej wkładają włos własny lub koński. Wytworzywszy tym sposobem miejscowe zapalenie i ropienie, idą do lekarza lub felczora i dostają się do szpitala, jako syfilitycy. Tam także szukają wytechnienia więźniowie z twarzami nabrzmiałymi w zimie za pomocą sztucznych środków (nakłócia wewnątrz szpilką i następnie wystawienia twarzy na mróz). W kopalniach karyjskich bardzo często podczas rannej dyspozycji robót więźniowie zwykle w nocy maczają palec w jakimkolwiek płynie i ogrzawszy go, szybko, wysuwają za lufcik na mróz. Doświadczenia tego rodzaju lubią powtarzać, gdyż odmrożenie, zawczasu nie leczone, prowadzi do gangreny i amputacji palca, a wtedy więzień ma ulgę w pracy. Dlatego to skazańcy starają się zwykle zdobyć i mieć na pogotowiu wszelkie płyny gryzące. „Niektórzy więźniowie — pisze dr. Kaszin — wytwarzają rany za pomocą przykładania liści rośliny, zwanej *anemone pulsatilla*. Dla rozpoznania rany tego rodzaju dr. K. radzi, ażeby je opatrywał sam lekarz, podkładał papier nawoskowany i całą przewiązkę opieczętowywał. Papier woskowany potrzebny jest na to, ażeby więzień nie jątrzył rany igłą przez bandaż. Nakłócia są widoczne na papierze. „Do chorób udanych — mówi dr. Kaszin, — należą także ślepoty, wykrzywienie kończyn i padaczka. Ale wszystko to łatwo sprawdzić przy uwadze i zręczności. Mając do czynienia z niby ślepy, zbliżałem do oka świecę lub igłę, oznajmiając, że chcę zrobić operację i wtedy podejście wykrywało się od razu. W udanych skurczach dość było uderzyć mocno dłonią po ramieniu, ażeby więzień z bólu wyprostował kończyny. Co do padaczki, brak piany dowodzi, że choroba jest udana. Rów-

niez łatwo to sprawdzić za pomocą nagłego skropienia zimną wodą lub ukłócia igłą. Natomiast choroby rzeczywiste, takie, jak świerzba (*scabies*)—stała w więzieniach, rany wynikające ze szkorbutu, reumatyzmu, kajdan, jak również syfilis w strasznym rozwoju i częste rany pierwotne nie na tych miejscach, gdzie wskazano, lecz *circa anum* lub *in recto*, jako następstwo pederastyi, szkorbut, dysenterya i tyfus, należą do chorób pospolitych. Odmrożenia, spowodowane brakiem obuwia lub nabyte podczas ucieczki i włóczęgostwa, należą także do wypadków częstych, nietylko na etapach, lecz i w więzieniach. Zdarza się nieraz zapalenie oczu (*ophthalmia carceralis*), spowodowane siarkowodorem, wytwarzanym przez więźniów.

Aresztanci robią ślepotę sztucznie, zapuszczając jątrzące płyny do oczu i rozszerzając tym sposobem źrenice. Gdy podnoszą oczy do góry podczas oględzin, rzeczywiście wyglądają, jak ślepy. Za pomocą środków gryzących i innych niszczą znaki piętnowania na czole, ale niezupełnie dobrze: pozostają białe plamy i blizny. Jest to sposób, znany od dawna. Również do dawnych zaliczyć należy środek nerczyński: wywoływanie zapalenia na miejscu znaków, a potem ropienia za pomocą pewnej trawy (na twarzy), wreszcie przypalanie (na czole). Później zaczęto używać lapisu, na który nie żałowano pieniędzy. Jeszcze później niszczone znaki skutecznie za pomocą rośliny wysokiej, kwitnącej żółtym kwiatem (*ranunculis acris*), która porasta zwykle na podwórzach więziennych. Oblawszy ukropem miejsca znaczone, natychmiast przykładali tę roślinę i przecierpiawszy straszliwy ból, osiągnęli cel pożądanym po upływie pół godziny.

Po zjedzeniu na czczo stołowej łyżki *proszku* (tabaki) więźniowie dochodzili do tego stanu, że musiano ich umieszczać w szpitalu, biorąc za oznaki poważnej choroby oblawy otrucia: nudności, bladłość, tętnienie żył i ogólne osłabienie. Zjadłszy pełną drewnianą łyżkę pieprzu tłóczzonego z cukrem, wytwarzali rupturę i pili następnie taką łyżkę soku cebulowego, gdy im ruptura już dokuczyła i stała się zbyteczną.

Wytwarzali również rupturę innym sposobem ci, którzy się odważyli połknąć srebra, lub mieli dużo cierpliwości i wytrwania w skokach i natężeniach.

Cheąc wywołać niby głuchotę, kładli do ucha mieszaninę z soku trawnego, miodu i zgniłego sera, który się rozkładając wypływał zewnątrz w postaci cieczy cuchnącej, białej. Proszek, wytworzony przez robaka w dziuplach drzewnych, sypią do oczu i tym sposobem robią bielmo, bardzo szybko przemijające.

Fluksya duża także łatwo daje się wywołać. Dość jest porobić wewnątrz nakłócia igłą, następnie, zatknąwszy nos i usta, nadymać powietrze. Twarz nabrzmieje i zaczerwieni się. Objaw ten podobny jest do róży. Ażeby to usunąć, trzeba przekłócić twarz na wskrós i powietrze wypuścić.

Ściągając pod kolanem skórę wraz z żyłami i przesywając szerścią świnią, wytwarzali sztuczne skureczenia. Szerść zostawała w żyłach. Rozparzywszy nogi w łaźni i wyjąwszy szczecinę, więzień może już być zdatnym nawet do ucieczki ¹⁾. Suszą nogę od kolana do stopy również sztucznymi sposobami.

Niektórzy aresztanci bywają tak naiwni, jak uczniaki. Nakłówszy szpilką dziąsła i nozdrza i spryskawszy krwią koszulę, idą do lekarza, którego usiłują przekonać, że plują krwią. Bądź co bądź, zyskują na tem, gdyż sprawdzenie stanu zdrowia wymaga pewnego czasu. Więźniowie mogą trochę rozprostować w szpitalu swoje członki strudzone.

To jest charakterystyczne, że ci, którzy udają różne choroby, zajmują podrzędne stanowisko w hierarchi wię-

¹⁾ Zamiast szczeciny używają czasem nitki z drzewa, zwanego wileczem łykiem. Koniec zostawiają zewnątrz, bo długo nie można trzymać w ciele, jętrzy się ono.

ziennej. Jest-to plebs, który w towarzyszach wzbudza niewielkie współczucie tylko w takich razach, gdy się wykryje podstęp w udawaniu choroby. Sami oni najczęściej nie troszczą się o podniesienie swego poziomu moralnego; bierni dają się poniżać przez arystokratów — włóczęgów.

Nazywają się „żyganami“. Położenie ich nie jest godne zazdrości i byłoby strasznie ciężkie, gdyby ich nie ratowała ostateczna nędza. W więzieniu można znaleźć sposoby zdobycia jakich takich pieniędzy. Do tego wszakże potrzebne jest poniżenie; a kto się raz poniży, ten nigdy nie zasłuży już na poważanie, nawet takie, jakim się cieszą włóczęgi. Ci łatwiej przenoszą wszelkie niewygody i cierpienia, wszelką najuciążliwszą robotę katorżną. Dziesięć razy oszukają stróżów, dozorców i inspektora, ale do ostatecznego poniżenia swojej godności nigdy nie dojdą. Włóczęga nie będzie się płaszczył nigdy przed bogatym, nie stanie się jego *kaczką* ¹⁾, nie poda mu wody, nie przyniesie nic, nie zaspokoi żadnego kaprysu za zapłatę.

Typowy włóczęga nigdy nie będzie tchórzem i nie ulegnie; umknie, chociażby wiedział, że znowu się dostanie do katorgi. Uciekają tylko ci, którzy posiadają dużo wo-

¹⁾ Do liczby gier, wymyślonych ku rozrywce i uciesze ogólne (na zamówienie bogatych), należy także *kaczka*. Temu, co się chce stać ogólnem pośmiewiskiem i otrzymać za to pięć lub dziesięć kopiejek, aresztanci wiążą na plecach obie ręce powrozem w taki sposób, ażeby między dłońmi można było umieścić zapaloną świecę łojową. Najęty błazen musi, nie gasząc jej, pełznąć na brzuchu z jednego końca izby do drugiego po błotnistej, lepkiej podłodze. Jeżeli tak przepełźnie, nie zgasiwszy świecy, otrzymuje zapłatę umówioną. Gdy zaś mimowoli zgasi, nic mu nie dadzą i jeszcze w najokropniejszy sposób naśmiewać się z niego będą.

Wszelkie zabawy więzienne są rubaszne i brutalne, przeważnie polegające na wypróbowaniu mocy zębów, włosów, skóry i t. d. W więzieniach syberyjskich ulubionym żartem jest przyklepić śpiącemu człowiekowi do gołej podeszwy papier, nasmarowany tłuszczem, i zapalić.

li i hartu, gdy tymczasem w szpitalu szuka ulgi tylko człowiek słaby duchem, złamany i pokonany.

Z więzień nerczyńskich, wogóle ze wschodnio-syberyjskich skazańcy uciekają bardzo często i w ogromnej liczbie.

ROZDZIAŁ III.

Ucieczka.

Proszę się oddalić od tak zwanej Wielkiej Fabryki nerczyńskiej przynajmniej o wiorst dziesięć, proszę wybrać wyniosłe miejsce i obejrzeć się w tył. Pełny, szeroki widnokrąg nieba, do którego tak się przyzwyczajają wzrok na bezbrzeżnych stepach i pustyniach syberyjskich, mniejszy tam jest przeszło o połowę, zarysowują się o góry nieokreślonym, mętnym światłem. Żywe i mocne barwy zbladły, przecięte na uszczuplonym horyzoncie górami, szeroko rozpostartymi. Nieprzerwanym łańcuchem ciągną się te ściany, jedna przy drugiej. Postać ich na pierwszy rzut oka jest oryginalna, niezwykła. Powoli jednak tu i owdzie spostrzega się widoki znane.

Mało takich obrazów na całych, szerokich przestrzeniach Rosyi, chociaż dużo gór, wzgórz i pagórków. Mało takich gór pod względem treści wewnętrznej i bogactw podziemnych, jak Nerczyńskie (choć Rosya ma przecie Ural, góry Koływańskie i Kuznieckie). Wszędzie napelnione są srebrem, a po piasku złotym biegają wypływające z tych gór rzeki. Nieladne one, gdy się do nich zbliżymy, ponure zdaleka, nagie, ubogie w roślinność, jak gdyby siła tych wzniesień wstąpiła wgląd i wyjałowiła powierzchnię. Zdaleka cała ta masa gór Nerczyńskich jest piękna. Do nich właśnie teraz się zbliżamy, posiadając te dane, jakich nam dostarczyła nauka.

Nerczyński okrąg górniczy zaledwie w połowie zbadany, i to jeszcze nie gruntownie, jest jedną z najbogatszych miejscowości na kuli ziemskiej pod względem metali i minerałów. Okolice fabryki Piotrowskiej i góry Tunkińskie w zachodniej części Zabajkala obfitują w magnes. Znajduje się on również w zachodniej stronie grzbietu Jabłonowego, dzielącego obwód Zabajkalski na dwie części: wzdłuż rzek: Urowu, wpadającego do Arguni i Tajny, dopływu rzeki Hazimuru. Góry pomiędzy Borzą Niższą i Średnią tak bogate w magnes, że mieszkańcy miejscowi nazywają je łańcuchem żelaznym. Wodozbiory rzek Witimu i Czikoja (w zachodniej połowie Zabajkala) oraz baseny karyjski i szachtamiński (we wschodniej połowie) dawno już dostarczają złota. Wszędzie, gdzie panują granito-sienity, roztacza się prawie jednolita przestrzeń złotodajna; obejmuje ona miejscowości: Lunzanka, Kazakowa, Kultuma, Sołkokon, Tajna, Bystra i inne. R. 1855 skarbowa partya poszukiwaczy znalazła złoto w zachodniej części okręgu Nerczyńskiego w zapadłym, bezludnym kącie południowo-zachodnim, opasanym granicą chińską i grzbieciem gór Jabłonowych, dzielących okrąg na dwie prawie równe części. Wzdłuż rzeki Prostej Baldży znaleziono oznaki pomyślnie, a wzdłuż innych rzek—bogate zasoby złota, które dały możność szybkiego wzbogacenia się przedsiębiorcom, gdy pozwolono eksploatować je ludziom prywatnym w początkach dziesięciolecia niniejszego i gdy znaleziono pokłady nad rzeką Nerczą, prawie pod samym Nerczyńskiem. Szachtama i Kultuma, oprócz złota, zawiera rtęć. Jeden tylko na całą Rosyę okrąg Nerczyński zawiera pokłady cyny. Wszystkie zbocza gór ku południowi od rozgałęzień rzeki Szyłki ku basenowi Arguni oddawna dają w wielkiej obfitości srebro, które uczyniło sławnym okrąg Nerczyński. Jest-to najglówniejsze bogactwo gór Nerczyńskich. Zasoby te odkryto już dawno, eksploatacja zaś rozwinęła się od chwili, gdy ten najbogatszy w srebro kraj na kuli ziemskiej przeszedł w posiadanie Rosyi.

R. 1722 cesarz Piotr I ukazem imiennym polecił porysłać do fabryk srebra w Daurach wszystkich ludzi uwolnionych od robót ciężkich a skazanych na osiedlenie w odległych miastach syberyjskich. W piątym dziesięcioleciu wieku niniejszego eksploatacye srebra wstrzymano, a i dotychczas w stosunku do rozwoju dawnego jest ona znacznie słabsza. Nerczyński okrąg górniczy dotąd jest miejscem wygnania, a więc zatrzymamy się tam, jako w ognisku robót ciężkich.

Oto mamy przed sobą jedną z takich kopalni srebra (Zerentluską). Rozpoczęto tam produkcję r. 1825 (jednocześnie w Błagodackiem). Grubość pokładu wynosi nie więcej, niż dwa sążnie. Pud rudy daje pół zolotnika srebra i jeden funt ołowiu. Ale, dzięki skrzętnemu przemysłowi, ilość ta wzrasta do $1\frac{1}{2}$ zolotnika srebra i 4 funtów ołowiu z jednego puda rudy. Robota sięga do 34 sążni głębokości.

Stoimy u podnóża góry, która zewnątrz niczem się nie różni od innych. Ta sama nagość i kamienie, ta sama obfitość mchu i niewielka ilość śniegu, gdy okolica zasypała obficie. Różnica tylko taka: u podnóża tej góry i z tyłu za nami leży wieś duża ze starymi spróchniałymi domami, rozrzuconymi w nieładzie. Zewnętrzna ich postać mówi, że tam mieszkają nędzarze, najnieszczęśliwsi w świecie. Niema nawet jednej chałpy, któraby świadczyła o jakim takim dostatku. Wieś ta jest rządowa i należy do kopalni. Góra, o której mówimy, zawiera pokłady srebra.

Wprost przed nami stoi budynek z berwion, w kilku miejscach obity deskami, jednym bokiem przyczepiony do góry u samego podnóża. Drzwi z desek prowadzą nas do wnętrza domku ogrzewanego. Tutaj radzą nam zdjąć futro, ażeby lżej było chodzić w kopalni, gdzie, jak utrzymują, jest cieplej, niż w tym domku; jak w łaźni. Ale pamiętając, że na otwartem powietrzu jest przeszło 30 stopni mrozu, nie mam odwagi rozstać się z futrem (musiałem jednak zdjąć je później). Zawieszają mi na szyi latarnię płaską ze świecą zapaloną i oto idę do tego czysca, o któ-

rym od dzieciństwa słyszałem tak dużo strasznych opowiadań. Za temi drzwiami są owe nory katorżne, w których męczyło się tylu nieszczęśliwych i ginęło bez śladu i wspomnień. Tam właśnie jest kopalnia, o której krążą w całej Rosyi tak ponure i straszne opowieści. Tak rozmyślałem. I teraz z trudem pokonywam nieprzyjemny strach mimowolny i smutek. Tak dalece nie mogłem pokonać tego uczucia, że chwilami chciałem już porzucić swój zamiar i wrócić, chcąc uniknąć silnych i ciężkich wrażeń. Trzeba było energicznego wysiłku woli, ażeby przekroczyć próg tych drzwi tajemniczych i pojsć dalej. Poddąłem się opiece przewodników, ale nieprzyjemne uczucie ciężaru moralnego i kołatania serca nie opuszczało mnie wcale. Otworzyły się drzwi, jak do piekła, i poczułem obraz jego, gdy wzrok utonął w tych mrokach nieprzejranych. Po stopniach zszedłem o kilka łokci w dół pod podnóże góry, która całą swoją masą stała teraz nademną, zwiększając ciężar wrażeń.

Zbyt nagle przejście od światła dziennego do mroków podziemnych nie pozwala oczom naszym nic rozpoznać. Słyszę głosy, ale te wydają mi się przytłumionymi i niesmiałymi, jakby wydobywały się ze zdławionych, zmęczonych piersi. Gdzieś na przedzie, jak oczy wilcze, błyszczą ogniki, ale światło ich, pochłaniane przez gęste mroki, nadzwyczaj jest słabe i nosi charakter odrębny, kopalniany.

Wisząca na piersiach moich latarka niewiele pomaga i światło nikłe ślizga się po plecach przewodników, oświetlając parę łat na kozuchach. Przy zawrotach w bok światło lojówki tak się wzmacnia, że można rozpoznać sciany deskami obite, mokre. Takież deski są na sklepieniu. Powoli wzrok się oswaja. Widzimy przed sobą długi korytarz. Zatrzymujemy się przed drzwiami w końcu korytarza.

Ta część sztolni, obitej deskami, którąśmy przeszli, już jest wyrobiona i do pracy kopalnianej niepotrzebna. Robotnicy są tam tylko dla tego, ażeby zamieniać deski przegniłe na nowe.

Otworzono drzwi i znowu znalazłem się w mrokach, gęstszych i trudniejszych do przeniknięcia. Ciężko poruszam nogami, które na każdym kroku napotykają przeszkody, jakieś wklęsłości, kamienie.

Po bokach w ścianach bryły kamienne. Sklepienie z takich samych kamieni nagich, niekształtnych; są one zimne, wilgotne, śliskie, latarnia rzuca światło na rdzę, pokrywającą miejscami te kamienie. Wrażenie coraz cięższe, bryły kamienne zaczynają nas moralnie przygniatć całym ciężarem swej masy; z trudnością zapanować możemy nad sobą.

— To źródło, z którego czerpiemy nasze bogactwa. Ztąd pochodzi srebro.

Idziemy dalej. Zaczynamy odczuwać znużenie. Robi się nie tylko gorąco, ale nawet duszno. Doznajemy takiego wrażenia, jak gdybyśmy byli w łaźni, nasyconej parą. Powietrze to, trudne do zniesienia było niegdyś, między innymi, jednym ze środków kary dla pracujących tu zbrodniarzy.

— Otworzyć drzwi!—zawołał jeden z przewodników.

Silny strumień mroźnego powietrza nagle i gwałtownie wdarł się do sztolni i popędził do szerokiego otworu szachty cały ten przesiąkły zgnilizną zaduch. Dopóki tylne drzwi stały otworem, z trudnością mogliśmy utrzymać czapki na głowach. Dalej jednak znowu się nagromadziło ciepła w nadmiernej ilości.

W jednym miejscu na lewo od nas ze sztolni ciągnie się głuchy korytarz, znany w górniczej gwarze pod nazwą *lichtloga*. Światło latarni oświetliło nam jego początek i utonęło w gęstych mrokach, których nie przebił nigdy promień słoneczny i z którymi toczą niekiedy walkę palące się łojówki w latarniach robotników.

Zrobiono ten korytarz dla tego, że tam pobiegła żyła srebrna. Gdy się przerwała i gdy stracono nadzieję odnalezienia jej, zarzucono roboty.

Bryły kamienne, po bokach i u góry, nieumocowane, grożą niebezpieczeństwem, które jeszcze zwiększa woda, obficie przesiąkająca.

Do wrywania kamieni w tych kopalniach używane są ładunki prochu. Słyszymy i widzimy wybuchy. Woda zalewa i utrudnia roboty.

— Ale gdzież katorga; gdzież te roboty, które przywykliśmy uważać za najcięższe?

— Robót takich niema w kopalniach. Tu my dajemy młotek i oskard. Pierwszym robotnik uderza w rudę, uwalnia ją od niepotrzebnych cząstek. Oskard służy do wydobywania potrzebnych brył, wskazanych przez sztygara. Po wydobyciu kładą ją na nosze lub taczki i skierowują ku szybom. Taczek robotnicy nie lubią. Wolą nosze, bo i pracę mogą rozłożyć na dwu, i mają z kim słowo zamienić. Po wywindowaniu brył na zewnątrz, robotnicy, pracujący u góry, znoszą je w jedno miejsce, skąd następnie ów materiał kopalniany idzie do sortowni. Chodźmy na górę i obejrzymy to wszystko.

Oto zaczynają już do nas dochodzić z góry promienie słoneczne. Światło naszej latarni blednie; stoimy pod krętymi schodami drewnianymi. Wchodzimy po nich z trudnością. Na drugiej platformie szachta zerentujska wydaje się nam teraz studnią głęboką i szeroką. Cała sztolnia zerentujska ma długości 160 sążni.

Przez całe dziesiątki lat tysiące zbrodniczych i nie zbrodniczych rąk kopały te podziemia katorżne, a kopalnia, warta dziesiątki tysięcy rubli. Ogromnie w cenie się podnosi od tego mnóstwa łez i jęków, objających się o ponure sciany wśród mroków podczas robót. Przez czystą i świeżą wodę źródlaną przechodzi to złoto, za które kupuje się cały świat i tylko w niewielu miejscach tę wodę źródlaną macą gorzkie łzy nieszczęśliwych. Srebro, nagromadzone we wnętrzu ziemi, wydobyte w kopalniach syberyjskich, splókanę jest również w łzach tych ludzi nieszczęśliwych. Ilu ich tam zmarło w ciemnych i wilgotnych podziemiach! Znany jest między innymi następują-

cy tragiczny wypadek w kopalni „Tajna“ koło ogniska „Hazimurskiego“, jednego z największych za Bajkałem. W sztolni pracowało tam trzech ludzi: dwu Polaków i jeden Rosyanin. Rozpalony ogień na dnie szachty przy drzwiach zamkniętych napełnił cały korytarz zabójczym kwasem siarczanym. Dym, nagromadzony w tym oddziale, dostał się i tam, gdzie ci trzej ludzie objali rudę cynowo-srebrną, połączoną z siarką. Nie mogąc już dłużej pozostawać w atmosferze, przesyconej gazami, Polacy po schodach poszli w górę na świeże powietrze. Jeden z nich widząc, że towarzysz Rosyanin, został na dole i długo nie wychodzi, krzyknął mu z góry, ażeby pośpieszył bo inaczej—zginie. Nie otrzymawszy odpowiedzi Polak, Różański zeszedł po schodach na dół i zaledwie zdążywszy stanąć na dnie sztolni, padł bez czucia, otruty gazami. Towarzysz jego, Wrzos, ze strachem oczekiwał rodaka, a nie doczekawszy się, zeszedł sam do kopalni, gdzie znalazł obu towarzyszków, leżących bez zmysłów; pochwycił więc przedewszystkiem rodaka swego i poniosł po schodach. Czując sam objawy zatrucia, z wielkim wysiłkiem doszedł do połowy schodów; ale tu siły odmówiły mu posłuszeństwa; stoczył się na wznak wdół i roztrzaskał głowę swoją i towarzysza o kamienie. Dopiero w kilka dni potem znaleziono trzy trupy. Ręka obejmująca towarzysza zastęła w uścisku konwulsyjnym tak silnie, że musiano obu złożyć do jednej trumny.

Znojna praca w mrokach nie usposabia do pieśni. Silnie działa tylko wyobraźnia i fantazyja wśród różnorodnych odgłosów tajemniczych.

Jaskrawy wybuch gdzieś w dali podziemia, gdzie każdy dźwięk, każdy stuk młota potęguje się echem. Szmer wody ciekącej i uderzenie kropel, szelest padających odłamków kamieni i gliny, grzmot wybuchów, każdy lekki szmer, wszystko to podnieca gorączkowo wyobraźnię, napełnia duszę robotnika przesadami i przywidzeniami, bo każde poruszenie, każdy krok w podziemiach przybiera inną postać niż w zwykłych warunkach, odtwarza się inaczej

w echu. Mrok przy słabym blasku latarni, rzucającej długie lub skrócone cienie ludzi i otaczających ich przedmiotów; pisk i bieganie dużych myszy, które są *gospodarzami* około resztek świec lojowych w latarni—wszystko to nam wyjaśnia istnienie mnóstwa legend o „domowym“, gospodarzu kopalnianym, o złym duchu, wrogu człowieka. Robotnicy stamtąd wychodzą przejęci przesadami. Tak np. w kopalni Zerentujskiej dwie góry, „Zwonuchę“ i „Szumichę“ (o które wiatr uderzając dzwoni i szumi), skazańcy i wolni robotnicy uważają za straszne. Według ich pojęcia, tam się gniezdzi „siła nieczysta“. Strachy nocne są bardziej czynne niż w innych miejscowościach, gdyż w podziemiach kopalnianych panuje wieczna noc. Tam robotnicy ze strawą idą na cały dzień. Kończą roboty i wychodzą na świeże powietrze, gdy już ziemię pokrywają takie samo jak i w kopalni mroki i otaczają wszystko, co żyje życiem niekatorźnem.

Praca robotnika w kopalniach jest katorżna jeszcze dla tego, że bezpłatna, przymusewa, skarbowa, że naraża na wypadki i nieszczęścia, że zagraża życiu.

— Dobry „pierwszy koniec“, gdy człowiek zostanie kalcką, bo przynajmniej władza zmniejszy „roboty“ lub zupełnie uwolni od nich. Ale najlepszy—„koniec ostatni“. Dusza już się nie męczy potem, „śmierć lepsza niż życie katorżne“—mówili robotnicy w tych czasach, gdy jeszcze nie byli wolni od robót kopalnianych i pracowali na równi z katorżnikami. Ta tylko była różnica, że skazańcy pracowali do terminu określonego, robotnicy zaś bezterminowo, dla tego tylko, że byli dziećmi robotników i włóścian okolicznych. Zdarzało się nawet, że umyślnie popełniali przestępstwa, żeby się dostać do szeregu katorżników, a więc mieć pracę z terminem określonym.

Wnukowie doczekali się wreszcie, że zdjęto z nich obowiązek niesprawiedliwy, przestępców zaś wydobyto z podziemi, a natomiast kazano im pracować w miejscowościach złotodajnych tudzież w rządowych gorzelniach, zakładach wytwarzających sól i fabrykach żelaza, w gorzelni Alek-

sandrowskiej, solarni irkuckiej i na Zabajkalu; w piotrowskiej fabryce żelaza, w kopalniach („priiskach“) złota: Górnej, Środkowej i Niższej karyjskiej, Szachtamińskiej i Kazakowskiej, Łuzakińskiej i Akatujskiej. Wszystkie inne roboty w kopalniach oddano wolnym najemnikom. Jeszcze niedawno pracowali oni na trzy zmiany: dwa tygodnie po 12 godzin dziennie, trzeci tydzień odpoczywali. Ci, którzy się mieli lepiej i mogli własnymi końmi wozić rudę do Kopalni Kutomarskiej, przy której jest piec do topienia metalu, oraz do fabryki Aleksandrowskiej, gdzie istnieje laboratorium,—otrzymywali za to godzinę wolną. Robotnicy, pracujący w kopalniach, chodzili do pracy nieraz dziesięć wiorst, wzięwszy z sobą trochę chleba i jarzyn. Na noc znowu szli do domu na herbatę gorącą, barszcz i do pieca ciepłego. Za robotę płacono im tak samo, jak osiedleńcom (po 50 kop. miesięcznie, w kopalniach złota po 2 rs.; w Kudei płaca miesięczna dochodziła do 5 rs.). Do płacy skarb dodawał jeszcze po dwa pudy mąki. Warunki pracy robotnika zwykłego tem się jeszcze różniły, że mógł on uprawiać pole, mieć jakie takie gospodarstwo. Ale wróćmy do wysłanych i do tych katorżników, którzy pracują w Karyjskich kopalniach złota, oraz fabrykach i zobaczmy, jak ten ciężar dźwigają na swoich mocnych plecach, jak się godzą z ciężkimi warunkami i niedolą.

Nowicyusz aresztant, który przybywa do robót najodleglejszych — karyjskich kopalni złota, — musi najpierw „ogony uprzętać“. Ogonami zowią te puste, niepotrzebne piaski, które pozostają po przemyciu złota. Jest to robota ciężka, gdyż wymaga natężenia i pośpiechu, wyczerpuje siły i nie daje żadnego zadowolenia. Skazaniec od świtu do późnego wieczora nosi ten piasek i nie spodziewa się żadnej nagrody za sumienną pracę, przypominającą owo tłuczenie wody w stępie—dawną karę klasztorną. Przygniata świadomość, że się tylko usypuje ciągle góry piaszczyste na brzegach rzeki, ręką nieszczęśliwych aresztantów, którzy wiedzą, że tego rodzaju praca powinna być udziałem wołów i koni.

Jest to prawdziwa katorgia. Zauważono, że nowicyusze, uprzątający ogony, pierwszego dnia z wielkim trudem wykonywają całe zadanie. Dnia następnego pozostaje już zaległość i groza kary za opieszałość. Jeżeli zaś nierozważny, niedoświadczony, lub mściwy i krewki naczelnik, jako karę za opieszałość, kaze nowicyuszowi po raz trzeci sprzątać ogony, to na czwarty dzień może śmiało wszystkich owych aresztantów wykreślić ze spisu robotników tej kategorii. Do takiego przekonania przyszli sami naczelnicy po długim doświadczeniu. Praktyka tedy dowiodła, że sprzątanie ogonów jest najcięższą postacią katorgi.

Wywarzanie soli — to całkowicie ciężkie roboty. Szczególnie są one ciężkie w fabrykach syberyjskich, urządzonych według starych systemów. Dawniej, gdy ropę solną pędzono siłami ludzkiemi, wywarzanie soli było prawdziwą i najstraszniejszą katorgą. Skazańcy pompowali na wysokich wieżach nieraz podczas 30° mrozu, ubrani w szmaty skarbowe. Pompy były pierwotnie urządzone, wymagały jednak siły i pochylania się całym ciałem aż do ziemi. Ropa musiała przepływać po rynnach nieustannie; ubranie robotników ciągle spryskiwane, przemakało, następnie marzło. Ciężka pompa tak męczyła naraz trzech ludzi, którzy musieli nią przeszło sto razy poruszyć, że częstokroć padali bez czucia na miejscu, skutkiem zupełnego wyczerpania sił. R. 1836 wprowadzono pewne udoskonalenia. Ludzie już pracowali z mniejszem natężeniem w specjalnie urządzonych budkach. Następnie r. 1838 już zastosowano siłę końską, dzięki czemu para koni wykonywała to, co dawniej 12-tu ludzi. Ale nawet i po tych ulepszeniach skazańcy mieli dużo pracy, która świadczyła, że nie szczczędzono i nie ceniono ich siły, nie troszczono się wcale o ich człowieczeństwo. W oddziale wywarzania soli podczas robót pośpiesznych gorąco stawiało się tak nieznośnem, że robotnicy musieli do naga się rozbierać i pracować w pocie obfitym, często wybiegać do budynku drewnianego, źle osuszonego, i tam pod-

dawać swe ciało mroźnej temperaturze. W niektórych warzelniach, skutkiem nieumiejętnego urządzenia, gromadziło się tyle dymu, że robotnicy dla poprawienia ognia musieli się czołgać po ziemi. W najlepszym razie zapadali na choroby oczu i tracili apetyt. Najmniejsze skaleczenie ciała skutkiem gryzącej pary słonej zamieniało się na ciężkie i niebezpieczne rany. Przy tem zaziębienie, z powodu ciągłej zmiany temperatury, było nieuniknione. W takich warunkach rzadko który robotnik mógł wytrwać dłużej niż dwa miesiące. Wielu udawało się do szpitala, zawsze przepełnionego chorymi na reumatyzm, tyfus, zupełną utratę apetytu. Ale jeszcze więcej robotników, nie zdążywszy zachorować lub trochę przyszedłszy do zdrowia, uciekało do lasu i na włóczęgę przy pierwszej lepszej sposobności, szczególnie z warzelni irkuckiej, czyli tak zwanego Usola. Termin skarbowy dla odzieży aresztanckiej przy takiej pracy nigdy nie był odpowiednim. Nosząc sól na plecach, aresztanci szybko niszczyli ubranie, tak iż 80 kop., udzielonych na naprawę miesięcznie, nie wystarczało nawet na łaty. Bez kradzieży w takich warunkach niepodobna było się obejść. Wogóle nigdzie takiej jak tam nędzy i takich łachmanów nie było.

W gorzelniach praca katorżna miała inną postać. Tam przez cały rok ciężko było *żyganom*, którzy musieli palić w piecach, a więc przez całą dobę stać przy ogniu w ciasnem pomieszczeniu, w zaduchu trudnym do zniesienia. Tutaj katorga była podobna do tej, co w warzelni. Robotnik pracował bezpłatnie, nie mogąc sobie wyjednać żadnych ulg. Zimą podczas mrozów cały ciężar pracy spadał na *zacierników*, którzy musieli czyścić kadzie, odmywać ciasto, przylepione na ścianach. Ręce mokre kostniały, robotnik w temperaturze stopniowo spadającej śród pary pokrywał się szronem, jak ptak puchem. W rezultacie powstawało drżenie w całym ciele, brak apetytu i ciągła febra, którą z początku robotnicy lekceważą, skutkiem czego choroba silnie się rozwija i prowadzi do śmierci. W oddziale fermentacyjnym z powodu nagromadzenia kwasu

węglowego skazańcy tracili nieraz życie. Wydobywano z tamtąd już trupy zastygłe.

— Podczas ciepła — mówiono nam — zaciernikom jest lepiej, ale za to gorzej tym, którzy mają do czynienia z lodem. Jedni na rzece rozbijają bryły lodu do ochładzania kadzi, inni robią to samo w fabryce. Mają oni ciągle mokre ubranie i w rezultacie zapadają na ciężkie choroby. (W historycznym rysie urządzeń katorżnych, czytelnik znajdzie jeszcze inne warunki ciężkiej pracy skazańców. Patrz. tom III).

Z gorzelni także uciekano często. Cała ta katorga jest ponura i straszna jeszcze z tego względu, że robotnik po przyjsciu do koszar widzi tylko nędzę i lachmany. Katorżnik wie, że nowe ubranie nałoży na niego nowe długi, które uszczuplą skromny fundusz artelowy.

— Pomacam nogi, poradzę się doświadczonych, upatrzę chwilę stosowną i — żegnaj katorgo! Może na zawsze, a przynajmniej na czas długi.

Uciekają tedy z ciężkich robót nie dziesiątki, lecz setki aresztantów.

Po wysłuchaniu opowiadań skazańców, po przejrzeniu archiwów, spraw urzędowych i papierów, możemy nakreślić obraz tych ucieczek. Przy tem musimy zaznaczyć, że włóczęgi w swoich opowiadaniach starali się pokrywać milczeniem główną i najważniejszą przyczynę nieszczęścia, prowadzącego na Syberję, utrzymując zwykle, że ich wysłano za włóczęgostwo. W samym tonie opowiadań uderzał nas zdumiewający spokój, nie pozwalający na żadne uniesienia. Do męczarni swoich, jak widać, nie przywiązują znaczenia.

Z więzienia uciekają stosunkowo rzadko. Głównie chwytają się tej ostateczności więźniowie zamknięci na długi szereg lat, i to w samotnej, ciemnej, dusznej celi.

— „Do czego ich doprowadzała rozpacz, pożądanie swobody i świeżego powietrza!“ — mówi jeden ze znawców tego życia i dodaje: „Niema końca opowiadaniem o prze-

pilowywaniu grubych krat żelaznych scyzorykiem i spuszczeniu się na sznurze z prześcieradła, o podkopach pod podłogą, o ucieczce w przebraniu, o robieniu atramentu z rdzy żelaznej i herbaty mocnej. Jeden z więźniów na wygniecionym kawałeczku papieru, w którym była zawinięta owa herbata napisał tragedję w pięciu aktach. Ktoś posłyszał odległy stuk w więzieniu; ztąd wywnioskował, że ma sąsiadów oddzielonych grubymi murami. Przypuszczając, że jeden z blizkich mu towarzyszków może jest także w tem więzieniu, postanowił porozumieć się za pomocą uderzeń szczotką, do zamiatania w podłogę. Jakoż wywołał odpowiedź. Towarzysze zrozumieli się i rozmawiali w ten sposób oznaczając każdą literę kolejną liczbą uderzeń. Wkrótce wtrącił się do rozmowy trzeci nieproszony i popsuł całą sprawę“. Tak opowiada W. Dal (Kozak Ługański).

Atrament z rdzy i herbaty robili ci przestępcy państwowi, którzy r. 1825 byli zamknięci w dwóch twierdzach: petropawłowskiej i szlisselburskiej. Więźniowie w pierwszej pisali do krewnych wrazenia z kilku dni, a nawet miesiąca i nauczyli się pisać tak ściśle i drobno, że wkraczało to w dziedzinę pewnego rodzaju sztuki, wymagającej dłuższej wprawy. Wszystkie wrazenia musieli pisać tylko na tych drobnych kawałeczkach papieru, w których były zawinięte proszki sodowe, wydawane z polecenia lekarza (inny papier nie miał wstępu do więzienia). Zamknięci w twierdzy szlisselburskiej otrzymywali z upoważnienia władzy, pomarańcze, które wewnątrz były wypełnione listami, papierem czystym, banknotami, atramentem, piórami i t. d. W twierdzy petropawłowskiej jeden z więźniów za pomocą uderzeń szczotką w podłogę dowiedział się, że sąsiadem jego jest autor utworu „Biada z rozumem“, który znowu za przepierzeniem drewnianem miał sąsiada Żyda, utrzymującego pocztę między stowarzyszeniami tajnymi, północnem i południowem. O tchórzliwości Żyda komunikował on sąsiadowi takie szczegóły zabawne, że ten mylił się w rachubie uderzeń, pod wpływem śmiechu serdecznego. W końcu dowiedział się, że autor

„Biada z rozumem“ powziął stanowczy zamiar napisania po powrocie z więzienia nowej sztuki p. t. „Żyd w więzieniu“ (zamiar zrestą nieurzeczywistniony).

Z więzienia irkuckiego wychodził cichaczem Żyd przebrany, w eleganckim kostiumie, po to, ażeby pozartować sobie w przyzwoitem towarzystwie klubowem. Wyciągnął z kieszeni prokuratora sto rubli, tyleż prezesowi zarządu gubernialnego, wreszcie naczelnikowi kraju — zegarek. Wychodząc, spotkał się we drzwiach z innym Żydem, który zagroził, że go wyda, jeżeli ten się z nim nie podzieli łupem zdobytym. Zaspokoiwszy na prędce to żądanie, wyszedł na ulicę, ten zaś, który pozostał w klubie, gdy się spostrzegli okradzeni, był zrewidowany i wydał sprawę kradzieży. Policya pośpieszyła do tej celi więziennej, z której zręczny złodziej wysliznął się do klubu, a na swoim miejscu zostawił innego więźnia. Znalazłszy numer zajęty i uwierzywszy kłamliwej odpowiedzi więźnia, policya odeszła, lecz w bramie więziennej spotkała prawdziwego lokatora celi „sekretniej“, który przyjechał dorozką. Żyd tak był niezręcznym, że pojechał z klubu do szynku pohulać sobie, tam przedmioty niebezpieczno zamienił na bezpieczne pieniądze. Zetknąwszy się w bramie z policją, zaczął wyrzucać z kieszeni pieniądze i przedmioty.

Jak wiadomo, w więzieniach syberyjskich istnieje „zamknięcie osobne“, które jest traktowane, jako kara chwilowa i tylko dla złoczyńców niepoprawnych. Zamknięcie to, niestety, dotychczas jeszcze było połączone z przykuciem do łańcucha.

Jeden z takich więźniów leżał z łańcuchem w szpitalu robót nerczyńskich, gdy tam jeszcze trzymano skazańców. Pewnego dnia podczas przeglądu zrana na łóżku chorego znaleziono tylko łańcuch i kłódkę. Wewnątrz kłódki za sprężynę była zaczepiona pętka, zrobiona z nitki, wyciągniętych z prześcieradła. Zbiega nie znaleziono, ale stojący na straży żołnierze otrzymali po 50 kijów.

W więzieniu tomskiem było dwu aresztantów w celi osobnej. Zewnątrz pod oknem, jak zwykle, chodził szyld-

wach. Pewnego razu zauważył on, że nad głową przeleciało coś ciężkiego i białego. Jeszcze nie zdążył się zorientować, gdy zjawisko znowu się powtórzyło. W przedmocie tajemniczym poznał on tym razem człowieka, więc spostrzegłszy co się święci, wystrzelił na ślepe. Wywołało to trwogę i zamieszanie. Nadbiegła straż i ludzie, chętni do różnych skandałów. Zarządzono obławę, obszukano wszystkie miejsca pobliskie. Pod ścianą więzienną znaleziono człowieka nagiego z nogą złamaną. Był to więzień z celi osobnej. Ciało miał wysmarowane tłuszczem, ażeby łatwiej było wymknąć się z rąk pogoni. To samo, według słów jego, zrobił towarzysz. Obaj ubranie skarbowe pokrajali na paski, z których skręcili powrozy i przytwierdzili je do krat przepiłowanych. Spuszczając się wprawili swoje ciała w ruch wahadłowy, ażeby z rozpędu mózgi przelecieć przez ścianę pobliską. Jednemu szczęście nie posłużyło, drugi potrafił zbiedz, ale wkrótce był pojmany i przyprowadzony do badań:

— Gdzieżes był w chwili gdy zarządzono obławę i obleżonookoła więzienie? Niepodobna przecież było dalej uciekać?

— Przez cały ten czas siedziałem w studni. Gdy widzę, że żołnierze są blisko, zanurzam się w wodę, chowam głowę. Oddalą się — wysuwam głowę, ażeby odetchnąć. Ubranie rzucił mi przejeżdżający włościanin.

Co do przepiłowania krat, rzecz się tak miała: Jeden ze zbiegów był krawcem i z pozwolenia władzy miał wszystkie niezbędne narzędzia. Przy oględzinach porzuconego naparstka znaleziono w nim piłkę, zrobioną ze sprężyny od zegarka i zręcznie włożoną.

W więzieniu omskiem jedna z aresztantek postanowiła uciec z celi osobnej, gdy pod oknem przechodziła krowa. Kobieta wymierzyła swój skok tak zręcznie, że trafiła wprost na grzbiet krowy, ta zaś przestraszona poniosła ją, lecz niedaleko.

W więzieniu omskiem widzieliśmy aresztanta, suchego jak szczapa, zręcznego zaś jak małpa. Potrafił on

z miejsca ustępowego przecisnął się przez wąską szczelinę. Po rynnie spuścił się z pierwszego piętra na podwórze, następnie dostał się na ścianę, otaczającą wszystkie zabudowania więzienne, również po rynnie. Tą swoją zręcznością wprawił w zdumienie urzędników badających i świadków a nawet u pierwszych wywołał niedowierzanie. Ażeby przekonać, włóczęga powtórzył to wszystko w oczach urzędników. Był to mieszczanin miejscowy, liczący zaledwie 15 lat życia.

Pojedynczo więźniowie uciekają bardzo rzadko. Zwykle kilku naraz przygotowują ucieczkę, jej zaś wykonaniem zajmuje się mały artel ze zdolnym przywódcą, najczęściej doświadczonym włóczęgą. Ułatwienie robią pomocnicy uboczni, często stróże za pieniądze lub przez głupotę i gapiostwo. Największym gapiostwem odznaczają się kozacy z Burjatów.

Można napewno twierdzić, że niema w Rosyi więzienia, z którego by nie uciekano.

Stosunkowo najmniej uciekają z więzień etapowych syberyjskich. Z katorgi skazańcy umykają w znacznie większej liczbie, chociaż poniekąd w tych samych warunkach, t.j. częściej z robót niż więzienia, częściej gromadnie niż pojedynczo. Są tu inne powody.

Z więzienia etapowego ucieka aresztant jak dziecko, sam nie wiedząc dokąd. Ucieka dla tego, że w zamknięciu życie jest niedobre: a nuż w lesie będzie lepiej! Może ztamtąd uda się dalej wybrnąć. Nie uciekałby, gdyby go nie łudzili towarzysze, gdyby się nie uśmiechali na to po błazliwie stróże i dozorczy. Zbiega z więzienia etapowego zawsze łatwiej schwytają i łagodniej ukarzą. Największe jego przestępstwo podczas ucieczki—drobna kradzież i pijanństwo. Nieraz on sam przychodzi przed oblicze sądu ze skruchą. Jeden z nich w Tobolsku na wiosnę r. 1863 nie wrócił z roboty do więzienia z dwoma innymi. Nazastrz późno wieczorem sam zakolatał do wrót więziennych i był wpuszczony na pośmiewisko aresztantów. Na zeznaniu powiedział, że dwaj towarzysze uciekli, że on pił z ni-

mi, ale więcej niż oni; pijany usnął w krzakach. Rano zbudził się trzeźwy, dzionek jeden pohulał, a teraz oto przyszedł do domu, nie wiedząc gdzie ma iść i czego szukać na swobodzie.

Inny jest zbieg z katorgi — wytrawny, doświadczony *warnak* po syberyjsku, *czaldon* — według nazwy katorżnej. Inne on ma cele, drogi, dobrze wytknięte i poznane. Ten nie zabłądzi i niczego się nie przestraszy; ani przejść geograficznych, ani prawnych. Warnak traktuje ucieczkę jako sprawę ważną i polityczną. W lesie jest jak ryba w wodzie, a w fachu swoim, jak wirtuoz i majster. W pogoń za zbiegiem więziennym pójdzie dwu trzech ludzi, tak tylko dla pozorów, ze względu na służbę i władzę; ale i ta władza jedną ręką macha, a drugą wykreśla imiona owych aresztantów ze spisu obecnych w więzieniu, a zamieszcza na liście zbiegłych. Ale niech ucieknie warnak — zbieg z katorgi — wysłą za nim całą obławę konnych i pieszych, posypią się na wszystkie strony listy i zawiadomienia. Uciekł z więzienia Karyjskiego Iwan syn Piotra Dubrowin, a w godzinę już wiedzieli o tem wszyscy mieszkańcy czterech wsi na terytorium kopalnianem. Wszystkich ogarnął strach wielki, bito na trwogę, nie spano po nocach. Wszyscy jakby oczekiwali jakichś nadzwyczajnych wypadków i cudów. Jakoż na czwarty dzień Dubrowin dał znać o sobie: w domu na skraju wsi zabił kobietę i dwoje dzieci, bez żadnego powodu, chcąc tylko zaspokoić swoje popędy zbrojeckie. Dobrał dwu towarzyszków i niezbyt się oddalił od katorgi. Następnie z bandą swoją rabował wszystkich ludzi przejeżdżających i przechodzących nad rzeką Szyłką. Gdy nareszcie go pojmano, to nie dość, że przykuto do łańcucha, lecz jeszcze nałożono na ręce *lisę*,¹⁾ żeby nawet z miejsca nie mógł się poruszyć. Takich zaś, jak Dubrowin, w katordze rzeczywistej jest dużo. Ale o nich będzie mowa później; o innych — teraz.

¹⁾ Lisa — sztaba żelazna, wagi półtora lub dwa pudy.

Za Bajkałem krąży wśród ludu podanie, że Piotrowskie ognisko robót ciężkich szczególnie obfituje w ucieczki skazańców, którzy uciekają nie pojedynczo, lecz gromadnie, — *na hura*. Ażeby wywołać zamieszanie wśród straży, krzyczą wszyscy „hura“, jak podczas bitwy. Trzeba tylko łańcuch przerwać. Więźniowie, gotowi do ucieczki, na sygnał tego, który kraty przepiłował, szarpną swoje koszule na kawałki, obmotują nimi kajdany, żeby nie brzęczały i uciekają przez okno, licząc na to, że towarzysze, którzy zdecydowali się zostać, okrzykiem „hura“ odciągną uwagę straży. Zbiegowie jednocześnie również krzyczą tak samo. Próby takie, według podań ludowych, zawsze były wieńczone pomyslnym skutkiem. Straż nie mogła pochwycić aresztantów, jeszcze z tego względu, że ci ciała swoje smarowali tłuszczem. Archiwum jednak nic nie mówi o ucieczkach tego rodzaju i nie stwierdza podań ludowych, które zwykle powstają z mnóstwa wypadków pojedynczych. Ale podania te widocznie są oparte na faktach prawdziwych z przeszłości, nie zanotowanych w papierach urzędowych, z osobistego wyrachowania władzy więziennej (co się bowiem nie dzieje na katordze!). Niemniej papiery archiwalne robót Duczarskich (obecnie skasowanych) podają jeden podobny wypadek, dowodzący, że ucieczki zbiorowe nie są mitem. Było to 8 czerwca r. 1815. Z *dwudziestu* uwięzionych uciekło *czternastu*. Rzecz tak się miała:

Więzienie duczarskie miało do rozporządzenia ośmiu żołnierzy. Przed przytwierdzeniem aresztantów do łańcucha, czterech żołnierzy otworzyło drzwi zakratowane a następnie więzienne, prowadzące do wnętrza. Aresztanci rzucili się całą masą na żołnierzy. Zrazu porwali czterech przednich, następnie resztę—czterech z tyłu. Odebrali im tasaki, wyrwali bagnety ze strzelb, uwiązali wszystkich mocnymi powrozami i zamknęli za kratą. Czterech przednich prócz tego zbili szczapami drzewa, podoficera związanego porzucili w kącie więzienia. Czternastu aresztantów, wyszedłszy z kazamaty, przełamało w sieni przegródkę, wzięło strzelby, ładunki i proch. W miarę tego,

jak żołnierze z obchodu pojawiali się w więzieniu, wiązano ich także i umieszczano za kratkami z poprzednimi. Sygnały i rozkazy dawał jeden z więźniów. Następnie, gdy już związali wszystkich pełniących straż żołnierzy, sami uciekli. Dopiero sztyldwach przybyły na zmianę, posłyszawszy głuchą rozmowę, zbadał stan rzeczy i z trudem uwolnił 12 żołnierzy. Uderzono w dzwon na trwogę i zbiegli się ludzie. Urządzono obławę, rozpoczęto poszukiwania, ale bezskutecznie. Do zarządu urowskiego wysłano gońca. Na skutek tego urządzono tam również pościgi. Dwunastu chłopów uzbrojonych połączyło się z komendą ciężkich robót, zaczęto ścigać warnaków w dolinie górskiej, zwanej Szeroką, ciągnącej się ku rzece Urowowi. W dolinie tej znaleziono ślady: trawę zgniecioną, popiół ze świeżych ognisk; wreszcie dognano zbiegów. Zaczęto strzelać z obu stron. Postrzelono konia włościaninowi i zabito zbiega. Na tem się skończyła potyczka, która z powodu niedogodnej miejscowości nie dała innych wyników. Tym czasem nadeszła noc; aresztanci ukryli się w lasach nieprzebytych. Nazajutrz szukano ich znowu i nie znaleziono. Dopiero po trzech dniach porucznik Ryk natrafił na ślady. Sześciu zbiegów schował w sianie włościanin, który wziął od nich 10 rubli za chleb. Pod wsią Podozierną, w nizinie bujnie zarosniętej, porucznik Ryk użył broni, czterech zbiegów trupem położył na miejscu, trzech schwytał. Innych nie zdołano tym razem znaleźć i dopiero po pięciu dniach złapano ich na kradzieży we młynie. Gdy się wymknęli, urządzono za nimi pogon i w dolinie Kamionce znowu zaczęto strzelać. Zabito jeszcze dwóch, trzeci ukrył się w gęstwinie leśnej i wszelkie za sobą ślady zatarał.

Przed ucieczką aresztanci więzień nerczyńskich przedewszystkiem troszczyli się o zapasy, myślą nie o teraźniejszości, lecz o przyszłości. Zaopatrując się w nową, całą odzież, więźniowie wpadają w niemożliwe do wypłacenia długie skarbowe i kończą z ciężką katogą wszelkie rachunki za pomocą ucieczki. Ten, kto zamierzył uciec, zwykle

wchodzi w przyjazne stosunki z tymi towarzyszami, którzy mają do czynienia z artykułami żywności, oraz z temi kobietami, które zarządzają kuchnią. Sprawa szybko się załatwia, nawet pomimo takiej przeszkody, jaką stanowi starosta. To przecież swój człowiek, sam nieraz skosztował słodyczy ucieczki i zaznał życia włóczęgowskiego! Zrozumie on tedy całe położenie i przeszkód czynić nie będzie. Takich ludzi więźniowie wybierają na to stanowisko. Zresztą aresztant doświadczony sam potrafi pokierować swoją sprawę, podczas badań nie wpłące nikogo, lecz całą odpowiedzialność weźmie na siebie. Zamierzywszy ucieczkę, głodzi się, je bardzo mało, porcyę swoje zaoszczędza, nie bierze z kuchni ani chleba, ani mięsa. Gdy przyjdzie już chwila stosowna, prosi o wszystko hurtownie: chleba funtów 25, płat mięsa wielkości swojej głowy. Bierze to wszystko i chowa do skrytki, bez której żadne więzienie obejść się nie może. Jest ich w turmach więcej niż nor lisich i sobolich w lesie. Budynek drewniany jest pod tym względem dogodniejszy niż murowany. Zwykle skrytki takie robią się pod podłogą, najczęściej koło pieców lub za piecami. W więzieniach murowanych transportowych (gubernialnych i powiatowych) skrytki robią się w ścianach. Np. w więzieniu tomskiem w pewnem miejscu koło tapczana dość było wyjąć cegłę, ażeby odkryć dużą przestrzeń pustą, którą podczas budowy zapończono nie gruzem i cegłą, lecz kawałeczkami drzewa. Zawartość ta z biegiem czasu i skutkiem wilgoci spróchniała i stworzyła skrytkę obszerną, w której mogła się zmieścić cała własność więzienna. Chowano tam przyrządy wszelkiego rodzaju, wódkę w naczyniach szklanych najróżnorodniejszego kształtu i najrozmaitszych rozmiarów, karty, tytoń i t. p.

Skrytkę tę zamykano dobrze dopasowaną deską, pomalowaną na kolor ściany. W więzieniu tobolskiem znaleziono taką kryjówkę w ścianie naprzeciw pieca. Aresztant przykuty do łańcucha schował tam trzy noże, dwa pilniki, dłuto, szydło, pięć pieczęci ołowianych i miedzianych i masę papieru wszelkiego rodzaju. W więzieniu tiumeńskim

w kuchni pod dzieżą wyjęto kilka cegieł, gdzie chowano wódkę i wszelkie inne rzeczy.

Skrytki te ułatwiają arestantom gromadzenie zapasów przed ucieczką. Zbierają oni także pieniądze przez długi czas i chowają je przy sobie, zaszywają w kołnierzach koszul i kurtek skarbowych, w podeszwie buta, w obcasach i t. d. Chodzi głównie tylko o to, ażeby zapasy nagromadzone ukryć przed okiem złodzieja, gdyż, jak wiadomo, więźniowie nie uznają prawa własności i kradną zawsze, jak tylko się zdarzy sposobność. Ażeby zwiększyć swoje zapasy, arestant idzie do szpitala, nie bierze pieniędzy na żywność i na łóżku szpitalnem jest w lepszych warunkach, zdala od pokus majdanowych.

Wogóle arestant bez pieniędzy i żywności nie może uciekać. Doświadczony, który już niejednokrotnie zmykał, rzadko ucieka sam, inni namawiają towarzyszw, a nowicyusze muszą mieć przewodników. Najdogodniejszą porą do ucieczek jest wiosna, gdy zakuka kukułka (stąd wyrażenie: „iść odwiedzić generała Kukuzszkina“, albo „posłuchać kukułki“). Uciekają także licznie latem, rzadziej jesienią, w zimie zaś podczas mrozów surowych umykają tylko gnani ustawiczną rozpaczą.

Gdy już wszelkie zapasy gotowe, ucieczka jest łatwa.

R. 1859 na terytoryach katorgi karyjskiej posłano kilku arestantów do roboty. Według ustawy i zwyczaju towarzyszyli im konwojowi: jeden z karanych żołnierzy, posłanych nad Amur, a następnie wciągniętych do kozaków zabajkalskich, a drugi młody chłop z tych włóścian kopalni, których w czwartym dziesięcioleciu wieku bieżącego zamieniono na kozaków, z imienia tylko.

Otóż przyszli arestanci z owym konwojem na robotę. Żołnierz rzekł do towarzysza, młodego chłopca:

— Idź no, zaczerpnij wody. Jakos po barszczu pragnienie dokucza; ja będę pilnował arestantów. Zdejmij

Syb. i cięż. rob.

tylko szynel, bo możesz spotkać oficera; złaje i wybije. Odpowiadać będziemy obaj.

Wykonał to polecenie. Poszedł do Kary po wodę, a gdy wrócił, znalazł na dawnym miejscu tylko jednego aresztanta.

— Gdzie inni?

— Poszli na przechadzkę, ciebie nie zapytali.

— Jakto?

— Tak! Jabym z nimi także poszedł. Bardzo namawiali, ale po namyśle zostałem. Oni mają katogę bezterminową, a mnie pozostaje tylko dwa lata. Nie warto!

— A gdzież mój szynel?

— Po to właśnie kazano ci zostawić, że jeden aresztant, rudy, powinien być w niego się ubrać. Wierzaj mi.

Wkrótce rozbiegła się pogłoska, że traktem idzie w dzień i w nocy w kierunku Czyty jakiś żołnierz z torbą i strzelbą, prowadząc z sobą trzech aresztantów.

— Dokąd zmierzacie?— spytał kupiec, dostawca mąki dla więźniów.

— Do Czyty, prowadzę aresztantów na badanie?

Po upływie dwu tygodni puścił pogłoskę inny kupiec, który wrócił z jarmarku wierchniendińskiego: Idzie żołnierz w pobliżu Wierhniendińska i prowadzi z sobą tylko jednego aresztanta, na badanie, jak sam mówił. Pochwycił go, jako zbiega.

— Tak poprowadzi — myślano w Karze; — poprowadzi i wraz z aresztantem pójdzie wprost do Rosyi.

Wypadki, które zaszły w Czycie, stały się tak głośne, że wieść o nich dobiegła aż do Petersburga.

Miejscowi żołnierze garnizonu nie tylko wypuszczali na noc aresztantów, ale i sami chodzili z nimi na rabunek w mieście i wsiach sąsiednich. Przed świtem wracali na swoje stanowiska. Winnych surowo karano, ale to ich nie hamowało. Żołnierze znowu dokonali kilku kradzieży i rzeczy skradzione ukryli na odwachu. Oficerowie

na ślództwie byli pobłażliwymi. Jeszcze w r. 1836 generał gubernator Broniewski dowodził, że moralność tych kozaków, którzy mieli do czynienia z policją i przestępcami, była w zupełnym upadku.

Bywają w katordze inne sprawy i innego rodzaju ucieczki, gdy więźniowie w przebiegłości starają się wzajemnie prześcignąć, nie oszczędzając towarzysza. Ponieważ walka ta prowadzi się na oślep, to i postacie jej są różnorodne. W rezultacie katorga daje bardzo wielką liczbę ucieczek.

W ciągu dziesięciolecia, od r. 1847 do 1857, zbiegło 2841 ludzi, i to takich tylko, którzy za ucieczki byli ukarani w zakładach katorgi. Prócz tego uciekły jeszcze 22 kobiety, które pochwycono i także ukarano. Po 1-szy stycznia 1859 r., t. j. w ciągu jedenastu lat, liczono zbiegów, których nie udało się pochwytać: 508 ludzi służących w kopalniach i 3104 osiedleńców i katorżników. W stosunku do całej ludności wysłanej liczba ta stanowiła 24%. Takie są dane urzędowe. Prywatne również wymowne, chociaż bierzemy pod uwagę tylko cyfry wysłanych katorżników i wykluczamy osiedleńców. Sławna piotrowska fabryka żelaza, gałąź przemysłu nerczyńskiego, także miała straty w tej mierze. Po 1-szy września r. 1851 w ciągu dziesięciolecia, uciekło ztamtąd 740 mężczyzn i 5 kobiet. Po 1 stycznia r. 1852, t. j. w ciągu dwu miesięcy jesiennych i jednego zimowego, zdążyło uciec jeszcze 26 ludzi, a więc wraz z cyfrą powyższą 771. Z tej liczby pochwycono tylko 19-tu, wykluczono z powodu przedawnienia dziesięcioletniego 31. A więc pozostało całkiem nieujętych 716 mężczyzn i 5 kobiet. Pewną liczbę zakłady zyskują w powrotnych z Rosyi. Według wykazu urzędu tobołskiego, w okresie 1833—1845 spędzono napowrót do Syberyi 12.652 ludzi (w tej liczbie 345 kobiet). Samych zaś tylko katorżników w ciągu dziesięciolecia (1838—1847) wysłanych przez Tobolsk z Rosyi powrotnie, przyjęto 2446 mężczyzn i 27 kobiet. Oczywiście nie każdy z nich wskaże własną katorgę, z której uciekł. Mają oni ołdawaa swoje

pseudonimy i wchodzą do kategorii „niepomnych“ (nie pamiętających pochodzenia i nazwiska).

Zbiegów można rozdzielić na dwie kategorie. Do pierwszej i głównej zaliczamy tych bywałych włóczęgów, którzy dążą możliwie najdalej. Wybornie oni znają drogę w ar n a c k ą, która ma określony kierunek przez lasy, miejscowości dzikie lub zamieszkałe i prowadzi włóczęgę daleko, aż do Rosji. Prawdziwy warnak ucieka po to, ażeby możliwie najdłużej użyć swobody. Stara się on, o ile siły pozwolą, nie wrócić do katorgi, zrećnie zacierając ślady po sobie. Albo, w razie gdy już mu szczęście nie dopisze, wciąga się do powrotnych, lecz nie prędko.

Do drugiej kategorii zaliczamy tych, którzy uciekają na los szczęścia, czasem tylko przewietrzyć się, pobłądzić po lesie na swobodzie, „jedynie ażeby się oderwać od robót skarbowych“, jak zwykle głoszą papiery urzędowe. Zbiegowie tego rodzaju, — żygani, drobiazg, — najczęściej nie docierają dalej niż do Bajkału. Chłody, odzież skarbowa, zdarta zupełnie przez lato w lasach, nieznanomość drogi, sposobów i prawideł włóczęgowskich, wszystko to bez udziału policyi sprowadza tego rodzaju włóczęgów znowu do katorgi. Po pierwszych mrozach jesiennych przychodzą oni do miasta poblizkiego i pokornie oddają się władzy.

Uciekają przy pierwszej lepszej sposobności na oslep, przed siebie, najczęściej gromadami. Jeżeli nie mają przewodnika, to błądzą, narażają się na różne niebezpieczeństwa i wkońcu wpadają w potrzask. Oto co jeden z nich opowiada:

„Uciekliśmy we trzech z „ogonów“ kopalni środkowej. Chodziliśmy całą noc i uszliśmy dość dużo.

— Chyba będzie wiorst dwadzieścia.

— Zapewne będzie.

Zaczęło świtać, znaleźliśmy się w jakiejś dolinie.

— Idźmy, bracia, tam, gdzie nas ta dolina zaprowadzi.

— Idźmy! — mówią, przeżegnawszy się.

Idziemy tak, aż tu przed nami jakaś wieś. Złękliśmy się.

— Czyśmy czasem nie wrócili?

— Gdzie tam! Szliśmy przecież ciągle wprost przed siebie. Trzeba zobaczyć, co to za siedziby.

Wszedłem na wzgórze, przyjrzałem się:

— Dyabeł nas, bracia, prowadził, i to nie nasz, lecz skarbowy.

— No, dla czego?

— Patrzcie, przyszliśmy do kopalni Górnej. Zaczęli się rozglądać w szczegółach i ostatecznie poznali miejscowość. I kopalnia, i więzienie, i dom zwierchnika — najwyraźniej.

— Chodźmy bracia tam, ukorzymy się, pobędziemy, pobłagamy, potem poznamy drogi. Nawet nie umiemy być włóczęgami!

— Zaczęliśmy się naradzać. Szkoda nocy tracić na próżno. Widzimy turmę pod górą i miejsca pracy. Niech was dyabli porwą! Teraz mamy dzień, chodźmy lasem. Na lewo! Nie będziemy wracali.

Po takim postanowieniu poszliśmy znowu na oślep; na lewo a potem prosto. Szliśmy jeszcze przez dzień cały, w nocy spaliliśmy. Na piąty dzień głód zaczął dręczyć.

— Może by dobrze było zaspokoić go jagodami?

— Skąd ich wziąć? Lasy jakies takie. Kępy, trzęsawiska, mech gęsty. Idzie się jak po pierzynie, a jagód niema. Żołądek z głodu się przewraca jak rękawica.

Zaczynamy pocieszać się, rozmawiać, ale on wyje, jakby w nim kto jeździł kołami.

Idziemy wciąż przed siebie, widzimy plot. Zaczynamy się rozglądać, czy niema śladów mieszkania ludzkiego. Słyszymy, jeden z towarzyszków zaryczał jakby z niego skórę zdzierano. Wpadł do jakiejś jamy i paszczę jak niedźwiedz rozdziawił. Wyciągneliśmy go.

— To jest pułapka na nas;—skombinował jeden z towarzyszków. Oto w bramie zawiesili kłodę, żeby, padając,

zabiła. Podobno w taki sposób wielu naszych braci zginęło. Szczęście, że nasz towarzysz tylko do jamy się dostał.

Omijając bramę, przeszliśmy przez płot i poszliśmy dalej. Wyszliśmy w pole, tam stado baranów spotkaliśmy, pod opieką pastucha, malca. Ten, zobaczywszy nas, zaczął co, sił starczy, uciekać. Wołamy, on nie słucha. Zaczynamy go uspakajać, więc zbliża się i pyta:

— Nie zabijecie?

— Głupil! nie mamy czem nawet. Daj nam jeść a my jeszcze zapłacimy.

— Nie dam, boję się was! Idźcie sami bierzcie: ot tam pod krzakiem chleb leży.

Poszedłem, znalazłem węzełek, rozwinąłem i porwałem chleb w obie ręce. Chciałem go pochłouąć za trzykrotnem ugryzieniem. Ale przypomniałem towarzyszków i nagle jakby mi kto chleb oderwał od ust. A rozum mówił: gdy nie będę jadł, każą się podzielić. Myślę tak, a jeść jeszcze bardziej się zachciało. Na zapach chleba skręca mi się, jęczy żołądek. Zaczęła mi w mózgu myśl świdrować: nie doniosę tego chleba, zjem go, niech towarzysze obiją mię za to. Wtem zawołali oni. Ja zaś stoję na tem miejscu, w którym chleb znalazłem. Przyszła mi inna myśl do głowy: zjem sam—syt będę; podzielę się z towarzyszami—nikt się nie naje;—mały bochenek. Ścisnąłem tedy okrawek chleba zębami, zamknąłem oczy, oddech zatamowałem w sobie i już nie pamiętam, jak biegłem, co sił starczyło. Przypadłem do towarzyszków: bierzcie—mówię, i dla mnie zostawcie.

Rozdzieliliśmy chleb na równe części i dalej poszliśmy. Znowu cały dzień spędziliśmy w pochodzie. Nad wieczorem ujrzelśmy wioskę.

— Chodźmy do chałupy z brzegu!

Weszliśmy, siedzi tam chłop, nie stary jeszcze i ładnie na nas spogląda, pyta:

— Z Kary jesteście, chłopcy?

— Tak, ojcze! z Kary.

— Ileż dni nie jedliście?

— Od pięciu dni okruszyny nie mieliśmy w ustach. Siadajcie—mówi—przy stole!

Siadamy. Wydobył barszczu z pieca, nalał do miski, chleba tam nadrobił, zaczekał, ażeby tak powstała potrawa przez chwilę, wziął łyżkę.

Sami, chłopcy, nie bierzcie, słuchajcie mnie. Zacerpnął barszczu łyżkę i dał mnie, znowu zacerpnął i dał towarzyszowi i tak wszystkich obdzielił po jednej łyżce, następnie po drugiej. Poprosiliśmy jeszcze, ale nie dał. Miskę z barszczem schował. Pyta:

— Wy zapewne po raz pierwszy?

— Co to znaczy „po raz pierwszy“?

— Uciekacie.

— Nie zdarzyło się nigdy; pierwszy raz uciekamy.

Uśmiechnął się.

— Idźcież spać—mówi. Dałbym wam jeszcze tego barszczu, ale rozerwie żołądek, poumieracie. Wiele już do mnie przychodziło waszego ludu. Wiem tedy dobrze, jak należy postępować.

Ułożył nas do snu w spizarni pod chałupą. Zasnęliśmy odrazu i na myśl nie przyszło niebezpieczeństwo. Zresztą było nam wtedy wszystko jedno, czy jeść barszcz chłopca, czy kaszę brzożową katorgi. Niech dyabli wezmą wszystko! Zbudziliśmy się jednak wolni. Chłop znowu barszczu przyniósł, dał nam po trzy łyżki, i to nie od razu, lecz po kolei. Ułożył do snu. Wstaliśmy znowu, nakarmił nas do syta, na drogę dał chleba i radę:

— Idźcie teraz naprzód! Napotkacie wawóz, przez który droga pójdzie prosto. Nie idźcie tam, bo w ręce kozaków możecie się dostać. Zawróćcie lepiej na prawo. Tam daleko mieszka kozak; zboża nie sieje; nie rośnie ono. Poluje na popielice, zastawia pułapki. Kozak ten bardzo chętnie najmuje waszych braci warnaków do roboty, ale płaci ołowiem. Zapamiętajcie to sobie dobrze.

Usłuchaliśmy. Do lewej kotliny nie poszliśmy, lecz do prawej i—zakolataliśmy do kozaka; sił nam nie starczy-

ło, strawy zbrakło, w dzień spaliśmy, szliśmy zaś w nocy. Może chłop przez złość tak mówił o tym kozaku. Zaszliśmy. Człowiek łaskawy, częstuje.

— Akurat na wasze szczęście upolowałem zwierzynę; jedzcie!

Nakarmił nas, zaczął się umawiać:

— Zostańcie, będę was karmił; pracujcie! Robota lekka. Schowam was tak, że nikt nie znajdzie. Jestem doświadczony!

Namawia, stara się nas zjednać. Ale my, pamiętając ostrzeżenie chłopca, nie daliśmy się skusić. Przenocowaliśmy, rano zaś wyszliśmy tak, że on nie spostrzegł; spał jeszcze. Pod wieczór patrzymy, dopędza nas konno, strzelbę ma na ramieniu. Podjechał i zmierzył się, chciał strzelać. Rzuciliśmy się nagle na niego wszyscy trzej. Jeden schwytał go z tyłu, zerwał rzemień i strzelbę odebrał. Kozak spał konia i umknął. Po upływie pewnego czasu znowu dopędza i trzyma w rękę inną strzelbę. Woła zdaleka:

— Oddajcie strzelbę moją!

— Nie zbliżaj się! mówimy. Sami będziemy do ciebie strzelali; zabijemy.

Traktował z nami długo; nie oddaliśmy mu jednak strzelby.

Zawrócił konia i na pożegnanie rzucił nam pogrózkę:

— Za waszą winę i za swoją krzywdę zemścę się na innych warnakach!

W jednym miejscu spotkaliśmy się z ludźmi, zaznajomiliśmy się. Oni powiedzieli, że są zbiegami z katorgi Piotrowskiej. Umówiliśmy się iść dalej razem. Było nas wtedy dwunastu. Raźniej się zrobiło i mniej strach dręczył. Roznieciliśmy ognisko. Towarzysze poszli do lasu poszukać jagód lub orzechów cedrowych. Znaleźliśmy taką roślinę, której korzonki są słodkie. Jemy ją i nasycamy się. Ludzie doświadczeni mówili nam o niej w więzieniu. Poszukajcie i jedzcie bez obawy. Zostałem przy ognisku, które zwabiło niedźwiedzia. Strzelba jest, ale prochu

niema. Zmierzyłem się, lecz to go nie przstraszyło. Rzucił się na mnie, ja zaś zacząłem biegać dokoła ogniska. Nie poszedł w ogień, lecz gonił mię dokoła, chcąc łapą dosięgnąć. Nic jednak nie wskórawszy, opuścił mię. Tymczasem wrócili towarzysze więc poszliśmy dalej. Znowu roznieciliśmy ognisko. Patrzymy, ten sam niedźwiedź idzie i kłodę w łapach dźwiga. Schowaliśmy się tuż w pobliżu za duże drzewo, niektórzy zaś wleźli na nie. Zbliżył się do ognia, rzucił kłodę, az iskry prysnęły i głównia wysoko poleciała. Gniewny zaczął rozgrzebywać ognisko łapami. Tymczasem jeden z towarzyszów podbiegł z tyłu i tak go uderzył grubym kijem po nogach, że aż przysiadł, zaczął „sztuki pokazywać“, pomimo że nie był uczony i z Tatarami w Rosyi na łańcuchu nie chodził. Powoli tarzając się zniknął nam z przed oczu. Na trzeci i czwarty dzień znowu siedł za nami i straszył nas. Piątego dnia już nas porzucił i więcej nie dokuczał.

Na szósty dzień wpadliśmy w ręce kozaków.

W opowiadaniu tem, bardzo podobnem do wielu innych, najbardziej godny uwagi jest szczegół, ujawniający gotowość włościan syberyjskich do przyjmowania i ogrzewania skazańców. Bodźcem tu jest zarówno współczucie dla cierpiących, przekazane przez ojców i długoletnie doświadczenie, jak również względy i warunki ekonomiczne życia syberyjskiego, wobec których jest bezsilna groza odpowiedzialności za ukrywanie zbiegów. Gospodarz syberyjski, włościanin lub kozak, zawsze pracuje i zawsze pożąda robotników, których szczególnie jest mało na Zabajkalu, wycieńczonem trzema upustami: przyciąganiem znacznej liczby robotników nad Amur do robót rządowych, najmowaniem ich do prywatnych eksploatacji złota (witimskie i czikojskie) i wreszcie do przewozu herbaty z Kiachty. Zbiegowie zaś od najdawniejszych czasów dają bardzo tanie siły robotnicze: tylko za żywność, za chleb gotowi są pracować przez całe lato na łąkach i w polu. Wobec prawa i sądu zarówno najmujący, jak i jego parobek, są odpowiedzialni. Zwyczaj ten istnieje od początku

zaludnienia Syberji przez wysłanych. Wypadki zemsty włóczęgów, wynikającej z odmowy gościnności, np. podpalanie, są częste. Mówią o nich i więźniowie, i papiery urzędowe w archiwach. Skończywszy robotę u zarobkodawcy, włóczęgi idą sobie dalej w poszukiwaniu szczęścia i nowych przygód. Większość prędzej zrabuje jakiś transport rządowy, np. pocztę, niż podróznego. Drogi syberyjskie słyną z bezpieczeństwa stosunkowo większego niż wszelkie inne drogi rosyjskie. Włóczęgi popełniają zabójstwa tylko w takich ostatecznych razach, gdy się zetkną z orężem lub surowością napastników. Zdrada wywołuje zemstę. Zresztą wypadki to rzadkie. Głód odgrywa ważną rolę; wogóle zaś włóczęga, szczególnie w stepach syberyjskich, jest spokojnym podróżnikiem, który się boi skrzywdzić innego, ażeby osobiście na tem nie ucierpieć.

U niektórych skłonność do włóczęgostwa przybiera formę jakiegoś szczególnego obłądu z wszelkimi oznakami rzeczywistej poważnej choroby, jak febra peryodyczna.

W robotach piotrowskich był jeden tego rodzaju skazaniec, znany wszystkim zamkniętym tam dekabrystom. Z powodu swej natury wyjątkowej wraził się on w pamięć wielu spotykanym przeze mnie ludziom. Nałóg do włóczęgostwa stał się właśnie w nim taką chorobą, której gwałtowne paroksyzmy odczuwał zwykle na wiosnę. Zaczynał wszystkich się bać, wpadał w zadumę, stawał się milczącym, obojętnym na wszystko otaczające, usuwał się od ludzi do ciemnych kątów. Podczas robót doznawał tęsknoty, która doprowadzała go do lez historycznych. W końcu dochodził do takiego stanu, że musiał uciekać. Znikał zwykle na całe lato. Jesienią wracał do robót obdarty, wychudzony, smutny. Twarz miał podrapaną, ręce i nogi w sińcach i ranach: oznaka, że nie najmował się do robót (przyniosłby odciski), ale chował się od wzroku ludzkiego w gęstwinach leśnych. Największą jego przyjemnością było nie widzieć przez całe lato nikogo, więc starannie wszelkie za sobą ślady zacierał. Pustelnik ten w ciągu lata odzwyczajał się od chleba i łatwo godził swój orga-

nizm z dziką strawą. Jadł jagody (borówki, maliny), różne korzonki i trawy. Gdy skutkiem takiego żywienia się tracił zupełnie siły, zbliżał się natenczas do wsi, kradł chleb lub prosił o niego, bardzo rzadko. Po powrocie dobrowolnie do robót pod wpływem zimna jesiennego, z którym nie mogła walczyć jego poszarpana, zniszczona odzież, zawsze otrzymywał plagi. Kara ta nie skutkowała wcale i na chorobę jego nie była ani środkiem chirurgicznym, ani terapeutycznym. Następnie przez jesień i zimę pracował w robotach przymusowych chętnie, posłuszenie i gorliwie bez szemrania, za dwóch, tak dalece, że wszystkich wprawiał w zdumienie, ale pracował tym sposobem dopóty tylko, aż się ozwała kukulka.

Skoro tylko ją posłyszał, zaczynał doznawać przykrego i trudnego do wytrzymania paroksyzmu. Przez sześć lat umykał do lasu, aż w końcu władza zaczęła patrzeć na to pobłaźliwie, przez palce. Na siódmą wiosnę przyszedł do inspektora, padł mu do nóg i zaczął prosić:

— Wielmożny panie! Kukulka kuka — pójdę. Słuchać nie mogę! Kusi. Ucieknę! Albo każcie mię związać, albo na łańcuch do ściany przykuć. Wytrzymać nie mogę! Sam cokolwiek sobie zrobię.

Litościwy inspektor usłuchał: posadził go na łańcuchu, dla własnego już zadowolenia wymierzwszy z góry całą ilość tych plag, które corocznie należały mu się jesienią po powrocie.

Aresztant przesiedział okres paroksyzmów na łańcuchu. Jesień i zimę spędził wolny od uwięzi, nie uciekł, lecz razem z innymi pracował. Na wiosnę następną znowu przyszedł do inspektora z tą samą prośbą; a na trzecią już wcale do niego nie przychodził i nie uciekał.

Ale oto innego rodzaju przykład:

R. 1808 do okręgu Udińskiego przysłano na osiedlenie za włóczęgostwo z Jekaterynburga starowierca, Gurja Wasiljewa. Na wiosnę r. 1815 z dwoma towarzyszami starowiercami uciekł on nad Amur z zamiarem stworzenia przytulku pustelniczego. W tym celu osiadł w po-

bliżu Albazinu, w pieczarce około ujścia rzeki Ursy. Spędzili oni tam zimę z r. 1815 na 1816. Ale na wiosnę pochwycili ich Mandżurowie i oddali władzy w Ajgunie. Tutaj mieszkańcy Mandżuryi zaproponowali im ogolić brody i przyjąć poddaństwo, za przykładem wielu zbiegów rosyjskich, mieszkających w Chinach¹⁾. Starowiercy nie chcieli się zgodzić. Mandżurowie, na mocy traktatu, przez Cிகikar i Chajlar odstawili ich na granicę rosyjską w Curutuchajcie. Ztamtańd wysłano ich na dawne miejsce zamieszkania w okręgu Udińskim. Guryj Wasiljew nie mógł wytrzymać i r. 1818 uciekł znowu nad Amur. Pochwycony latem roku następnego, temi samemi drogami wydany był władzy. Ukarano go chłostą i oddano do katorgi w wielkich kopalniach nerczyńskich. R. 1822 znowu uciekł i dostał się nad Amur do tej samej pieczary nad Ursą. Tutaj karmiąc się korzonkami, zwierzyną i rybą, przemieszkwał do następnej wiosny (r. 1823); ale chcąc uniknąć losu dawnego, postanowił popłynąć w dół Amuru na małej łódce z więzu. Nie upłynął stu wiorst, gdy znowu porwali go Mandżurowie i zawieźli do Ajgunu. Tym razem władze mandżurskie nie wydały go Rosyi, ale otoczywszy dozorem, pozwoliły mieszkać w mieście na wolnej stopie i włożyły na niego obowiązek nauczania chłopców mandżurskich języka rosyjskiego. Za to żywio-

¹⁾ Drogi włóczęgów nie mają końca. Nie przerywają ich żadne przeszkody. Mieszczanin kiachtyński, Karp Patinkow, ukarany i wysłany, przyszedł do stron rodzinnych z portu Ochockiego, pomimo że droga jego szła przez prawdziwe surowe pustynie. Kierunek przez Amur w praktyce włóczęgowskiej od dawna był znany, a Guryj Wasiljew z towarzyszymi to nie pierwsi i nie ostatni pielgrzymi, idący na wschód, zupełnie w stronę przeciwną od zwykłej rosyjskiej drogi włóczęgów. Jacobiemu, który zbierał dane o Amurze na początku stulecia niniejszego, zbiegowie mogli dostarczyć najdokładniejszych szczegółów: „Płynęli od Gorbicy 15 nocy letnich, w dzień zaś leżeli w miejscach ukrytych. Pochwycili ich Chińczycy i następnie prowadzili przez wiele wsi do miast Cிகikaru i Mergenia, leżących zdala od Amuru. Następnie zawrócili na wschód do Kalaru równinami. Potem wydano ich w Curuchajcie. W drodze byli 10 dni“.

no go, odziewano i wogóle zaspakajano jego potrzeby. R. 1826 z rozporządzenia władz ajguńskich wysłano go, wraz z innymi, w dół z biegiem Amuru na połów ryb. Surowe obejście się dozorców zmusiło go do ucieczki na małej łódce w dół. „Przełynawszy miejsce, gdzie wpada rzeka Sungari do Amuru—opowiada on — byłem zupełnie bezpieczny, gdyż Jantowie (Goldowie), mieszkający nad Amurem, już nie podlegają ani Mandżuryi, ani Chinom. Płynąc dalej Amurem, z pomocą mieszkańców miejscowych, około jesieni dotarłem do ziemi Gilaków, gdzie zatrzymałem się na zimę“. Tam Guryj dowiedział się, że na północ od Amuru mieszkają Tungusi. Na wiosnę r. 1827 wypłynął łódką gilacką na morze Ochookie. Płynąc ciągle przy brzegu, na 38 wiorst przed ujściem rzeki Tuguru zatrzymał się u Tungusów na zimę i wraz z nimi na wiosnę r. 1828 dostał się do więzienia udzkiego. Korzystając z tych wskazówek Gurja Wasiljowa, generał-gubernator Syberyi Wschodniej, Ławinskij, stworzył swoje plany zdobycia rzeki Amuru jeszcze w r. 1822¹⁾, t. j. na 20 lat przed hr. Murawjewem. Projektu jego nie uwzględniono w Petersburgu. Minister skarbu w r. 1833 odpowiedział: „Zdaje mi się, że wszelkie przedsięwzięcia, mające na celu żeglugę na Amurze, będą bezowocne, ze względu zaś na podejrzliwość Chińczyków—niebezpieczne. Nie mamy ani środków, ani zamiaru zawładnięcia tym krajem, a więc niepodobna myśleć o żegludze i handlu. Dla tego też nic nie należy przedsiębrać“. Wogóle wskazówki zbiegów, którzy byli za granicą chińską, w wielu razach posłużyły do zbadania Amuru i stron sąsiadujących z Zabajkałem.

Dla poszukiwania wernaków i czajdonów trzymano niegdyś osobno komendy. Ogromnie ich nienawidzi naród, mieszkający na stepach Charyńskich i w sąsiedztwie z nimi, znany pod nazwą Burjatów. Naród ten jeszcze nie przeszedł od życia stepowego, koczowniczego, do osia-

¹⁾ Prawdopodobnie omyłka jest w dacie. (przyp. tłómacza).

długo, jeszcze nie wyrobił w sobie łagodnych cech ludzi, zajmujących się rolnictwem.

Na tem tle ucieczki z katongi przybierają inny charakter, w którym niema już stron światłych. Role zmieniają się. Z jednej strony widzimy rozwścieczonych przosładowców, z drugiej — krwawych mścicieli za krzywdy i prześladowania. Burjat staje się uosobieniem kary, jakby narzędziem nieznanego mu prawa karnego. Włóczęga staje się warnakiem, czaldonem.

Prawie sto lat upłynęło od tego czasu jak Burjaci przeszli ze stepów Mongolskich do posiadłości rosyjskich i zmienili tylko nazwę z Burjatów na Brackich. W rzeczywistości zaś są tacy, jak byli. Dzięki życie stepowe utrzymało w nich w pierwotnej postaci to wszystko, czem się odznaczali ich ojcowie w stępach Gobi lub Szamo. Charyńskie i inne stepy nie stłumiły, lecz może nawet jeszcze dodały im ducha zwierzęcego.

Ze swoich miejsc rodzinnych Burjaci przynieśli między wielu cechami charakterystycznymi małe bystre oczy, które chociaż nie głęboko tkwią pod wazkiem golonem czołem i ukrywają się pod wypukłemi kośćmi policzkowemi, ale widzą tak daleko i dobrze, że zadon nabój ich „gwintówki“ nie chybi i nie pójdzie na marne. Gwintówka, jak dawniej łuk, jest nieodłączną i ważną bronią Burjata, jego karmicielką. Stepowiec jest goły, zwykł zaś brać zdobycz tam, gdzie się ona mu nawinie; nie przebiera przy tem w środkach i nie myśli o następstwach. Ażeby jeść, trzeba bić zwierzynę. Zeby się ubrać w pstrą kapotę i nakryć ogoloną głowę czapką chińską z czerwonym chwastem, trzeba bić sobole, popielice i lisy, a jeżeli się zdarzy oko w oko spotkać bez świadków Rosyan ze zbiegiem, to można i jego zabić. „Chudziutki zbieg lepszy jest od dobrej kozy“, — dawno już powiedział człowiek bracki: „Z kozy zdjąć można jedną tylko skórę, ze zbiega — dwie lub trzy“ (kozuch, siermięgę i koszulę).

Gęste koczowiska burjackie włóczęgowie omijają, a za Bajkałem starają się zaopatrzyć w prowizyę,

bo droga warnacka prowadzi z początku przez miejscowości niezaludnione. W pobliżu robót karyjskich idzie ona na północ od traktu pocztowego przez wieś Torgę, a następnie górami do Czyty. Z okolic Czyty zbiegowie idą przez Witim i Barguzin, ale częściej na południe w okolicę robót piotrowskich. Okolice te a nawet samo ognisko robót, były najulubieńszem miejscem wypoczynku włóczędzów. Jak świadczą dokumenty w archiwach, szynki były przytulkiem dla zbiegów z robót nerczyńskich i więźniów karyjskich. W okolicach śród Burjatów i rodzinnych odszczępieńców zbiegowie znajdowali przyjaciół. W pobliżu, na Mukyrcie, był znany las cedrowy, ulubione schronisko wszystkich zbiegów z robót piotrowskich i innych. Ten Mukyrt w zeznaniach zbiegów figuruje bardzo często.

Rzeka Chiłok prowadzi zbiegów ku jej ujściu, t. j. do rzeki Czikoj, która w dalszym ciągu kieruje ich do swojego ujścia lub do Selengi. Robiąc takie koło, ze względu na Burjatów i własne bezpieczeństwo, włóczędzowie przychodzą do tego samego Bajkału i kierują się ku Tunco, ażeby go obejść. Czasem się decydują na krok ryzykowny: w kradzionych, zapomnianych przez rybaków łódkach puszczają się na Bajkał i wchodzą na początek Angary. Do Irkucka podchodzą dosyć blisko i dalej za nim w lasach tajgi (gub. Irkuckiej) idą w pobliżu traktu pocztowego. Tam ich tymczasem pozostawimy.

Doświadczony bywalec zawczasu uwalniał swoje nogi od „bransolet nożnych“, rozbijając je kamieniem lub oskardem kopalnianym; żeby zaś ukryć przed okiem dozorców miejsca rozbite, zalewał je tymczasowo ołowiem. Szczególnie bardzo często robili to warnacy w piotrowskiej fabryce żelaza, gdzie wszystko jest gotowe pod ręką: i ogień i ołów. Kajdany rzucali w lesie pod krzakiem, do pierwszej zaś wsi po drodze przychodzili już zupełnie prawici. Doświadczony najczęściej przychodził do włóścian znajomych, z którymi już dawniej zdążył się zaprzyjaźnić, albo szedł za wskazówkami doświadczniejszego bywalca i korzystał z jego rekomendacji. Aż do stepów Charyńskich

czuł się prawie bezpiecznym i nie lękał się o siebie, jeżeli marszrutę miał zupełną, t. j. jeżeli posiadał prowizję przezornie przygotowaną. W razie ostatecznym las jest na usługi. Oprócz pułapek i sieci na zwierzynę — zdobycz tylko przypadkową, włóczęga mógł mieć roślinność leśną przez całe lato. Grzyby różnych gatunków, czosnek dziki (*allium ursinum*), kwaszony i solony przez sybiraków w wielkiej obfitości, jako lekarstwo od szkorbutu, lub środek zabezpieczający od tej choroby. Włóczęgi jedzą go w postaci surowej.

Powszechnie używanem i ulubionem jadem włóczęgów w lasach jest tak zwana po mongolsku mungała (*lonicera mongolica*), rosnąca zwykle w krzakach nad rzeczkami, w dolinach i na pobrzeżach. Ma ona czarne, długie jagody. Liście wydają woń nieprzyjemną, kora ma własności ściągające.

Bogaty świat roślinny nie wystarcza jednak do podtrzymania sił, więc zbiegowie ciążą ku wsiom po chleb gdzie, według odwiecznych zwyczajów syberyjskich, znajdują go za oknem izb. Są to zapasy dla nich umyślnie na noc przez gospodynie położone.

Mając to wszystko na względzie, a nadto wiedząc, że u Burjatów czeka ich albo kula, albo strycalek, doświadczeni zbiegowie idą ostrożnie, tylko w nocy. W dzień śpią ukryci albo idą tylko przez wielkie gęstwiny leśne. Sposobiąc się do podróży, więźniowie zwykle zaopatrują się w siekiere, która jest najlepszą przyjaciółką włóczęgi. Pozwala ona ogień rozniecić, daje możność znaczenia drogi dla innych. Piśmienni nawet wycinają imiona i datę swego przejścia. Doświadczony włóczęga, nie ociosawszy drzewa w pewien właściwy sposób, za nic nie pójdzie dalej. Tylko dzięki tym znakom, zbiegowie mogą się przedzierać, nie błędząc, przez olbrzymie lasy syberyjskie. Na stepach gwiazdy w nocy drogę im wskazują, a zorza wieczorna i poranna nie kieruje ich na wschód, ani do Chin nie zaprowadzi. Na bezludnym wschodzie można z głodu umrzeć; na południu Chińczycy wydadzą w ręce władz ro-

syjskich. Dla tego też włóczęgi zawsze ściśle się trzymają swojej drogi warnackiej; dla tego też doświadczeni temi drogami przychodzą z Kary do Czyty w ciągu siedmiu dni, gdy tymczasem poczta musi najmniej cztery dni jechać. Tylko już w razie ostatecznego głodu bywalec-włóczęga na Zabajkału odważy się przyjść do wsi nieznannej. Zwykle zaś siedliska ludzkie obchodzi on jak wilk. Ale w największym jest strachu i najostrożniej się przekrada koło stepów Brackich, ażeby uniknąć spotkania z Burjatami. Pewien włóczęga szedł zdala od ulusa, kryjąc się za krzakami, ale nie uniknął bystrego wzroku stepowca, który ze strzelbą nabitą zagroził aresztantowi drogę. Ten padł na kolana i złożył rękę na piersi, błagał o życie, obiecując oddać wszystko, co ma na sobie. Burjat wysłuchał prosby i gdy już dobili targu, włóczęga przyczołgał się do wroga na klęczkach, nie przestając jeszcze błagać płaczącym głosem i naraz porwawszy z ziemi kamień, ugodził nim w głowę jeźdźca. Ogłuszony Burjat wypuścił z rąk strzelbę, włóczęga zaś porwał ją, ściągnął wroga, zabił go i sam dosiadłszy konia, przejechał pozostałą część stepów.

Innym razem partya kajdaniarzy, idąc traktem do Nerczyńska, rozbiła konwój, zabrała strzelby, proch, ładunki i przez kilka miesięcy trzymała trakt pocztowy w oblężeniu. Wezwano wreszcie na pomoc sąsiednich Burjatów, urządzono pościgi, ale ten lud tchórzliwy nie potrafił odrazu napaść na zbrodniarzy uzbrojonych. Przypadłszy na koniach, zwyczajem stepowym w taki sposób, że z prawej strony zasłonięci byli głowami końskimi, uzbrojeni, jeden w strzelbę i pistolet, drugi w łuk i strzały, manewrowali po stepach i strzelali do aresztantów cofających się. Pierwszy strzał ugodził przywódcę bandy, następnie trupem położono kilku zbiegów. Reszta odstrzeliwała się i zabiła Burjata z łukiem. Ale śmierć przywódcy i kilku towarzyszy odebrała odwagę pozostałym. Tym czasem oblawa ich otoczyła i pochwycała.

Śród Burjatów są tacy, którzy przez całe swoje życie polują na „garbaczów“ (włóczęgow z węzełkami na ple-
Syb. i ciężk. roboty.

cach). Umieją oni wyszukiwać swoje ofiary, najczęściej kierują się ogniskami rozniecanymi przez zbiegów dla ogrzania się, ugotowania grzybów i kaszy. Niech tylko taki ogień błysnie zdala od miejsc zamieszkałych, wnet Burjat tam dąży i jednym wystrzałem kładzie na miejscu zbiega, podczas najszybszej jazdy konnej nabija „gwintówkę“ powtórnie, uśmierca drugiego, następnie trzeciego, jeżeli ten nie zdąży uciec. Ubranie więźnia jest mu zapłatą za strzały, ciała zaś uprzątnie władza ziemska, jeżeli je znajdzie, albo też wilki zjedzą.

W tych czasach gdy za pomocą przesiedleńców zaludniano Zabajkale, bardzo niefortunnie, polowanie na „garbaczów“ było rzeczą powszednią.

— Gdzie są mężczyźni?—pyta podróżny kobiety, przypadkowo zatrzymawszy się w izbie na trakcie krasnojarskim.

— Poszli na garbaczów;—odrzecze gospodyni takim tonem, jak gdyby oni poszli na grzyby; i dodała następnie.

— Wczoraj także chodzili; upolowali jednego tylko, i to bardzo ubożego. Mało się pożywili. W przeszłym roku to przynajmniej u jednego znaleziono w butach 50 rubli.

Podobno gubernator irkucki, Rupert, 13 takich myśliwych kazał ganiać na śmierć zamęczyć i dzięki temu rabunki i rozboje systematycznie prowadzone ustały na długo, ale nie zupełnie. R. 1805 włóczęgi w nocy o 50 wiorst przed Irkuckiem napadli na jednego członka świty hr. Gołowkina, posła do Chin (na kamerjunkra Gurjewą). Zrabowawszy, pozostawili jego i służbę przywiązanych do drzewa. Według świadectwa Gołowkina, skazańcy włóczęgi wstępnie się wtędy po Syberyi tysiącami, bez przytułku i środków do życia. Nawet nie bardzo dawno w Aczyńsku stał przed sądem włóścianin za 14 zabójstw, dokonanych na garbaczach. Według jego własnych zeznań, na czterestu znalazł tylko u jednego 25 rubli. Z innych miał tylko odzież. Złapano go na morderstwie rodzzonego stryja. Z pleców zabitego morderca darł pasy, a wnętrzości jak powrozy wyciągał i namotywał sobie na ręce.

Inny miał na swoim sumieniu około stu warnaków, z których mniejszą część związawszy oddawał władzy, licząc na 3-rublową nagrodę od głowy. Przeważną zaś liczbę wymordował i zrabował. Pewien amator za złapanie i dostarczenie stu zbiegów otrzymał złoty medal.

I dziś jeszcze Burjaci, ujrawszy porządne ubranie na zbiegu, nie zawahają się zamordować go. A oto opowiadanie jednego z aresztantów:

„Szliśmy we trzech. Wiorst trzydzieści oddaliśmy się od fabryki piotrowskiej. W wężowozie spostrzegliśmy łapacza — Karyma¹⁾). Z twarzy poznaliśmy go; musi to być ten sam, o którym towarzysze opowiadali w więzieniu i ostrzegali. „Gdy go zobaczycie — ukrycie się co prędzej; nie ma on serca i litości“. Sami zresztą znamy naturę Burjata i wiemy, co nas bezbronnych czeka, gdy dostrzeże jadąc konno: albo zechce wziąć żywcem i oddać w ręce władzy; wtedy każe nam wiązać się wzajemnie, ostatniego sam skrupuje; albo każe się na kłodzie w szeregu, oddali się i kulą gwintówki przeszyje wszystkich trzech na raz i trupy wilkom pozostawi w polu. Przyszło to nam na myśl, gdyśmy z nim się spotkali oko w oko. Zdążyliśmy tylko spojrzeć na siebie i porozumieć się wzrokiem. Wszyscy jednocześnie postanowiliśmy uciekać, każdy osobno, i rzuciliśmy się w różne strony z całych sił. Uciekamy. Biegnę nie oglądając się szybciej może niż inni; byłem znany z dobrych nóg. Naraz słyszę wystrzał. Zapewne jednego towarzysza przeszył, przekłęty, ale którego? Umykam ciągle; nie spostrzegłem, że las się zaczął. Znowu słyszę wystrzał. Ostatniego towarzysza zapewne zgładził przekłęty Burjat (naród ten nie marnuje ani jednego wystrzału). A więc na mnie teraz kolej!

Spojrzałem w bok i spostrzegłem drzewo, przez buzę zwalone, a pod korzeniami jamę. Skoczyłem tam

¹⁾ Karymi — kreole zabajkalscy, którzy się utworzyli z krzyżowania Rosyan z Burjatami, Mongołami lub Taugusami.

i schowałem się skulony. Ale ciągle zdaje mi się, że noga widoczna. Oddech zatamowałem i cały zołądek wciągnąłem wewnątrz. Słyszę tuż nad głową tętent konia. Struchlałem, straciłem przytomność. Oto lada chwila schwyci mnie na arkan. Tętent nie ustaje. Niogodziwiec widocznie szuka! Mało mu dwóch, jeszcze mojej odzieży zapragnął. Spojrzałem na siebie: łachmany, łała na łaćcie, dziura na dziurze! Śmiech mię porwał i od śmiechu tego jakby się lżej zrobiło i strach przeszedł. Zacząłem się rozglądać. Ot, do jakiego miejsca trafiłem! Korzonki wiszą i jama dobra. Niezawodnie niedźwiedz tu przez całą zimę mieszkał i łapę ssał. Pomyślałem i znowu śmieszne mi się to zdało. Słucham—tętent ucichł. Odetchnąłem głęboko i przeżegnałem się. Teraz poleżę tutaj, niech sobie jedzie! Rozbiorę się... Tak też zrobiłem. Przeleżałem do nocy; zasnąłem. Obudziłem się z rana i poczułem głód gwałtowny. Wyszedłem z jamy i postanowiłem iść dalej, bez względu na to, co mię spotkać może. Wszedłem na wzgórze i podążyłem dalej lasem. Spostrzegłem brzoźkę i postanowiłem wypróbować, ile mi sił ubyło. Szarpnąłem i wyrwałem drzewo z korzeniami. A więc jeszcze nie wycieńczyłem się tak dalece, mogę iść i walkę stoczyć, gdy się zdarzy sposobność stosowna.

„Idę dalej; oblamuję po drodze gałęzie brzożki, korzenie poobrywałem. Zrobił się kij z grubem zakończeniem, ogromny. Zacząłem opierać się na nim i poczułem, że iść jest przyjemnie i lekko. Wyszedłem na wierzchołek wzgórza. Oglądam się dokoła: las, drzewa rzadko rosnące, a u dołu nagie kamienie, brzeźniak zupełnie zwiędły, wszystko przez niego widać. W dolinie spostrzegłem dym wzbijający się w górę i jakby mi kto nogi podciął. Przystałem, zacząłem się czołgać, ukryty wśród drzew, między kamieniami. Pyczolołem się bliżej do miejsca skąd dym pochodził, pod górę. Chciałem zobaczyć, kto tam jest. Rozwazałem tak sobie: ogień rozniecił Burjat, nie warnacy nasi; tam zapewne jedzenie sobie gotuje, konia na arkanie przywiązał do drzewa, gwintówkę postawił. Przypadłem

za kamienie i myślę: chyba już nie posuwać się dalej. Wyjrzałem z za kamienia, a Burjat akurat wtedy twarz odwrócił. Serce mi zakolało, w uszach zadzwoniło, ręce i nogi zadrżały. Ten sam karym i jego koń! Radość wstąpiła we mnie. Teraz ty, bratku, w moich rękach! Oby tylko lepiej ukryć się udało! Znam wasze zwyczaje burjackie! Teraz się nazresz swojej padliny i spać legniesz niezawodnie, siodło sobie pod głowę podłożysz.

Schowałem się pod dużym kamieniem i postanowiłem czekać. Zrobił tak jakem przypuszczał. Najadł się, położył pod głowę ubranie; może ono było moich towarzyszków. Aż zęby mi zgrzytnęły. Położył się i gwintówkę umieścił z boku; mnie snadź przypomniał. Pamiętaj!

Ze trzy razy chciałem się rzucić na niego, ale ciągle mi się jeszcze zdawało że nie dobrze zasnął. Niech zapadnie w sen głębszy, zachrapie. Nareszcie rzuciłem się, porwałem gwintówkę i co sił starczyło, uderzyłem go kijem po głowie. Pochwyciłem arkan, ale ten wydał mi się niemocnym. Zdjąłem swój pas, związałem Burjatowi ręce i nogi, powlokłem go do drzewa, przywiązałem w połowie. Odszedłem i napawam się tym widokiem.

Burjat przyszedł do siebie, przemówił, błagać zaczyna:

— Puść, zlituj się! Zabierz chleb, gwintówkę, konia!

— Wezmę to wszystko bez pozwolenia twego!

— Bierz pieniądze!

— I to wezmę; — myślę sobie — jeżeli masz, a jeżeli niema, to i bez nich się obejde.

On mówi, a ja nie słucham.

— Puść, słyszysz! Ścigać już was więcej nie będę.

Ślub taki uczynię.

— Nie kpil! Nie oszukasz! Gdzie jest chleb twój? Pokaż, pysku burjaoki!

Wskazał.

— A kasza gdzie?

Również wskazał.

Zacząłem gotować sobie kaszę. On zaś błaga mnie, a ja nawet słuchać nie chcę, cieszę się. Ugotowałem ka-

szy, jem, a on ciągle wyje. Najadłszy się wytarłem jeszcze kociołek jego połą. Nałamałem chrustu i ogień podsycałem, aż zatrzęszczało. Rozpaliłem kociołek do czerwoności i nałożyłem Burjatowi zamiast czapki na głowę, po same ramiona“...

Opowiadanie według innego wariantu: Zbiega pochwyliło trzech Burjatów i przywiązało do drzewa. Sami zaś zasiedli do jedzenia i zaczęli rozmawiać swoją mową, z której aresztant domyślił się, że oni chcą zabrać odzież, a jego zabić. Napili się wódki i poszli spać. Więzień spostrzegł nóż przez nich zapomniany i zaczął przemyślać nad tem, jakby go dostać. Za pomocą zręcznych ruchów i natężenia mięśni spuścił się niżej. Następnie uwolnił jedną nogę i dotknął nią noża. Po długich męczących wysiłkach przyciągnął go do siebie, podniósł i przeciął więzy. Poczem zarzwał dwu śpiących Burjatów. Nad trzecim zaś, który wydał na niego wyrok śmierci, znącał się w sposób wyżej opisany.

Takie są legendy zabajkalskie, opowiadane wszędzie z małymi dodatkami. Ale oto sprawa oficjalna, dotychczas pamiętna wszystkim ludziom starym i wzięta przez nas całkowicie z archiwum nerczyńskiej Fabryki Wielkiej.

Włościanin Burcow w dolinie Kozłowskiej żnie żyto. O godzinie dziesiątej wieczorem zbliża się do niego trzech jeźdźców, wysłańców z zakładu Kutomarskiego i surowo każą mu ugotować dla nich jedzenie.

— Nie mam kotła przy sobie;—odrzekł Burcow;— w jurcie, w której nocuję.

— Masz konia, jedź.

Burcow wsiadł i popędził. Załedwie przejechał kilkakaset kroków, gdy naraż ujrzał sąsiada bronującego rolę. Zawołał go i ledwie zdążył powiedzieć:

— Przyjechało do mnie trzech gości, złoczyńców. Jakby się ich pozbyć?

Sąsiad poradził:

Jedź napowrót do nich, i o ile można zwlekaj; a ja tymczasem zawiadomię sąsiadów naszych.

Ten wrócił z kotłem i zaczął gotować im kartofle. Jeden ze skazańców zapytał go:

— Kto to się zbliżał do ciebie?

— To włóścianin Czirkow, który pytał: „co to za jeźdźcy do ciebie przybyli“? Odpowiedziałem według waszego rozkazu, że to ludzie skarbowi, którzy proszą jeść.

Skazańcy uwierzyli.

Potem mając to na względzie, że złoczyńcy, ujrawszy zdala obławę, mogliby go zamordować, poprosił, ażeby pozwolili pójść młócić.

Po godzinie przyjechał Czirkow z trzema włóścianami, którzy zawołali do włóczęgów:

— Wstawajcie, rozbierajcie się do naga, rzućcie noże!

Ale skazańcy, nie straciwszy przytomności, porwali za oręż: siekierę, kosę i żerdź, rzucili się na napastników. Aresztant Nikiforow zamierzył się kosą na włóścianina Czirkowa. Ten jednak, mając w rękę drąg, odbił cios ale kosa przecięła i przełamała drzewo, a Czirkow nie pamięta, czem go uderzył wtedy w głowę.

Dwaj inni, widząc, że towarzyszy leży na ziemi, umknęli do wsi. Skazańcy Nikiforow i Kouroj, rzucili się wtedy na Burcowa, jeden z siekierą, drugi z kosą. Ale w tej chwili Czirkow, odzyskawszy przytomność, zerwał się na równe nogi, odłamkiem drąga uderzył Kouroja po głowie tak mocno, że ten padł twarzą na ziemię i wypuścił z ręki odebraną włóścianom strzelbę, którą pochwycił trzeci chłop, Obuchow.

Korzystając z zamieszania, trzeci skazaniec (znany zbój i pieśniarz za Bajkałem), ukrył się; Nikiforow zaś zdążył skoczyć na koń, a jednocześnie Kouroj, przyszedłszy do przytomności, chwycił za koźuch jeźdźca-towarzysza i włókł się za nim kroków kilkanaście, poczem mimowoli ściągnąwszy towarzysza z konia, zwałił się razem z nim na ziemię. Pierwszy oprzytomniał Nikiforow, porwał się na nogi, wypuścił kosę i w mgnieniu oka dobył noża. To samo zrobił włóścianin Obuchow. Koń stanął między nimi, obaj tedy

uderzali przez niego nożami i kaleczyli się. Jednocześnie walczyli Kouroj z Czirkowem. Burcow zaś tym czasem zdążył nabić strzelbę i przeszywszy kulą Nikiforowa, trupem go położył. Widząc to Kouroj, wsiadł na koń i umknął. Obuchow został przy zabitym, a Czirkow, dosiadłszy konia, puścił się w pogoń za zbiegiem. Straciwszy ślad, zmęczony konia i siebie, musiał wrócić do wsi, odległej o wiorst pięć od miejsca bitwy.

W dokumentach oficjalnych pozostało jeszcze kilka spraw tego rodzaju, świadczących o zbrodniach złoczyńców na Zabajkalu.

W innych częściach Syberji zbiegowie stawali się najniebezpieczniejszymi w tych wszystkich bezludnych i jałowych miejscowościach, gdzie katorżnikom dawano jakiegokolwiek roboty. Wszyscy pamiętają bandę zbójów, stworzoną z tych złoczyńców, którzy byli posłani do robót solnych na pustkowie za Leną. Surowe obejście się i okrutne kary wywoływały częste ucieczki. Zabójstwa i podpalaenia wkrótce napełniły cały kraj trwogą. W lasach nad Leną zbiegowie stworzyli groźną bandę, dobrze uzbrojoną, która dzięki temu mogła tam długo grasować bezkarnie. Na łódkach z dwiema armatami opanowali oni rzekę krętą i obfitującą w zatoki, do których wstępu bronili pnice i wielkie gęstwiny leśne. Ztamtąd robili oni niespodziane napady na wsie, nieprzygotowane do obrony, na mieszkańców, którzy dawno już oręż zamienili na narzędzia rolnicze. Wszystkie te siedliska ludzkie w pobliżu rzeki dawały zbójom pewną i bezpieczną zdobycz. Popłoch ogarnął mieszkańców okolic rozległych. Zboje zaczęli w końcu napadać na więzienia i miasta. W jednym więzieniu skupili się mieszczanie i pomimo rozpaczliwej obrony, musieli się poddać. Napastnicy spalili domy i zrabowali mienie. Nareszcie władza zaczęła myśleć o środkach obrony, wysłała wojsko i urządziła oblawy. Bandę rozbito i rozproszono. Wielu zbójów pochwycono i oddano pod sąd, r. 1801 ukarano chłostą i przykuto do łańcuchów w więzieniach nercyzijskich. Między nimi był także, wysłany nie za politykę,

lecz kryminalne przestępstwo Polak Lewicki, który dożył do 5-go dziesięciolecia wieku niniejszego. Człowiek ten wyrobił sobie rozgłos, jako charakterystyczny typ niczem nieokiełznanego i upartego włóczęgi. Ze względu że to jest postać niezwykła, zatrzymamy się nad nią dłużej:

„Lewicki, wysłany do robót w kopalniach nerczynskich, znowu uknął; charakter niezależny nie mógł nosić jarzma katorżnego. W licznych swoich przygodach miał szczególne szczęście. Przedzierając się jak dziki zwierz przez lasy, to znowu przekradając się jako zbój na drogę, dotarł do Kaspiju i tam był pochwycony, ochłostany i odesłany do katorgi“. Ztamąd uciekł poraz trzeci, do Chin przez Mongolię, gdzie kilka jego rozbojów wywołało pościg. Zmęczonego wycieńczonego głodem oddano w ręce straży pogranicznej. Ponieważ ucieczki za granicę chińską obarczały władze rosyjskie zabiegami, korespondencyą, a jeszcze bardziej zwrotem kosztów, dziesięciokrotnie policzonych, za kradzieże (zgodnie z traktatem pokojowym), więc władza ta wymierzając kary zbiegom, poprostu pastwiła się nad nimi. Lewicki nie zważał i na to. Uciekł po raz czwarty i następnie zaczął tak długo, aż jego figurka mała zgięła się od knutów i kijów, a powierzchnia skóry pokryła się jednolitą masą blizn od chłosty. W r. 1832 wygnańcy polscy z r. 1831 poznali swego oryginalnego rodaka jako siwego starca, uwolnionego od robót, który jednakże włóczęgostwa i wtedy jeszcze nie porzucił; wędrował po całym Zabajkalu za kawałkiem chleba, zarabianym rozmaitymi sposobami. Nieustannie wędrował po górach i lasach z workiem na plecach i bębniem. Do worka kładł kawałki rudy lub szleru, które następnie sprzedawał. Śpiewając przenikliwym cieniutkim głosem, akompaniował na bębnie do polskich zapomnianych piosnek o stronach rodzinnych. Raz spotkawszy rodaków swoich, na zapytanie, z czego się utrzymuje, odrzekł, iż z jałmużny, o którą nie prosi. Pomoc ofiarowaną przyjął, ale z niej nie skorzystał. Po kilkotygodniowym pobycie w domu wygnańców, wyrwał się jak obłąany wodą

wrzącą, zabrał swoje łachmany, worek z rudą, bęben i rzekłszy: „Bądźcie mi tu zdrowi¹⁾!“ poszedł na wędrowkę dawnymi drogami. Zatrzymawszy się w jakiegokolwiek wsi po drodze, zakładał tam szkółkę: uczył przez kilka tygodni dziatwę włościańską, ale w końcu rozgniewawszy się na nią, brał worek, rozpędzał swoich uczniów i wybijając na bębnie marsz pogrzebowy, porzucał wieś. Chodząc tak od wsi do wsi, wszędzie uczył, ale nigdzie długo miejsca nie zagrzał. Pewnego razu do zakładu kultumińskiego przyjechał naczelnik górniczy, Tatarinow. Mieszkańcy oczywiście przygotowali się do przyjęcia jego i gdy on sobie spał spokojnie, rozległ się odgłos bębna. Lewicki wygrywał marsza uroczystego. To zakłócenie spokoju pociągnęło go do odpowiedzialności. Zagrożono, że mu bęben rozbiją, na co Lewicki odrzekł: „Jesteście zwierzchnikami ludzi, lecz nie bębnów. Możecie mnie ukarać i pobić, lecz bębna nie ruszcie. Jeżeli starczy wam sumienia na bicie starca, to bijcie, ale strzeżcie się mego bębna!“ Lewickiego przedstawiono jako dziwaka i tym sposobem gniew władzy złagodzone. Naczelnik dał mu rubla i uwolnił od kary. Pewnego razu na mrozie 25-stopniowym nie mając nic na sobie, prócz łachmanów, odmroził palec, które następnie odrąbał sobie siekierą. Dotarwszy z zakładu szyłkowskiego do Akatui, związał tam znajomość z arestantem z gub. Moskiewskiej, odznaczającym się olbrzymim wzrostem, siłą, oraz skłonny do przechwałek. Wzywał on ludzi do zapasów, obiecując pół sztofa wódki temu, kto go pokona, ale nie znalazł ochotnika. Lecz oto nagle zjawia się Lewicki, przyjmuje wyzwanie i jak Dawid idzie na Goliata. Młody arestant zrzucił z siebie jarmak i zakasawszy rękawy dumnie oczekiwał przeciwnika. Lewicki tymczasem śmiejąc się i zartując przewrócił się nagle i stanął na rękach, wykręciwszy się jeszcze raz, uderzył przeciwnika obcasem między nosem, poczem nagle sta-

¹⁾ Końcowy frazes pożegnania, przytoczony w oryginale po polsku, jest przekręcony i niezrozumiały. (Przyp. tłum.).

nąwszy na nogach, obalił go na ziemię pod siebie. Taka była starość tego człowieka, który spędził całe swoje życie na włóczęgostwie. Odznaczał się on jeszcze niedowiarstwem, staczał dysputy z duchowieństwem i ujawniał głęboko zepsutą duszę. Duchownych chwycił za szaty i wołał: „Niema Boga!“ Ten Wolter w łachmanach chętnie podejmował czem mógł każdego, kto się wdawał z nim w dysputę. Z dawnych czasów zdołał on zachować dumę. Niewola nie ugięła charakteru, ale jej atmosfera cuchnąca odebrała człowiekowi jego wartość wewnętrzną. Upadł on zupełnie i tylko w lepszym okresie pod koniec życia stał się dziwakiem i śpiewał pieśni ojczyzny swojej.“

Za Bajkałem przestępstwa zbiegów najczęściej ograniczają się drobnymi kradzieżami, które popełniają oni pod naciskiem warunków, zmuszeni głodem lub potrzebą ułatwienia sobie dalszej wędrówki. Kradzieże koni u włóścian jest to najczęstsze i najzwyczajniejsze przestępstwo włóczęgów, idących małymi partycami. Z początku swej wędrówki najczęściej zrabują jakiegoś pojedynczego człowieka.

Licząc na długą podróż doświadczeni włóczęgowie nieraz zaopatrują się w fałszywe pasporty. Robią je sami w więzieniach lub kupują od specjalistów, uprawiających tę fabrykację, albo wreszcie odkradają w nocy tym szczęśliwym towarzyszom, którzy zdążyli już się zaopatrzyć w owe dokumenty. Z pasportem takim włóczęga stara się wszelkimi sposobami unikać zdarzeń niebezpiecznych i zgubnych. Zmuszony głodem i ostatecznością, woli on popełniać drobne kradzieże, niżeli przedwcześnie pozbawić się tego wszystkiego, co dają szerokie obszary Syberji Wschodniej i Zachodniej. Nie ulega wątpliwości, że wielu zbiegów, nie dotarłszy nawet do Bajkału, ginie. Jedni zbłądzą w głuchych lasach tajgi i umrą tam z głodu, inni, porwawszy wątlą łódkę, utoną w burzliwych falach Bajkału.

Innych jeszcze niedźwiedzie zabijają w lesie. Góry i odnogi grzbieta Jabłonowego są tak liczne, tyle tam wozów, dolin, przepaści, że najdoświadczeńszy włóczęga

może zabłądzić i dojść do rozpacz, upaść na duchu i zginąć. Ci, którym szczęśliwie się udało pokonać labirynt lasów i gór, natychmiast wpadają do nowych niebezpiecznych miejscowości. Mogą umrzeć z głodu na rozległych stepach Brackich, gdzie sami Burjaci jedzą lichy, żyją rozproszeni, skupiają się przeważnie na kresach stepów, w pobliżu siedzib rosyjskich lub lasów, a więc i wody. Nie lepiej jest i dalej, gdy włóczęga trafi na szlak dokoła-bajkalski, czyli na tak zwaną „drogę dokoła-morską“, prowadzącą przez miejscowości bezludne, których, pomimo starań długoletnich, nie może uprzystępnić sztuka inżynierska i praca przedsiębiorców. O wielu włóczęgach władze powiatowe zdają tylko krótkie raporty. Tam znaleziono trupa zeszywniałego w śniegu, owdzie kilku naraz zmarłych z innej przyczyny i t. d. Bardzo wielu włóczęgów przywożą do robót i nazad z odmrożonemi i zgangrenowanemi nogami i rękami. Wszelkie pokaleczenia i ciężkie zwichnięcia nie są już brane w rachubę. Rzadko który wraca bez obrażeń tego rodzaju.

Pomimo znacznej liczby ginących w drodze, wielu dociera do Bajkału, niepokoi tam władze ludność. W miejscowościach gęściej zaludnionych włóczęgowie czują się bezpieczniejszymi. Na południu gubernii Irkuckiej, a nawet w pobliżu miasta gubernialnego stają się śmielszymi i zuchwalszymi. W okolicach Irkucka robią pierwszą stację z dłuższym wypoczynkiem. Tu nabierają świeżych sił, zaopatrują się w nowe wiadomości i pasporthy. Koło samego miasta, na tak zwanej „Wyspie Miłości“ (naprzeciwko moskiewskiej przeprawy przez Angarę) wykryto wyrabiaczy pasportów fałszywych. Materiałem dla nich były wszelkie dokumenty, wykradzione z instytucyj rządowych. Do włóścian okolicznych przychodzą i najmują się ludzie nieznani. Robotnik jest drogi i bardzo pożądany, więc skutkiem tego wytworzył się zwyczaj dawania znacznych zaliczek. Otóż dawszy zaliczki, idą przedstawić policyi dokumenty, które, jak się okazuje, wszystkie są

falszywe. Pieniądze dane z góry oczywiście najczęściej przepadają.

Przybrzeżni mieszkańcy Angary każdej wiosny wkrótce po spłynięciu lodów widywali na rzece małe, na prędcie sklecone płyty, z trzech lub czterech kłód, a na nich trochę trawy przeszłorocznej, łachmany i dwu lub trzech ludzi. To włóczęgi, szukający szczęścia na wartkich falach rzeki (progi obchodzą pieszo, a niżej robią nowe płyty). Bystrość prądu, zwiększona jeszcze nadmiarem wody wiosennej, ośmiela włóczęgów do tego stopnia, że przepływają pod oknami katorgi (np. dawniej koło irkuckiej warzelni soli) i nawet odpoczywają w pobliżu. Zwierzchność, obarczona dozorem przestępców na miejscu, patrzyła obojętnie na zbiegów z innej katorgi, przepływających obok. Mając niewielką liczbę ludzi, nie mogła nawet ich ścisnąć. W takich tylko wypadkach, gdy władza gubernialna czyniła wielkie zamówienia wódki i soli, a brak było rąk roboczych (miejscowych skazańców znaczna liczba w ucieczce), zwierzchność wysyłała żołnierzy na poszukiwania w okolicy, i zawsze z pomyślnym skutkiem. Z każdej takiej wyprawy żołnierze przyprawdzali po 12—15 zbiegów, z których zwykle połowa prosiła jak o łaskę, żeby ich zatrzymano na miejscu i nie posyłano do katorgi nerczyńskiej, z której zbiegli. Znaczna część skazańców wędruje dalej i dotarłszy do prywatnych kopalni złota, przebywa 8—10 lat i otrzymuje płacę, chociaż niewielką.

W zwykłym czasie na włóczęgów polują nie często, a więc rzadko który podróżny na trakcie syberyjskim przed Uralem nie spotka gromady zbiegów, złożonej z 5, 6-ciu, a nawet 30 ludzi, idących do Rosyi z węzełkami na plecach i butami zapasowymi. Takich właśnie pięć razy spotkaliśmy od Jekaterynburga do Irkucka. Tem się on różni od zwykłych podróżnych, że w dzień przy spotkaniu są zaleknieni i rzadko kiedy przed przejeżdżającym zdejmą czapkę, jak to czynią wszyscy Sybiracy, nie zbiegowie. Naczynie okrągłe u pasa, siekiera za pasem, ubranie żelazne; stare poszarpane siermięgi, worki na plecach, bla-

de, znużone twarze, sińce pod oczami, to są zwykle cechy włóczęgów. Nie ulega wątpliwości, że ci wszyscy, spotykani w pobliżu gór Uralskich, przeważnie są zbiegowie, których łagodność i spokój zdołały pokonać wszelkie pokusy: i Krasnojarsk, i Tomsk. Krasnojarsk — posiadają zbiegowie — to surowe miasto; nie da przytułku wolnym podróżnym; Tomsk — to takie miasto, w którym włóczęgowie niegdyś mieli wielką swobodę. Tam istotnie działalność policyi skrepowana, a własność prywatna najmniej zabezpieczona. Kronika praktyki policyjnej z powodu zabójstw, kradzieży, rabunków i wszelkich przestępstw w tem mieście obfituje w fakty jaskrawe. Ztąd można wnosić, że Tomsk jest główną stacją, oberżą wielką, w której zbiegowie zatrzymują się na wypoczynek. Nabroiwszy tam dużo, szczęśliwsi idą dalej, również pokorni i łagodni, nie zwracający uwagi podróżnych i nawet nie podnoszący na nich oczu, jak gdyby ze spotykaniem podróżnych na drodze byli zupełnie oswojeni. W rzadkich wypadkach uciekają się do jałmużny, a już w ostateczności decydują się na morderstwo i rabunek. W miejscowościach ludnych rzadko to jednak bywa; włóczęga nie jest dręczony głodem i już zbliża się do kresu swej podróży. Ludne wsie, odległe od siebie najwyżej o wiorst 20, które jedzą do syta i pożądają robotników. Przy tem obecni mieszkańcy tego traktu handlowego są dziećmi, wnukami lub prawnukami wysłanych. W takich miejscowościach włóczęgi bez obawy wchodzą do wsi i pod pozorem ubogich lub pielgrzymów (bohomolców), śpiewają pod oknami głosem płaczliwym „Miłosierną.“ Dawniej włóścianie nie chwyтали włóczęgów powodowani współczuciem: „Niech sobie idą z Bogiem; po co mamy krzywdzić nieszczęśliwych? Mają przecież swoją władzę.“ Obecnie mieszkańcy karabińscy i inni nad Irtyszem, zamożni i dostatni, dawniejsze współzucie czynem popierają. Udzielanie jałmużny stało się tam obowiązkiem. Każda gospodyni wystawia za okno na osobną deskę potrawy i chleb. Jeżeli te zapasy znikną, odmawia ona modlitwę dziękczynną, przeżegna się i znowu

wystawia za okno świeżą prowizję. Zwyczaj ten istnieje oddawna nietylko we wszystkich wsiach syberyjskich, leżących na drodze włóczęgów, ale nawet tu i owdzie w Rosyi. Dawniej zwyczaj ten był powszechnym, później nieco zanikł skutkiem nakazów i przestróg różnych. Półkę z za okna cofnięto do wnętrza izby. Tam idą bez ceremonii zbiegowie po strawę, a nocleg mają w sieni. Włóczęgi, osiadłszy w izbach ziemnych śród lasu, nieraz wychodzą na jałmużnę do wsi, udając ubogich lub pogorzalców. Idąc zaś w licznej gromadzie, odważają się nawet śpiewać „Miłosierną,” jak partya prowadzona na katorgę. Oddawna praktykowany w Rosyi zwyczaj zasiewania grochu i rzepy przy drodze, ażeby przechodnie mieli czem się pożywić, na Syberyi stał się obowiązkowym do tego stopnia, że roślin tych nie sieją inaczej, jak przy samych drogach i ścieżkach, specyalnie dla włóczęgów. Rzepa syberyjska jest smaczna i duża, a więc u drogi długo nie pozostaje w ziemi.

Zjawisko pokrewne daje się zauważyć również we Włoszech środkowych i południowych. I tam lud dopomaga bandytom, tym wygnańcom, wykluczonym z pod prawa. Bódcem tu jest między innymi potrzeba samobrony, obawa napaści głodnych; jest tu poniekąd i uczucie miłości chrześcijańskiej dla ludzi nieszczęśliwych, których lud rosyjski przestaje uważać za przestępców z chwilą, gdy oni swoje zbrodnie odkupili karą. Mogą tutaj być przyczyną te wszystkie pobudki, razem wzięte, ale nie sympatya dla bohaterów tego rodzaju; może to być wreszcie odbicie zamierzehłych czasów, z których dochowało się dotychczas włóczęgotwo w najróżnorodniejszych postaciach. Było ono rozpowszechnione w Rusi starożytnej; za pomocą włóczęgów rozszerzyła ona swoje granice i wywalczyła niezależność od dzikich hord koczowniczych, nacierających ze wschodu i południa. Włóczęgi kolonizowali północ, zawojowali Syberyę, zaludnili pobraża Donu i Ural wtedy jeszcze, gdy ich nie określano powyższą nazwą, lecz zaliczano do kategorii „przybyłych wolnych ludzi.” Włóczęgotwo, jako wolne przejście z jednej ziemi

na drugą, istnieje jeszcze dotąd wśród ludu i jest jedną z zasadniczych podstaw jego bytu. Porusza się on i przerzuca, ale ten ruch nosi tylko różne nazwy i odcienie. Jest tu także i uczucie religijne, wreszcie różne bodźce przemysłu i handlu. Życie społeczne wytworzyło w końcu europejską postać włóczęgostwa.

Zauważono, że większa część zbiegów nie przekracza granic Syberii Zachodniej. Najczęściej odsyłają ich do miejsca kary sądy ziemskie: irkucki, niżnieudiński, kański i kainski, ale najwięcej jałutorowski (gub. Tobolskiej). Tamtędy właśnie idą ci, którzy usiłują się dostać nad Wołgę i do Rosyi południowej. Skazańcy z gorzelni uspienskiej (gub. Tobolskiej) wytworzyli i opanowali drogę do Rosyi przez Czelabę, stamtąd przez Ufę dalej. Drogi etapowej w Rosyi boją się, chodzą więc manowcami, ale za to w Syberii bardzo często nawet nocują w budynkach etapowych na przystankach, korzystając z dawnej znajomości z żołnierzami.

Na wiosnę r. 1866 z powodu pewnego zabójstwa zrobiono dokładne poszukiwania koło Omska i w ciągu tygodnia pojmano 180 włóczęgów. Zauważono przytem, że szczególnie wytrwali są w uciezkach muzułmanie (Tatarzy i górale), którzy z zupełną obojętnością odbywają termin katorgi, ale uciekają do stron rodzinnych jak tylko ich wypuszczą na wyżywienie lub osiedlenie. Wykrycie tego zjawiska wywołało rozporządzenie senatu, który nakazał zamykać na przyszłość w fortcach finlandzkich tego rodzaju przestępców, mahometan, z gub.: Kazańskiej, Symbirskiej, Permskiej i Orenburskiej. Wreszcie sądząc z późniejszych cyfr przestępców-mahometan wysyłanych, widzimy, że rozporządzenie to nie było stosowane z całą surowością. Muzułmanie z gubernij w pobliżu Syberii uciekali i nadal, korzystając ze stosunkowo niewielkiej odległości do swoich stron rodzinnych, tudzież innych warunków przyjaznych. Uciekali także Czerkiesi, nekani w najwyższym stopniu rozwiniętą nostalgią. Znany podróżnik po Syberii, Akinson, w nieprzebytych okolicach Altyn-

Kulu i doliny Biż spotkał gromadę zbiegów, złożoną z 40 Czerkiesów.

„Zajmując się przemywaniem złota, Czerkiesi zdołali schować niewielką ilość tego metalu, za który zdobyli sobie oręż niezbędny i wszelkie przybory do niego. Wszystko to ukryli w odległej pieczarze, znajdującej się w niedostępnej miejscowości. W dzień umówiony uciekli wszyscy razem z różnych miejsc pracy i dość pomyślnie spotkali się w pieczarze. Następnie porwali stado kirgizkie, z którego wybrawszy najlepsze konie, zmusili pasterzy do przeprowadzenia przez góry Sajańskie. Las był ich schronieniem a zwierzyna żywnością. Głód jednak doskwierał im bardzo często. W końcu dotarli do takich miejscowości, gdzie przewodnicy powiedzieli, że już dalej drogi nie znają. Natenczas Czerkiesi uwolnili ich i dalej już na oślep podążyli sami. Straszne przepaści altajskie i dzikie potoki górskie zmuszały ich do ciągłego obchodzenia i kołowania i do tego stopnia pogmatwały im drogę, że nareszcie trafili do Ałtyn-Kulu. Tam stoczyli walkę z Kałmykami. Czy to chcieli oni wziąć ich do niewoli i oddać w ręce władzy, czy też Czerkiesi zmuszeni ostatecznością, uciekli się do gwałtu, trudno było się dowiedzieć. W rezultacie kilku Kałmyków zabito i spalono ich aul. Okoliczność ta stała się sygnałem do ostatniego aktu tragedii. Szybko rozbiegła się wieść o ludziach uzbrojonych; przechodząc z aulu do aulu, doszła nareszcie w przesadnej opowieści do kozackiego posterunku Sandińskiego. Zdarzyło się, że dowodzący wtedy w forpoczcie oficer był więcej, niż zwykle wesół, z powodu święta.* Nie namyślając się długo i nie tracąc czasu, natychmiast pchnął do Barnaulu posłańca z zatrważającą wieścią, która trafiła tam akurat wtedy, gdy Barnaul przygotowywał się do balów i zabaw świątecznych. Powiedziano, że trzy tysiące azyatów idzie, ażeby przeszkodzić tym uroczystościom, że zamiast tańczyć walca, publiczność będzie musiała się kręcić w piasku na arkanie. W całym mieście powstał popłoch ogromny. Nowi posłańcy z doliny Biż głosili, że siedem tysięcy wojska stoi, inni Syberya i ciężk. roboty.

zaś utrzymywali, że nawet idzie dziesięć tysięcy ludzi, zaopatrzonych w broń i amunicję. Tymczasem cała sprawa, według słów Atkinsona, skończyła się w sposób następujący:

„Wszystkie grupy Kałmyków, zamieszkujących dolinę rzeki Biż i okolice Altyn-Kulu, połączyły się i znając wybornie wszelkie rozpadliny i dróżki, zrazu zagrodzili Czerkiesom drogę do ucieczki, potem zaś zapędzili ich w takie miejsce, z którego już wcale nie było wyjścia. Gdy nareszcie Czerkiesi zbliżyli się na odległość wystrzału, rozpoczął się z obu stron ogień. Kałmcy, ukryci w zasadzkach, mieli przewagę nad nieprzyjacielem; Czerkiesi zaś padali gęsto od celnych strzałów. Wieczorem tegoż dnia liczba ich zmniejszyła się z 40 do 15, którzy porzuciwszy konie, usiłowali po ostrych kamieniach i skałach wydostać się z wąwozu. Nie mając przez cały dzień nic w ustach, wyczerpani zupełnie, musieli spędzić noc na nagich kamieniach, pod niebem odkrytem. O świcie puścili się w dalszą drogę i już docierali do małego lasku, gdy nagle posłyszeli przed sobą strzały czatujących w lesie Kałmyków. Trzech Czerkiesów odrazu padło trupem, jeszcze zaś pięciu ugodzono podczas ucieczki. Puszczono się za nimi w pogoń. Wkrótce zostało przy życiu tylko czterech, którzy zdołali ukryć się w lesie. Wreszcie sama natura wzięła udział w walce: nadeszła straszna burza z grzmotami, piorunami i zamiecią śnieżną. Kałmcy musieli pośpiesznie się cofnąć, pozostawiając ostateczną zagładę wroga siłom wyższym. Przez cztery dni trwała ta szalona burza z wichrem okropnym. Co się stało z tymi czterema Czerkiesami, nikt już potem nie mógł się dowiedzieć. Nie ulega wątpliwości, że zginęli z głodu, zimna i pragnienia.

Nie lepsze są losy innych górali, którzy wbrew ogólnym porządkom włóczęgów, dążą ku stopom kirgizkim. O tych ludziach istnieje na Syberyi jeszcze następujące podanie:

Kilku górali, męczonych głodem i pragnieniem, brnęło przez bezludne stepy Kirgizkie. Ale losy były dla nich o tyle względne, że zesłały im wielbłąda żywego, na uwięzi. Obok zaś na kurhanie leżało wszystko, co tylko było dla nich niezbędne. Kawałek mięsa pieczonego, trochę gotowanego ryżu, kumysu i inne produkty spożywcze, a nadto, wołok, kapota i parę jeszcze przedmiotów z ubrania. Wszystko to świadczyło, że zbiegowie trafili na mogiłę Kirgiza, któremu pozostawiono jego przedmioty ulubione. Skazańcy zjedli wszystkie produkty; spostrzegłszy zaś w oczach wielbłąda smutek i błaganie, poczuli w sercach litość dla niego. Odwiązali więc i puścili go na swobodę, sami zaś poszli dalej. Wielbłąd podążył za nimi. Wiedząc, że może ich zdradzić, przyspieszali kroku, skrywali się za wzgórzami piaszczyste, ale bezskutecznie. Gdy oni zapadali w dolinach dla wytchnienia, wielbłąd także się kładł. Ale skoro tylko wstali i licząc na to, że wielbłąd spi, puszczali się cichaczem w dalszą drogę, on również podnosił się z miejsca swego noclegu, wyciągał swoją szyję długą i korzystając z szerokiego widnokregu równin stepowych, odszukiwał swoich zbawców i puszczał się za nimi w po-goń. Skutkiem tego wpadli na arkan Kirgizów, którzy znaleźli mogiłę towarzysza, świętokradzko zrabowaną. Zbiegów związano i odstawiono do Omska. W zakładach nerczyńskich zwierzchnicy z doświadczenia i spostrzeżeń długoletnich przyszli do przekonania, że zbiegli muzułmanie pragną tylko odetchnąć świeżem powietrzem, za hańbę zaś poczytują sobie walczenie środkami ludzkimi z losem. Dlatego też cierpliwie przebywają katogę i dopiero potem starają się wyrwać na szersze przestrzenie.

Innej natury są Rosyanie. Ci w większości usiłują nie tylko dotrzeć do stron rodzinnych, ale pójść jeszcze dalej i, jeżeli można, urządzić sobie na pewien czas życie wesołe. W piątym dziesięcioleciu wieku niniejszego dwaj wysłani pod przybraną postacią generała-rewizora jeździli po miastach syberyjskich z fałszywymi pasportami i wzniecali wśród wszystkich urzędników strach ogromny. W koń-

cu pokłóciwszy się z sobą, poszli znowu do katorgi. W Tobolsku przez długi czas wałęsał się jakiś człowiek, którego damy miejscowe wielce szanowały: karmiły go, uważały za świętego. Mężowie, zajrzawszy do swoich kieszeni, zaczęli podejrzewać go i śledzić, szczególnie zaś zwracać uwagę na jego włosy długie, które potwornie całą twarz zakrywały. Zbadano go, obejrzano zlekka i znaleziono na twarzy niezniszczone piętna katorżne. Był to zbiegły z tiu-meńskich robót ciężkich, syn kupiecki. W r. 1863 zbiegły żołnierz batalionu permskiego, Sofronow, pod mianem kapitana floty tureckiej i pułkownika de Severina broił na Syberyi: w Tobolsku niezbyt pomyślnie, w Karze z wielkiem powodzeniem, gdyż udało mu się sporo pieniędzy pożyczyc od różnych osób. W Tomsku otrzymywał zaproszenia na bale i obiady. W Krasnojarsku złapał się. Zakuto go w kajdany, posadzono w celi osobnej i zagrożono chłostą. Z etapu za Krasnojarskiem znowu zbiegł, włożył mundur huzarski i zaczął broić powtórnie aż do Irkucka. Tam go poraz drugi zakuto w kajdany i wysłano dalej.

Nie na tem jednak poprzestają wytrwali i doświadczeni włóczęgowie. Niektórym udaje się czynić najrozmaitsze nadużycia nietylko na Syberyi, lecz i w Rosyi, w której drogi katorżników są szerokie i długie.

Gdy po rozbojach pod Kazaniem aresztowano Bykowa i rozpoczęto poszukiwania jego towarzysza, najgłośniejszego złooczyńcy, Czajkina, policya miejska zrobiła na wielką skalę rewizyę ogólną. Nie zdołano wszakże zachować tajemnicy, zwłaszcza, że mieszkańcy nie kryli się wcale ze swym udziałem w poszukiwaniach przestępców. Pomimo to zdołano w Kazaniu (od 10 sierpnia do 15 września) znaleźć 17 zbiegów i ludzi bez pasportów. Okazało się, że byli to włóczęgi „niepomni,” oraz ludzie wałęsający się bez celu określonego. Między nimi trzecia część, t. j. dziewięciu było zbiegów-katorżników. Bykowowi i Czajkinowi wymierzono po 1,500 uderzeń i postanowiono odsłać do ciężkich robót bezterminowych; ale oddani przedtem do szpitala, obaj zmarli na zapalenie płuc.

Znany Gusiew, który kilka razy uciekał z Syberji prowadził rozboje pod Saratowem, w samem zaś mieście zrabował sobór. Podobnież wesoły pieśniarz i poeta, Karmeluk, zajmował się rozbojem na Wołyniu. Skutkiem zdrady i przekupstwa był zamordowany w domu kochanki.

Gdy w Astrachaniu nakazano zbadać pewną liczbę rybaków nie posiadających dowodów legitymacyjnych, znaleziono wśród nich piętnaście tysięcy zbiegów. Według przypuszczalnych obliczeń, taka sama cyfra ludzi „bezpasportowych“ pracuje w przedsiębiorstwach rybackich na morzach Czarnem i Azowskiem. Policya miast nadmorskich znajduje się w bardzo kłopotliwych warunkach, gdy chodzi o ochronę mienia cudzego. Ile tylko razy sprawa jakaś wymaga śledztwa i poszukiwań, zawsze tam się wykryje masa zbiegów z katorgi. W Astrachaniu mieszkańcy dotychczas pamiętają człowieka, który kilka tygodni chodził wolny po rynkach tamecznych z podwiązaną twarzą. Okazało się potem, że była ona napiętnowana znakami katorżnymi. Fakty dowiodły, że we wszystkich tych miastach, do których napływają zbiegowie, obywatele nie są pewni całości swego mienia.

Wogóle droga zbiegów syberyjskich w Rosji nietylko jest wielka, lecz nieskończenie różnorodna. Dla jednych jest ona fatalna, innym przynosi tylko powodzenia. Droga katorżnika Bykowa szła przez szynk, dwa lata prowadziła przez wsie traktu orenburskiego, skończyła się zaś na rozbojach w powiatach Spasskim i Łaiszewskim, gub. Kazańskiej, i w okolicach Kazania. Katorżnik Popow szedł przez wsie Wietłuskie i dotarł do Petersburga, w którym szczęście tak mu sprzyjało, że potrafił zdobyć rangę wielką, dwa duże domy i masę pieniędzy. Droga jego skończyła się w senacie. Ztamąd musiał wyruszyć znowu do katorgi.

ROZDZIAŁ IV.

*Na wyżywieniu*¹⁾.

Zanim wysłany zdobędzie sobie prawo pójścia na *wyżywienie*, wstąpi do kategorii tak zwanych *żywionych*, musi przebyć jeszcze mnóstwo stopni i szeregów. Oto ten porządek według urzędowych papierów, przepisów i rozporządzeń. Zaczynamy od katoggi w zakładach przemysłowych.

Wszyscy skazańcy-robotnicy, po przybyciu do zakładu, wstępują do kategorii tak zwanych „doświadczenców.“ Mieszkają w koszarach, wolni od kajdan pod okiem inspektora i bezpośrednią kontrolą dozorcę. Pożywienie mają artelowe. Latem lepsi idą uprawiać ogrody. Z wypoczynku korzystają tylko w dni galowe. Ci, co mają lżejszą karę, tak zwani *powściągliwi*, korzystają z następujących praw i ulg: mogą budować dla siebie domy, korzystać z ziemi, łąk, ogrodów, zajmować się hodowlą bydła. Dla wypoczynku i naprawy swego bytu mają wolne od pracy obowiązkowej wszystkie dni świąteczne i galowe. Jeżeli ktoś z posiadających jakiegokolwiek rzemiosło poświęcił swoje dni wolne robocie skarbowej, korzysta z podwójnej płacy i prowiantu. Z tych skazańców wyznaczani są dozorcę, odpowiednio do fachu. Jeżeli robotnicy tej kategorii zasłużą swoją konduita na lepsze traktowanie, to dla naprawy swego bytu mogą iść w czasie pracy gorączkowej do robót polnych, w miarę potrzeby, w celu nagromadzenia zapasu karmy dla bydła i t. d. Nad-

¹⁾ Na własnem utrzymaniu.

(Przyp. tłóm.).

to, ażeby podnieść ich poziom moralny, zarządzający ma prawo (na mocy rozporządzenia senatu z 10 października 1821 r.) wycofywać skazańców z szeregu wysłanych i zaliczać ich do rzemieślników, wyzwalać na czeladników i majstrów, jeżeli na to zasłużą postępowaniem i zdolnościami. Przywileje te rozciągają się także na ich dzieci. Ażeby tę kategorię wyróżnić zewnętrznie, pozwolono niemłodym nosić brody. Jeżeli skazańcy spędzą w zakładzie cały czas kary zupełnie bez zarzutu, odznaczają się pracą pilną i uległością władzy, wtenczas oprócz zwykłego wynagrodzenia, odpowiednio do rodzaju pracy, otrzymają miesięcznie: po pięciu latach pracy 50 kop., po dziesięciu 1 rs.; po piętnastu zaś latach mogą iść na własne wyżywienie. Połowę pieniędzy zarobionych otrzymują do rąk, druga zaś połowa wpływa do funduszu artelowego, z którego rachunek jest prowadzony w osobnej księdze.

Ci robotnicy, którzy w kategorii doświadczanych wykazują złą lub podejrzaną konduite, ujawnią skłonność do ucieczek i niedbalstwo względem urzędzenia własnego bytu, tworzą trzecią kategorię — *niepowściągliwych*. Tak się nazywają ci wszyscy, którzy są uwolnieni po ukaraniu za ucieczki, kradzieże, bójki i inne liczne przestępstwa niekryminalne, podlegające kompetencji policyjnej. Do kategorii niepowściągliwych zaliczani są i ci, których wykluczono z kategorii powściągliwych za niejednokrotne pijaństwo, zwady, bójki, rabunki, a nadto ci, którzy są przysyłani do robót pierwszej, niż nadejdą odpowiednie o nich informacje. Wreszcie ci wszyscy, którzy popełnili na Syberji przestępstwa, zarówno osiedleńcy, jak i skazańcy z innych ognisk kary. Niepowściągliwi siedzą w więzieniach okuci i otrzymują żywność także artelową. Prawo wypoczynku mają tylko w najuroczystsze dni galowe. Ci z nich, którzy zupełnie stłumili w sobie ostatnią isierkę sumienia, zagłuszyli nietylko chęć, ale nawet zamiar poprawy, uciekali powtórnie, byli niejednokrotnie łapani na kradzieży, oszustwie, wszelkich niegodziwościach, namiętnie innych do ucieczki i t. d., słowem ci wszyscy, któ-

rzy nie dają najmniejszej rękojmi okiełznania swych złych skłonności, — tworzą czwartą kategorię — *niepoprawnych*.

Trzymani są oni również w więzieniu koszarowym i osobny artel tworzą; okuci, jak niepowściągliwi, z tą jednak różnicą, że dla utrudnienia uciezek zamykani są na noc. Głowę muszą mieć do połowy ogoloną. Na roboty chodzą pod konwojem. Środkami poprawczymi dla nich są: kajdany, które muszą nosić pół roku (niepowściągliwi tylko dwa miesiące).

Obie te kategorie: niepowściągliwi i niepoprawni, nie otrzymują do własnego rozporządzenia ani grosza z sum zarobionych. Zarobki ich są zapisywane w osobnej księdze sznurowej; fundusze te inspektor wydaje na odzież dla nich. Niepoprawni dopiero po roku, przy dobrej konduicie, mogą wstępować do szeregu doświadczanych. W przeciwnym razie zarządzający robotami mają prawo, nawet bez upoważnienia władzy gubernialnej, wysyłać niepoprawnych do zakładów nerczyńskich.

Czas przebywania w kopalniach nerczyńskich (a więc i w fabrykach tamecznych) „Zbiór praw“ określa w następujących szczegółach: Aresztanci bezterminowi (pierwszej kategorii) muszą przebyć w więzieniu 8 lat. Skazani do robót na 15—20 lat (1-ej kategorii), przebywają w więzieniu cztery lata; skazani na 12—15 lat (kategorji 2-ej) — w więzieniu dwa lata. Katorżnicy trzeciej kategorii (od 6-ciu do 8-miu lat) przebywają w więzieniu półtora roku; skazani na 4—6 lat — w więzieniu przebywają rok. Ci, którzy w okresie kary swoją konduita i pracowitością dają nadzieję poprawy, mogą być zaliczeni do kategorji poprawczych i podlegają już nadzorowi policyjnemu. Katorżnicy pierwszej kategorji po trzech latach, a trzeciej po roku od chwili wstąpienia do szeregu poprawczych, mogą z upoważnienia władzy górniczej lub izby skarbowej otrzymywać pozwolenie na przemieszkwanie nie w więzieniu, lecz w izbach rzemieślników. Mogą nawet wybudować dom dla siebie na ziemi, należącej do zakładu i wstąpić

w związku małżeńskie (oba te pozwolenia piękne są tylko na papierze, lecz nie w rzeczywistości, jak to zobaczymy niżej).

Dozór więzienny ma także swoje przepisy i prawa, których szczegóły na papierze, a poniekąd i w rzeczywistości, są następujące:

„Po przybyciu do zakładu skazańcy, którzy mają być zaliczeni do różnych kategorii i są zamknięci w koszarach więziennych, przyjmowani są o każdej porze, czy to w dzień, czy w nocy, nie wyłączając dni niedzielnych, świątecznych i uroczystych. To samo się stosuje i do tych wysłanych, którzy mieszkając w zakładzie po za obrębem więzienia, powinni być w niem zamknięci, z rozporządzenia władzy miejscowej. Przyjęcie odbywa się w obecności oficera konwojowego lub podoficera. Spełnia tę czynność inspektor; zapisuje do księgi sznurowej datę, imię i przezwisko skazańca, kategorię, skąd przysłany, za jakie przestępstwo, cechy, rzeczy własne i pieniądze, które muszą mu być odebrane. Po przyjęciu, natychmiast lub nazajutrz rewizya lekarska. Wrazie wykrycia choroby skazaniec idzie do szpitala. Świadczenia lekarza wpisywane są do księgi. Liczba znajdujących się w więzieniu ludzi, okutych i bez kajdan, powinna być dobrze znana oficerowi konwojowemu. Pieniądze odebrane więźniowi należy zapieczętować w osobnym pakiecie. Klucze od schowanek, w których są złożone pieniądze i rzeczy więźniów, oraz od składu produktów i innych przedmiotów, nabywanych i wytwarzanych za pieniądze artelowe, tudzież z kapitału zapasowego, powinny być w rękach inspektora więziennego. Gdy skazaniec opuszcza zupełnie więzienie i przechodzi do wyższej kategorii lub też na osobne zamieszkanie, należne mu pieniądze wydawane są na ręce. Przy rozmieszczaniu aresztantów w więzieniach należy o ile można unikać ciasnoty. Szyldwach nie powinien stać wewnątrz izb więziennych, lecz we drzwiach, na korytarzach i w innych miejscach. Musi przytem zawsze mieć więźniów na oku.“

W więzieniu nie wolno mieć papieru, atramentu, ołówków i t. p. Nie wolno także przyjmować listów, ani doręczać ich więźniom. Wzbronione są gry w karty, szachy, kości i wszelkie inne, jak również gra na jakichkolwiek instrumentach. Surowo jest wzbronione palenie tytoniu. Zakazane są przekleństwa, klótnie, rozmowy, pieśni pobudzające, śmiech, i t. d. Winnego tych przekroczeń inspektor umieszcza w osobnej celi, określa dla niego najumiarkowańsze, mniejsze, niż zwykle, porcje żywności, od jednego do sześciu dni trzyma na chlebie i wodzie.“

O ile wszelkie przepisy są dalekie od praktycznego ich zastosowania, widzieliśmy już w drugim rozdziale książki niniejszej; o ile zaś są proste i pięknie skreślone na papierze, ale nie mające nic wspólnego z życiem, zobaczymy wkrótce.

Nakazując, ażeby wysłanym balwierz-inwalida golił brody, żeby więźniowie nie zapuszczali włosów długich, lecz strzygli je, jak się należy, po żołniersku, żeby wreszcie podejrzanym i skłonnym do ucieczek golono głowę do połowy, — władza miejscowa w dalszym ciągu swych przepisów wpada w idylę i kresli takie obrazki: „Wysłańcy w więzieniu wstają rano, latem i zimą, na godzinę przed odgłosem dzwonka, wzywającego do roboty. Oficer straży wraz z inspektorem więziennym i zawiadowcą robotniczym obchodzą cele i wywołują więźniów. Każdy więzień wstawszy myje się, sprząta pościel pod tapczan i czesze się. Następnie zamiatają izby. Po skończeniu tych robót, odczytuje się głośno modlitwę poranną, wszyscy zaś więźniowie powinni wtedy stać spokojnie; nie rozmawiać i nie leżeć. Po modlitwie podaje się śniadanie, z wyjątkiem dni niedzielnych i świątecznych, w pierwszym i ostatnim tygodniu wielkiego postu, oraz wogóle środy i piątku tego postu. Gdy dzwonek obwieści czas robót, zawiadowca dysponuje zajęcie całodzienne na podwórzu więziennem, gdzie znowu więźniowie stawać muszą do apelu. Okuci w kajdany — pod konwojem, nieokuci — pod opieką dziesiętników, idą krokiem miarowym, po trzech rzędem: konwojo-

wi z przodu, z tyłu i po bokach w przyzwoitej odległości; żołnierze ze strzelbami nabitemi, a dziesiętnicy z kijami.“

Taki jest początek owej epopei więziennej, w rodzaju wszelkich internatów, korpusów i pensyj. Ale oto przerwa dwukrotna w opowieści: pierwszy raz po to, ażeby powiedzieć, że „na podwórzu nie może być śmieci, więc trzeba sprzątać je, wynosić i zrzucać w miejscu wyłącznie na to przeznaczonem.“ Drugi raz nie się przerwała z powodu następującego: „Skazańcy korzystając z nocy, używają jej na złe. Ażeby temu zapobiedz, dozorca więzienny powinien często, po kilka razy na noc, oglądać izby więźniów.“

Następnie znowu idzie wątek porządków w takim opisie: „Gdy odgłos dzwonka obwieści czas obiadowy, wszyscy powinni zdać na ręce dozorecy narzędzia, według liczby i w takim samym porządku (po trzech rzędem) iść do więzienia, gdzie się odbywa ścisły ich przegląd (apel). Po modlitwie wszyscy siadają do stołu, ażeby przyzwoicie zjeść obiad, nie rozmawiając z sobą. Po obiedzie modlitwa dziękczynna i wypoczynek, po którym znowu odgłos dzwonka.“ Wieczorem taki sam porządek. „W pół godziny po kolacyi, po sprzątnięciu naczyń ze stołów, oficer straży robi przegląd więźniów. W izbach powinno być widno aż do chwili, kiedy wszyscy więźniowie po wieczornym przeglądzie będą zamknięci. Następnie po wyjściu dozorców surowo wzbronione jest światło.“

Potem wszystkiem, cośmy już poprzednio powiedzieli, uważamy za zbyteczne dowodzić, jak dalece obraz rzeczywisty niepodobny jest do tego naszkicowanego na papierze. Bardzo się omyli ten, kto zechce szukać w przepisach podobieństwa do tego wszystkiego, z czego są znane więzienia systemów ulepszonych. Pozorne podobieństwo na początku doprowadzi chyba tylko do tego wniosku, że i my możemy się chwalić w razie potrzeby lub żądania.

Rzeczywistość ujawnia wszelkie cechy niezaradności i usiłowań jałowych, które mogłyby doprowadzić do roz-

paczy, doprowadzają zaś tylko do obojętności, z której właśnie wynika wszelka jałowość działań, mnóstwo nieporozumień, błędów wielkich i niepowodzeń powszechnych. Zobaczmy, co dalej mówią przepisy:

„Konwojowi obowiązani są baczyć, ażeby więźniowie nie uciekali, nie zebrali na ulicach, nie zatrzymywali się w tym celu przed domami, nie wstępowali do żadnych miejsc publicznych, nie pili w drodze wódki, nie przyjmowali od przechodniów żadnych rzeczy i broni. W dni świąteczne i niedzielne, jeżeli nie wszyscy, to przynajmniej kilku ludzi, kolejno, powinno przychodzić do świątyni, pod dozorem konwoju. Brama więzienna powinna być zamknięta o każdej porze; ale gdy przychodzą urzędnicy i inne osoby, mające na to pozwolenie, lub gdy się przyprowadza skazańców, to o każdym z takich przechodniów powinien być zawiadomiony podoficer straży, który otwiera bramę i wpuszcza rzeczony osoby. Jeżeli to są ludzie postronni, należy obejrzeć, czy nie mają przy sobie jakich niebezpiecznych przedmiotów. Zresztą po zachodzie słońca brama nie może być otwierana dla nikogo, chyba tylko dla dozorczy. Odwiedzanie więźniów przez osoby postronne w koszarach dozwolone jest nie inaczej, jak tylko w obecności inspektora i straży, ażeby pod pozorem odwiedzin nie przynoszono wódki, jadła, odzieży, listów, narzędzi i t. d.“

Rzeczywiste życie więzienne ma swoje odrębne porządki i wyrobiło dla siebie osobne prawa.

Szczęśliwi i zręczni więźniowie szukali zbawienia i swobody w ucieczkach; nieszczęśliwi i niedoświadczeni pozostawali w rękach władzy, poddawani różnym próbom poprawy. W więzieniach nerczyńskich dla niepoprawnych zastosowano środki surowe, stanowcze. Przykucie do taczki i do łańcucha ściennego — to są sposoby poprawy, które obysłano i wprowadzono w najdalszych i najsurowszych miejscach wysłania i zamknięcia. Drugi z tych środków połączony jest przytem z koniecznością odosobnienia więźnia. Kara to strasznie niecierpiana przez zbrodniarzy

rosyjskich. Gdy o niej rozbiegła się wieść po Syberyi wszystkich skazańców zdjęła trwoga okropna.

Przykuwają do łańcucha zwykle na pięć lat, ale bywały zdarzenia, że przykuwano i na całe dziesięciolecie.

Tak np. ze sprawozdań zakładu piotrowskiego dowiadujemy się, że r. 1851 było tam czterech zbrodniarzy, przykutych na *dziesięć* lat, pomimo że według postanowień termin takiej kary nie powinien przekraczać *pięciu* lat. Wszystkich przykutych tam było: we wrześniu 1851 r. 15 tych, którzy już siedzieli na łańcuchu w Minusie, Jenisejsku i Krasnojarsku. Dnia 30 listopada 1851 r. „łańcuchowych“ było 12-tu, a między nimi mąż z żoną za morderstwo. Żonie, która nie miała ubrania, dano koszulę i spodnicę (płóciennie). Kazano dawać im tylko dolne ubranie, „bo jedynie ta część odzieży jest niezbędna.“ Mieli oni córkę we wsi Hazimurskiej; otóż przykuci małżonkowie prosili, ażeby ich przewieziono z więzienia piotrowskiego bliżej ku niej, do Akatui. Pozwolono. Na cały czas podróży (9 dni) wydano im po 63 kopiejki (3 1/2 na dobę). Miejscowość powyższa specjalnie była następnie przeznaczona dla nieszczęśliwych tego rodzaju. Pozostało do dziś dnia podanie o pierwszym zwierzchniku tej kopalni. Powiadają, iż uwalniał on więźniów z łańcucha i wypuszczał ich na trzy lub cztery tygodnie. Wracali akuratnie i przynosili mu połowę zdobyczy. Kto tego nie czynił, szedł do podziemia pod mieszkanie zwierzchnika. (Pokazywano i to podziemie).

Ludzie ci do robót nie są używani. Jak o wielką łaskę, proszą oni podczas zamknięcia o możność odetchnienia świeżem powietrzem, choćby kosztem najtrudniejszej i najcięższej roboty. Uwolnieni po upływie oznaczonego terminu przebywania na łańcuchu lub przy taczkach, przez całe życie następnie są trzymani w więzieniu, okuci na zawsze w kajdany nożne. Unieruchomieni w ten sposób, również nie są używani do robót. W drodze wielkiej łaski wolno im kopać w ogrodach więziennych lub zajmować się czemkolwiek po za obrębem celi, i to o tej porze, kiedy

wszyscy inni są zdala, na robotach. Czasem karę trzymania na łańcuchu zamieniano na ciemnicę, ale aresztanci prosili wtedy, żeby ich przykuto znowu. Listy katygoryczne tych ludzi zwykle są przepełnione wszelkiego rodzaju przestępstwami: zabójstwa po kilka razy przeplatane są ucieczkami, rabunkami, kradzieżami, przemianą imion i t. d. Utrzymanie zbrodniarzy tego rodzaju kosztowało skarb taniej, niż wszelkich innych katygorij aresztantów, bo dawano im tylko spodnie ubranie, wikt zaś gorszy i w porcyach zmniejszonych. Tak np. w Akatui dawano każdemu więźniowi po $2\frac{1}{2}$ funta chleba na dobę, z podziałem na części: do śniadania, obiadu i kolacyi. Całej porcy odrazu nie wolno było dawać. Zamiast jedzenia gotowanego dawano tylko wodę. Według rachunku, zrobionego w r. 1847, utrzymanie każdego takiego aresztanta kosztowało 43 rs. 68 kop. rocznie, licząc w to łańcuch, światło, mydło, pranie bielizny i opał. Utrzymywano przeważnie kosztem sum gubernialnych. Zakłady karne brały ich na własny koszt tylko w takim razie, gdy kazamaty były wolne. Często zresztą odmawiały, a więc rzadko które z więzień syberyjskich (szczególnie tobolskie) nie miało przy ścianach swych tego rodzaju ludzi nieszczęśliwych. Więzienie akatujskie (jedno z nerczyńskich) przy kopalni tej nazwy długo było miejscem specjalnem dla aresztantów owej katygorii. Każdy tam złapany na czynie karygodnym, musiał iść do celi osobnej. Do wykonania takich obrządków religijnych, jak spowiedź i sakramenty, czasem uwalniano z łańcucha, często zaś — nie. Czasem, nawet dość często, i tego odmawiano. Łańcuch zwykle miał trzy arszyiny długości, składał się z ogniów tej samej wielkości, co nożne, ważył $5\frac{1}{2}$ funta. W więzieniu piotrowskiem aresztanci zwykle wysuwali się na całą długość łańcucha, który pozwalał im kłaść szyję na progu drzwi i wychylać głowę do korytarza. Ponieważ „łańcuchowi“ byli wtedy umieszczeni w pustych kazamatach, wybudowanych dla dekabrystów, gdzie kilka celi wychodziło na korytarz, więc ci aresztanci obmyslili sobie roz-

rywkę: jeden opowiadał bajki, inni słuchali. Następnie zaczynał drugi, trzeci i t. d. Pozbawieni tych przywilejów, szczególnie uwięzieni w turmie akatujskiej i innych nerczyńskich, całą swoją uwagę skupiali na kazamatach. Izby tam były nadzwyczaj czyste, schłodne, tapczany, ściany, podłogi i łańcuch nawet, starannie wyczyszczone, wymyte, wyszorowane, nieraz przyozdobione rysunkami. Jeden z więźniów całe swoje ubranie ozdobił i wyszył sznurkami bardzo ładnie i efektownie na podobieństwo mundurów huzarskich. Niektórzy prosili, ażeby im dano koguta lub kota i uważali za największą, najsurowszą karę, jeżeli za jakieś wykroczenie odbierano im tych towarzyszy-dobroczyńców. Wogóle spostrzeżono, że osamotnienie i takie surowe zamknięcie budziły w więźniach najrozmaitsze zdolności. Wielu nauczyło się krawiectwa, szewctwa, rzeźbiarstwa. Jeden z przykutych do taczki tak potrafił ozdobić ją figurami rozmaitemi, że wielu wprawił w zdumienie. Ale potem za każdą wizytą głównego zwierzchnika zakładów błagał na wszystko, ażeby odkuto go od tej taczki ozdobnej.

— Do tego stopnia ona mi dokuczyla i stała się wstrętną, że patrzeć nie mogę! Niedobrze mi się robi!

O ile widzimy ze sprawozdań, wypadki obłąkania zdarzały się rzadko. Chociaż w ciągu dwudziestolecia liczono; niewiele samobójstw, ale za to w archiwum nerczyńskim zaznaczone są liczne wypadki usiłowań odebrania życia. Przykuci na łańcuchach dostawali broń ostrą, noże i t. d. w celach samobójczych. Między innymi zachował się następujący dokument:

W więzieniu akatujkiem skazańcom, przykutym do łańcucha dawano zwykłą porcyę na dobę: 2 $\frac{1}{2}$ funta chleba i wodę, przytem kazano badać wpływ tych warunków na stan duchowy i fizyczny więźniów. Jakoż wkrótce zauważono, że więźniowie przykuci do ściany słabną na duchu i ciele. „Z braku ruchu twarz pokrywa się błądzą. Chwilami czują wewnątrz rozdęcie i gniecienie, a następnie kolki; mówią słabym głosem; przy poruszeniach zaś, o ile

na to łańcuch pozwala, doznają zawrotu głowy.“ Doświadczenia tego rodzaju czyniono w ciągu dwu lat, 1847 i 1848. Świadcstwa zaś lekarskie ciągle stwierdzają jeden fakt: przykuci na łańcuchu tracą siły.

„Lisa,“ sztaba żelazna $1\frac{1}{2}$ puda wagi, nakładana na ręce po to, ażeby „łańcuchowiec“ nie mógł chodzić po swojej norze, jest karą najwyższą, równającą się szubienicy europejskiej. Ludzie poddani jej, bardzo rzadko odzyskiwali w przyszłości wolność i tylko niektórym, po przebyciu długiego szeregu ulg, udawało się dojść do kategorii doświadczanych.

Nie napróżno wybrano Akatuję dla „łańcuchowych“ i „sekretnych.“ Wysyłano ich tam świadomie. Smutniejszej od tej miejscowości niema już w całym Zabajkału. Przy Atenui kończy się dolina Hazimur, zaczyna się druga, należąca do rzeczki bez nazwy. Dolinę tę zasłaniają z obu stron góry, których jałowość i jednostajność niesłychanie jest nużąca. Po drodze leży wioska Kukuj. Droga prowadzi z niej pod górę, z której na południu i wschodzie widać cały labirynt czarnych i niebieskich gór, z narzuconym na ich olbrzymi grzbiec czarnym płaszczem lasów gęstych, pokrywających zbocza i podnoża. W dolinach panuje grobowa cisza i mrok. Na szczytach nagie skały. Góry bądź pojedynczo opierają się o dno doliny, bądź rzędem płaczą się z sobą, rzadko przecięte dolinami. W dali grzbiety te nieskończenie długie rozplývają się na widnokregu w postaci obłoków białych. Żaden ptak nie przeleci, nie słyhać głosu zwierzęcego, nie widać nigdzie ani krzyża, ani chaty. Z góry znowu zejście do doliny, podobnej do wszystkich innych; następnie do trzeciej, także martwej, nieożywionej ani widokiem przechodnia, ani chałupy. Znowu wchodzimy na górę i dopiero ztamtąd spostrzegamy wieś, ale nie widzimy ani kominów, ani dymu. Nowa góra zasłania widok, który stawał się cokolwiek weselszym i dopiero z tej trzeciej spostrzegamy w głębokiej, ponurej i ciasnej dolinie cmentarz, z krzyżami drewnianymi na wzgórkach. Za wsią samotne stoi, sławne, straszne nawet

w Syberji, więzienie akatujskie. Pierwszą kopalnię akatujską otwarto r. 1815 przy paśmie gór, rozdzielającym rzeki Hazimur, Undę i Onon-Borzię, w odnodze oderwanej, idącej na południo - wschód między Akutcem i Kunguzą. Góra, zawierająca rudę, dość jest stroma i pokryta lasem. Kryje ona w kamieniu wapiennym srebrną żyłę, bardzo ubogą w ołów. Rudy akatujskie są tak suche, że dla wydobycia metalu musiano uciekać się do pomocy bogatych kultumińskich. Następnie odkryto rudę powierzchniową. W pierwszej kopalni urządzono szachtę Złatoustowską na 7 sążni głębokości i Błagodacką na 9½ sąż. W drugim pokładzie, odkrytym r. 1822, urządzono trzecią szachtę, Tymotejewską. Do wydobywania miękkich i jednolitych rud używano kilofów, w innych kopalniach oprócz kilofów posługiwano się jeszcze prochem. Zimą przysyłano tam skazańców z zakładów aleksandrowskiego i hazimurskiego. Na Akatui pokładano niegdyś wielkie nadzieje. Miejscowość ta leży na poziomie, który zawiera najobfitsze bogactwo rudy w okręgu Nerczyńskim i daje początek trzem rzekom: Undzie, Hazimurowi i Onon-Borzii.

Przy tej kopalni w ostatnich czasach wzniesiono nowe więzienie katorżne. Budowę jego zaczęto w r. 1882, ale wkrótce robotę przerwano, wznowiono zaś w r. 1886, a w r. 1889 cały budynek na 250 skazańców wykończono zupełnie. Ogólny koszt budowy, prowadzonej sposobem gospodarczym, rękami aresztantów, wyniósł 39 tysięcy rs. (kosztorys przewidywał 89,500 rs.). Do kopalni srebra i ołowiu jest ztamtąd około wiorsty.

Takie same nowe więzienie wzniesiono przy ujściu Kary. Budowano je lat 12, wykończono zaś zupełnie dopiero w r. 1882 (na 240 osób, chociaż czasem bywa tam więcej), wreszcie wzniesiono więzienia katorżne przy kopalniach: górno - zerentujskiej, sawińskiej, kadaińskiej, ałgaczyńskiej, malcowsko - kilgińskiej, kliczkińskiej, trochświatielskiej, oraz przy kutomarskiej fabryce srebra. W Górnym Zerentuju więzienie jest największe (przeszło 300 ludzi mieści). Budowano je rękami aresztan-

tów od r. 1877 do 1889. Praca zadana wynosiła $\frac{2}{3}$ zwykłej normy. Rzemieślnicy otrzymywali 100% płacy w stosunku do skali wolnonajemnej, prócz tego podczas czterech miesięcy letnich — zwiększone porcje żywności. Przy więzieniu jest szpital na 40 łózek.

Oprócz łańcuchowych, bywali jeszcze tak zwani areztanci sekretni. Trzymano ich w osobnych celach pod nadzorem niesłychanie surowym. Dozorcy np. za odsyłanie chorych do szpitala, otrzymywali od wyższej władzy ostre nagany, zapisane w formularzach. Chorych zaś kazano zabierać ze szpitala i leczyć na miejscu. Powien sekretny wyszedł ze szpitala i pochodził w łańcuchach po ulicy, za co kazano go przykuć do ściany. Innego wpuszczono z kazamaty do koszar służby, ażeby tam pograł sobie w kości. Winnego szyldwacha zbito i kazano zapisać do wiecznych robót, chociaż żołnierz zaklinał się, że wpuszcił więźnia w nieświadomości czynu występnego, nie brał łapówki, a wśród graczy nie było żadnych awantur. Ukarano, pomimo że najbliższa władza usprawiedliwiała go w sposób następujący: „żołnierzowi trudno dopilnować więźniów, więcej on bowiem jest na posyłkach, niż przy zakładzie i dla tego nie może pamiętać o wszelkich przepisach.“

Dzięki kredytowi wzajemnemu i zaufaniu, wytworzonemu przez wspólność losu i warunków, dzięki wreszcie taniości materiału budowlanego, a najważniejsza — oszczędności, więźniowie uwolnieni, jakkolwiek w rzadkich wypadkach, umieją stworzyć własne gospodarstwo. Jest ono oczywiście bardzo lichy i nie może zabezpieczyć bytu. Niemniej jednak wszystkie wsie skazańców zabudowane, wszystkie więzienia katorżne otoczone znaczną liczbą domów, tworzących mnóstwo ulic. Wielkie zakłady nerczyńskie, to całe miasto, któremu ustępuje pod względem rozległości i zaludnienia rzeczywiste miasto Nerczyńsk. Współzawodniczą z nim pod tym względem nawet zakłady piotrowskie, aleksandrowskie i usolskie. Miasto Selenińsk znacznie jest mniejsze od pierwszej lepszej osady

kopalni karyjskich. Każdy z zakładów nerczyńskich (kutomarski, zerentujski, błagodacki i inne), są to ludne wsie, nie ustępujące dużym wsiom kozackim. Prawda, że nie są one trwałe, a ich mieszkańcy nie wzbudzają ufności. Owe siedliska sztuczne nie nadają barwy kolonizacji syberyjskiej i nie zwiększają ludności miejscowej w stopniu pożądanym, jak to zobaczymy w dalszym ciągu. Budowle tych rządowych miejsc wygnania wątle, nędzne zewnętrznie, jak napół zapomniane gniazda ptasie, napół otwarte i porzucone nory zwierzęce, wywierają na każdym świeżym człowieku przykre, pogębiające wrażenie. Budowli tych bardzo jest dużo. Uciepione wiszą one na zboczach gór okolicznych, stoją w dolinach, rozpadlinach, wąwozach, w pobliżu miejsc, zawierających niezmiernie bogactwa w łonie ziemi. Niema tam domów pustych, przeciwnie, rzadko który nie jest przepełniony nieszczęśliwymi mieszkańcami. Nieszczęście i nędza zupełna — to nieodłączni towarzysze tych ludzi. Jest tam także część ludności, należąca do kategorii zupełnie osiadłych: są to ludzie, co sobie stworzyli już ogniska rodzinne. Dla nich ostatecznie już zarosła droga ucieczek; ale natomiast nie zarosły ścieżki i manowce do drobnych przestępstw. „Nędza beznadziejna—powiedział jeden z kryminologów francuskich — zdolna jest nienawidzić prawo tak samo, jak nadmierne bogactwo lekceważyć je.“ Stosując ów wywód do tych skazańców, którzy przeszli przez więzienia, etapy i katorgę i którzy są osadzani w domach około ognisk robot ciężkich, — nie dziwimy się, gdy napotykamy całe dzielnice, noszące nazwy Terebilówek, Jurdówek, Słobodek, Kukujów i t. p.

Dzielnice te lub „słobódki“ również są nieuniknione i niezbędne w każdym siedlisku przemysłowo-kopalniarzem, jak w każdym wielkim mieście dzielnice żołnierskie, archierejskie, strzeleckie i t. d. Tutaj osiada nędza ostateczna w starych i tanich domach; tutaj podąża każdy, komu nieznana jest prosta i uczciwa praca, dla kogo lekkie, chociaż ryzykowne zajęcie jest najulubieńszym środkiem

utrzymania. Tutaj gnieździ się jawna rozpusta i brudne rzemiosło, którego zadaniem jest zdobycie cudzej własności. Włóczęgi i drobni złoczyńcy, to są mieszkańcy tych siedlisk podmiejskich w Rosyi. Aresztanci, wypuszczeni na wyżywienie — to mieszkańcy tych na pół wrytych w ziemię i osmarowanych gliną lepianek, które przeważnie się grupują na krańcu siół fabryczno-kopalnianych. *Jurdówkami* nazywają się to przytułki (dla gry w jurdówkę i inne) w karyjskich wsiach kopalni złota i piotrowskiej fabryki żelaza. *Terebitówką* zowie się także „słobódka“ przy gorzelni aleksandrowskiej.

— Istnieje i u nas tego rodzaju miejsce; — zapewnił mi w Usolu irkuckiem. — Tutaj każdy taki mieszkaniec jest dobrany.

Taki mieszkaniiec zwykle żeni się przy pierwszej sposobności, nagle, bez namysłu. Córka wolnego człowieka, t. j. kozaka lub oddawna osiadłego włościanina, wychodzi za skazańca bardzo rzadko; ale kobieta, wprzęgnięta do robót zakładu, skwapliwie rzuca się na szyję pierwszemu, który jej ofiaruje rękę i serce. Chętniej ona poślubia tego, który przebywa nie w turmie, lecz na wyżywieniu lub osiedleniu. Stając się żoną, wysłana wyswiadcza podwójną usługę; z jednej strony, przykuwając męża do miejsca zagranego, o ile może i umie, zagradza mu drogę do ucieczki i wielkiego przestępstwa; z drugiej zaś, sama się pozbywa oków i osiadłszy w ciepłej, dusznej izbie, zapomina o ucieczce i włóczęgostwie na mrozach, deszczach i słońcach.

Wierność nie wchodzi w zakres obowiązków małżeńskich kobiety wysłanej, nie jest przykazaniem, wyniesionem z życia przeszłego. Wszelkie, choćby najslabsze zresztą poczucie w tej mierze, ściągają etapy. Mąż nie wtrąca się do tego rodzaju spraw żony. On ma inne zadania: zdobycie środków istnienia. Jeżeli zaś i żona czyni zabiegi około podstaw bytu, to jest usprawiedliwiona i wolna; bita zaś bywa „pijaną ręką,“ tak tylko, dla przypomnienia uległości mężowi. Pojęcie o tej uległości jest zbytocznym cięż-

żarem tam, gdzie istnieją inne prawa, inne zwyczaje i wyobrażenia, obce dla społeczeństw prawidłowo zorganizowanych.

Mieszkaniec „terebiłówki,“ którego szczęście i wypadek wyprowadziły z więzienia na własny wikt, nie zadaje sobie trudu w zdobywaniu środków, jeżeli może użyć lepszych sposobów do tego. Do „terebiłówki“ idzie każdy, kto chce spróbować szczęścia w wielkiej grze. Karciarstwo na szerszej przestrzeni i zupełnej swobodzie rozwija się bardziej, śmiałej i hazardowniej. Gra w jurdówkach i terebiłówkach odbywa się z wszelkim możliwym komfortem. Gospodarze domów gry trzymają wódkę w wielkiej ilości, mogą dostarczyć także środków do zdobycia wszelkich przyjemności. Wszystko, co pod grozą i ścisłym nadzorem dzieje się w ciemnych i brudnych więzieniach, tutaj, w niemniej ciemnych i brudnych domach szerzy się z rozpasaniem na wielką skalę.

Do terebiłówki idzie, gwoli wszelkim uciechom, więzień, jeżeli mu się uda przekupić stróżów lub umknąć niepostrzeżenie z roboty. W terebiłówkach tworzą się bandy tych wszystkich więźniów, wypuszczonych na własny wikt (wyżywienie), którzy za pomocą różnych dróg niegodziwych zdobywają środki istnienia.

Dają tam również ci wszyscy, którym dokuczyla katorga, a pociąga wolność włóczęgostwa. W tych norach zawsze się znajdzie taki majster, który był grawerem w jednej ze stolic lub szlifierzem w Jekaterynburgu, albo wreszcie z wsi niższonowogrodzkich: Pawłowa i Worsmy, gdzie się wyczulł ślusarstwa, rytowania na kamieniach lub metalach. Ludzie tacy w próżniactwie i potrzebie łatwo dają się skusić i namówić do wszystkiego, co tylko przynosi im pewne zyski. Majstrowie ci od pieczęci niezgrabnych i herbów niewyraźnych dochodzą do zręczności Cezika, który odłamkiem scyzoryka wycinał na kamieniach niezwykle ładne miniaturowe obrazy, robił fałszywe banknoty, z trudnością dające się odróżnić od rzeczywistych,

wazy, usypane drobnymi muszkami i innymi owadami, za co amatorowie płacili mu bardzo drogo.

Nabywając nowych umiejętności w więzieniach lub doskonaląc się w różnych rzemiosłach, ludzie ci następnie po za obrębem murów więziennych nadają umiejętnościom i zdolnościom swoim zastosowanie praktyczne, na korzyść własną i innych. Włóczęga, który postanowił uciec daleko, do Rosyi i zdobyć sobie środki bezpieczeństwa, idzie do erebilówki i tam za rubla lub dwa otrzymuje taki dowód legitymacyjny, który pozwala mu swobodnie wędrować przez wsie zabajkalskie i iść daleko, jeżeli nie da się złapać we wsi na kradzieży lub po za wsią na rabunku.

W takich dowodach fałszywych zbiegowie figurują zwykle jako osadnicy lub włóścianie. Stosownie do tego stworzono takse: za dowód osadnika 3 ruble, za włóściana 5 r. Niejednokrotnie dowody te robiono dla całego artelu w kilku egzemplarzach.

Włóczęga, który się waleśa latem w okolicach fabryczno-kopalnianych, szukając przygód lub atmosfery terebilówek i jurdówek, może otrzymać dokument jako osiedlenie lub więzień, wypuszczony na własne utrzymanie Niedoświadczonych umieją w terebilówkach nauczyć wszystkiego.

— Czy nie trzeba ci czasem dowodu na życie wolne? — pyta pewien specjalista katorżnika Denieżkina.

— Oj, trzeba! Ale zkąd wziąć?

— Czy masz pieniądze?

— Mam, ale niewiele.

— Jeżeli się znajdzie dwa ruble, to będzie dosyć.

W szynku doręczono mu dowód legitymacyjny i jeszcze za pewne uzupełnienie ściągnięto 50 kop.

Szczęśliwy włóczęga nabiera następnie wprawy, umie pokazać dowód temu, kto mało widzi, ukryć go przed wzrokiem doświadczonym i zrabować niebaczego. Włóczęga taki zbywa skradzione przedmioty tylko w jurdówkach i terebilówkach, pieniądze zaś z tego źródła otrzymane, również tam przepija. Wódkę kupuje tylko w szynku

miejscowym i pije ją ze swoim bratem-opiekunem i przewodnikiem.

Tak mówią sprawy w archiwach, w których się zawierają rzeczywiste fakty życiowe. Śledztwa i rewizye wykazały, że podrabiacze używają najczęściej pieczęci ołowianych, rzadziej miedzianych (z monety pięciokopiejkowej. Z tego powodu są one większe, niż prawdziwe, odbicie zaś wyraźniejsze. Pewien podrabiacz, ażeby łatwiej ukryć swoją działalność, kupował papier na dowody legitymacyjne nie w sklepach, lecz od uczniów, i to tanio, za kółeczka z włosów, robione przez jego żonę. Inny zrobił i wydał dowód, ale napisał długie, duże cyfry i tym sposobem, może bez złej myśli, zgubił przyjaciela. Podczas rewizyi u trzeciego terebiłowczyka znaleziono w kącie między podłogą a ścianą funt cyny, dwa pilniki, małą piłkę, pięć gotowych pieczęci i szóstą zaczetą na miedzianej monecie dwukopiejkowej, na której wytarte były obie strony. Na jednej gotowy już był napis: „Kozmodemjańskiego zarządu miejskiego.“ Czwarty wpadł w ręce władzy, gdy się sposobił na podrabiacza banknotów. Miał on dwa niewielkie cyrkle drewniane, dwie szpilki z drótu, dwa dłótka z igieł, pieczęć papierową, zdartą z koperty i t. d. Z wielkiej liczby spraw tego rodzaju przychodzimy do przekonania, że nietylko w terebiłówkach wyrabiano papiery fałszywe. Wielu wysłanych wskazuje Tarabogataj i inne wsie, gdzie byli również majstrowie tego rodzaju, ale nie dorównywający powyższym. Źle zrobione dokumenty często zdradzały zbiegów i oddawały ich w ręce policyi. Gdy tymczasem wykonane w zakładach piotrowskich prowadziły więźniów bez przeszkód aż do Rosyi europejskiej.

Papiery urzędowe, ujawniając te grzechy, dowodzą zarazem, że nietylko skazańcy, wypuszczeni na własne utrzymanie, popełniają czyny karygodne. Nie mogliby oni dać rady, gdyby im nie dopomagali ludzie, korzystający z zupełnej swobody i jej przywilejów.

Oto jaki wypadek (jeden z charakterystyczniejszych) zapisano w papierach archiwalnych.

Dwaj robotnicy zakładu przemysłowego grają w karty z trzecim, który wygrywa i żąda pieniędzy.

— Ja ci zapłaciłem, ruszaj precz z mego domu!—woła jeden ze współników i wyrzuca trzeciego. Ten dobył noża i rzucił się z nim do sieni, ale nie znalazł już tam partnerów.

Usiłowanie popełnienia morderstwa wywołało sprawę. Śledztwo wykryło, że ci dwaj współnicy mieli w mieszkaniu otwarty, jawny dom gry, o którym nie wiedziała tylko władza, że ci wolni robotnicy zakładu przemysłowego mieli prawdziwe drukowane karty, że podczas gry wódka zawsze była nieodłączną towarzyszką.

„Gdy między jednym współnikiem a skazańcem wszczęła się zwada, drugi oficyalista więzienny rzekł do pierwszego:

— Gdybyś był człowiekiem, jak się nalczy, tobys Isajewa, jako katorznika, zbił dobrze i wypędził, a gdyby nawet poszedł do sądu, to przecież prawo nie każe mu wierzyć.

Sąd skazał Isajewa na 50 plag, najemników zaś uwolnił od wszelkiej odpowiedzialności. Położenie „służących“ kopalnianych dawniej było o wiele gorsze, niż dzisiaj. Syn 12-letni musiał już iść do robót, chociaż lżejszych, latem. Gdy dochodził do 18-go roku życia, wprzęgano go do pracy na równi z katorżnikami, którą musiał spełniać 25 lat, jeżeli pochodził z rekrutów, i 35, jeżeli był synem robotnika wolnego (służącego) lub się urodził wtedy, gdy jego ojciec, katorżnik, był jeszcze w okresie kary. Tym sposobem służący-robotnik pobierając taką samą płacę i utrzymanie jak robotnik-skazaniec, różnił się tylko tem od drugiego, że pracę miał prawie bezterminową, gdy tymczasem katorżnik miał w perspektywie termin najwyżej 20-letni. Dokumenty w archiwach przepełnione są opowiadaniem o ucieczkach z robót najemników kopalnianych. Pojmani tłumaczyli się podczas badań zawsze, że uciekli po to, ażeby trochę wypocząć. Ucieklszy, popełniali przestępstwa po to, ażeby otrzymać karę chłosty i następnie wciągnąć się do

kategorii katorżników — wysłanych, t. j. terminowych robotników górniczych. Prawda, że za przestępstwa drobne karano po pojmaniu zmniejszeniem płacy, chłostą i i zwiększeniem ciężaru pracy; ale niektórym odrazu udawało się dostać do katorgi na roboty terminowe.

Wracając do terebilówek i jurdówek, a zarazem do tych rodzajów i postaci przedsiębiorczości, która powinna zapewnić istnienie mieszkańcom owych „słobódek“ (osad), spotykamy nowe rodzaje handlu i wszelkich profesyj. Istnieją one w małych rozmiarach i należą do wyjątkowych, ale niemniej pozostają w rękach osiedleńców na wyżywieniu, tudzież katorżników. Profesye te nie miałyby zastosowania i racji bytu, gdyby nie posiadały pomocy na ubożcu. Mówimy tu o kontrabandzie skarbowego złota i srebra. Kraść je można łatwo, szczególnie złoto; ukryć jeszcze łatwiej. Kradną najczęściej podczas robót w kopalni, gdyż trudna jest wtedy kontrola nad robotnikami, rozrzucenymi na znacznej przestrzeni, lub pracującymi w ciemnych podziemiach. Trudniejsza kradzież podczas przemycania. Tam kradną tylko sami dozorca. Robotnicy tedy korzystają tylko ze sposobności, gdy się znajdzie metal rodzimy (bez domieszek). Bywa to wszakże bardzo rzadko, metal zaś taki dostaje się tylko w ręce najszczęśliwszych; ale i w takim razie szczęście znalazcy nie sięga po za szynk terebilówki. Nie niesie on metalu znalezionego do kantoru, pomimo że tam płacą po rublu za każdy zolotnik; ale wie także, iż ważą tam na wagach dla niego niepojętych i że niedowazają. Z handlarzom łatwiejsza sprawa: można się potargować, można przytem wypić na jego rachunek i przepić lub przegrać natychmiast pieniądze otrzymane. Bo gdzież je oszczędzać lub chować? W koszarach skradną towarzysze. Duże pieniądze w więzieniu to tylko kłopot: może ktoś zabić pod wpływem pokusy lub zazdrości.

Tak więc złoto i srebro skradzione przechodzi za bezcen przez terebilówki. Tam najmita-służący kopalniany zdobywa je i sprzedaje kozakowi, wybierając dla zatarcia

śladów takiego, który był tylko w przejeździe i jest w tej sprawie doświadczony. Taką drogą złoto idzie zwykle w proszku, a srebro w kawałkach. Kozak dostawszy je, nigdy sam dalej nie puszczał w kurs. Posługiwał się wyłącznie żoną lub córką. Proces ten, według opowiadań, odbywał się w sposób następujący:

Kobieta wiezie zwykle złoto przemywane, w papierku i szmatce zawinięte i ukryte w krupach lub mące. Przyjechawszy do miejsca umówionego w lesie, w pobliżu drogi, chowa złoto pod krzakiem, który powinien się odznaczać cechami, znanymi wszystkim kontrabandyzistom; następnie jedzie do głównego handlarza — kapitalisty: kupca lub włościanina.

— *Żółtą pszeniczkę przywiozłam: czy nie kupisz?*

Kupiec rozumie o co chodzi, stara się jednak zamaskować i odprawia kobietę do innego:

— *Może tamten weźmie. Powiadają, że on takimi rzeczami się zajmuje. Ja — nie! Nie trzeba mi!*

„Tamten“ jest zawsze agentem nabywcy głównego. Zadaniem jego powinno być nie kupowanie, lecz znizanie ceny złota. Po targach odsyła babę dalej:

— *Ja pieniędzy nie mam.*

Trzeci zwykle płaci, po długich targach i namysłach. Płaci zaś tyle, ile chce, przy czem dodaje:

— *Mam mało pieniędzy, ale mi pomoże „dobroczynca.“*

I wymienia nazwisko tego dobroczyńcy, dając do zrozumienia, ażeby kobieta i na przyszłość szła tą samą drogą i wyczerpując cierpliwość, zniżając cenę, dochodziła do tego trzeciego.

Ten trzeci idzie zwykle za kobietą do miejsca oznaczonego. Tam zabiera złoto i niesie je do swego dobroczyńcy, który ma zaufanych i doświadczonych kozaków, posiadających dobre konie do przewozu kontrabandy. Konie te biegną przez drogi, na przełaj, przez las, przepływają rzeki. Dzięki temu, lepsi kontrabandyści zabajkałscy, „kozacy arguńscy“ (Rosyanie i karymi), wpływ przez rze-

kę Arguń przewożą Mongołom złoto kradzione, „pszeniczkę złotą.“ Tam na stepach w miejscu umówionem przyjaciele-Mongołowie chętnie biorą złoto za herbatę cegiełkową i wszelką inną. Tą samą drogą ryzykowną w nocy wiozą herbatę do wsi dużych i dostarczają kupcowi-dobroczyńcy.

Zarabiali na tem wszyscy dobrze. Kontrabanda kwitła i wzmagała się w miarę obarczania handlu kjachtyńskiego cłem wysokim ¹⁾. Na miejscu sprzedaży złota Mongołom odbywały się zwykle pijatyki; upijano się wódką chińską, zwaną „araki.“ Na miejscach zdobycia złota zdarzały się niepowodzenia i wielkie nieszczęścia.

Jakiś przedsiębiorca dostarczał skarbowi mięso, nawet ze stratą. Władza poznała się na tem, ale mając na względzie korzyść skarbową, milczała do pewnego czasu. Jednego roku przedsiębiorcę oszukali kontrabandziści, podsunawszy mu pośpiesznie kawałek miedzi, galwanicznie pozłożony, zamiast złota rodzimego. Przedsiębiorca zapłacił gotówką i wyjechał. Sprzedawca wyduł go. Na drodze złapany i zrewidowany, zapłacił karę, a na następny rok już się nie pojawił i kontrabandy zaniechał.

Ale nie zaniechali inni. Do nowej świeżo otwartej kopalni Kudei przedewszystkiem podążyli sprytni handlarze z chustkami, perkalem i innym towarem tego rodzaju, w celu zdobycia złota. Niegdyś kopalnia szyłkowska była ogniskiem obrotów, dokonywanych złotem karyjskiem (bardzo wysokiej próby). Przyjeżdżali tam nabywcy z wsi okolicznych. Kupcy miejscowi tem się nie zajmowali. Na początkach kontrabandy kupcy w zakładach szyłkowskich zarabiali rubla na rublu. Zachowało się w archiwum mnó-

¹⁾ Złotnik złota sprzedawano kupcom po 1½ rubla, czasem po 2 ruble (skarb cenil 3 ruble 57¾ kop.). Mongołowie dawali za jeden złotnik dziesięć cegiełek herbaty (po 70 kop. każda), t. j. 7 rubli. W zakładach nerczyńskich za cegiełkę herbaty kupcy w sklepach płacili, stosownie do wielkości cegiełki, od 90 kop. do 1 rubla. A więc na każdym złotniku główny kontrabandzista zyskiwał około 8 rubli, po potrąceniu wydatków na przewóz.

stwo spraw, dotyczących srebra i złota. Podejrzewano i łapano na gorącym uczynku Żydów z kategorii wysłanych. Posądzano także (r. 1843) Węgrów ¹⁾ i innych cudzoziemców, handlarzy wędrownych z drobnym towarem zagranicznym, bez stempla, lub z plombami i znakami podrabianymi. Sprzedawali oni przytem lekarstwa. Nabywali wyłącznie srebro w monetach i kawalkach, a natomiast puszczała w kurs banknoty fałszywe. Na pewnych podstawach przypisują tym gościom zagranicznym prawidłową organizację kontrabandy złota i srebra.

R. 1850 istniała w Kjachcie komisya śledcza w celu wykrycia zakorzenionego i nieprawnego handlu złotem z Chińczykami ²⁾.

Jeden z kontrabandzistów, niejaki Sokołow, r. 1850 był złapany na tem, że złota nabytego nie sprzedawał za granicą chińską Mongołom, lecz przerabiał je na „czerwonce“, które puszczał w obieg za Bajkałem przez swoją żonę. W szynku fabryki duczarskiej u szynkarza znaleziono cztery takie monety złote, które odesłano do mennicy petersburskiej. Eksperci dworscy znaleźli, że są to monety szczerozłote, stojące wyżej od kursu skarbowych.

Do sprawy tej należeli: katorżnik Sokołow, Polak Branowski i włóczęga Andrejew. Sokołowa wraz z żoną, jako podejrzanych, przeniesiono na mieszkanie dalej, do zakładów szachtamińskich. Branowski, raz już poddany obłóście za robienie w tych samych zakładach nerczynskich banknotów fałszywych, był znowu ukarany. Włóczęga Andrejew, poprzednio sądzony za sprzedaż osiedleńcowi Czernowowi 1¹/₂ funta złota i skazany za to na przepędzenie przez szereg 500 ludzi, wymierzających uderzenia szpicrutą — tym razem otrzymał 30 plag.

Kontrabanda złota i wyrób fałszywych banknotów

¹⁾ Zapewne Słowaków.

(Przyp. tłumacza).

²⁾ Ani ta komisya, ani wyznaczona potem rewizya senatorska nie nie wskórały. Łapano drobiazg. Wielkie ryby zawsze się wymykały.

wielu śmiałkom dały możność wzbogacenia się. Natomiast bardzo niewiele z nich ucierpiało na tem.

Wskazywano mnóstwo obywateli w miastach, położonych w pobliżu ognisk produkcji złota i srebra, którzy zrobili majątek na tajnym, nioprawym handlu złotem kradzionem i banknotami fałszywymi. W gub. Tobolskiej również trafiały się monety o próbie wyższej, niż rządowa. Wędrowały one drogą omską do Buchary, Chiwy i Taszkientu.

Niezależnie od wyrobu monet ze złota kradzionego, zakłady nerczyńskie nie ustępowały wielu innym miejscowościom Rosyi i Syberyi w wyrobie banknotów. Fabrykacja ta była tak silnie rozwinięta w okręgu Nerczyńskim i na całym Zabajkału, że zarząd górniczy próbował zrazu liczyć rodzaje banknotów podrabianych i zapisywać je; ale wkrótce stracił rachunek. Naliczono około 25 rodzajów i następnie zapisywano tylko dla zwyczaju. Bywały wypadki charakteru politycznego, o czem świadczy sprawa, dotycząca wygnańców polskich z r. 1830, którzy chcieli oswobodzić wszystkich towarzyszków z więzów niewoli. Pomówimy o tem w następnych tomach dzieła niniejszego.

W Syberyi zachodniej wskazywano gorzelnię uspięńską (gub. Tobolskiej, okr. Tiumeńskiego, o 326 wiorst od Tobolska i 52 od Tiumentia), jako główną fabrykę banknotów fałszywych. Opowiadają, iż wszczęto z tego powodu śledztwo skończyło się w ten sposób: jednemu z deputatów jakaś staruszka wsunęła w ręce grubą paczkę banknotów fałszywych. Sędzia od tego czasu zaczął się wzbogacać, porzucił służbę; sprawę zaś, jak zwykle w takich razach, przerwano i zatarto.

Pośrednicy w zbywaniu banknotów fałszywych często wpadają w tarapaty, aresztanci uszukują ich. Jeden zdołał wsunąć pośrednikowi paczkę papieru miękkiego, obłożoną z obu stron banknotami i związaną sznurkiem; ten zaś pośpiesznie sprzedał ją innemu za 250 rubli (w paczce było

tylko 45 rs. w banknotach niebieskich i czerwonych na wierzchu).

Wypuszczani są na wyżywienie, a raczej na wypoczynek ci wysłani, którzy nie mogli wytrwać w robotach skarbowych i stracili resztę sił, starganych w drodze i więzieniach. Ludzie ci stają się zupełnie niepożyteczni w pracy. Wypuszczenie aresztantów na wyżywienie bywa także środkiem ekonomicznym, np. w razie nieurodzajów, gdy skarbowi jest trudno poczynić zapasy odpowiednie. Jest to wreszcie postać nagrody, zalecona przez prawo i zwyczaj dla tych skazańców, którzy przykładownie przebyli cały okres kary, ale jeszcze nie doszli do kategorii osiedleńców. Idąc na wyżywienie, familijni skazańcy zabierali z sobą także i dzieci, ale władza zakładów przemysłowo-karnych uważała je za współwinnych, więc wraz z ojca mi zabierała napowrót do robót. W papierach zaznaczała, że niepodobna z ludzi puszczonych na wyżywienie zrobić stałych robotników i gospodarzy. Skazańcy niefamilijni, idąc na wyżywienie, niekają z ognisk robót przy pierwszej lepszej sposobności.

Idąc na mieszkanie do gospodarzy familijnych, przestępcy na wyżywieniu (chętnie przez tamtych przyjmowani), przy bardzo lichych skarbowych środkach utrzymania, musieli szukać różnych dróg zdobycia pieniędzy. W gorzelniach, robiąc dziury w rurach, kradli gorzałkę, w warzelniach — sól, w kopalniach — piasek złoty, w fabrykach żelaza — żelazo i t. d. Drobnie kradzieże w fabrykach do tego stopnia są zwykle, że po wielu doświadczeniach zaniechano środków przeciwdziałania temu. W zakładzie piotrowskim krąży taka opowieść jednego ze skazańców: — „Byłem złodziejem nałogowym; wszystkich w tej mierze przeszedłem. Innego wybija — i poskutkuje; na mnie zaś różgi żadnego wpływu nie wywierały. Siedział we mnie jakiś dyabeł złodziejski, najmocniejszy i taki uparty, że rady dać mi nie mogłem. Zobaczę jakąś rzecz cudzą, natychmiast brzuch mię zaboli i taka chętka bierze, że oczu nie zamknę, kawałka nie przełknę, dopóki cudzy przedmiot nie

przestanie kluc w oczy, a ręce — świerzbic. Ściągałem wszystko, co tylko pod ręką się nawiązało, bez względu, czy potrzebne, czy niepotrzebne. Siedzę czasem zadumany, o swoich losach myślę i naraz chęć gwałtowna: Pójdę skradnę cośkolwiek, co źle leży. Pewnego razu wyszedłem na przechadzkę za fabrykę. Pochodziłem trochę, wracam. Po drodze skład rzeczy skarbowych; widzę — nasi tam się podkopują. Należało mi przejść mimo, dość już tego; ale dyabeł we mnie się zbudził i myśli moje rozproszył; zaczął mię popychać i namawiać: „Idź pomóż! We dwóch nie dadzą rady.“ Poszedłem do nich: „Co robicie?“ — „A oto skarbowe rzeczy policzyć chcieliśmy.“

„Zacząłem im pomagać. Ścieżka zaś została po za mną. Podkopywałem się wraz ze swym dyablem trzy razy sprawniej, niż towarzysze. Jama moja była najgłębsza i brzegiem już sięgała do wnętrza składu. Naraz oglądałem się — niema towarzyszków; uciekli. Odwracam się, patrzę, stoi nademną nasz naczelnik; także na przechadzkę wyszedł.

Stoi, milczy i wielkimi oczyma na mnie patrzy. Światło księżyca akurat oblało go zupełnie; nawet straszny się wydał. Ujrzawszy go (Nesterowa), obumarłem z przerażenia: był to człowiek surowy, siekł naszych towarzyszków prawie do śmierci. (Dlatego władza odebrała mu to miejsce). Mnie bił tyle razy, że nawet rachunek stracił. Ujrzawszy go, zrozumiałem całe swoje położenie: taką karę teraz wymyśli, o jakiej nikt w naszym więzieniu nie słyszał. Przemówił: „No, już więcej ciebie karać nie będę; kije już nie skutkują; niech teraz ciebie sam Bóg ukarze!“ Temi słowy poprostu przygwoździł mię do miejsca. Długo stałem jak wryty. On poszedł, a ja wciąż jeszcze oczekiwałem kary. Myślę: ot, tu wymierzy mi straszliwe plagi na miejscu. Od tej chwili jakby ręką odjął. Zabił odrazu mego dyabła.“

Skazaniec ten przestał kraść i stał się jednym z lepszych uczciwych robotników. Druga burza, która się rozpostarła nad wysłanymi w Karze, zaraz po rozpoczęciu tam eksploatacji złota, przeczaiła oprawcę. Sprzedawał on

wódkę i pożywiał się około katorżników. Po gorzałkę jeździł do fabryki szyłkowskiej i tajemnie przywoził ją do Kary. Pewnego razu, gdy wioził tę kontrabandę, spotkał swego zwierzchnika. Przyprawiony do niego, zaczął drzcć jak w febrze i nie wiedział, co z sobą ma począć. Zwierzchnik był zadowolony i poprzestał na krótkiej scenie: „Czy się boisz mię?”—zapytał. — „Bardzo się boję!”— „A jak „bardzo?”— „Bardziej, niż Boga!”—odrzekł oprawca i rozbroił tą odpowiedzią. Nie był karany.

Bądź co bądź, to tułactwo po cudzych kątach we wsiach pobliskich ogniska kary, ten pozorny wypoczynek po katordze, w ciągłej trosce o chleb gorzki i twardy, sprawia to, że pobyt na własnem wyżywieniu niewiele jest lepszy, niż katorga. Żadnego ratunku! Nie znalazłszy środków w swoim okręgu, przekroczyć jego granice, ażeby radzić sobie w innym, to znaczy wciągnąć się do szeregu włóczęgów, surowo ściganych przez prawo. Zamkną włóczęgę gdzieś do więzienia, oddadzą pod sąd, ukarzą i znowu osadzą w tem samym miejscu, skąd wyszedł lub posłą dalej. Chodzić po domach robotników fabrycznych takich samych nędzarzy i nieszczęśliwych, to znaczy popełniać drobne kradzieże i ponosić wielką za nie karę. Im dłuższy jest termin tego przejściowego, nieokreślonego stanu, tem trudniejsze do zniesienia tortury moralne, tem bardziej się wikłają warunki życiowe; położenie zaś osiedleńca wolnego wydaje się rajem. Większość ucieka, mniejsza ich liczba radzi sobie różnymi sposobami i oczekuje końca terminu, dnia pożądanego. Najmniej zaś wchodzi w związki małżeńskie, przyzwyczajają się do rodziny, domu i gospodarstwa. W zakładach przemysłowo-karnych skazaniec na wyżywieniu kradnie konia, żeby się dostać do kategorii tak zwanych robotników konnych. Koń pozwoli mu zdobyć zarobek dodatkowy, okrucy dla rodziny, grosz jaki taki dla siebie. Władza domyśla się kradzieży, dochodzi po nitce do kłębka, ale milczy i nie przeciwdziała złemu, które o oddawna się zakorzeniło.

U niektórych skazańców na wyżywieniu pociąg do kradzieży rozwija się ogromnie, dochodzi do manii i przybiera cechy choroby. Jeden np. wypielegnował w sobie pociąg do rozkopywania mogił, otwierania trumien i zdejmowania odzieży z umarłych. Inni kupowali proch od Chińczyków, tłumacząc się, że niema w tej mierze żadnego zakazu.

Uciążliwszą mają walkę o byt skazańcy w ziemi nerczyńskiej, o których ludzie świadomi rzeczy piszą następujące słowa: „Wysłani, przebywszy po większej części dwadzieścia, z dodatkiem zaś terminu robót za ucieczki, trzydzieści i więcej lat, po upływie tego czasu są uwalniani od robót i zaliczani do kategorii osiedleńców. Ale są to albo złodzieje, albo pijacy. Więcej wzbudzają zaufania ci, którzy byli przykuci na łańcuchu lub do tacek. Czasem bywają porządni ludzie wśród zonatych; ale pijaństwo, to ogólna wada aresztantów wszelkiego rodzaju, a nędza—jest udziałem każdego z nich i póty trwać będzie, aż się zmieni na lepsze obecny system więzienny. Ze względu na wielką liczebność przestępców, ogrom i różnorodność robót—polepszenie bytu wysłanych i umoralnienie ich jest na Syberji zadaniem trudnym, prawie niemożliwym. Inicytywa winna wyniknąć w Rosyi. Na Syberji niema ludzi odpowiednich, przenikniętych duchem humanitarnym. Skazańcy zaś—to są robotnicy skarbowi, siła mechaniczna, maszyna, ceniona odpowiednio do swej pracy. Tak przynajmniej rzecz się miała podczas naszych spostrzeżeń. Nie wiemy, jak będzie dalej.

Kto to jest w istocie ów „wyżywieniec“, nawet ten, co stracił chęć do włóczęgostwa i lenistwa, a pozyskał opinię „lepszego“? Skazaniec tej kategorii otrzymuje prawo na 15 dziesięcin ziemi, nadanej na równi z włóścianami, ale przyzwyczajony do robót specjalnych, nie może z nimi się rozstać, i kto wie, czy to nie jest przyczyną jego nieszczęścia. Dla tego to wypuszczony na wyżywienie, np. w gorzelni, w dalszym ciągu rąbie drzewo do pieców, pali w tych samych piecach; czyści naczynia, robi zacier, sól, pom-Syb. i ciężk. roboty.

puje wodę, spuszcza wywar, robi beczki i t. d. Wpadając w ręce kontrahentów „wyżywienicy“ ponosili jeszcze większe ciężary. W jednym zakładzie znaleźliśmy, że położenie ich pod opieką skarbu było o wiele lepsze: otrzymywali oni posady policyjne. U kontrahenta wciągali się do kategorii robotników konnych, otrzymywali konia lub pieniądze, potrącane potem z sum zarobionych. Następnie zaś spadały już na nich różne ciężary. Budowali domy, zajmowali się wszelką reparacją za najlichszą płacę. „Istotnie, 60 kop. płacy miesięcznej w zakładach nerczyńskich, a 80 w niektórych warzelniach soli, oraz 20—40 w gorzelniach, nie mogą zaspokoić nawet potrzeb zwierząt, a cóż mówić o ludziach! To też robotnicy muszą się uciekać do kradzieży i innych przestępstw. Kradną dane im wszelkie materiały i przedmioty produkeyi, kradną czas i pracę, należące do zakładu, i nie uważają tego za przestępstwo, gdy jednocześnie wszelkie podobne wykroczenia wśród swoich (wypuszczonych na wolność) surowo przesładują.

W troickiej warzelni soli (gub. Jenisejska, okrąg Kański, o 193 wiorsty od Kańska), na wyżywieniu uwalniani byli od robót tylko niezdadni skutkiem słabości lub kalektwa i zamiast do przytułków, wciągano ich do ludności wsi. W warzelni selengińskiej (40 wiorst od miasta i 96 od Wierchnieudińska), jak świadczy pewien dokument urzędowy, ci uwolnieni od robót na wyżywienie, przechodząc do nowych miejsc pobytu, sprzedawali domy swe innym robotnikom, którzy następnie szli za ich przykładem. „Z tego powodu każdy, czując wątłe podstawy pod nogami i nietrwałość ogniska pracy, nie troszczył się ani o rozszerzenie siedziby gospodarskiej, ani o przygotowanie gruntu do uprawy. Grunty zaś, jak wogóle na Zabajkalu, wymagają jeszcze urządzeń irygacyjnych.

Gdy r. 1838 wysłanych dzielono na kategorie, czas przebywania na robotach był ograniczony, dzieci zaś robotnicze kazano zapisywać do stanu włościańskiego. Wszyscy więc młodzi skwapliwie skorzystali z wolności.

Dzieci robotników wyraziły chęć poznania fabryk i zakładów. Starano się o pozostawienie ich na miejscach dawnych, ale zabiegi te nie były uwzględnione i tylko gdziegdzie pod wpływem silnych argumentów, niektórzy wyżywieńcy zgodzili się pozostać w zakładach za biletami z gminy. Nieletni zaś zostali przy rodzicach na wychowaniu. Zmiana w r. 1838 obudziła tylko nadzieje, przyniosła pewne ulgi robotnikom, ale warunków ich bytu nie polepszyła. Prawda, stworzono artele dla poprawy środków żywienia i fundusz ekonomiczny, w celu udzielania pomocy przy urządzaniu gospodarstwa oraz przy ożenku. Ale połowę tego kapitału obrócono na pościgi zbiegów, na różne i częste iluminacye, na pokrycie długów skarbowych po zmarłych i na nagrody, udzielane wysłanym pod postać obuwia. Artele utrzymały się tylko przy więzieniach, ale i te były tak nietrwałe, sztuczne, że nie przyniosły żadnego pożytku skazańcom, nie nauczyły ich życia artełowego na swobodę radził już sobie samodzielnie. W umysłach władzy utwierdziło się to przekonanie, że taki stan przejściowy najbardziej sprzyja ucieczkom i czas ten najdogodniejszy jest dla włóczęgostwa.

Dodać tu musimy, że bardzo często zwijano wiele fabryk syberyjskich, które nagle wzrastały w jednym miejscu, wbrew wszelkim prawom ekonomicznym, jak np. gorzelnie w Syberji Zachodniej, i szybko znikwały, gdy warunki kraju ujawniły ich szkodliwość, jak się to zdarzyło w Syberji Wschodniej: upadły dwie gorzelnie w gub. Irkuckiej, dwie w obwodzie Zabajkalskim, jedna w gub. Jenisejskiej, wreszcie fabryka sukna w gub. Irkuckiej. Zjawiska wszędzie te same: albo szybki wzrost cen zboża wywołuje głośnie i powszechne skargi, albo też wadliwa gospodarka rujnuje owe zakłady. Historia telmińskiej fabryki sukna jest w tej mierze prototypem. Stworzona sztucznie, dla wyrobu sukna żołnierskiego, trwała póty, dopóki nie mymagala poprawek, Zrobiła się dziura w jednym miejscu, trzeba było ją załatać. Zawiazuje się tedy kore-

spondencya w tej sprawie: ale odpowiedzi niema, a tymczasem utworzyła się nowa dziura. Więc znowu piszą, albo otrzymują pozwolenie na załatwienie pierwszej. Wreszcie zakład z czasem dochodzi do takiej ruiny, że naprawa kosztowałaby drożej niż wzniesienie nowego budynku. Ale oto zbliża się znowu czas zrobienia zapasów odzieży żołnierskiej. Zaczęto obliczać i okazało się, że będzie korzystniej sprzedać zakład zrujnowany. Zjawili się nabywcy, obejrżeli i przyszli do przekonania, że starzyzna na nie się nie zda. A tym czasem fabryka ściągnęła mnóstwo robotników i zaprowiantowała ich. Co z nimi począć? Ziemię zagarnęli dawni włościanie, fabryka zaś ze skazańców wytworzyła techników, rzesze robotników fabrycznych, niezdatnych do kolonizacyi na roli. Pozostało tedy bez zajęcia mnóstwo tkaczy, chudych, pokrzywionych, z pierśmiami zapadłemi, szczyjących się swoim fachem, wyższym w ich pojęciu od rolnictwa.

Wysłani, sami idąc na własne wyżywienie, oddawali dzieci do fabryk. Chociaż przed dojściem do pełnoletności nie wolno było przyjmować ich do roboty, władza jednak, biorąc w rachubę to, że je karmiono chlebem skarbowym, werbowała do robót małych 14, 12 i 10-letnich. Potem chwaloło się, że synowie wygnańców robotników stanowili klasę ludzi najzdatniejszych i najpożyteczniejszych przy robotach technicznych. Po 8-ej rewizyi (r. 1834) kazano ich wszystkich zapisać do kategorii włościan wsi pobliskich. Fabryki znalazły się w nowym kłopotcie. Zaczęły się uskarżać, że pomimo zabiegów, ażeby przywiązać skazańców do miejsca, wsie fabryczne nie wzrastały wcale. Po skończeniu terminu robót, wszyscy, idący na własne wyżywienie, byli wykreśleni z pod władzy fabrycznej. Uwolnieni nie otrzymywali już ani płacy według taksy fabrycznej, ani prowiantu, nawet w takich wypadkach, gdy robotników uwalniano tylko chwilowo na własne utrzymanie, t. j. w okresie zawieszenia robót fabrycznych (w gorzelniach np. okres ten trwał od 1 listopada st. s. do 1 marca). Dla tego też ojcowie, idąc na własne utrzymanie, zabierali

z sobą i dzieci, ażeby razem z niemi szukać środków istnienia. Władze fabryczne żądały ich zwrotu, ale „wyżywienicy“ starali się tak znacznie oddalić, że wszelkie środki ściągnięcia ich były bezskuteczne, zakłady zaś musiały werbować robotników z nowych skazańców lub jakich takich najemników wolnych. Wyniki wiadome: wolnych najemników niema, robotników konnych bardzo mało, paliwo wyczerpuje się, skazańcy uciekają tłumnie, fabryka wisi na włosku, zanim nie przyjdą jej z pomocą zarządzenia wzmocnione. Ale w końcu pozostaje jeden wniosek: „stworzyć z tej zbieraniny robotników stałych, lub konnych i wreszcie gospodarzów — jest to zadanie zupełnie niemożliwe“.

W każdym jednak razie zamiana katorżników na osiedleńców, po przebyciu dziwnego przejściowego okresu „wyżywienców“, dotychczas nie doprowadziła do celu pożądanego i nie dała rezultatów oczekiwanych, które tak ładnie wyglądały na papierze. W rzeczywistości środek ten zwiększył tylko liczbę włóczęgów i nędzarzy na Syberii, stworzył rzesze ludzi niebezpiecznych, o których oddawna już wypada pomyśleć i zatroszczyć się. Nie zawsze na własne utrzymanie idą ludzie wąтли, kalocy; ale i ci noszą w sobie zarazę, która zabójczo działa na organizmy zdrowe.

Skazańcy drogą długich cierpień wyrabiają sobie jakie takie nadzieje, zdobywają pewną otuchę i pomimo ciężkich warunków bez wyjścia, umieją tworzyć pieśni, przez które wylewa się skarga na niedolę. Przebija się tam i nadzieja, i cierpienie, i wiara w przyszłość lepszą. W więzieniach katorżnych śpiewana jest między innymi taka piosnka:

„Siwizno ty moja, siwusieńka, siwizno ty moja chwacka! Dlaczegożes tak wczesnie się pojawiła, w czarne włosy się wplątała? Ach, ty młodości moja, młodości. Ach ty młodości dzielna! Zmarnowałem ja ciebie, zmarnowałem zupełnie, nie w wygodach, bogactwie, lecz w przekletem

osamotnieniu. Przeszedłem od początku do końca całą ziemię sybirską. Nie znalazłem tam ani ojca, ani matki; ani braci, sokolików jasnych, ani siostr — łabędzi białych ale znalazłem dziewczynę krasną.“

Pieśń ta jest właściwie pieśnią osiedleńców, do których życia przechodzimy obecnie.

ROZDZIAŁ V.

Na osiedleniu.

„Osiedleniec, jak dziecko—co widzi, to bierze”—mówi przysłowie syberyjskie, wyrosłe z dwuwiekowych spostrzeżeń sybiraków, potomków tych ludzi, którzy niegdyś dobrowolnie przyszli na Syberję.

„Najlepszemu osiedleńcowi nigdy wierzyć nie należy”—mówią oni także w formie przysłowia i ostrzeżenia.¹⁾

Słowo *osiedleniec* („posielszczyk“) w mowie sybiraków starych stało się połajanką, również obrażającą, jak *warnak*. Sybirak, który nazywa włóczęgę, zbiega *przechodniem* a idących etapem obdarza nazwą *nieszczęśliwych*, następnie poznawszy bliżej tych ludzi obrzuca ich połajanką: „osiedleńcie! warnak!“ Nazwa „warnak“ właściwie jest przywiązana do osiedleńca. Katorżnicy są obdarzani innemi obelżywemi słowy: *chrap*, *chrap*—*major*, *katorżnik*, *czaldon*.

Słowom odpowiada czyn. Wszystkim dobrze znany jest ten fakt, że sybirak nie waha się wydać swojej córki za przybysza z Rosyi, osiedleńca, tylko w takim razie, gdy zdołał pokonać w sobie wrodzone uprzedzenie i stanął ponad

¹⁾ Sybiracy zawsze starają się odróżnić *osiedleńca*, pochodzącego z kategorii skazanych, od *przesiedleńca*, człowieka, który w pogoni za środkami bytu przeniósł się dobrowolnie na Syberję. (*Przyp. ilom.*)

opinią ludu. Osiedleniec może się stać zięciem sybiraka tylko w takim wypadku, jeżeli rzeczywiście życiem uczciwym potrafił zmasać z siebie bez śladu piętno przestępstwa, przynieszone z Rosyi, albo też tak dalece zawładnął sercem dziewczyny, że ta wbrew woli rodzicielskiej postanawia z nim swe losy dzielić.

Z powodu uprzedzenia i niechęci sybiraków, osadnicy wchodzą w związki z kobietami obco-plemiennymi. Skutkiem tego na pobrzeżach Obiu ludność rosyjska zostająca, nad Jenisejem ztungusiała, nad Leną, Aldoną i Mają zjakuciała, za Bajkałem zaś powstało całe plemię Karymów z matek Burjatek i Mongołek a z ojców kozaków syberyjskich i osiedleńców rosyjskich.

Sybiracy nie mogą darować iszymcom grzechu dawnego—podrabiania banknotów, więc dotychczas zowią owych ludzi blinnikami (od wyrazu, którym przestępcy nazywają banknoty fałszywe: bliny). Nie zapomniana również ta rdzenna ludność, że mieszkańców miasta Tary niegdyś Piotr Wielki za uporeczywe odszczepieństwo i za bunt r. 1721 kazał wbijać na pal (kól), stąd nazwa „kołowicze (pałowcy).

Jak dalece sybirak rdzenny czuje odrazę do przybysza, wymownie świadczą te fakty, że osiedleniec, jako konkurent do dziewczyny, nie jest przyjmowany. Co więcej—sybiracy niechętnie ich przyjmują jako robotników. Według prawa, rdzenny mieszkaniec Syberyi, jeżeli przyjmie na robotę osiedleńca, otrzymuje połowę jego należności, przez skarb wyznaczonej; ale prawo to od lat wielu nie jest już stosowane w życiu. Tylko w razie wielkiej potrzeby gospodarz przyjmuje robotnika tego rodzaju. Zatem, gdy do sprzętu zboża i koszenia siana nie wystarcza sił domowych, sybirak posługuje się osiedleńcem, zimą—oddala go. Ale nawet i podczas robót gorączkowych odmawia mu wszystkiego i pomiata nim. Umówioną płacę zarobkową gospodarz chętniej daje osiedleńcowi w przededniu święta, na wódkę, i to z warunkiem, żeby ten pił razem z zarobkodawcą. Na rzeczy niezbędne i pożyteczne nie

lubi mu dawać. Natomiast dając na wódkę, chętnie wciąga robotnika w długie, trudne do wypłacenia. Tym sposobem przykuwają najmitów do miejsca.

Ta metoda wyzyskiwania pracy ludzkiej weszła w zwyczaj na Syberyi nawet u przemysłowców, eksploatujących złoto. Dołę wyzyskiwanych opiewa nawet piosnka, ktorej ostatnia strofka brzmi:

Od włóściańskich *sawotejek* ¹⁾
 Pęcherzami obrósł grzbiet;
 A brzuchaczo—naczelnicy
 Zrujnowali zdrowie me.

Jest jeszcze inna kategoria wysłanych—osiedleńców, których nie rozdrażniała katorga i nie psuło ostatecznie próżniacze życie włóczęgoskie. Na osiedlenie, jak wiadomo, idą z Rosyi bezpośrednio przestępcy, skazani na ten rodzaj kary. O nich właśnie zamierzamy obecnie mówić. Rdzenni mieszkańcy Syberyi przyszli do przekonania, że osiedleńcy z katorżników, którzy wyszumiali i ustatkowali się, są odpowiedniejsi i korzystniejsi do robót niż ci, którzy bezpośrednio doszli do osiedlenia. Pierwsi są pracowitsi i wymagają tylko pewnej metody postępowania. Drugi podobni są do koni nieujeżdżonych. Trudno im poradzić. W pierwszych daje się spostrzegać skłonność do poprawy, w drugich—przeciwnie, do złego.

Utrwaliło się powszechne przekonanie, że osiedleńcy z Rosyi są to ludzie zepsuci, do niczego niezdolni. Niedosć tego; to jest zaraza kraju, pożądającego świeżych sił i pracy uczciwej. Zupsucie do tego stopnia jest w nich rozwinięte, że działa rozkładowo na ludność rdzenną. To też pragnie ona ażeby nareszcie przzerwano wysyłanie przestępców z Rosyi i pozwolono krajowi zdrowo się rozwinąć. Z ogół-

¹⁾ Sawotejki—niewielkie bułki okrągłe, szare, niesmaczne. Kładą je na oknach dla włóczęgów, karmią nimi podczas robót. Strzelać do sawotejek — znaczy w języku arezsztanckim — być na włóczęgostwie. Z tego powodu i pęcherze są na plecach, że za pracę wszelką płacą sawotejkami.

na opinią zgodne jest także przekonanie władz. Jeszcze w r. 1835 jeden z gubernatorów syberyjskich pisał w swoim dziele o wysłanych¹⁾ między innymi co następuje: „Rzadko się zdarza, szczególnie latem, ażeby wysłany spełniał rzetelnie swoje obowiązki względem gospodarza i władzy. Bierze zaliczkę, otrzymuje ubranie, wyrusza w góry i lasy, kradnie, popełnia różne podłości i z wielkim trudem wlecze swe istnienie. Gdy go zaskoczy surowa zima,—zamarza zgłodniały w pustyni. Czasem rozproszeni łączą się w bandę zbójcką, po 8—10-ciu, odbierają strzelby myśliwym, konie kolonistom i rabują włościan, rzadko podróżnych, nie biorą zaś nic skarbowego. W ciągu roku tworzą się czasem dwie lub trzy takie bandy. Złoczyńcy podpalały domy, przypiekają na ogniu gospodarzy i zabierają wszystko, co można wziąć. Dla nich to porobione są wedety od Aczyńska do Krasnojarska. Droga główna zawsze jest bezpieczna, tylko bocznymi podróż ryzykowna. Kozacy z pomocą włościan ścigają ich, łapią i zabijają. Czasem skazańcy tłumnie uciekają do Rosyi. Ale Syberya jest turmą oibrzymią z licznymi palisadami, w których chwytają zbiegów. Zdarza się to najczęściej w zimie“.

W trzydzieści lat później (już w r. 1861) w jednym z wydawnictw naukowych pisano to samo o wszystkich wysłanych na Syberję: „Zgodnie z porządkiem ogólnie przyjętym, wysłani po dojeździe do Tobolska dzielą się według gubernij, następnie według gmin i idą na miejsce w towarzystwie kozaków, którzy z powodu swej szczupłej liczby są nie konwojowymi, ale raczej przewodnikami. W gminach skazańcom wyznaczają wsie i wysyłają tam już pojedynczo lub w gromadach nieregularnych, bez wszelkiego nadzoru policyjnego. Otrzymawszy tym sposobem zupełną swobodę, z której nie umieją korzystać, folgują swoim skłonnościom, kradną popełniają różne niegodziwości, nieraz rabują. Ci, którzy pod naciskiem wielkiej potrzeby biorą się do roboty, nie spełniają jej należycie“...

¹⁾ A. Stepanow: „Guber. Jenaisejska“ Petersburg r. 1835 część II.

„Niezmierne jest trudno rządowi — pisze A. Stepanow — zdobyć środki, które by powstrzymały skazańców od ucieczek: R. 1827-go 15 września zatwierdzono projekt osiedlenia 5,955 skazańców, w gub. Jenisejskiej w celu ześrodkowania nadzoru, przywiązania ich do roli, zapobiegania ucieczkom i próżniactwu. Ognisko to powinno się skupić w 25 wsiach; każda zagroda ma otrzymać po 15 dziesięcin przedniej ziemi. Sześć wsi należy stworzyć na głównej drodze, resztę — na bocznych. W każdej zagrodzie powinno zamieszkać po czterech osiedleńców: trzech jako robotników i jeden gospodarz.“

Skazańcy otrzymali siekiery i padły lasy pod ich uderzeniami. Widziałem już na głównej drodze pięć ładnych wsi ukończonych, a siedm na ukończeniu, wreszcie cztery leżące w zarysie wśród zieleni dolin.

„Na to przedsięwzięcie — mówi inny autor — wydano około 170 tysięcy rubli bezwrotnie i nadto na utrzymanie osiedleńców około 211 tysięcy, które obowiązani byli zwrócić w ratach. Ale ten środek zbawczy nie doprowadził do celu pożądanego. Większość osiedleńców wkrótce porzuciła domy i poszła na włóczęgostwo. Świadczy to wymownie, że bez należytego urządzenia bytu na roli, t. j. bez rodziny, zamiłowania do własności i nadziei na przyszłość żadne *wolne* osiedlenie istnieć nie może. Ale jak dojść do tego, skąd wziąć kobiety, któreby chciały wejść w związek małżeńskie, podczas gdy ich liczba na Syberji wogóle stoi nowi około $\frac{1}{5}$ w stosunku do ludności męskiej, w liczbie zaś wysłanych płęć żeńska obejmuje zaledwie $\frac{1}{10}$ ogółu?

Tym czasem większość osiedleńców „nie posiada trwałej gospodarki domowej i bytu pomyślnego“, — mówi jedna z notatek późniejszych niedrukowanych o osiedleńcach gub. Tomskiej. Do przyczyn w tej mierze zaliżyć można: 1) Zepsucie moralne osiedleńców i nabyte przed przyjściem na Syberję przyzwyczajenie do życia kosztem nie własnej pracy, 2) nędzne i pozbawione wszelkiej pomocy położenie skazańców w pierwszej chwili osadzenia ich na roli i 3) ogólna niechęć do nich rdzennej ludności syberyjskiej,

wyrażana w obelżywych słowach: „*warnak, osiedleniec*“. Wogóle stwierdzono, że położenie osiedleńców na Syberyi nie odpowiada najskromniejszym wymaganiom humanitarnym i cywilizacyjnym.

Rozpatrzmy szczegółowo trzy powyżej wskazane przyczyny.

Na pytanie, gdzie się wytwarza ostateczne zepsucie moralne skazańców i nawyknienie do życia ludzką pracą,— odpowiedź dawno już jest gotowa i nie ulega zaprzeczeniu. Proszę zapytać urzędowych obserwatorów tudzież samych skazańców, gdzie najczęściej i najwięcej mieli sposobności do tego, wszyscy jednogłośnie odpowiedzą: *w turmie!*

Proszę wniknąć w szczegóły i głębię treści tego słowa, proszę roztrząsnąć życie historyczne tego rodzaju urządzeń państwowych: wszędzie i zawsze znajdziemy jedno: więzienie jest stekiem tych wszystkich nieczystości moralnych, które powstają z rozkładu różnych części organizmu społecznego. Tragarzami są tam ci występni i zepsuci ludzie, których wykluczono ze społeczeństwa i którzy tem chętniej i zarliwiej spełniają swoje obowiązki, że znajdują słuchaczów i naśladawców. W tem znaczeniu więzienia po wszelkich przytułkach złodziejskich i domach rozpusty były największymi i najtrwalszymi zbiornikami, w których kałuży skupia się wszelka zgnilizna i rozradzają się miazmaty.

Więzieniom rosyjskim brak było zawsze prawidłowego, racjonalnego urządzenia i ześrodkowanego dozoru. Więźniowie zaś nie mieli pracy odpowiedniej. A przecież ona jest głównym czynnikiem naszego istnienia, rola jej w życiu jest niezmiernie ważna i zbawcza. Pomimo to jednak, praca w tem znaczeniu, zabezpieczająca człowieka od złych wpływów i skłonności, w więzieniach była zapomniana.

Z pewnością, opartą na faktach, można powiedzieć, że większa część więźniów, szczególnie skazanych na osiedlenie—to ofiary próżniactwa i włóczęgostwa. Pogarda pracy

wytworzyła w tych ludziach osobną klasę, która niema nic wspólnego ze zwykłym naturalnym biegiem życia. Ciągłe próżniactwo doprowadziło ich do tego, że się pozbyli wszelkiej przezorności, opartej na zabiegach o przyszłość, natomiast wytworzyła się obojętność na wszystko. We włóczędże skupił się pierwowzór wszystkich kategorii złoczyńców. Na gruncie włóczęgostwa swobodnie kiełkowały wszelkie złe nasiona, szkodliwe i wrogie dla społeczeństwa. Włóczęga, jako zuchwały złodziej, śmiały niegodziwiec, koniokrada, kontrabandzista, osiadł w więzieniu, ażeby zostawić w niem ślady swojej nauki i doświadczenia, a potem porzedł na osiedlenie jeszcze bardziej skażony i zepsuty. Włóczęgami, ludźmi gardzącymi pracą uczciwą, przepelnione więzienia.

Jakież pojęcie o pracy i jakie wpływy szczyrych mogli ci ludzie w więzieniach syberyjskich? Nieograniczone próżniactwo przy utrzymaniu skarbowem dało im możność rozwinąć i wypiełgnować wszystkie najgorsze pierwiastki i skłonności. Więzienia dążyły tylko do jednego celu: utrzymania przestępców w swoich scianach; inspektorowie zaś troszczyli się tylko o to, ażeby więźniów głodem nie zamorzyć.

„Nauki moralne odbywają się w niewielu więzieniach i bardzo rzadko—mówi artykuł *Poczty Północnej*, napisany na podstawie danych urzędowych.—Nawet tam, gdzie są świątynie, duchowni poprzestają na odprawieniu nabożeństwa w dni świąteczne i wcale się nie troszczą o umoralnienie aresztantów. Nie mówią kazań i wogóle nie wypełniają tych obowiązków, które spoczywają na nich. Dyrektorowie komitetów więziennych, chociaż w niektórych więzieniach przyjmują na siebie obowiązki czuwania nad moralną stroną aresztantów, ale działalność ich, jako pojedyncza i bez żadnego systemu prowadzona, mało jest owocną. Większość pod tym względem zachowuje się zupełnie obojętnie. Nie myślano wcale o oświacie przestępców. Do piero w ostatnich latach stworzono szkoły w nielicznych więzieniach, a raczej nauczanie, które powierzono osobom

prywatnym z dobroczynności, bez żadnego wynagrodzenia; lecz i tutaj są trudności w znalezieniu odpowiedniego lokalu. Książki treści religijno-moralnej są w niewielu więzieniach; ale aresztanci nie czytają ich i nie chcą czytać. Innych zaś książek pożytecznych niema wcale, bo są na mocy przepisów wzbronione.“

Nie tylko ciemnota więźniów, nie tylko brak książek i nauk moralnych, ale zarazem i obojętność opiekunów wieziennych,—to są rdzenne przyczyny tych niedomagań. Przyczyny te wszakże tylko pośrednio usprawiedliwiają istnienie złego, którego rdzeń niewątpliwie spoczywa w złej organizacji, w niewłaściwym stosunku między dozorcami a dozorowanymi. Wszelkie przepisy żywe na papierze, są martwe w rzeczywistości a w praktyce wytworzyły nawet przeciwwagę, która się wyraża w istnieniu gminy więziennej. Więzienie stworzyło sobie odrębny świat, mało podobny do tego, który istnieje na wolności. „Spójnia więźniów oparta jest na jakiejś szczególnej godności, jak gdyby stan więźnia był rangą honorową“. ¹⁾ Chociaż skład tego świata nie jest liczny (dość często jednak 400 osób), chociaż on jest odosobniony, ale dla ludzi, skazanych na wyżywienie, w pierwszym więzieniu dopiero się zaczyna. Po drodze (w etapach) tylko trochę się zmienia, ale w rysach zasadniczych pozostał ten sam, w więzieniach zaś syberyjskich doszedł do ostatecznego rozwoju. Nie napróżno mówią więźniowie: „Dyabeł znosił trzy pary łapci zanim zdołał nas połączyć w jedną gromadę“. W całym swoim składzie świat ten przeciwdziała wszelkim usiłowaniom poprawy jego. I tu właśnie tkwi cała przyczyna niepowodzeń, doznawanych przez inspektorów więziennych i komitety opiekuńcze.

„Godne jest uwagi to, że w ciągu kilku lat (mówi obserwator, który siedział wraz z aresztantami) nie dostrzegłem najmniejszego objawu skruchy; większość z nich

¹⁾ Dostojewskij: „Martwy dom.“

wewnętrznie uważała się za czystych. Rzecz prosta, iż próżność, złe przykłady, fałszywy wstyd w wielu razach jest tu przyczyną.“

Już w więzieniach rosyjskich zaczyna się to zepsucie moralne, od którego Syberya nie wie, jak się ma bronić. Oto dla czego wyrobilo się tam ogólne przekonanie że poprawę skazańców należy zaczynać w więzieniach rosyjskich, gdy są zamknięci jeszcze w trakcie spraw sądowych. Na Syberyi naprawa ta jest bardzo trudna, a nawet niemożliwa, wobec ogromnego rozwoju i różnorodności kraju tudzież z braku ludzi odpowiednich do tego zadania.

Już widzieliśmy wyżej, jak dalece niepożyteczne jest wysyłanie na Syberję przestępców, skazanych do ciężkich robót. W dalszym ciągu wykazemy to jeszcze jaśniej. Teraz przystąpimy do osiedleńców. Kwestya katorżników, ze względu na małą ich liczbę w stosunku do osiedleńców, wydaje się nam mniej ważną niż tych drugich. Wyłączne skazanie do robót skarbowych w kopalniach i fabrykach, sam sposób zastosowania tej pracy i liche jej wynagrodzenie, jasno wykazuje, że są to jedynie środki kary. Wygnanie ma ich ukarać; roboty zaś bezpłatne i przymusowe mają na celu wywołanie skruchy i zadośćuczynienie rozjątrzonemu na nich społeczeństwu. Wręcz co innego widzimy w losie wysłanych na osiedlenie. Skazują ich na wygnanie, ażeby oczyścić zepsute przez nich miejsce i nie dać im możliwości szkodzenia społeczeństwu w dalszym ciągu. Rozłąka ze swoimi, oderwanie od stron rodzinnych jest karą i odwetem za przestępstwo, ale osiedlenie wyraża już chęć stworzenia z nich obywateli stron innych, pracowników uczciwych i ojców rodzin. Czy mogą oni takimi się stać po wyjściu z turmy rosyjskiej, po przebyciu etapów i więzień syberyjskich, po przesiąknięciu wyziewami moralnymi?

Więzienie przedewszystkiem nie uznaje żadnej własności. Nie wolno mieć przy sobie pieniędzy, tytoniu i wódki. Ubranie skarbowe, żywność skarbowa, rzemiosło i sztuka—także dziedzictwo cudze. Gmina więzienna złożona z włóczęgów,—ludzi, którzy nic nie posiadają, a którzy

tworzą swoją organizację gromadną, bo z nich składa się większość więźniów. Gmina ta więc w negacyi własności poszła jeszcze dalej. Kradzież wódki i tytoniu nie jest uważana za grzech i przestępstwo. Wogóle kradzież wszelkich przedmiotów u towarzysza nieuważnego jest rzeczą powszechną: Próżniactwo stworzyło gry; nagle rewizye w celach wykrycia pieniędzy rozwinęły pijaństwo: „Trzeba wydać, bo odbiorą!“ Na pijaństwo potrzebne są pieniądze; niema zkad ich wziąć: trzeba kraść albo te pieniądze, albo takie rzeczy, które mają wartość i chętnie mogą być nabyte przez towarzysza—aresztanta. Okradziony ma prawo sam dopilnować zagapionego towarzysza i na jego własności powetować swą stratę. „Jabym tak samo zrobił“—myśli aresztant i tylko trochę łaje, ażeby oczyścić sumienie. Oto dla czego niema końca kradzieży w więzieniach. Choroba ta jest tak dalece zaraźliwa, że jej nikt nie uniknie. Więzienie jest szkołą i kamieniem probierczym tej sztuki. Złodziejstwo dochodzi tam do zdumiewającej doskonałości. ¹⁾ Lekki sposób zdobycia środków prowadzi do rozrzutności i życia hulaszczego. Więzień przepija wszystko. Wierzy on w szczęśliwy traf i dla tego gra namiętnie w karty.

Do takiej sfery wchodzi i takim wpływom ulega ten, komu losy każą potem stać się obywatelem Syberyi, wyzykiwaczem jej bogactw! Włóczęga nie traci przytomności ducha, więzienie go nie przestrasza. Czas w niem spędzony uważać będzie za okres niepowodzenia w swoim życiu włóczęgoskiem; ale prędko potrafi zapanować nad sobą, znalazłszy otoczenie i warunki wybornie znane. Trudno wszakże pogodzić się z życiem więziennem człowiekowi, który się oderwał od uczciwej pracy kmiecej jakimś wypadkiem, często mimowolnym i od niego nie zależnym. Położenie ludzi tych

¹⁾ W pewnem więzieniu syberyjskiem aresztanci skradli konia dostawcy produktów spożywczych, dla którego żywili gniew. Konia skradzionego schowali pod podłogę w łaźni. Nikomu nie przyszło na myśl tam go szukać.

w więzieniu powinno szczególnie wzbudzać współczucie i chęć zaradzenia złemu. Najzgrabniej więzienie działa na ludzi pochodzących ze wsi i skazanych na osiedlenie.

Dopóki człowiek mocno się trzymał praw rodzinnych i społecznych, dopóki pierwsze okiełznywało go przykładami, a drugie—urządzeniami, dogmatami, przepisami, dopóki wreszcie praca pociągała go, póty trzymał się mocno w łonie społeczeństwa. Ale gdy się znalazł w warunkach, które zrodziły w nim i wypieęgnowały złe skłonności,—upadek już bliżki. Ktoś mi dawno powiedział, że próżniak staje się niebezpiecznym. Złe już lęgnie się w duszy i występki czeka tylko chwili stosownej i powodu. To samo życie społeczne, które umiało dotychczas okiełznywać człowieka, potrafi zbudzić namiętności i złe instynkty w większej sile, niż przed tem dawało dobre przykłady i wskazówki.

Spółeczeństwo zuosi człowieka złego, lecz już nie może znieść występnego. Wyrzuca ono go i zarazem wyrzeka się zupełnie. Od tej chwili przestaje działać prawo społeczne, bardziej tolerancyjne i łagodne. Natomiast występuje inne surowe, nieubłagane. Już niema ustępstw i przebaczenia. Przychodzi kara nieugięta.

Przestępca wzięty nie tylko ze społeczeństwa, ale z własnej rodziny, znajduje się w innych warunkach, zależnych i niewolniczych. Pozbawiony możności rozporządzania własną osobą, staje się więźniem. Zrazu ta olbrzymia różnica, ten nagły przewrót w życiu u ludzi niedoświadczonych nie odbywa się lekko. Tracą oni przede wszystkim swobodę i poddają się wszelkim nowym wymaganiom. Nawet z wyrachowaniem zastraszają ich, ściągając pewną sumę, — wpisowe, które wpływa do ogólnego funduszu więziennego. Wymagają także od nich surowego poddania się zwyczajom i obyczajom gminy i za wszelkie uchybienie ciężko karzą pytkami, pozbawieniem informacji i wszelkich cenionych przez więźnia przedmiotów, za pomocą kradzieży itd. Usiłowania zabicia woli

tak po mistrzowsku są prowadzone, że rzadko który z nowicyuszów może się oprzeć przewadze bywalców, zwłaszcza włóczęgów, którzy już nieraz przesiadywali w więzieniach. Zadośćuczynienie wymaganiom towarzyszków, wyświadczenie im usług i uleganie, to jedyny sposób wyjścia w gminach więziennych. Człowiek świeżo pozbawiony swobody, pochodzący z szerokich wiejskich przestrzeni, zawsze musi być w tych wypadkach męczennikiem. Zauważono, że ludzie tacy zrazu bez szemrania ulegają swemu losowi; pokorni wobec swoich zwierzchników, cisi w swoim nieszczęściu są tylko dopóty, póki zgubne rady doświadczonych, niebezpieczne przykłady i zuchwałstwo nie zepsują ich do tego stopnia, jak tamtych. Jakim sposobem odbywa się ta przemiana, — jest to tajemnica więzienia; wiadomo tylko, że odbywa się ona szybko. Przestępca po przebyciu w więzieniu kilku miesięcy, (co się stałe zdarzało w okresie dawnych sądów), stawał się ze szczerego i dobrodusznego człowieka skrytym, przebiegłym i niebezpiecznym. Niebezpieczeństwo to może zniknąć tylko wtedy, gdy rząd, którego obowiązkiem jest piecza nad dobrobytem i swobodą ludności, usunie tego przestępcę wraz z towarzyszami i nauczycielami do innej miejscowości odległej. Tam, mając mniej możności szkodzenia komukolwiek, będą musieli zająć się pracą, pohamować swoje skłonności i pójść inną drogą.

Spółczeństwo w takim usuwaniu ludzi piętnowanych znalazło warunek własnego spokoju i pewnego bezpieczeństwa. Moralność dużo zyskała, bo wygnanie przecięło przestępstwa w dalszym ciągu skuteczniej, niż wszelkie możliwe środki kary i napełniło strachem innych ludzi, będących na drodze ku przestępstwu. Niech wyobrażą oni sobie tę rozpacz z powodu rozłąki wygnańców ze stroną rodzinną, najbliższymi i przyjaciółmi na zawsze. Mógł być między nimi mąż i ojciec, rozłączony z żoną i dziećmi, które nie zechciały mu towarzyszyć. Niewątpliwie byłoby lepiej i pożyteczniej dla ludzkości znaleźć rdzeń zbrodni i zapobiedz jej, tłumiąc zło w zarodku, niż karać przestęp-

ców. O ile bezowocne są usiłowania wyplenienia złego dopóki serce ludzkie jest miejscem wszelkich namiętności, o tyle znowu dążność do zapobiegania przestępstwom dotąd jest jedynym środkiem zbawiennym. Najlepszym zaś—wyznanie.

Człowiek może znieść najcięższe życie, bo pomimo wszystkich cierpień i nieszczęść, widzi on możliwość pozbycia się ich w przyszłości, i ta nadzieja jest dla niego skrucną. Myśl, że może stracić na zawsze to, co dla niego najdroższe, jest już nad jego siły. Jakaż nieocenioną byłaby sposobność zastać go w chwili takich rozmyślań, rozwinąć w nim świadomość ohydy przestępstwa, gdyby wygnancy byli w rękach ludzi, którzy widzą i oceniają w nich pierwiastki człowieczeństwa! Czy tak bywa istotnie w Rosyi, której słusznie zazdroszczą państwa europejskie, nieposiadające takich dogodnych obszarów do kolonizacyi? Przestępcy nasi na drodze do skrucy wpadają w takie ręce, które jeszcze bardziej popychają ich do złego; na drodze zaś do wygnania znajdują oni nowe pokusy, jeszcze silniejsze i niebezpieczniejsze. Znając wszelkie warunki, poprzedzające wygnanie, trudno się dziwić, że starzy, doświadczeni mieszkańcy Syberyi przyjmują przestępców z niedowierzaniem i pogardą. Przysłowia sybiraków dla tego są wyraziste w treści, że charakteryzują jeden główny rys osiedleńców, zdobyty w więzieniu i rozwinięty na Syberyi. Istotnie, rzadko który z osiedleńców wolny jest od pociągu do kradzieży, gdyż w więzieniach stracił poszanowanie cudzej własności, w drodze etapowej — ostatnią nadzieję na własność osobistą. Osiedleńcy nie pozbywa się nawyknień więziennych na miejscu zagospodarowania bo, jak, wiadomo, na Syberyi zapomogi nie otrzymuje i sam nic nie posiada, oprócz lichej odzieży i zdartego obuwia, w którym przeszedł setki wiorst. Czy on w sobie zachował choć trochę godności człowieczej—jest to bardzo wątpliwe po tem przepędzeniu, jak stada bydła. Na etapach i w więzieniach niema protestu przeciwko ponizeniu godności ludzkiej. Aresztanci ubrani w łachmanach, licho żywieni

nie mają możności zachowania sił do robót na Syberyi. Wszystkie warunki wogóle są jakby stworzone do ponizienia i zabicia w człowieku wszelkich pierwiastków człowieczeństwa.

Podróż etapowa wytwarza skłonność do włóczęgostwa nawet wśród tych osiedleńców, którzy nie byli przed tem włóczęgami, zabija w nich wszelką skłonność do życia osiadłego. Więzienia przyuczyły osiedleńca do nieporządnego i próżniaczego życia i stworzyły go niezdolnym do pracy osadniczej, jakiej wymaga od niego nowy kraj, ziemia dziewicza i nowe, nieznane dotąd warunki bytu. Odsunięcie od życia rodzinnego ostatecznie dobiło go i zepsuło do gruntu. Z takich jednostek składają się rzesze ludzi, którzy mieli być kolonistami bogatej krainy.

Czy w drodze na wygnanie przekłada ktokolwiek aresztantom te obowiązki, które ich czekają na miejscu? Czy zapoznaje ich kto z wymaganiami nowego kraju i daje jakiegokolwiek pojęcie o Syberyi? Nie! Wygnańcy pozostają w tem samem przekonaniu, że ich zapędzają w ciemną, nieprzenikloną dal, która pozbawia wszelkich nadziei. Czy po przybyciu na miejsce wygnania przyjmują ich ludzie, którym specjalnie powierzono opiekę nad aresztantami i którzy wśród nich mieszkając długo, poznali dobrze ich charakter, zwyczaje, nawyki? Czy wreszcie są to ludzie wybornie obeznani z wymaganiami kraju, gospodarstwem wiejskiem, warunkami handlu, rozwojem rzemiosł i wreszcie potrzebami ludności miejscowej? Przeciwnie, działalność i wpływy tych opiekunów na aresztantów znacznie są osłabione. To ludzie przypadkowi, bardzo często nowicyusze, którzy nie mają najmniejszego pojęcia o tem, co jest niezbędne dla osiedleńców. Uważne badania i spostrzeżenia przekonywają nawet, że byt osiedleńców pozostawiony jest na los szczęścia. Ludzie czuwający nad nimi, zanadto są obojętni, nawet do tego stopnia, że w stosunkach z wygnańcami, przy stałej obojętności, w chwilach uwagi wykazują więcej rozdrażnienia i niesprawiedliwości, niż szczeroci i współczucia. Jakgdyby wygnańcy byli

dla nich zbyt ciężarem, obowiązkiem pobocznym, który odciąga od pracy głównej, służbowej, nie zapewnia płacy co miesiąc i nie daje nadziei nagród. Bądźmy otwarci: na wszystkich sprawach, dotyczących wygnańców, leży piętno nazbyt jawnej obojętności i niedbalstwa. Niema żadnych środków zapobiegawczych, natomiast karnych bardzo dużo. Osiedleńców tak zaplątano, wtrącono ich w takie błędne koło, że, zdaje się, niema już z niego wyjścia. Wykażemy to wszystko w faktach.

Na pierwszym kroku w Syberji, po uwolnieniu przybysza z więzienia i etapów, nadmiar biedy zepsutego w tych warunkach człowieka, obarczają go ciężarem podatkowym, na równi z włościanami, osiadłymi tam już dawno. Są jednak uwalniani od tych powinności, według ustawy z r. 1882. „Osiedleńcy powinni byli płacić podatki po przybyciu do gminy od 1 stycznia. Tych, którzy we właściwej porze nie zapłacili, ustawa nakazywała za dobrą płacę wraz z utrzymaniem oddawać na roboty mieszkańcom dawnym. Wogóle są oni pod surowym dozorem, dopóki się nie zagospodarują. Termin tego zagospodarowania określono na lat pięć. Jeżeli przez ten czas wygnaniec potrafi się urządzić, to będzie zaliczony do stanu włościańskiego i poddany pod zwykły nadzór ziemski, przy czem od pierwszego roku zaliczenia do tego stanu korzysta z uwolnienia od podatków w ciągu lat trzech i od powinności wojskowej w ciągu lat 20-tu, tudzież otrzymuje własne pieniądze, które miał przed wygnaniem na Syberyę. Jeżeli zaś w ciągu pięciu lat nie zagospodaruje się, to płaci podatek ustanowiony, pozostając w tem co dawniej położeniu. Oto czego chciał hr. Speranskij i oto co wykazała praktyka w ciągu dwu, trzech lat, według słów generał-gubernatora Syberji Wschodniej, który pisał 20 marca 1825 r.: „Od r. 1823 do lutego 1825 przybyło do gub. Jenisejskiej skazańców na osiedlenie 5,306 i niezdatnych 476, ogółem 5,782 ludzi. Przyczem stwierdzono, że w gubernii niewiele już pozostaje wsi, w których można osadzać skazańców, a i te wkrótce będą przepońnione; w takim zaś razie trzeba

będzie osiedlać na koszt skarbu. Osadnicy, obarczeni podatkiem, są nieakuratni w płaceniu, gdyż niewielu z gospodarzy oddawna osiadłych może przyjmować ich na robotę; skutkiem tego skazańcy, nie mając ani pracy, ani żadnych środków, samowolnie przenoszą się do innych wsi i gmin, gdzie bądź pracują tylko za strawę, bądź pędzą życie próżniacze, ze szkodą dla ludności stałej. Usiłowania zwyczajnej policyi nie tu zdziałać nie potrafią“. Nie można oczekiwać rychłego zaaklimatyzowania wygnańców, gdyż nie dość, że nie otrzymują pieniędzy wkrótce po przybyciu do gminy ale przychodzą na miejsce zamieszkania w listopadzie i grudniu i jeszcze nie mają czasu rozejrzeć się, gdy już muszą płacić podatek, na który w Syberyi można zarobić tylko latem. W innych porach roku trudno nawet o środki utrzymania. A więc pozostają dłużnikami skarbu i zapewne nieprędko będą mogli wypłacić tę należność“. To samo było także w Syberyi Zachodniej. Przedstawienia gubernatora wywołały taki skutek, że z wygnańców, wysłanych na osiedlenie pomiędzy wrześniem a majem, kazano ściągać podatki i pobór 50-kopiejkowy od 1 lipca. Z tych zaś, których termin osiedlenia przypada między majem a wrześniem, opodatkowywać od 1 stycznia, „ażeby mogli skorzystać z pory roboczej i zapracować na podatki“. Postanowiono wtedy wydawać wygnańcom ich własne pieniądze w pierwszych chwilach osiedlenia. W odpowiedzi na to dwustu wygnańców, osadzonych w jednej z gmin okręgu Kainńskiego, podało skargę, która doszła do Petersburga. Użalali się, że zaledwie zaczynają myśleć o wybudowaniu domu i zaopatrzeniu się w inwentarz, gdy już zażądano od nich podatku z całym rygiorem, a ponieważ nie mogą płacić, więc przedsięwzięto sprzedaż ich lichego dobytku za bezcen, oni zaś sami są oddawani za robotników z płacą od 25 do 30 rubli rocznie, w tych samych wsiach, w których ich osadzono, gdy tymczasem w innych mogliby otrzymywać znacznie więcej. Senatorowie, którzy odbyli rewizję w Syberyi Zachodniej, przekonali się na miejscu, jak dalece ciężkie i bez wyjścia jest położenie osiedleńców,

po uwolnieniu ich z więzienia bez żadnych środków oprócz nawpół znoszonej odzieży skarbowej i że z tego powodu wielu z nich wpada w pogębienie i rozpacz; inni zaś, zuchwalsi, z chwilą, gdy się wydostaną z więzienia, szukają sposobności, ażeby uciec do Rosyi, albo też popełniają na Syberyi nowe przestępstwa, usiłują kraść, rabować i rozbijać". Skarga ta wywołała okres ulg: Dn. 9 listopada r. 1832 postanowiono: tych osiedleńców, którzy się zagospodarują w ciągu trzech lat ulgowych, zapisywać do kategorii włościan, oraz uwalniać od podatków i powinności jeszcze na trzy lata. Tych, którzy nie umieją się zagospodarować, kazano obarczać podatkiem osiedleńczym, za niewypłacanie oddawać na robotników i w dalszym ciągu rozciągać nad nimi dozór surowy. Po zupełnem zaś ustaleniu zapisywać do kategorii włościan, lecz bez ulgi powtórnej.

Środki te jednak nie poprawiły nieokreślonego położenia wygnańców i oto przychodzimy do przeswiadczenia, że nie zdołano osiągnąć trwałego ustalenia osiedleńców na miejscu zamieszkania. Syberya dotychczas jest krainą, gdzie koczownicze ludy powoli stają się osiadłymi, ale natomiast osiadłe stały się koczowniczymi. Ludność, skazana na wygnanie, stanowi masę wędrującą ustawicznie. Ani jeden człowiek nie usiedzi tam spokojnie na miejscu. Jeżeli wśród ludów koczowniczych daje się zauważyć określone prawce, według którego odbywają one swoje wędrówki, to u koczowników z kategorii ludności osiadłej, zamiast prawa powstała samowola, ruchami zaś jej kieruje jakiś nieuchwytny i niepojęty los. Tylko pewna część tych ludzi ujawnia określoną dążność na zachód, do Rosyi, ku stronom rodzinnym. Reszta bez celu i nieustannie wędruje po całej Syberyi, zapelniając jej więzienia od dołu do góry i zaprzatając zupełnie władze miejscowe. Oto co mówią cyfry na poparcie naszych wywodów. W r. 1833 wysłano na Syberję 5011 mężczyzn i 970 kobiet. R. 1838 zwrócono z Rosyi zbiegów sybe-

ryjskich 995 mężczyzn i 41 kobiet (przeszło piątą część cyfry ogólnej ¹⁾).

R. 1834	przyjęto osiedleńców	4919	mężczyzn	1291	kobiet
" 1835	" "	5455	"	1538	"
" 1836	" "	7251	"	1357	"
" 1837	" "	6550	"	1260	"
" 1838	" "	5221	"	1177	"
" 1839	" "	6057	"	1135	"
" 1840	" "	6284	"	1256	"
" 1841	" "	6203	"	1129	"
R. 1839	zwrócono zbiegów	727	mężczyzn	14	kobiet
" 1840	" "	813	"	20	"
" 1841	" "	1067	"	41	"
" 1842	" "	826	"	23	"
" 1843	" "	564	"	15	"
" 1844	" "	574	"	10	"
" 1845	" "	506	"	28	"
" 1846	" "	528	"	16	"

Tym sposobem z 52,651 mężczyzn i 11,123 kobiet wysłanych, uciekało do Rosyi 5,800 mężczyzn i 203 kobiet, czyli 10-ta część całej ludności osiedlonej w ciągu dziesięciolecia.

Kiedyś, w trzecim dziesięcioleciu wieku niniejszego, zjawisko takie tłumaczono wprost tem, że „dla wygnańców niepotrzebne osadnictwo: pragnieniem ich bowiem jest włóczęgostwo, bezmyślna swoboda i przestępstwa:“ że „ucieczki zdarzają się kilka razy zrzędu, dopóki zbiegowie, przekonawszy się z doświadczenia o bezowocności swych usiłowań, nie ustalą się na jednym miejscu“. Teraz nie mamy potrzeby uciekać się do takich wywodów głoślownych. Dostatecznie widzieliśmy przyczyny tułac-

¹⁾ Lata bierzemy na wrywki, ale w zestawieniu ich przypuszczamy, że rok osiedleńcy mieszkali na nowem miejscu, rok docierali do dawnego ogniska, rok udało im się przemieszczać pod opieką i ukryciem rodziny, dwa lata siedzieli w więzieniu z powodu śledztwa.

two osiedleńców po cudzych zagrodach i dowody aż nadto jawne, ażeby uważać ucieczki do Rosyi nie tylko za możliwe ale nawet bardzo lekkie. Naturalnie, wszystko ma swój koniec. Osiedleńcy istotnie po niezliczonych awanturach, przestępstwach i włóczęgostwie stają się osiadłymi. Bywają wypadki, że skazańcy odrazu osiadają na miejscu i nie czują w sobie żadnych pokus do ucieczek. Ale są to wszystko wypadki pojedyncze. Obraz ogólny wykazuje co innego. Tak np. w ciągu 35 lat wysłano do Syberyi na osiedlenie i zamieszkanie 214,583 ludzi (181,822 mężczyzn i 32,761 kobiet), a jednak Syberya nie zaludnia się w takiej mierze, jaka jest pożądana. Z chwilą zniesienia kary śmierci r. 1753, z gubernij rosyjskich wysyła się na Syberya corocznie około 10,000 ludzi, z których około 8,000 na osiedlenie. Zdawałoby się tedy, że ludność Syberyi znacznie się zwiększa; ale fakty nie usprawiedliwiają tego przypuszczenia. Pomimo naturalnego przyrostu mieszkańców rdzennych, ogólna ludność Syberyi od dawna stoi na jednym poziomie. Do liczby wielu przyczyn zaliczają także lichy stan moralny osiedleńców, ich życie awanturnicze, a więc i tę szerzącą się od nich zgniliznę, która przesiąka głęboko nawet w warstwy ludności rdzennej. Jeden z mieszkańców stałych wyraża taką skargę: „Znikła dawna poczciwość sybiraków, z której tak słynęli. Bogactwo kraju i łatwość zdobycia wszelkich środków wytworzyły lenistwo, niedbalstwo, a następnie wszelkie niegodziwości stały się główną podstawą ich życia. Ztąd wynikł niepomierny wzrost cen na zboże i inne produkty. Wszystko to się wytworzyło w takiej części kraju, w której niezwykła urodzajność gleby, bez wszelkiego użyźniania, daje plon obfity i gdzie niezmierzone przestrzenie bogatych pastwisk pokryte były dawniej niezliczonymi stadami bydła różnego rodzaju. Lenistwo i niezaradność, to główne przyczyny złego i trzeba energicznych środków, ażeby powstrzymać tę chorobę moralną. Do tego są niezbędne następujące warunki: 1) Zmienić w pewnej mierze sposób wygnania i osiedlania wygnańców na Syberyi; 2) wy-

należć środki, zapewniające im pracę, z wielką korzyścią zarówno skazańców, jak społeczeństwa i państwa; 3) przedsięwziąć środki usuwające, o ile można, nieślubne życie wygnańców; 4) ukrócić włóczęgostwo; 5) zorganizować wszelkie możliwe sposoby, zmuszające ku ukróceniu szalbierstwa, nadużyć przy różnych tranzakcjach i we wszystkich gałęziach przemysłu.“

Taki jest obecnie obraz bytu osiedleńców.

Zaden z nich nie uciekał do Rosyi natychmiast po przybyciu na miejsce; każdy bowiem ma jeszcze dość energii, ażeby spróbować nowych warunków życia, przekonać się, czy nie będzie lepiej, czy nie można utrzymać siebie i rodziny. Nawet wśród tych osiedleńców, którzy przybyli sami, dość jeszcze jest uległości losowi oraz chęci pogodzenia się z nim. Trzeba długo pobyc w więzieniach, nabrać tam doświadczenia; trzeba dobrze i rzetelnie się rozejrzeć w Syberyi, dokoła siebie, ażeby się odważyć na taki śmiały i ryzykowny krok, jak powrót do miejsc rodzinnych. Z jednej strony silnie jest rozwinięte przywiązanie do tych miejsc, a po rozłączeniu z nimi pragnienie powrotu, z drugiej zaś wytwarza się wiele ważnych przyczyn, popychających do wykonania takiego przedsięwzięcia, które nawet w przeświadczeniu osiedleńców nie zawsze udać się może. Bardzo mało jest wsi, w których nie znalazłby się zbiegowie, karani za to i znowu osadzeni, z obstrzeżeniem praw i ulgi (oddani do kategorii robotników, zapisani do włoscian bez ulgi powtórnej, z lepszych miejsc przeniesieni do gorszych i t. d.) Tymczasem nie należą do rzadkich ucieczki osiedleńców rodzinnych, którzy zabierali z sobą żony, dzieci i krewnych, przybyłych z wygnanymi dobrowolnie. Oczywiście w większości wypadków osiedleńcy rodzinny stalej siedzi na miejscu, ale znowu nie jest rzadkością ten fakt, że niepowodzenia i nieszczęścia rozrywają rodzinę, a jej członkowie rozpraszają się na różne strony w pogoni za zarobkiem i chlebem. Ojciec, głowa rodziny, staje się kukułką w rzeczywistości i przenośnym znaczeniu; albo porzuca dzieci w cudzem

gnieździe, albo włóczy się po lasach, szukając „generała Kukuszkina“. Dla osiedleńców samotnych niema tak mocnych więzów, któreby mogły ich przytwierdzić do miejsca. Samotnego, szczególnie świeżego przybysza dawny mieszkaniec zawsze wita nieprzychylnie. Mnóstwo było przykładów, że osiedleńiec, otrzymawszy wyznaczony dział gruntu, oddawał go w dzierżawę pierwszemu lepszemu włościaninowi, a sam szedł szukać szczęścia wśród ludzi obcych i dalekich.

Przeciwno takim samotnym osiedleńcom, jakieśmy rzekli, występują stali mieszkańcy; nie chcą za nich wydawać swoich córek. Rząd oddawna usiłował wykorzystać ten przesąd za pomocą ulg, gróźb, przekonywań i przekładań synodu. W r. 1826 kwestya kobieca oparła się o „kupno lub wymianę“ od koczowniczych ludów ościennych dzieci płci żeńskiej, ażeby tym sposobem wyrównać niedobór kobiet na Syberji zachodniej. „Nabywanie dzieci—mówi ukaz senatu z 11 lutego 1825 r.—jest dogodniejsze, niż dorosłych i w przyszłości sposób ten mógłby się utrwalić z korzyścią. Ażeby zapewnić powodzenie w tej mierze, dość jest ustanowić nagrody pieniężne dla tych, którzy będą nabywali dzieci płci żeńskiej“. Dziewczynki małoletnie, ochrzcizwszy na wiarę prawosławną, kazano rozmieszczać wśród rodzin najuboższych w pleć żeńską; ażeby zaś nie były one ciężarem, postanowiono wyznaczać dla każdej pewną sumę utrzymania do 15-go roku życia“. Nie należy nigdy zmuszać do poślubienia kogoś z tej rodziny, w której dziewczyna wzrosła, lecz pozostawiać każdej swobodę pod tym względem. Środki na to pozwolono czerpać z resztek poboru powinności ziemskich, „jako wydatki na korzyść publiczną“. W r. 1831 postanowiono płacić 150 rb. skarbowych każdemu z dawnych mieszkańców, włościan i mieszczan rządowych, który zechce wydać za osiedleńca swoją córkę, lub krewną, oraz przyjmie do siebie zięcia na mieszkanie i robotę. W r. 1840 musiano obmyśleć inny środek, gdyż tamten nie zaznał powodzenia: Kobięcie stanu wolnego, która poślubi osiedleńca, wcho-

dzącego na Syberyi w związku małżeńskie poraz pierwszy, postanowiono dawać 50 rb. Osiedleńcowi zaś, poślubiającemu poraz pierwszy kobietę wygnaną, skarb państwa wydaje po 15 rb. bezzwrotnie i 15 jako pożyczkę na dziesięć lat. Usiłowano także zachęcić rodziny, proponując im nagrody, jeżeli dziewczyna wychodzi za mąż z domu, jej zaś—jeżeli prowadzi osobne gospodarstwo (ukaz z 3 maja 1843 r., wyjaśniający postanowienie z 5 kwietnia 1837 r.). Ale wszystkie te środki nie stłumiły uprzedzeń. Małżeństwo—ten łatwy i niezawodny sposób zmiękczenia serca nawet ludzi surowych, brutalnych, nie przyczynia się ani do zmiany zepsutych obyczajów wśród osiedleńców, ani rokuje nadziei, że ci nieszczęśliwi mogą skorzystać ze zbawiennych następstw związku uświęconego. Śluby osiedleńców na Syberyi do tego stopnia są rzadkością, że wielu mieszkańcom miejscowym przychodziła myśl naprawy złego za pomocą przesiedlenia na Syberję kobiet publicznych z obu stolic i innych większych miast państwa, jak to się praktykowało niejednokrotnie za panowania Katarzyny II.

Godne jest uwagi, że przodkowie obecnych sybiraków, pierwsi przybysze rosyjscy, kozacy, kradli sobie kobiety w Rosyi, tłómacząc się pozwoleniem cesarza Groźnego, wyrażonem w reskrypcie do atamana Kolca, podpisanym przez dyaka Andrejewa. Na ten reskrypt powoływali się sybiracy w r. 1622, kiedy patriarcha Filarot postanowił ukrócić złe i posłał do archiereja tobolskiego, Cypryana, przekonywające pismo. W r. 1637 przysłano do Tobolska 500 rodzin i 150 dziewcząt na żony dla kozaków, z Wołogdy, Tot'my, Ust'juga i Solwyczegocka. W r. 1728 sybiracy zaczęli już kupować sobie żony. Tak np. wiadomo, że w tym roku rosyjscy berezowcy kupowali od Ostjaków dziewczęta i płacili za siedmioletnią 20 kop. miedzią. Kupowali sobie i chłopców, których cena w tym wieku wynosiła 25 kop.

Zapomogi, udzielane osiedleńcom i ich żonom (według 766 art. ust. o wygn.) dla zachęty do życia rodzinnego

i polepszenia gospodarki domowej, nie prowadzą do celu pożądanego. Pieniądze nieraz są wydawane zupełnie bezdomnym, którzy mieszkają na terytoryach kopalni złota lub w obcych chałupach. Niema żadnej kontroli nad właściwym zużytkowaniem tych pieniędzy. Zapomogi wydają isprawnicy, którzy nie mogą czuwać nad tem, jaki z nich użytek zrobiono. Nawet zarządom gminnym nie zalecono obowiązku kontroli. Wiedzą one tylko od ekspedycy wygnańców, że pieniądze wyznaczono temu lub innemu; w jakiej zaś ilości i kiedy będą wypłacone, o tem nie wiadomo. Nadzorcy osiedleńców nie wiedzieli nawet o tem, komu, kiedy i w jakich rozmiarach wyznaczono zasilek; a zarządy gubernialne, zawiadamiając izby skarbowe o wydaniu pieniędzy, nie miały danych ani o terminie, ani o cyfrach. Rozumie się, że pieniądze te, przechodząc z rąk do rąk, topnieją powoli i dochodzą do kieszeni właściwych w minimalnych kwotach (pisarze gminni na Syberyi zbierają sobie duże kapitały). Oto jaka jest procedura wydawania zapomóg na związki małżeńskie: pieniądze wyznacza zarząd gubernialny i zawiadamia izbę skarbową, która wydaje polecenie kasie, ta zaś wypłaca isprawnikowi, który, jeżeli nie może osiedleńcowi osobiście wręczyć pieniędzy, posyła je do zarządu gminnego. Czy nie lepiej byłoby, dla uniknięcia zbytecznej korespondencyi i straty czasu, postępować w ten sposób: asygnować rocznie pewną sumę, i wtedy pieniądze, wyznaczone przez zarząd gubernialny, odsyłać wprost do gminy? Obowiązkiem jej byłaby kontrola, a dozorców osiedlenia—sprawdzenie, czy pieniądze właściwie zużytkowano; następnie zaś, zawiadomianie o tem ekspedycy. Po co tu wplątano isprawnika, skoro specjalnie dla wygnańców stworzono ekspedycyę, których pisarzami są owi osiedleńcy?

Do zwiększenia ludności żeńskiej na Syberyi skuteczniej przyczyniły się środki następujące: 1) Żony włóścian pańszczyznianych, wysyłanych na Syberyę z woli właścicieli ziemskich, musiały towarzyszyć mężom, chociażby z urodzenia należały do stanu wolnego (ukaz z 22

marca 1832 r.). 2) Zabroniono Żydom iść z żonami, wysłanymi do Syberji na osiedlenie (ukaz 1 października. 1827 r.). 3) Żydówki mogą towarzyszyć mężom tylko z dziećmi płci żeńskiej (ukaz z r. 1836). 4) Wolno kobietom osiedlonym wchodzić w związki małżeńskie z katorżnikami.

Jeżeli osiedleńcy uciekają z miejsca zamieszkania do stron rodzinnych pod wpływem tęsknoty tudzież niegościwości nowego otoczenia, to wogóle wędrowka po obcych kątach i ludziach wynika z innych przyczyn, których ofiarą padają niewinni osiedleńcy. Do kategorii włóczęgów zaliczani są wogóle na Syberji nawet ci, których obdarzać tą nazwą byłoby niesprawiedliwie. Tak np. więzienia w miastach gubernialnych oraz tych, w których się odbywają zjazdy handlowe i przemysłowe (pod postacią jarmarków, bazarów i napływu ludzi w celach najmu do kopalni złota),—często są przepełnione osiedleńcami pod mianem włóczęgów, którzy przekroczyli tylko granice terytorjum, dozwolonego przez prawo. Jak wiadomo, z rozporządzenia władzy wyższej, osiedleńcy nie mogą przekraczać granic swojej gminy w ciągu dwu lat, terminu uważanego za dostateczny dla zagospodarowania się. Środek ten zbawienny w zasadzie, wobec niepomyślnych warunków bytu osadników i braku pomocy materialnej, nie przynosi spodziewanych korzyści nawet w połowie. Do gospodarstwa potrzebne są pieniądze i praca wytrwała. Tymczasem większość osiedleńców nie posiada grosza złamanego, a nowicjusze nawet własnych pieniędzy nie mogą otrzymać, dopóki się nie ustalą na miejscu; przy tem etapy i więzienia źle ich usposobiły do pracy; osiedleńiec idzie do innej gminy, gdzie jest większe zapotrzebowanie rąk roboczych, wędruje do miasta, gdzie zarobek zawsze jest pewny, i dostaje się do więzienia. Wpadają tam nieraz i tacy, którzy szli na wezwanie i z zamiarem zarobienia na opłatę podatku, tudzież na własne potrzeby. W więzieniu omskiem przy końcu r. 1858 siedziało 20 takich osiedleńców. Ci wrzekomi włóczęgowie trzymani są nieraz od sześciu miesięcy do roku i dłużej; wszyscy są osadnikami gmin

pobliskich: Przybyli oni na targ i dostali się do więzienia „za niepiśmiennosc”. Ludzie ci, spędziwszy w więzieniu letnie miesiące, najważniejsze w gospodarstwie, przychodzą do zupełnej ruiny, zwłaszcza jeżeli osadnik jest samotny. Przez czas pobytu w więzieniu zrabują mu cały dobytek; więc po uwolnieniu jest proletaryuszem, który nie może wcale opłacać podatków. Również w więzieniu tomiskiem widzieliśmy wśród tej kategorii włóczęgów takiego, który na nasze wejście wraz z innymi zsunął się z tapczana, chciał stać i pomimo wysiłku, padł znowu. Był to nieszczęśliwy starzec zgarbiony, astmatyczny, do tego stopnia osłabiony, do jakiego może dojść osiedleńiec syberyjski w 76 roku życia, oddawna zaliczony do niezdatnych. Ten starzec, prawie pozbawiony władzy w nogach, trup żywy, siedział również za włóczęgostwo. Odpowiedź jego, objaśniająca przyczynę aresztowania, wypowiedziana głośno z kaszlem, wywołała niepohamowany śmiech wśród wszystkich więźniów ponurych.

Z przytułków, przeznaczonych dla osiedleńców, znane są nam dwa: oba w gub Tomskiej. Jeden w m. Marjińsku (niegdyś ognisko najmu robotników do kopalni złota), utrzymany schludnie i nawet elegancko, ale mogło się w nim zmieścić tylko 20 ludzi. Na tyłuz urządzone drugi w Bogotolu (wsi okręgu Marjińskiego). O trzecim (i ostatnim w całej gub. Tomskiej) we wsi Pokrowskoje (okręgu Kainskiego) wiemy tylko to, że zajmował on dwa stare domy, z ogromnem podwórzem, otoczone zrujnowanym płotem. Ale tam umieszczano wybranych szczęśliwców, podczas gdy setki innych „niezdatnych“ cierpiały głód i chłód w całym znaczeniu. W tych wsiach, w których się mieszczą zarządy gminne, istnieją tak zwane przytulki prywatne. „Są to raczej nawpół zwalone chałupki, w których na słomie leżą półnaczy w podartych koszulach starzy osiedleńcy bezdomni, zupełnie pozbawieni opieki. Ktokolwiek z nich może poruszać nogami i chodzić po zebraniu, ten zbiera okruchy dla swoich towarzyszy, pozbawionych nawet możności żebrania. Ubóstwo i nędza panuje

tam w najohydniejszej, najwstrętniejszej postaci“¹⁾. Tymczasem obie gubernie: Tobolska i Tomska, na mocy ukazu senatu (15 lipca 1853), zalecającego wysyłanie wszystkich osiedleńców do Syberyi Wschodniej, miała przeważnie dawnych osiedleńców, wątłych i słabych starców, którzy nie tylko nie mogli się zdobyć na domy, ale i wyżywić siebie pracą rąk własnych.

Kategorię „niezdatnych“, jak wiadomo, określa kancelarya tiumeńska, która rozmieszcza wszystkich osiedleńców w czterech guberniach i dzieli ich na pięć katogoryi (terminowi robotnicy fabryczni, rzemieślnicy, słudzy, skazani na osiedlenie, na mieszkanie i niezdadni). Przy tem, w wykazach kancelaryi tobolskiej za 29 lat, (1823—1852) godne uwagi jest to, że z całej cyfry terminowych robotników fabrycznych najwięcej wysłano do byłego obwodu Omskiego. Rzemieślników i sług najwięcej pozostało w gub. Tobolskiej. Na osiedlenie i zamieszkanie najwięcej wysłano do gub. Jenisejskiej. Do Tomskiej zaś najwięcej się dostało niezdatnych.

Wracamy znowu do osiedleńców. Pocięszającym faktem jest to, że niektórym z nich udało się zwalczyć wszelkie przeciwności i przeszkody w pierwszych chwilach za-

¹⁾ Współczucie człowieka szlachetnego, który skreślił te wiersze, wywołało w pewnej mierze naprawę losu nieszczęśliwych: 18-tu osiedleńców, mieszkających w izbach prywatnych, otrzymało ubranie, obuwie, bieliznę i żywność. Dzięki zabiegom tegoż człowieka, stworzono projekty budowy w gminach przytułków dla osiedleńców. Z danych głównego zarządu więziennego, przedstawionych na kongresie międzynarodowym, (r. 1890) dowiadujemy się, że istnieje przytułek dla skazańców — katorżników w zakładach aleksandrowskich; przytułek dla dzieci przy zakładach niższo-karyjskich. O 55 wiorst od tego ogniska robót urządzono r. 1884 na próbę wieś, zaludnioną przez katorżników, uwolnionych na mieszkanie po za obrębem więzienia i posiadających rodziny. Jest tam 14-tu gospodarzy, zajętych przeważnie rolnictwem. R. 1883 stworzono taką samą wieś o 7 wiorst od kopalni pokrowskiej, w której mieszka 10 gospodarzy.

gospodarowana. Osiadają oni na stałe, a jeżeli się dostają do kategorii włóczęgów, to tylko przez pomyłkę, skutkiem nieporozumienia. Inni, po długich wędrówkach, znajdują przytułek, ale tam, gdzie nie są oczekiwani, za co właśnie nie cieszą się tolerancją na Syberyi. Ale pierwszym jest gorzej; drudzy—szczęśliwsi. Dokończymy o pierwszych. Pozostaje już nam niewiele do powiedzenia.

Jeżeli roztropnemu i przezornemu osiedleńcowi uda się w jakikolwiek sposób wybudować sobie dom i urządzić małe gospodarstwo,—to i wtedy nie może uniknąć różnych skrępowań. Między innymi nie dają mu w dostatecznej ilości ani ziemi, ani łąk. Osiedleńcy jednogłośnie i wszędzie się uskarżają, że lepsza ziemia i sianokosy pozostają w rękach sybiraków, że ci nieustannie uszczuplają ich grunty. W wielu miejscach na ucisk w sprawach gruntowych skarżą się nie tylko osiedleńcy, lecz i ubodzy włóścianie—sybiracy. Wyzyskiwaczem w tej mierze jest na Syberyi osobny typ chłopca — bogacza. Jerofiej Chabarow, znakomity bohater nadamurski, był jednym z pierwszych ludzi tego rodzaju. Znany bogacz Kandynskij, który, już za naszych czasów, trzymał w swych rękach interesy handlowe i przemysłowe połowy Zabajkala, t. j. całego „kraju Nerczyńskiego,“ nie był także ostatnim. Pocziwy lud syberyjski przywykł widzieć w takich zręcznych kapitalistach nie tylko dobrych taksatorów ich pracy, ale i doradców we wszelkich sprawach życiowych i kwestjach politycznych. Wprawdzie czas osłabił ich działalność despotyczną;—zbladł także groźny obraz Chabarowa, który odebrał osiedleńcowi żonę, zbił i pokaleczył osadników jakuckich, przysłanych do Kireńska na jego grunt. Ale bądź co bądź idea takich bohaterów żyje, a sposoby wyzyskiwania pracy ludzkiej ciągle są te same. Fakty nie tak jaskrawe, jak dawniej; ale choroba pozostała jeszcze w organizmie. Niema i dziś na Syberyi miejscowości, gdzieby taki pajdak nie gniebił ofiar w swej sieci, zarówno pocziwych sybira-

ków, jak i osiedleńców. Na Syberyi typy takie są silniejsze niż w Rosyi. Wyzyskiwacze ci słyną pod zartobliwą nazwą „gubernatorów“ i w wielu miejscowościach zwracają uwagę dzikimi rysami charakteru, dopasowanymi wogóle do tej dzikiej i możnej krainy, zwanej Syberją.

Obrońcy przysięgli osiedleńców—dozorcy, tak dalece są słabi wobec tych „kulaków,“ umiających dobrze karmić i podejmować, i do tego stopnia są pozbawieni wpływu, skutkiem paraliżowania ich kroków wtrącaniem się wyższej władzy, że na nich nawet włościanie patrzą z lekceważeniem; tem bardziej, że są to opiekunowie osiedleńców. Wogóle wśród włościan zakorzeniła się wielka niechęć ku osiedleńcom, na których patrzą oni jako na paryasów i dla tego każdy z nich przed włościaninem jest winnym. Dozorcy, zamiast być obrońcami i pośrednikami osiedleńców, dbać o urządzenie ich bytu, — są w gruncie rzeczy pozbawieni wszelkich praw do tego. Działalność ich napotykała na stałą opozycję ze strony władz ziemskich i gminnych. Dla tego położenie dozorców było bierne. Włościanin syberyjski, czapkujący przed każdym nowym człowiekiem, nie kłania się wcale dozorczy osiedleńców. Gminy nie spełniały wcale ich żądań. Jakby chciały tym sposobem wskazać, że rola owych urzędników powinna być bardziej decydująca i określona; że należy oddać wyłącznie w ich ręce administracyjne i gospodarcze sprawy osiedleńców. Uważano za niezbędne w zakres ich obowiązków wciągnąć: pozwalanie osiedleńcom udawać się na roboty i do kopalń złota, wydawanie biletów, ściąganie podatków, regulowanie wszelkich rachunków pieniężnych, czuwanie nad bytem i potrzebami w charakterze rozjemcy, załatwiającego spory między osiedleńcami a włościanami. I wtedy wkładano na dozorców różne obowiązki, (między innymi doprowadzenie do porządku spraw osiedleńców, zawsze zaniedbanych), ale tylko w formie przepisów tymczasowych i rozporządzeń prywatnych. Zadania i obowiązki tych urzędników wcale nie były przez prawo określone; od roku zaś 1841 osiedleńców i wszelkie ich sprawy powierzono

policyi ziemskiej. Tym czasem już w r. 1852 zauważono, że nieprawny podatek za bilety do kopalni złota zaczął wzrastać szczególnie od tej chwili, gdy wydawanie owych biletów poruczono nie dozorcóm, lecz zarządóm gminnym. Przed r. 1841 było mniej nadużyć, podatek ściągano pomysłniej; od roku zaś 1842 zaległości, obarczające osiedleńców, znacznie wzrosły.

Gdy pod zarządem policyi ziemskiej zaległości tego rodzaju zaczęły znacznie się zwiększać i wywołały poważne starania i gdy zbadano najbliższe przyczyny (niezależne w wielu wypadkach od osiedleńców), zauważono jeden fakt ciekawy: Podatki z osiedleńców ściągają, jak wiadomo, osobni poborcy, włościanie, odznaczający się sumieniem spełnianiem obowiązków względem swoich. Co do pieniędzy osiedleńców, ich położenie społeczne i traktowanie robi to, że poborcy niejednokrotnie wcale nie wykazywali sum pobranych, albo też wnosili je do kasy w mniejszej ilości, wreszcie podatki osiedleńców wykazywali jako ściągnięte z włościan, swoich krewnych lub przyjaciół. Ujawniano właściwe źródło wpływów dopiero wtedy, gdy włościanie płacili; w przeciwnym razie osiedleńcy, pomimo opłacenia podatków, uważani byli za zalegających. Władza gminna, zwyczajem odwiecznym, ściągała podatki tylko z tych osiedleńców, którzy się najmowali do kopalni złota, przy wydawaniu im biletów i to najczęściej nie za cały rok lecz za pół następnego. Niedobór wzrastał na niekorzyść i niesławę ogółu osiedleńców; a tymczasem zarządy gminne nie wykreślały ze spisu ludności zmarłych, dezertorów i innych, którzy opuścili miejsca zamieszkania z różnych powodów, albo którzy na mocy świadectwa lekarskiego wykazali niezdolność do pracy. (Największa cyfra zaległości obciążała zmarłych, następnie niezdatnych do pracy, wkońcu zbiegów). Kasy skarbowe obliczały zaległości również niewłaściwie, w olbrzymich cyfrach. Rzeczne płacenie podatków spadało nie na społeczeństwo, lecz na odpowiedzialność każdego osiedleńca z osobna. Tym czasem osadnicy, oskarżeni o nowe przestępstwa, zanim

sprawa się rozstrzygnęła, siedzieli w więzieniach nieraz po kilka lat; podatków przez ten czas nie płacili; więc niedobór wzrastał. A jednak znaczny fundusz, ściągnięty z wygnańców, nie idzie na ich korzyść. Z kapitału tego niewiele wydatkowano na leczenie skazańców w szpitalach, znaczną zaś część obracano na jakiegokolwiek wielkie przedsięwzięcie, zupełnie uboczne, nie mające nic wspólnego ze sprawą przestępców skazanych.

Przestępstwa, za które są skazywani osiedleńcy na Syberyi, tworzą znaczne cyfry w kategorii ucieczek, następnie idzie kradzież z dobijaniem się—przestępstwo, które bywa zwykle główną przyczyną skazania na osiedlenie, a w Syberyi wynika z położenia bez wyjścia. Następnie osiedleńcy stają się zabójcami, potem są oskarżeni o rozwiałość w życiu (szczególnie kobiety), o ucieczkę z pod strazy, o wyłamanie się z więzienia i robienie pieniędzy fałszywych. Liczba innych przestępstw osiedleńców stosunkowo jest nieznaczna i skutkiem tego nie można z nich wyprowadzać żadnych wniosków poważnych. W każdym razie nie są one tak liczne, jakby się należało spodziewać, biorąc pod uwagę warunki życia włóczęgoskiego, pijaństwo i to oskarżanie gołosłowne, gwoili usprawiedliwieniu niewłaściwej działalności lub zupełnej bezczynności oskarżających. Argumenty silne na papierze, są bardzo słabe w rzeczywistości. Każdy szuka sobie lepszych warunków. Taka jest właściwość natury ludzkiej, wogóle powszechnie uznano oddawna, że człowiek chętnie pozostaje tam, gdzie mu jest dobrze, pracuje gorliwie, gdy położenie jest znośne i gdy ciągle niepowodzenia i przeszkody nie doprowadzają go do utraty wiary w siebie i nie zabijają w nim otuchy. Nie zapominajmy, że osiedleńcy dość często przychodzą z rodzinami. W ciągu 29-ciu lat dwieście tysięcy osób płci obojej wygnanych na osiedlenie pociągnęło za sobą siedemnaście tysięcy żon, dzieci i krewnych. Są pewne fakty innej natury, bardzo określone, lecz niezbadane dostatecznie. Na Syberyi niema miejscowości, w którejby nie mieszkali starowiercy czyli kirzacy, według nazwy tamtejszej i gdzie-

by nie podawano za fakty rzeczywiste, że prawie każdy z tych bogaczy ma własną wioskę, jedzie do niej jak obywatel i jest spotykany jak archibierej. Tam, według przykazania ojców, bogaci kirzacy poczytują za potrzebę swojej duszy przyjęcie każdego wędrowca i staranne zabezpieczenie go od wszelkich przeciwności. Mówią, że niektórzy ukrywali także zbiegów—katorżników i włóczęgów osiedleńców. Przy rewizjach umieli się opłacać dawnym zwyczajem, praktykowanym także przez De Henninga, założyciela miasta Jekaterynburga. Nie gardził on wygnańcami, a za znacznym okupem osadzał w nowem mieście nawet zbiegów katorżników. Okolice Jekaterynburga i Tiumenia od dawien dawna były przytułkiem dla włóczęgów—odszczerpieńców.

W Syberyi szeroko opowiadają niezbyt dawny fakt, jak pewien urzędnik ziemski znalazł całą wieś, nigdzie w księgach nie zapisaną i na mapach nie oznaczoną. Nie wiedział o niej i nie słyszał od nikogo najbliższy przedstawiciel policyi.

Komuż dziś nie jest znana organizacya wolnych, czyli, jak mówią, samowolnych siedlisk, pomijając już comiesięczne przypisywanie katorżników do osiedleńców i odwrotnie? Dla kogoż nie jest jasnem, że urodzajniejsze, niedostępniejsze, zabezpieczone przez naturę miejscowości na Syberyi, chętniej są obierane przez osiedleńców samowolnych na siedliska i że między innemi Altaj jest szczególnie ulubionym? W tym rozległym klinie pięknej ziemi, który się wrzyna między rzekami Biją i Katunią, dążącemi do zlania się z Obią, oddawna już prowadzono tę grę niebezpieczną, budowano wsie według wzorów narodowych z epoki przed Piotrem Wielkim. Na Syberyi kwestya wolnej kolonizacyi jeszcze nie jest rozwiązana, chociaż, naprawdę, i w Rosyi stłumiono ją dopiero w połowie stulecia niniejszego. Samiśmy widzieli na Syberyi r. 1861 dziesiątki chłopów ukraińskich, przybyłych z gub. Kijowskiej w celu poszukiwania dobrej ziemi. Pod Om-kiem

pojmano ich jako włóczęgów, którzy nam tak samo jak władzy szczerze i naiwnie opowiedzieli swoje zamiary i usiłowania. Ekspedycye syberyjskie zapisały do kategorii osiedleńców mnóstwo ludzi dworskich (przeważnie z gub. Moskiewskiej i Peuzzeńskiej), którzy uciekli od swoich panów, a także włóścian pańszczyznianych, przybyłych z gubernij gęsto zaludnionych do kopalni złota. Podobała się im Syberya, więc zapragnęli pozostać tam na stałe. Pojmani jako włóczęgowie, zamknięci w więzieniach i nauczeni takim sposobem podawania się za „niepomnych“, osiągnęli cel: ukarani wobec policyi, zapisywali się do kategorii osiedleńców. Niektórzy, chcąc wzbudzić wiarę w swoje zeznania fałszywe, robili sztuczne blizny na twarzach, ażeby dać pozory osiedleńca, uwolnionego od ciężkich robót. W taki sam sposób, podając się za „niepomnych“, pozostały na Syberyi żony, które przybyły ażeby się zobaczyć z mężami i wpadły do więzienia. Płaszczem „niepomnych“ przykrywają się włóczęgi i są wysyłani bez kary. Otrzymują chłostę przy tem ci tylko, którzy się zdradzają fałszywem zeznaniem. Trzeba dużo sztuki, ażeby tę nazwę utrzymać na stałe: należy dobrze znać wykręty i haczyki w prawie kryminalnem, a nadto wyrobić w sobie dużo uporę, wytrwania i skrytości. Włóczęgowie bywają obdarzeni temi cechami w wysokim stopniu doskonałości. Przy naocznejm sprawdzaniu bardzo lekko i bohatersko wypierają się krewnych, rodziców, żon, dzieci. Niedoświadczeni zdobywali ten dar w więzieniach. Stawszy się aresztantem, włóczęga niepomny jest bezpiecznym pod tym względem, że już w więzieniu ani karać, ani badać go nikt nie ma prawa, z wyjątkiem jego władzy bezpośredniej, t. j. sądu. Poza przedstawicielami tej instytucyi, może on mówić impertynencye i zuchwalstwa wszystkim. Dla tego to właśnie wielu włóczęgów korzysta z tych praw chętnie. Wielka liczba zbiegów, pochodzących ze służby dworskiej i zaliczonych do kategorii osiedleńców, była jedną z przyczyn, tamujących na Syberyi rozwój rolnictwa i rzemiosł. Ludzie ci czuli wstręt do pługa i woleli furmanować lub polować.

Niektórzy woźnice mieli szczęście a za Bajkałem posiadali aż po 15 trójek.

W głębi Altaju, w pobliżu granicy chińskiej, na prawym brzegu Katuni, przy ujściu Akoły i nad górną częścią Buchtarmy, dotychczas mieszkają obcoplemińcy, stanowiący „uprawę” ojmańską. Są to Ojmanie, sekty „zbiegłopopowskiej“, pochodzenia rosyjskiego. Przodkowie ich byli to zbiegowie, żołnierze i robotnicy fabryczni. Dotarłszy do Altaju, przechodzili z miejsca na miejsce, odsuwali się od posterunków wojskowych, wysłanych w celu pojmania ich i chcieli umknąć za granicę. Ale oznajmiono im r. 1791 przebaczenie Cesarzowej Katarzyny, wyjednanne przez gubernatora, człowieka posiadającego dobre serce. Pozwolono im zapisać się do jakiegokolwiek stanu podatkowego. Wybrali obcoplemienny i tym sposobem rdzenni Rosyanie krwi słowiańskiej osiedli tam pod postacią i nazwą obcych odludków! Znani pod mianem *mularzy*, mieszkają w pobliżu traktu, służącego do dostawy rudy między kopalnią Zyrjańską a przystanią Irtysza, na przestrzeni 70 wiorst, nie posiadającej żadnych siedlisk ludzkich. W ubiegłym stuleciu dostęp tu był trudny, więc przez długi czas ludzie ci mogli podtrzymywać swe istnienie polowaniem i rozbojami. Byli tam zbiegowie robotnicy z żonami i dziećmi, ale do nich potrafili się przyłączyć różni inni, amatorowie dobra cudzego. Robotnicy fabryczni nie posiadali natury spokojnej: uciążliwość robót, połączona z pozbawieniem różnych praw, częste i surowe kary, doprowadzały ich do tego, że jeszcze przed ucieczką popełniali niejednokrotne przestępstwa. Wsie fabryczne podzielili na „kwartały“, urządzili straż dzienną i nocną, wzniesli budki, przy wjazdach do wsi porobili roгатki, zamierzali z czasem wszystkie wsie otoczyć rowami i również zaopatrzyć w roгатki. Różni zepsuci ludzie nie przestawali nakłaniać robotników fabrycznych i górniczych do przestępstw i ucieczek. Władza przez stróżów—starców, siedzących u wrót, dowiadywała się o każdym nowym przyjeźdźnym do wsi, ale o przychodniach—kusicielach nie mogła jednak zasięgnąć

wiadomości pożądaných. Propaganda religijna z pokusami do życia wolnego w ciemnych lasach i górach bezpiecznych, stworzyła wsie zupełnie niezależne, coś w rodzaju małych rzeczpospolicznych. Katarzyna, darowując winy tym ludziom, musiała ich zrazu uwolnić od wszelkich podatków, i tylko, tak samo jak od obcoplemieńców, kazała pobierać niewielki „jasak“ w skórach futrzanych. Taka ostrożność z początku, pozwoliła następnie obarczyć ich podatkami na równi z inną ludnością włościańską. Do wsi „mularzy“ stopniowo zaczęli dobrowolnie napływać inni włościanie.

Odszczepieńcy syberyjscy zachowali zwyczaj rosyjski rozpraszania się w różne strony, ażeby następnie zgromadzać się w oddzielnych siedliskach na nowych miejscach, zdala od cerkwi. Dla tego Altaj i Czerń uważane są za najdogodniejsze w tej mierze. W okręgu Bijskim ciągle powstają nowe osady i zgromadzają się nowi ludzie wolni. „Tutaj przyciągają ich—pisze pewien duchowny syberyjski—zarówno warunki miejscowości i sąsiedztwo z obcoplemiennymi koczownikami, jak i dzikie puste obszary, dogodne dla życia wolnego. Przybysze osiadają między aulami dzikich obcoplemieńców, ale pomimo to ciągle figurują jako zaliczeni do innych wsi. Na lewym brzegu rzeki Bii już są gotowe trzy wsie, które powstały z siedmiu wsi odszczepieńców, znajdujących się w okręgu Bijskim“. W jednej z nowych (Tajnie) było wtedy już 20 domów.

Syberya odznacza się wielkimi kontrastami co do osiedlenia przymusowego i wolnego. Pierwsze pozostaje pod kierunkiem najemnych i niedoświadczonych rąk ludzi rządowych, drugie jest organizacją osiedleńców, po za wszelkim wpływem ubocznym i planami kancelaryjnymi. W r. 1827 zatwierdzono projekt osiedlenia 5,955 wysłanych do gub. Jenisejskiej. Miano na celu, za pomocą dozoru ześrodkowanego, zaprzętnąć ich rolnictwem, powstrzymać przestępców od próżniactwa i ucieczek. Skarb państwa wyznaczył zapomogę w sumie 479,927 rb., która miała na celu pierwsze zagospodarowanie, utrzymanie na razie i zasiew zboża. Wydano bezzwrotnie na zakup narzędzi go-

spodarczych i rolniczych, koni, krów, owiec 269,091 rb.; 210,835 rb. przeznaczono dla osiedleńców, na dwuletnie utrzymanie i kupno nasion, — jako zapomogę zwrotną. W marcu r. 1829 w pobliżu zagród i gruntów wyznaczono im lasy, wskazano punkty zborne dla dozoru prowiantów, powołano dozorców, oznaczono pewną liczbę wygnańców, potrzebną do osiedlenia na miejscu. Wszystkich wybranych gospodarzów rozmieszczono we wsiach już gotowych. Większa ich część była na głównej drodze, mniejsza — na uboczu. Wszystkie (ogółem 22) otrzymały lepszej ziemi po 15 dziesięcin na gospodarza. Każdą zagrodę przeznaczono dla czterech osiedleńców: trzech robotników, czwarty gospodarz. Towarzysze jego powinni pracować, on zaś — troszczyć się o załatwianie niezbędnych potrzeb gospodarskich. Plany Arakczejewa urzeczywistniały się na Syberji: wsie powstawały w stronach odległych. W marcu r. 1829 —mówi świadek tego dzieła, gubernator jenisejski, A. Stepanow (w dziele swoim „Gubernia Jenisejska“)—wszystkim skazańcom oznajmiono, że mają iść do miejsc, oznaczonych na wsie dla nich. Każdy otrzymał siekerę; lasy padły pod rękami robotników, przyszłych gospodarzy domów. Od tego czasu każda wieś musiała być skończona przez dwa lata, a w ciągu czterech—zaludnić się zupełnie“. R. 1833 ten sam autor pisał: „Widziałem już na wielkiej drodze pięć ładnych wsi, zupełnie skończonych i nie mogłem oka od nich oderwać. Nadto, widziałem siedem na ukonczeniu, wreszcie cztery, które leżały w zarysach śród dolin zielonych na brzegach Kann.“

R. 1835 widział te wsie generał-gubernator S. Broniewski świeżo po ich zaludnieniu i pisał co następuje: „Mieszkańcy rozproszyli się, widząc, że nie mają siły do wyrabiania pól ornych z pod lasu. Wiele domów w zupełnem zaniedbaniu, skutkiem tego, że osadzono w nich rodziny, złożone z ludzi słabych. Domy te, kryte deszczułkami dartem, oparkanione deskami lub kłocami, przestronne, o pięciu oknach, wychodzących na ulicę, obliczone na cztery rodziny Izby rozdzielone korytarzami, podwórze ob-

szerne, z szopami i spichrzami. Ale do domów tych wpuszczono ludzi niezonatych. Utrzymanie tylko porządku w tych zagrodach i naprawa uszkodzonych okien, pieców i t. d., nad siły nędzarzy, którzy nic nie mają. Kłopoty te zniechęcają ich do trwałego zagrzewania miejsca. Uciekają tedy a na ich miejsce przychodzą inni, tacy sami. Trudno więc oczekiwać czegoś lepszego bez nowych ofiar. Zwiedziłem wiele tych domów i znalazłem tam niewypowiedzianą nędzę, brak najniezbędniejszych środków do życia. Dziwne robiła wrażenie jedna kobieta wśród czterech mężczyzn. Na pytanie, czyją jest żoną, wskazała jednego, dodając, że nie są ślubni, lecz tak żyją z własnej woli, połączeni przez władzę, gdyż skazańcy mogą zawierać związki małżeńskie dopiero po dwu latach pobytu na Syberyi. Zdziwił mię taki wstępny związek!“ Nie zdziwiło to, że większa część takich osiedleńców porzuciła nowe domy i rozbiegła się po starych lasach.

Za Bajkałem starowiercy chętnie opowiadają każdemu podanie, przekazane przez ojców o czasach i sposobach ich osadzenia. „Skarb dziadom naszym nie dopomagał. Przeprowadził na miejsce (nad rzekę Iro) urzędnik. Zapytali go, gdzie mają mieszkać? Wskazał góry. Istotnie wszystkie trzy gminy dokoła otoczone wysokimi górami leśnymi). Zapytali, z czego żyć będą? Urzędnik odpowiedział: „A oto będziecie las rąbali, z lasu posypią się drzazgi, które będziecie jedli“. Podziękowali mu i zaczęli las rąbać. Roku następnego zaczęli tem i owem się zajmować. Na osiem domów wypadł jeden koń. Osiedli. Ziemia okazała się urodzajną. Odżyli i nabrali otuchy. Przyjechał znajomy urzędnik i zdziwił się. „Jakto? Jeszcze nie pozdychaliście? Szkoda, wielka szkoda! Przecież na to was tutaj przysłano, ażebyście zginęli.“

R. 1830 dekabryści, idący z Czyty do fabryki piotrowskiej, opowiadali takie swoje wrażenia: „Umieszczono nas w domach włościańskich. Miały one po kilka pokoi tapetowanych, z dużymi oknami i dachami drewnianymi: Z jednej strony sieni była izba przestronna dla robot-

ników z olbrzymim piecem rosyjskim; z drugiej — od dwu do pięciu pokoiów z piecami holenderskimi, podłogi usłane dywanami wyrobu miejscowego. Stoły i stolki zgrabne, a nawet nie brakło lusterek, kupionych na jarmarku w Irbitcie. Gospodynie bardzo gościnnie częstowały nas wędliną, jesiotrem i różnymi pirogami. Na podwórzach widzieliśmy okute żelazem wozy (telegi), porządną uprzęż, silne, dobrze karmione konie, zdrowych, postawnych ludzi, którzy na nas zrobili zadziwiająco przyjemne wrażenie. Była niedziela: wszyscy szli na modlitwę; mężczyźni w długich jarmiakach z sukna niebieskiego i w ładnych czapkach sobolowych; kobiety w jedwabnych kaftanach z kołnierzeniami sobolowymi, na głowach miały chustki jedwabne, wyszywane złotem i srebrem. Wielu z nich to kapitaliści; niektórzy mają po sto tysięcy.“ Od r. 1857 w ciągu dziewięciu lat bogaci mieszkańcy bez uszczerbku dla siebie stałym chlebem żywili Amur i nie tylko dawali ziarno lub mąkę darmo, ale jeszcze dopłacali po 10—20 kop. od puda za dostawę zboża do Czyty wolnym furmanom (skarbu dawał za pud 60 kop.; dostawa np. z Tarabogataju kosztowała 70—80 kop.).

— Dla czego wasi sąsiedzi tak ubodzy? — pytał jeden z dekabrystów. — Jakże nie mają być ubodzy? — odpowiedział nasz gospodarz; — my idziemy na robotę w pole gdy kur zapieje, a sybirak gotuje sobie herbatę cegielkową, zanim zaś zbierze się na robotę, — słońce już wysoko na niebie. My już pierwszą pracę skończymy i odpoczywamy, a sybirak podczas największego skwaru męczy i konia i siebie. Prócz tego osiedleńcy piją. Tracą każdy grosz i nie mogą nic zaoszczędzić.

W naszej książce podróźnej zapisane są pod świeżym wrażeniem (16 stycz. 1861 r.) następujące słowa: „Z ludu syberyjskiego są niezadowoleni zarówno starowiercy familijni biczurscy, jak i muchor-szybirscy. Sybirak wstaje, herbatę pije, w pole idzie, a tu patrz — znowu do domu wlece się jeść. Wieczorem także w domu herbatę pije. Gospodarstwo dla nich jest rzeczą podrzędną. U nas mło-

dzieniec do 20-go roku życia nie śmie pić wódki, a u tamtych i owszem, wolno. Kozacy, to lud nędzny, wcale nieoszczędny, nieporządny, w niczem do nas niepodobny“.

Dekabrzyści widzieli starca, liczącego 110 lat, który pamiętał początki osiedlenia, kiedy to miano na celu nie przywiązanie skazańców do miejsca, lecz karę. Starzec mieszkał w domu czwartego syna młodszego, który liczył 70 lat. Pomimo, że dziad już nie pracował, z przyzwyczajenia jednak nosił siekierę za pasem. Wczesnym rankiem budził swoich synów i wnuków na robotę. Każdy z synów miał osobny dom z podwórczem i spichrzem i własny młyn wodny. Po co ci, dziadku, tak dużo młynów? — pytano go. — Proszę zobaczyć, jakie nasze pola, — odpowiedział i wskazał góry okoliczne, dokoła zasiane. Sądząc z bogactwa i dostatku tych włościan, zdawało się nam, że jesteśmy nie w Syberyi, lecz w Ameryce. Ta właśnie część Syberyi nie ustępuje wcale Ameryce“. Ci sami starowiercy, którzy urządzili sobie życie na podstawach pracy gromadzkiej, cieszą się z owoców bytu dostatniego dla tego właścic, że pod wielu względami są zbliżeni do sekciarzy zaatlantycznych: kwaków, mormonów i innych. Familijni mają własny zarząd, dzięki czemu wyrobili sobie do pewnego stopnia niezależność. Pochwycili tajemnicę obchodzenia się z urzędnikami, gotowi zawsze do płacenia podatków i zdolni do ofiar nad normę przyjętą, pod postacią dostaw zboża nad zgłodniały Amur. Gdy ten legł na familijnych niespodziewanym ciężarem, a długotrwałe urodzaje ułatwiły walkę z niedolą, sprawiedliwy gromadzki podział na rodziny dał im możliwość zupełnego wycięztwa, pomimo, że na gospodarzy średniej zamożności przypadło co-rocnie około 40 pudów (na bogatych więcej, na uboższych mniej). Ubogim nadto dano możliwość korzystania z placy za dostawę do Czyty na statki. Bogaczami potrafili stać się starowiercy tarabogatajscy, biczurscy i muchor-szybirscy, dzięki handlowi z Chińczykami, pośrednictwem i dostawom rządowym. Wogóle zaś do tego powodzenia i obrotności dopomógł charakter owych ludzi, który dobrze

się zachował nie tylko u tych wygnańców z Białej Rusi w końcu wieku przeszłego, lecz i u ich potomków obecnych. Taką samą pracowitością i przedsiębiorczością odznaczają się starowiercy mieszkający za Bajkałem wśród niemrawych sybiraków, pobratymców zahukanych i nawpół dzikich Białorusinów.

W więzieniu tomskiem widzieliśmy aresztanta, wielce szanownego, czytanego i poważnego starca, odszczepieńca bardzo bogatego, mieszczanina tomskiego, którego oddano pod sąd za stworzenie wsi ze zbiegów w okręgu Tomskim własnym kosztem i za nawrócenie tych ludzi na starą wiarę. Stworzyli oni wyborne gospodarstwo, nie ściągali na siebie złymi czynami prześladowania i nikomu krzywdy nie wyrządzali. Urzędnik wiedział, brał „pokłonne“ i „pokorne“ i nikogo nie ruszał. Ktoś zadenuncyował; ludzi wolnych schwymano, osadzono w więzieniach. Wszczęto sprawę. Tymczasem wieś była zupełnie gotowa: ogromna, rozległa w miejscu dogodnem, dzikiem, obfitującym we wszystko. Był także i las głuchy, zgodnie z wymaganiami i tradycjami starowierców. Dążność tych ludzi do organizacji gospodarstw odrębnych, pustelniczych datuje się od pierwszej doby ich wygnania. Jeszcze za czasów Aleksego Michajłowicza skazańcy, wygnani do kraju Jakuckiego, urządzali siedziby odosobnione, nawet na wyspach rzecznych. Ale surowość klimatu i niemożliwość zdobycia środków żywności, przyczyniły się do szybkiego zniknięcia tych kolonij. Jedną, stworzoną około Anadyrska i już znacznie rozszerzoną, zniszczyli Koryjacy. Napadli i wymordowali wszystkich jej mieszkańców.

Do liczby bardzo rozpowszechnionych podań syberyjskich należy opowieść, jak pewien myśliwy zbłąkany, posłyszawszy odgłos dzwona, poszedł w stronę, skąd on dochodził i znalazł wieś nikomu nieznaną. Gdzie indziej także siedlisko ludzkie znalazł urzędnik; ale ponieważ nie był tak przezorny, ażeby przed mieszkańcami zataić swoje stanowisko, więc go tam zabito. Podobne opowiadania słyszeliśmy zarówno w Syberji Zachodniej, jak i Wschod-

niej (z wyjątkiem Zubajkala). „Nad Kołymą i Indyhirką — pisze p. Sielskij w artykule „Wygnanie do Syberji Wschodniej ludzi wybitnych“ — mieszkańcy miejscowi dotychczas opowiadają o istnieniu od dawien dawna jakichś ludzi kiedyś wygnanych, którzy uciekli i osiedli na nieznanych wyspach morza Lodowatego. Przed laty ktoś przy ujściu Kołomy oglądał na wyspach sidła na zwierzęta. Tam go zaskoczyła zamieć śnieżna, więc się zbłąkał. Długo się tulał po pustych przestrzeniach, aż wreszcie psy zawlokły go do wsi nieznannej, złożonej z kilku domów, budowanych „na wręby“. Zbłąkanego przyjęła kobieta, ale nie rozmawiała z nim wcale. Późno wieczorem wrócili z wyprawy łowieckiej mężczyźni i zaczęli badać przybysza, co za jeden, skąd, z jakiego powodu i w jakim celu do nich zawitał; czy słyszał cośkolwiek przed tem o nich i wreszcie, czy nie jest przez kogo nasłany? Trzymano go pod dozorem sześć tygodni, umieszczono w osobnym domu i nie pozwalano ztamtąd wychodzić ani na krok; z nikim nie wolno mu było rozmawiać. Uwięziony często słyszał odgłos dzwona; mieszkańcy zaś tej wsi tajemniczej zbierali się w domu modlitwy, z czego wywnioskował, że to było siedlisko odszczepieńców. Nareszcie zgodzili się na wypuszczenie więźnia, ale pod przysięgą, że będzie milczał o wszystkim, co widział i słyszał. Następnie, zawiązawszy mu oczy, wyprowadzili ze wsi daleko. Na pożegnanie dali mu dużo białych i czarnych lisów“.

Do takich wsi wolnych chętnie lgną także zbiegowie z ciężkich robót tudzież osiedlenia. Pieniądze, przekupstwo i pisarze gminni grają tu najważniejszą rolę. Władza gminna w okręgu Irkuckim wykryła osiedleńca, który mieszkał we wsi przeszło 20 lat. Ci, co go znali, myśleli, że jest zapisany przez władzę, więc go nie ruszali. Nareszcie dowiedziano się, że we wsi sąsiedniej pod tem samem imieniem i nazwiskiem mieszka inny (zdarza się to między osiedleńcami powszechnie). Ten drugi zbiegł. Źliczka zdradziła obu. Długo usiłowano potem dowiedzieć się, jakie jest nazwisko pierwszego i nareszcie po

bezsuktecznych próbach pozostawiono go w spokoju, porzeczając na tem, że kiedyś już był ukarany za włóczegostwo. Dopomógł mu pisarz gminny, który się przyznał do następującego czynu: Przed 20 laty osiedleńca tego pojmano w Minusie (Minusińsku). Tam się on tłumaczył, że zbiegł z pod Irkucka. Sąd ziemski posłał go do gminy, ażeby pokazać włościanom. Wójt skierował do zarządu gminnego z pakietem. Osiedleńce, zrozumiawszy, że sprawa jest niedobra, uciekł furmanowi w drodze i zabrał pakiet z dowodami, które przedstawił w innej wsi pisarzowi; ten zabrał dowody, osiedleńcowi kazał pozostać na miejscu, a mieszkańcom wsi oznajmił, że go tu przysłano. Ilez podobnych spraw nie wysledzono, ilez wsi wyrosło i utrwalilo się wbrew prawu i programom!

Jak dalece wygnancy sami są skłonnii do prowadzenia życia osiadlego, świadczy między innymi wypadek następujący: W jesieni r. 1862 po schroniskach włóczegoskich rozbiegła się wieść o manifestcie, w którym jakoby powiedziano, że wszystkich włóczegów — katorzników można „przypisać“ do osiedlenia, skoro tylko dobrowolnie zgłoszą się do władzy. Wieść ta poruszyła włóczegów. Wielu z nich zameldowało się władzy i oczywiście wpadło w potrzask; otrzymali plagi i znowu dostali się do katorgi. Szczególnie dużo, jak powiadają, znalazło się takich ochotników w gub. Tomskiej.

Przełądając życie i warunki osiedleńców, dochodzimy narzeczie do tej ważnej gałęzi gospodarki państwowej, która dostarczyła tyle pieniędzy Rosji a zarazem wyrządziła tyle klęsk Syberyi. Mówimy o produkcyi złota, niegdys wydobywanego wyłącznie rękami wygnanych osiedleńców. Mieszczanie przez ambicyę, a włościanie przez przywiązanie do ognisk domowych nie chcieli chodźć na te roboty ¹⁾.

2) R. 1840 z całej liczby wysłanych 134,630, (64,310 w Syberyi Zachodniej i 70,290 we Wschodniej), pracowalo w kopalniach złota *jedenaste* tysięcy, t. j. prawie *dwunasta* część ogółu ludności wygnanej.

Dawne czasy przeszły. Skończyły się dziwaczne dzieje przemysłu złotego, nastął nowy okres, według innych wzorów, ale śladów przeszłości nie zatarto jeszcze zupełnie. Pozostały resztki systemu, na nieszczęście osiedleńców. Niema już dziś tej zaciętej walki między partjami poszukiwaczy złota, która kiedyś przybierała charakter groźny, ohydny, a czasami nawet śmieszny. Już dawno gospodarze nie zlewają gościom drogi winem szampańskim od miasta do kopalni. Uciekli gospodarze, spokornieli robotnicy. Ci ostatni nie chodzą po ulicach w kurtkach i szarawarach brokadyowych, nie stąpają po banknotach, rzucanych pod stopy, ażeby się nie zabłocić podczas przejścia przez ulicę z szynku. Ustały te orgie. Ale nie wszystko się skończyło.

Nieurodzaje i rozwój produkcji złota, wywołały drożyznę artykułów spożywczych, zmusiły do robót w kopalniach mieszczan i włościan, a nawet przybyszów z Rosji. Przychodzą całe artele, ale ich przepisy, nadające moc głosom wszystkich za każdego, tudzież własna organizacja, nie podobają się niektórym pełnomocnikom. Usiłują oni kępować i osłabiać związek tych najemników. A jednak robotnicy artelowi pracują wybornie. Żądają tylko dobrej i obfitej strawy. Pozostał jeszcze werbunek robotników, walka za pomocą cen i zaliczek, roboty uciążliwe, oparte na pierwotnych zasadach, słowem zostało to wszystko, co dawniej było złem dla osiedleńców i co dzisiaj ich nęka. Skutkiem pierwotnej, nieumiejętnej gospodarki przemysł złoty upada. Dążność do poszukiwań osłabła, a tym czasem kopalnie stare wyczerpują się. Złotodajne piaski ubożają. Produkcya w kopalniach prywatnych, zwłaszcza w Syberji Zachodniej, upadła. Grozi to położeniu osiedleńców.

Zadatek wynoszący 40, 50, 60 rubli, zamiast dozwolonego przez prawo w sumie 7 rb. 50 kop., wpadł do kieszeni osiedleńca po długim głodzie, a tu na drodze szynki z wszelkimi pokusami! Istnieje dawny zwyczaj najmowania robotników pijanych, bo w takim stanie są skłonni

do ustępstw. Następnie stają się oni ofiarami oszustwa i wyżysku przedsiębiorców ich pośredników najmujących, którzy dają po cenach wysokich towar zleżały, podsuwają umowę możliwie najzawilszą, na którą może przystać tylko pijany, poczem przy łada sposobności starają się wytrącać z zarobków. W umowie istnieje warunek wbrew duchowi prawa: mianowicie, dni robocze liczą się nie od chwili zawarcia umowy, lecz po przyjeździe do kopalni. Zobowiązania co do odzieży nie są dotrzymywane, natomiast zapisane są w rachunku narzędzia, których nie dano; robota zaś nie jest jasno uwarunkowana, słowem, cała sieć skrępowań najróżnorodniejszych. Robotnik musi iść nieraz miesiąc, półtora lub dwa do kopalni obdarty i głodny, żywiąc się jałmużną, a przy sposobności i kradzieżą. Skarżyć się niema przed kim. Skarżyli się tylko ci, którzy nie wiedzieli, w jakich stosunkach są inspektorowie osiedlenia z pełnomocnikami przedsiębiorców.

Sami przemysłowcy rzadko kiedy mieszkają w Syberyi. Działają dzierżawcy według starych zwyczajów i wskazówek. Wydają dużo pieniędzy właściciele na karty uczty, wieczory, na smarowanie skomplikowanych kół maszyny produkcyi złota, ażeby nie skrzypiała. Wydatki olbrzymie; trzeba je pokryć. Ten i ów zabrnie daleko i wyjścia niema; a tu żądają sprawozdań. W tych razach i pisarz gminny niemałą jest pomocą, gdy chodzi o wykazanie właścicielowi znacznej sumy zaliczek dla tak wielkiej liczby robotników, jaka nie istnieje w rzeczywistości. Pisarz może potwierdzić dowód nawet pieczęcią skarbową. Dla gospodarza zaś istnieje jedna odpowiedź: robotnicy wzięli zaliczki i nie przyszli do kopalni. Kto zaglądał do więzień syberyjskich, ten wie, że niejednego robotnika porwano z domu i etapem wysłano do kopalni, dla odrobienia długu dawnego, że niektórzy uciekli z robót, lecz na drodze pojmani, znaleźli schronienie w więzieniu,— dla tego, że muszą być wysłani z powrotem na rachunek najmującego pod konwojem kozackim, który ma prowadzić

drogami przez tajgę. Drogi te istnieją tylko w fantazyi, pomimo iż za sumy na nie wydane można byłoby mieć kolej żelazną.

Na terytoryum robót osiedleńcy robotnicy mieszkają w lichych chałupach, sprzyjających rozwojowi skorbutu. Tutaj już są niewolnikami w całym znaczeniu. Chłosta kwitnie w najlepsze i może być wymierzana w każdej chwili na zawołanie. Postrach, zmuszający do wykonania wszelkich zadań, uważano tam jako środek pedagogiczny. Nadto, robotnicy mają dużo „robót zadanych“, którym nigdy nie mogą poddać. Wydatki w przedsiębiorstwie są znaczne: robotnik żąda rękawic, tytoń pali, przyzwyczał się do herbaty cegiełkowej, wziął zadatek duży! Trzeba to wszystko pokryć i siebie nie skrzywdzić. I oto w dni świąteczne i uroczyste wprowadzono roboty nadzwyczajne — próbę gorliwości — które obok zadanych ostatecznie wyczerpują siły osiedleńców. Za te roboty nadzwyczajne płaca od złotnika złota, — najwłaściwsza — dziś wyszła z użycia. „Gorliwość“ zaś nie jest niczem innym jak wyzyskiwaniem chwil wypoczynku, odobraniem robotnikom dni świątecznych. Roboty zadane nad siły i jeszcze dobrze, że gospodarze są zobowiązani wzywać lekarzy i odsyłać chorych do szpitalów, do których wszakże nie zawsze dostać się można. Zamiast lekarstwa — komenda kozacka z wojennymi medykamentami, gdyż chorobę można czasem przez omyłkę wziąć za lenistwo¹⁾. Robotnik ma przed sobą sto dni pracy piekielnej nad siły, a tymczasem dług w magazynie rośnie. Co tu począć? Spokojni, ulegli machają ręką i idą do roboty. Energiczniejsi i doświadczeńsi uciekają tak licznie, że przedsiębiorcy nie mogąc sobie dać rady, kołoczą na swoją korzyść o ustępstwa i przywileje.

Istotnie latem robotnik jest drogi. Ten lub ów przyjdzie, popracuje trochę, zadłuży się w magazynie, potem

¹⁾ Osiedleńców, którzy w prywatnych kopalniach złota popełnili przestępstwo, kazano oddawać pod sąd wojenny.

oznajmia, że nie jest zdolny do roboty. Wzywają doktora, który znajdzie albo rupturę, albo rękę wywichniętą, albo inną chorobę, przewidzianą przez prawo. Gdy jest nagła potrzeba, przedsiębiorcy najmują także starców, licząc na ich sumienie. Dług, naturalnie, trzeba mu wymazać z rachunku. Tym sposobem wielkie zadatki, wywołane współzawodnictwem przedsiębiorców, są niedogodne dla gospodarzy a robotnikom także na korzyść nie idą. Jedno tylko dobre: żywią nieźle, — na południu lepiej niż na północy.

Kradzież złota jest zwyczajem oddawna zakorzenionym. Żydzi w celach handlu pokątnego przyjeżdżają z Kaimńska, Tomska, Krasnojarska, Barguzina i innych miejscowości. Rachunki niesprawiedliwe, niedowazanie przy płacy od złotnika,—to także przyczyna złego. Przeciw kradzieży złota samorodnego oddawna istnieje system wzajemnego szpiegostwa. Niektórzy gospodarze nierzetelnymi rachunkami wrogo usposobiają do siebie wszystkich robotników, tak dalece, że nie chcą oni iść do nich na robotę. Przedsiębiorcy więc muszą dla zachęty używać różnych fortelów, sposobów nieuczciwych. W tym celu wzywają do pomocy sprytnych osiedleńców. Dziś już należą do powszednich takie wypadki, że robotnicy po ośmiomiesięcznej pracy uciążliwej wychodzą z kopalni zadłużeni.

Wogóle współczesne urządzenia produkcji złota i jej warunki nie wywierają dziś już tak szkodliwego wpływu na osiedleńców, jak to było niegdyś, kiedy pracę w kopalniach uważano za hańbę. Dużo jednak jest jeszcze warunków i czynników demoralizujących, szkodliwych dla kraju. W znacznej mierze kopalnie złota przyczyniły się do tego, że wygnańcy nie mają mocnego gospodarstwa domowego i lekkie zyski przekładają nad pracę. I teraz po skończeniu robót pokrzywdzeni i zadłużeni wałęsają się bezczynnie po wsiach w pobliżu kopalni, żywiąc się tą nadzieją, że znowu otrzymają zaliczki i znowu będą oszukani. Kopalnie złota nie mało się przyczyniają do tego, że osiedleńcy

zapominają o domu, zaprawiają się jeszcze bardziej do włóczęgostwa, dążą do miejsc werbunku i są około nich zawsze w pogotowiu: głodni, obdarci, a więc i tani; rozbałamuceni w próżniactwie i matactwach wszelkiego rodzaju, a więc niezdatni do niczego. Produkcya złota prawie zupełnie zabiła wszelkie rzemiosła. Rolnictwo i hodowla bydła osłabły. Lud zepsuty poszedł do szynku. Tak twierdzą ci, którzy lubią mówić prawdę. Z lepszych ludzi, pochodzących z warstw ukształconych, puszcze syberyjskie stworzyły typ niesympatyczny, znany tam pod nazwą „wilka tajgi“. Gorączka złota spacyła ich do tego stopnia, że świat przestał dla nich istnieć, złoto stało się bogiem, a odszukanie nowych źródeł tego kruszcu było zadaniem całego życia. Wilk tajgi nie wahał się zawładnąć cudzem bogactwem ziemnem. Sądy syberyjskie były zarzucone tego rodzaju sprawami. Nadużycia popełniano w ten sposób: pełnomocnicy, działający za pomocą pieniędzy kapitalistów i sami posiadający prawo poszukiwania złota, znalazłszy je, ogłaszali jako swoją własność. Brali pensję od kapitalistów, ale jednocześnie odkryte bogactwa uważali za swoje, w tem przeświadczeniu, że prawo nie może ich ścigać. Kruszcem zabił sumienie wielu ludzi nietuzinkowych. I cóż dziwnego, że pod wpływem złota paczą się mniej mocne charaktery robotników prostych, zwłaszcza osiedleńców!

W kopalniach robotnik jest spokojny, wytrwały, niesłychanie cierpliwy, gdzie tylko pracy jego nadano odpowiedni kierunek. Inaczej on wygląda na wsi, po rabunku, gdy traci wszystko, co tak ciężko zdobył. Przez dwa tygodnie jest w takim stanie, że trudno go poznać, dochodzi do szaleństwa, jak gdyby opanowała go biała gorączka. Usiłuje pozbyć się wszystkiego, co tylko posiada. W styczniu i lutym przychodzi znowu czas najmu. Znowu pijany otrzymuje zadatek na kilkumiesięczną pracę uciążliwą. Niektorzy przynoszą do domu po 200—300 rb., lecz przepijają je, lub przegrywają kozakom inspektorskim i urzędnikom gminnym. Sposób wydawania biletów osio-

dleńcom wymagał gruntownego przekształcenia, nad czem nie bez racji zastanawiały się władze syberyjskie.

Bogaci przedsiębiorcy krzywdzą tych osiedleńców, których zagnano do stron jakuckich. Ludzie ci mieszkają w jurtach, raczej w jamach, kopanych, o ile można, w suchej ziemi. Trzeba tam stale utrzymywać ogień, ażeby suszyć jurty i ludzi. Mieszkania te podobne są raczej do legowisk zwierzęcych. Urządzenie bardzo proste i nędzne. Na słupach prostopadłych, widlastych u góry, kładzie się poprzecznicę, od której do boków jamy idą małe belki, pokryte gałęziami jodły, a zwierzchu darniną. W środku jurty—palnisko, z cienkich żerdzi, wychodzących stożkowato z jamy, wymazanej gliną wewnątrz i zewnątrz. Tutaj i cieleta i niemowlęta. Latem jurty są z kory brzozej. Bydło stoi na otwartem powietrzu.

W stronach jakuckich, skutkiem nieprzyjaznych warunków, miejscowości wilgotnej i życia niehygienicznego, istnieje choroba, (podobna do „opętania“, znanego w guberniach lesistych i czkawki w tundrach północnych), z cechami wielkiego rozstroju norwowego. Trędowaci i przeważnie przestraszeni nad Leną zowią się „mirjakami“ albo „mirjaczkami“¹⁾. Cechą napadów choroby jest małpie naśladownictwo tego wszystkiego, co się nagle nasuwa na oczy podczas przesilen. Dość krzyknąć niosącemu jakikolwiek przedmiot: „rzucaj“ — wnet rzuci. Pewna „mirjaczka“ spotkała na moście w Jakucku podróżnego, który podniósł kawałek drzewa i wrzucił przez poręcz do wody. Chora w oka mgnieniu skoczyła przez poręcz do rzeki i utonęła. Pewna chora, widząc furmana grzejącego nad węglami rozżarzonymi ręce, położyła na nich swoje i niewątpliwie poparzyłaby je aż do zgangrenowania, gdyby nie zapobieżono temu. Pewien osiedleńiec jadąc spostrzegł kupę chrustu. Postanowił tedy skorzystać z goto-

¹⁾ Po jakucku imerech, imerjach — wstrząsać się, szaleć.

(przyp. tłum.).

wego materiału i rozniecił ogień. Naraz z pod ogniska wysunął się niespodzianie człowiek, który tam spał, ukryty przed mrozem i śniegiem. To tak przeraziło osiedleńca, że od tej chwili zaczął „mirjaczyć“. Od czasu, gdy wprowadzono stałą dostawę zboża Leną i gdy wyszła z użycia kora sosnowa,—zmniejszyła się liczba mirjaków. Są oni tu i owdzie za Bajkałem pod nazwą *olgardzu*¹⁾. Jest to rodzaj upośledzonych na umyśle. Oprócz przyczyn naturalnych i głównej — przestרחu, choroba ta wynika ze swawoli — naśladownictwa chorych, tudzież z nadużycie płciowych i samogwałtu.

Osiedleńcy w obwodzie Jakuckim żyją tak nędznie, że wywołują lży współczucia. We wszystkich innych miejscowościach Syberyi jest do kogo słowo przemówić, można, choćby u towarzysza — osiedleńca znaleźć strawę, przytułek i życzliwość; bo mieszkają tam przynajmniej we wsiach. Inaczej jest na ziemi Jakuckiej. Tam, celem rozwoju rolnictwa i zaszczerpienia stałego gospodarstwa, istniejącego u ludów osiadłych—kazano osiedleńcom mieszkać wśród obcoplemieńców. Jakuci mieszkają rozproszeni i przeważnie są hodowcami bydła. Względem wygnanców są jeszcze bardziej uprzedzeni niż sybiracy—Rosyanie. Każdy przybysz—skazaniec żywi się kwaśnem mlekiem z „tarą“ (korą drzewną), rzadko rybą. Zajęcia nie może znaleźć, a doszedłszy do miejsca przeznaczenia, bierze bilet, ażeby iść do miasta na poszukiwanie zarobku, lub do kopalni złota. Tam, jeżeli mu się uda zdobyć pluszowe szarawary, czerwoną koszulę, buty, czapkę sukienną,—to już uchodzi za bogatego. Jeżeli przerzucił przez ramię czerwony szal i wziął harmonijkę,—to znaczy wesoly i szczęśliwy; jeżeli zaś tańczy koło szynku, to już pieniędzy nie ma, przepił wszystko. Ucieka on stamtąd rzadziej, ale nie zaszczerpił wśród Jakutów gospodarstwa, jeszcze bardziej uprzedził ich przeciwko sobie oraz przeciwko przyszłym swoim towarzyszom niedoli, bo jest leniwy i nie robić nie

¹⁾ Z mongolskiego—tęskliwy, bojaźliwy.

(przyp. tłóm.).

choc: podwórza Jakutowi — gospodarzowi nie uprzątnie, drzewa nie narąbie, bydła nie dopatrzy.

Zresztą w obwodzie Jakuckim są także osiedleńcy zamożni, sprytni — przybysze z „kraju„ Turuchańskiego (z Jeniseja nad Lenę), skopcy, około 500 ludzi, którzy osiedli o 15 wiorst od Jakucka koło Olekmy nad rzeką Aldanem. Ci nie zginą, gdyż przynieśli z sobą pieniądze, oraz posiadają sekrety i zdolności handlowe. Dla tego też są niepożyteczni a wygnanie ich, jako kara, chyba celu. Wąтли, lękliwi, a zarazem przebiegli, — do tego stopnia są zawziętymi fatalistami, że z wielką stanowczością i bez szemrania poddawali się swojemu losowi. Wszystko im było jedno, czy się znajdowali na wyspach Alandzkich, czy w prowincyi Zakaukaskiej, czy też kraju Turuchańskim lub obwodzie Jakuckim. Wygnanie na Syberję ma dla nich jeszcze to znaczenie religijno-mistyczne, że ów kraj uważają za ziemię obiecaną, a Irkuck za Jerozolimę, gdyż tam był wysłany ich żywy bóg, Konrad Seliwanow. Ztamtąd, z góry Irkuckiej przyjdzie on, ojciec, ażeby się połączyć ze swemi dziećmi. O to przyjscie modlą się oni, a tymczasem, w oczekiwaniu, zbierają pieniądze, trudniąc się furmaństwem w kraju Turuchanskim nad Jenisejem, lub pracując na rzekach Aldanie i Mai w prowincyi Ochockiej, gdzie ich osiedlono na wiosnę r. 1860. Nie stracili ani grosza swojego, ale dla kraju nie nic zrobili. Zmiana miejscowości mogła tylko jeszcze bardziej ich rozjątrzyć przeciwko innym mieszkańcom. Naturalnie, nigdy nie śpieszyli z pomocą ginącym podczas zamieci śnieżnych w pustyniach turuchańskich. Z tego byli znani powszechnie. Większość skopców rekrutowała się z luteran — Czuchonców, wysłanych z gub. Petersburskiej. W tym samym kraju Turuchańskim, również nad Jenisejem w dwóch wsiach (Mirnyj i Iskup) byli osiedleni duchoborcy, słynni z zamożności. Gdzieindziej mogliby oni być bardzo pożyteczni, jak np. mołokanie, ¹⁾ osiedleni nad Amurem.

¹⁾ Skopcy, duchoborcy, mołokanie — nazwy sekt. (przyp. iżóm.).

Wogóle wszelkie grupy wygnańców dodają różne charakterystyczne odcienie do obrazu bytu osiedleńców. Skazańcy ze stanu duchownego, wysłani do obwodu Jakuckiego drogą administracyjną, potrafiliby zrobić z Kireńska i Jakucka miasta, słynne z pieniactwa i matactwa. Miejscowości, w których skupili się Tatarzy, słyną z koniokractwa. Tam gdzie osiedli Żydzi—wre handel rozmaity. W Syberyi także chciano Żydów zamienić na rolników; ale i tam, jak w Rosyi zachodniej, rozwiali oni wszelkie nadzieje w tej mierze i zachowali swoje cochy wybitne. Z Kainśka Żydzi potrafiliby zrobić takie same miasto, jakich jest mnóstwo w guberniach zachodnich. To też Kainśk sybiracy nazwali „Jerozolimą żydowską“ (ludność wyznania mojżeszowego stanowi tam $\frac{1}{3}$ ogółu). Z miasteczka, które nie posiadało żadnego znaczenia handlowego i przemysłowego, które było pogrążone w sobie, milczące, stało się ognisko ożywione, krzykliwe, handlowe. Powstał rynek, wyrosły sklepiki, jak grzyby — słowem zupełnie charakter miasteczka białoruskiego. Dzięki Żydom, dziś Kainśk stał się głównym składem skór futrzanych (szczególnie ogonków popielicowych), wysyłanych zagranicę na jarmark lipski. Oto dla czego nędzna miejscina w okolicy piaszczystej, licząca tylko 700 mieszkańców, posiada aż 70 kupców. Na dziesięciu mieszczan chrześcijan jeden Żyd trudni się komisyonerstwem i faktorstwem przy kupnie futer i za swoje zabiegi otrzymuje różnego rodzaju drobny galanteryjny, z którym następnie wędruje po targach i jarmarkach, po wsiach i miasteczkach Syberyi Zachodniej. Ponieważ w Kainśku wraz z Żydami osiedli i Cyganie, t. j. najgorsi z gorszych, więc policya ma dużo roboty w rozplątywaniu sieci matactwa wszelkiego rodzaju.

W Syberyi Wschodniej Żydzi stworzyli takie same ożywione ruchliwe miasteczko, Barguzin. Ubodzy, obdarci, głodni, po trzech, czterech miesiącach dostają roboty zadane: rąbanie drzewa, wożenie rudy. Wziąwszy robotę na rok, najmują następnie ochotników z włościan fabrycznych, którzy robotę roczną kończą w ciągu tygodnia. Tym

sposobem, według prawa, Żyd—skazaniec staje się wolnym od pracy na cały rok. Przez ten czas zajmuje się kramarstwem. Powoli pudelko towarów zamienia się na pudło, pudło na sklepik albo sklep. I oto wyrasta handlarz, który zaopatruje ludność w mydło, tytoń, herbatę, żelazo i łososie. Sam robi mydło, świece, papierosy. Na łososiach oszukuje, żelazo ma kradzione ze skarbu, herbatę trzyma tylko przemycaną. Nic dziwnego; sam przecież dostał się na Syberyę za kontrabandę towarów zagranicznych. Słowem, gdzie tylko się znaleźli Żydzi, tam drobny handel kwitnie. Żydzi stają się wzorem i przykładem dla niemrawego sybiraka—mieszczanina. Na Syberyi są oni pożądanymi i pożytecznymi; tam mają szerokie pole. Niemal jest z nimi kłopotu z powodu udziału w sprzedaży kradzionego złota i zagranicznych towarów przemyconych. Żydzi łączą się gromadnie, żeby wygnanie nie mogło zerwać łańcucha ich jedności, który się ciągnie przez miasta syberyjskie, łączy Nerczyńsk z Wierzbołowem, Radziwiłowem i Lipskiem. Np. Żydzi kaimscy, należący do stowarzyszenia „Nowej Jerozolimy“, nie stracili sympatyj i łączności z towarzyszami mieszkającymi w Mińsku. Zresztą co do złota, herbaty i innego handlu pokątnego, dzielnie spółzawodniczą z Żydami kozacy miejscowi i osiedleńcy rosyjscy. Ale niech no tylko gdzieś się znajdzie złoto i rozpocznie się eksploatacja jego, natychmiast Żydzi handlarze śpieszą tam i krążą w odległości przez prawo nakreślone: z perkalami, chustkami, guzikami, igłami, wódką, ażeby tem łatwiej zaopiekować się „złotą pszeniczką“ lub kradzionym piaskiem złotym. Żydzi dostają się do katorgi za zabójstwo i nie przestają tam być takimi, jakimi przyszli.

Co do przekształcenia Żydów na sybiraków, zauważono, że obrotność handlowa, dając możność zdobycia niewielkich funduszków i zabezpieczenia dobrobytu (którym sybiracy Żydzi powszechnie się cieszą)—znacznie dopomogła tym ludziom do wynarodowienia się. Żydzi na Syberyi ubierają się po rosyjsku, kobiety zaś w niczem się nie różnią od mieszczan syberyjskich. Zewnętrznie wśród ludności

miejscowej nie stanowią oni grupy odrębnej. Starcy mówią po polsku i po rosyjsku; nowe pokolenie, które się zrodziło na Syberyi, już nie zna języka polskiego, a natomiast dobrze włada rosyjskim. Trzecie pokolenie zapomina języka polskiego i nawet w domu mówi tylko po rosyjsku. Dawniej w obawie knuta, a zawsze w interesie pieniężnym, Żydzi przyjmowali prawosławie, pomimo że w sereu zachowali talmud. Dzieci neofitów jeszcze nosiły imiona żydowskie, ale dla świata miały rosyjskie. Ci już lekceważą wiarę swych ojców i szydzą z niej. W trzeciem i czwartem pokoleniu neofici zacierają w sobie wszelkie cechy żydostwa. Środki prawodawcze, zastosowane do Żydów syberyjskich, przyjmujących wiarę chrześcijańską—mianowicie skrócenie 8-letniego terminu przebywania w kategorii służących do 4-eh lat, — nie oddziaływały dodatnio pod względem osiedlenia, ale za to wpłynęły na skwapliwość do chrztu. Ochrczeni nie mogli się żyć z gospodarzami i to wywołało nowe środki prawne, t. j. pociąganie do kary takich ludzi, jako odznaczających się złą konduita.

Jak świadczą sprawy w archiwach tudzież spostrzeżenia władzy oraz rdzennych mieszkańców Syberyi, skazańcy z plemienia fińskiego, odznaczający się posępnym charakterem i zupolną niezdatnością (szczególnie pochodzący z Finlandyi), poddają się bez szemrania swojemu losowi, nawet najcięższemu i z miejsca osiedlenia nigdy nie uciekają. Za to inoplemieńcy, odznaczający się gorętszą krwią i żywszym temperamentem (np. górale kaukazy), godzą się z losem tylko przez cały okres ciężkich robót. Ale jednocześnie ze zdjęciem kajdan, budzi się tęsknota do stron rodzinnych z taką siłą, że nie mogąc nad nią zapanować, uciekają natychmiast. O ile są skłonni do osiedlenia mieszkańcy północy—rudzi i blondyni, o tyle nie mogą usiedzieć na miejscu bruncci południa¹⁾. Koczowników

¹⁾ Z wyjątkiem Ormian, którzy tak samo jak Żydzi przystosowują się do Syberyi za pomcą handlu.

(Kirgizów, Kałmyków i Tatarów) żadna siła nie utrzyma na osiedleniu, a tęsknota do stepów jest w nich silniejsza niż u południowców do gór. Osiedleńcy Polacy, jak świadczy mnóstwo spraw archiwalnych, często byli łapani na robieniu banknotów fałszywych i zawsze tłumaczyli się tem, że chcieli wrócić do stron rodzinnych i ułatwić to samo innym swoim towarzyszom. Szlachta z gubernij zachodnich i Królestwa Polskiego, organizując ucieczki, nie zraza się żadnymi przeszkodami. Skazańcy Polacy uciekają np. za granicę chińską, najniebezpieczniejszą; ale uciekają także do Europy przez tundry północne, przez Szwecję i Norwegię. Większość jednak wpada w fatalne położenie. Na czele tych poszukiwaczy przygód, stoi znakomity bohater ochocki, Bienkowski, zabity w Afryce na wyspie Madagaskarze (patrz tom III).

Odszczepieńcy rosyjscy na miejscu osiedlenia odznaczają się dążnością do propagandy swojej nauki (która miała ogromne powodzenie w przeszłości, a i obecnie jest prowadzona z pewnym skutkiem). Skopcy, mołokanie i duchoborce mieli także słuchaczy i naśladowców, nawet wśród takich zezwierzęconych i zimnych ludzi, jak katorżnicy. Z jednej sprawy archiwalnej wiadomo nam, że niektórzy z katorżników „nie szli do duchownego, mówiąc, że nie holdują dziełom rąk ludzkich i nie chcą składać przysięgi; roboty wymagane spełniać będą sumiennie, przysięgę zaś mają wewnętrzną“. Z innej sprawy dowiadujemy się, że niejaki Jaroszenko obałamucił wielu ofycjalistów i wygnańców za pomocą Biblii—książki dozwolonej skazańcom. Niejaki Kuehtin, wezwany do władzy duchownej, posunął swoje zuchwałstwo do tego stopnia, że przeszedł przez przysionek soboru, nie zdejmując czapki i rękawic. Tak samo się zachował w obecności władzy duchownej przed znakami sprawiedliwości. Na zapytanie duchownego, dlaczego tak postępuje, odrzekł: „To jest pisano rękami człowieka, a więc nie chcę zdjąć przed tem czapki i rękawic“. Oddano go pod sąd wojenny i kazano przepędzić dwukrotnie przez szereg 500 ludzi, wymierzających mu razy.

Niejaki Kudrawcew przyczynił się do tego, iż stanęło przed sądem ośmiu służących. Wszystkich oddano w rekruty. Jednego z nich, Suchodolina, wysłano do Turuchańska i kazano mu osiąść wśród niechrzozonych inoplemieńców, jako niezdatnemu do służby z powodu wieku (41 lat). Jeden z wygnańców, nawróconych na mołokaństwo, Neronów, zerwał w cerkwi obrazy świętych i rzucił na podłogę, a widząc wchodzącego dyakona, zawołał: „Oto wasze bogi—bałwany, które zerwałem; idź, módl się, a jeżeli to są święci—niech powstaną“. Przed sądem udowodnił, że wszystko to mówił przy zdrowych zmysłach. Kara nie skutkowała. Władza nerczyńska zdołała wykryć jeszcze innych tego rodzaju heretyków: jeden z nich nosił rozpolowiony obraz w butach pod piętą. Duchoborców zaczęto wysyłać na Syberyę, skoro tylko ta sekta stała się znaną władzy. R. 1799 nakazano wysyłać do wiecznej katorgi heretyków duchoborców, negujących wyższą władzę na ziemi. R. 1805 wygnańcom tego rodzaju, jak również duchoborcóm w Rosyi, nadano pewne ulgi. Skazańcom tej kategorii na Syberyi dano te same prawa co osiedleńcom na Mlecznych Wodach (pow. Melitopolskiego gub. Taurydzkiej), ale nie pozwolono im wracać z Syberyi do Rosyi. Przed r. 1847 wszystkich sekciarzy wysyłano między innymi do okręgu Minusińskiego. Ale na skutek zawiadomienia senatora Tołstoja, że okrąg ten jest najlepszym w całej Syberyi Wschodniej i że przy tem graniczy z Chinami, postanowiono (na mocy ukazu z dn. 18 kwietnia) wysyłać skopców do kraju Turuchańskiego, a wyznawców wszelkich innych sekt do obwodu Jakuckiego.

Zarliwi starowiercy bardzo często prowadzili życie pustelnicze. Najpierw szukali samotności i zagłębienia się wewnątrz siebie gdziekolwiek w pieczarze leśnej, następnie zdala od miejscowości zaludnionych tworzyli wioski. Przekonań politycznych i religijnych wygnanie nie wypełnia. Ani warunki osiedlenia, ani wszelkie środki przy tem stosowane, nie mogą w umysłach i duszach skazańców zabić tego, co przynieśli z sobą ze stron ojczystych na wygnanie.

Katorga na pewien czas tłumi ogień, ale popiół się gromadzi. Następnie na osiedleniu ogień znowu się rozpala, a zgasić go nikt już nie umie.

W archiwum fabryki wielkiej nerczyńskiej zachowało się opowiadanie o przygodach 20-tu starowierców, kozaków uralskich, wysłanych r. 1809 do Nerczyńska. Uparcie odmawiali oni przyjmowania żywności skarbowej, jak również nie chcieli się brać do robót nakazanych. Niektórzy tym sposobem doprowadzili siebie do nędzy ostatecznej i nie chcąc korzystać z wiktów skarbowego, woleli się uciekać do jałmużny. Przedsięwzięte przeciwko temu surowe środki nie nie wskórały. Gubernator syberyjski kazał za każdy objaw uporu wymierzać po dziesięć uderzeń knutem, ale kozacy pomimo to ciągle powtarzali jedno: „Żądamy imiennego rozkazu i wyjaśnienia Cesarza, dla czego jesteśmy niewinnie skazani. Nam tego wyjaśnienia nie dają, a więc róbcie z naszym ciałem co chcecie, my jednak pracować nie będziemy do końca życia“. Jeden, wyczerpany głodem, „przynosząc z sobą małą ilość chleba“, mawiał: „Jako skazany niewinnie, mam mocne postanowienie raczej życie stracić, niż poddać się robotom przymusowym. Jednego z nich, Jakóba Kraśniatego, za taki upór kilkakrotnie ukarano chłostą, wyrwano nozdrza¹⁾ i napiętnowano znakami. Również ukarano cztery razy innego kozaka, Daniła Lifanowa, pięciu zaś po dwa razy. Ponieważ środki te nie skutkowały, więc postanowiono wydawać im prowiant w ograniczonej ilości, potrzebnej tylko do podtrzymania życia; nadto rozciągnięto surową baczność, ażeby kozacy od nikogo ubocznie nie otrzymywali żywności. I to nie poskutkowało. Na czem jednak wszystko się skończyło, dokumenty w archiwum nie nie mówią.

¹⁾ Wyrwano nozdrza do kości specjalnemi szczypcami. W katordze nerczyńskiej pewnego razu szczypee takie okazały się wazkie i krótkie: oprawca musiał trzykrotnie brać się do operacji, ażeby ją wykonać całkowicie.

Skazanych niewinnie i protestujących głośno przeciwko niesprawiedliwości jest oczywiście niewiele w stosunku do całej masy przestępców. Nie mając danych odpowiednich, nie możemy roztrząsać tej kwestyi. Dane te bowiem są skrzętnie ukrywane jako szczególny i wielki sekret. Cośkolwiek wszakże wiemy. Speranskij znalazł w Tomsku porucznika Kozłińskiego, który podczas kuracji w Permie nagle był pochwycony i wysłany. Innego wysłał krętaacz—kancelarzysta. Niejaką Krystynę Jakowlewą wygnano, biorąc za mieszkankę Rygi, Redoko — Jan. N. Łaba, odbywając rewizję wsi zabajkalskich w początkach wieku niniejszego, znalazł taki stan rzeczy: Sąd ziemski w Irkucku wysłał do katorgi nerczyńskiej ludzi skazanych na osiedlenie. Między innemi była Nastasja Falejewa w r. 1802, szlachcianka, żona porucznika pułku izmailowskiego, która po śmierci męża wstąpiła do klasztoru. Za samowolne udanie się na noc w gościnę, przełożona rozgwiewana wysłała ją do zakładów nerczyńskich. Przed dwudziestu kilku laty popełniono jakąś ciężką zbrodnię. Winnych nie znaleziono. Według jednych pogłossek, przekupili oni sędziego śledczego, według innych, nieznaleziono ich skutkiem niedołożnego poszukiwania. Nakazano jednak bezwzględnie i surowo znaleźć przestępców. Gorliwość, wywołana owym nakazem, zrobiła to, że pochwycono pierwszych lepszych, osądzono, obito i wysłano na Syberyę. Następnie znaleźli się zbrodniarze rzeczywiści, dzięki czemu niewinni odzyskali swobodę. Tym, którzy jeszcze żyli, wydano za każde uderzenie knuta po kilka rubli. Zmarli zaś zeszli z tego świata bez rachunku. Znany lejtenant Borysow, wygnany za rozbicie korwety duńskiej kotwicą, oraz za pederastyę, dzięki protekcyi, otrzymał następnie ulaskawienie. Nie wrócił jednak do kraju, mówiąc: „Prawo przysłało mię do Irkucka, pocóż więc mam wracać do innego miasta“? W Krasnojarsku zabito szynkarza. Akurat wtedy nie nocował w domu jego posługacz. Posądzono go o zbrodnię. Badany przyznał się, że nocował w domu swego stryja. Po sprawdzeniu okazało się, iż

klamie. Obito go batogami i przewieziono przez Jenisej, pomimo zaklinań, że jest niewinny. Uplęło sporo czasu, gdy naraz złapano w Krasnojarsku włóczęgów — podpalczów. Dwu z nich przyznało się do zabójstwa szynkarza. Niewinnemu przywrócono swobodę, wypłacono po pięć rubli za każde uderzenie i dowiedziano się przytem, że on podczas spełnienia zbrodni nocował w domu córki kupca. Nie chcąc zaś jej zniesławiać, skłamał. W Orenburgu był wypadek zupełnie innego charakteru. Mieszkał tam znany i szanowany powszechnie kupiec bogaty, który, skazany na katorgę, posłał tam zastępcę. W Tobolsku zachowało się podanie następujące: Do wrót więziennych za partyą skazańców wjechała karetą; w liście katagorycznym wymieniona była księżniczka, skazana za dzieciobójstwo. Tymczasem z karety wysiadła ohydna, niezgrabna baba. Księżniczka, powiadając, pędziła życie na wygnaniu, ale w Szwajcaryi.

Dość znana jest historia pewnego tak zwanego „Pątnika“. Dn. 28 sierpnia 1835 r. w Twerze policya aresztowała nieznanego człowieka, z pozoru „bohomołca“. Na pytania nic nie odpowiadał i dopiero po długich naleganiach oznajmił, że przed trzema laty otrzymał błogosławieństwo rodziców na życie pielgrzymie i od tego czasu wędruje ciągle jako pątnik. Gdy zażądano świadectwa, odrzekł, że ślubował Bogu przed nikim nie ujawniać swego pochodzenia i nazwiska, że z tego powodu odpowiadać będzie nie przed policją i sądem powiatowym, lecz przed Bogiem. Senat, uznawszy go za włóczęgę, który rozmyślnie zataił swoje nazwisko i pochodzenie, skazał na podstawie art. 242, 243 i 399 t. XV Zb. pr. Kr., na wymierzenie wobec policji 30 plag a następnie na osiedlenie w Syberyi. Wyrok ten wykonano 12 marca 1836 r. Pątnik bez szemrania z rezygnacją poddał się jemu i osiadł w pow. Aczyńskim gubern. Jenisejskiej.

Osiemnaście lat przemieszkał tam zapomniany, spokojnie znosząc karę niezasłużoną, czekając światła zbawienia: Na miejscu osiedlenia nazwał się również „Pątni-

kiem“, nikomu nie ujawnił ani swego imienia, ani nazwiska. Ale ponieważ, według pojęcia sądu gminnego, bez imienia człowiek nie może istnieć, więc za radą sąsiadów, nazwano go Iwanem Zacharowem Spasowem, ku pamięci proroka Jana Chrzciciela i syna Zacharyasza. Pątnik nie protestował przeciwko tej nazwie; pędził życie w modlitwie do świętego, którego imię mu nadano i starał się naśladować jego żywot. Pewno pokusy jednak były nad siły. Siedem lat walczył z sobą, nareszcie moc jego ducha pękła: postanowił ujawnić miejsce swego pobytu przed siostrą rodzoną, W., która po otrzymaniu wieści od niego, podała prośbę do władzy gubernialnej moskiewskiej w lutym r. 1854. Z podania tego okazało się, że ów „Pątnik“ to był podporucznik A. 2-go pułku jegierskiego, w którym był kwaternistrzem, kasyerem i adjutantem. Wziąwszy dymisyę r. 1824, mieszkał przy rodzicach posiadających majątki w pow. Sierpuchowskim i Mceńskim. Był dość wykształcony, znał dobrze języki niemiecki i francuski. Powziąwszy mocne postanowienie pójść na pielgrzymkę, powędrował od klasztoru do klasztoru i do innych miejsc świętych w Rosyi. R. 1832 i 1833 był już na drodze do Jerozolimy. Ale w Kiszyniowie wzbudził podejrzenie i był zaaresztowany. Gubernatorowi Awerinowi mógł jednak pokazać jeszcze dokument, świadczący o dymisyi i zgodził się podać adres rodziców. Odstawiony do Mceńska, dostał się w ręce policyi miejscowej, która go uwolniła, ale nie wiadomo poco uważała za stosowno zatrzymać część jego dowodów. Następnie puścił się na nową wędrowkę już bez żadnych dokumentów. R. 1835 wstąpił do soboru w Twerze. Ztamtąd, jako pielgrzym, otrzymał zaproszenie od kupca Kudlerowa na obiad; ale ponieważ ślubował wytrwałe milczenie i dotrzymał postanowienia także u kupca, więc ten rozgniewany oddał go w ręce policyi. Od tej chwili rozpoczęły się jego przesładowania i katusze. Gubernator moskiewski, na prośbę siostry, zwrócił się do twerskiej władzy gubernialnej, która w listopadzie r. 1855 przez gminę użurską otrzymała zeznanie Iwana Spasowa,

wydobyła dokumenty z mceńskiego sądu ziemskiego, kopię formularza z departamentu inspektorskiego ministerjum wojny, od gubernialnych marszałków szlachty gub. Moskiewskiej i Orłowskiej otrzymali dane o rodzinie szlachty A., od siostry zaś skazanego — za pośrednictwem policmajstra sierpuchowskiego—dokładne szczegóły o bracie. Siedemnastu doświadczonych urzędników sprawdziło charakter pisma listów z r. 1822 tudzież zeznania, napisanego w gminie użurskiej r. 1854. Słowem otrzymano zupełnie zadawalające dane ze wszystkich tych miejscowości. W kwietniu r. 1856 sprawa przeszła do senatu, który w styczniu r. 1859 pozwolił niewinnie skazanemu wrócić z Syberyi. Według zdania prawodawczyni Katarzyny, lepiej dziesięciu winnym przebaczyć, niż jednego niewinnego ukarać. Dziś wobec sądów publicznych, otwartych, nie mogą się zdarzać takie fatalne omyłki¹⁾.

Na Syberyi wygnańcy uciokali się do następujących operacyj: skazani na osiedleniu zamieniali imiona z katorżnikami za skromne wynagrodzenie. Katorżnik rzeczywisty zostawał na osiedleniu, osiedlenie prawdziwy, po przybyciu na obce miejsce, zdradzał się. Osiedleńcy także między sobą zamieniali imiona i nazwiska, gdy jeden z nich musiał iść tam, gdzie nie chciał, a drugi—włóczęga, siedł z równą obojętnością wszędzie. Otóż postawiono każdego wygnańca, wynajmującego swoje imię katorżnikowi, oddawać do ciężkich robót na lat pięć; katorżnikowi zaś, po wymierzeniu stu plag na miejscu, dodawać jeszcze pięć lat ponad termin kary poprzedniej. Osiedleńców, którzy między sobą zamieniają imiona, postanowiono oddawać na dwa lata do ciężkich robót fabrycznych. Zdarzało się, że i bez zamiany imion skazane trafiali tam, gdzie pragnęli. Dawniej do kancelaryi tobołskiej (zwłaszcza w pierwszych latach jej istnienia) werbowano piśmien-

¹⁾ Zdarzało się jednak, że kancelarya tobołska w partyach skazanych na osiedlenie znajdowała upośledzonych na umyśle i idjotów.

nych katorżników i za cały miesiąc pilnego pisania dawano im dziesięć lub dwadzieścia kopiejek. Za taką sumę pisarz ten chętnie zapisywał swych współbraci do tych miejscowości, o które oni prosili. Jakiś np. kupiec tiumeński, skazany na katorgę, mógł tym sposobem dostać się do gorzelni nspińskiej w okręgu Tiumeńskim.

Czy umiano rozmieszczać wygnanych osiedleńców tak, iżby mieszkańiec lasów nie dostał się na stepy i odwrotnie? Czy kancelarya zbadała Syberję tak dalece, ażeby mogła właściwie posyłać ludzi, posiadających to lub inne rzemiosło do miejscowości, w których daje się odczuwać brak rzemieślników? Kolonizacya przymusowa powinna przecież mieć na celu dobro Syberyi. Wysłano tam mnóstwo fachowców, a nawet pewnego rodzaju artystów w swoim zawodzie. Kancelarya wie dobrze z monet, banknotów i pieczęci fałszowanych, jacy są zdolni grawerzy między skazanymi, którzy się dostają do tych stron, gdzie i bez nich sztuka ta stoi na pierwszym stopniu rozwoju. Widzieliśmy w wykazach kancelaryi spis bardzo wielu rzemieślników, osadzonych w gub. Tobolskiej, która pod względem rzemiosł znajduje się przecież w lepszych warunkach niż Tomska. Pierwsza bardziej jest zbliżona do Rosyi Europejskiej, posiada także przemysł napływowy ze stron lesistych (np. z gub. Kostromskiej, Jarosławskiej, Wiackiej i nawet Twerskiej). Jeżeli skazaniec boi się ujawniać swój fach i uzdolnienie, z osobistej rachuby, jeżeli kancelarya nie jest o tyle doświadczoną, ażeby mogła wykrywać tego rodzaju tajemnice, to któż jest winien, że się wytworzyła taka gmatwanina, niejasność, niedokładność w wykazach, dotyczących skazańców? Syberya odczuwa wielki brak doświadczonych robotników i np. w cicielstwie posługuje się żołnierzami, przychodzącymi z Rosyi dalekiej (gub. Kostromskiej). Rzemieślników wcale niema, włóścianie zaś, nie umiejąc sami robić niezbędnych w gospodarstwie przedmiotów, kupują je. Kungur dostarcza butów, jarmarki: niższonowogrodzki i irbicki— ubranie gotowe. Odzież modna przychodzi z Moskwy, futra sybe-

ryjskie, wykończono w Moskwie, wracają znowu na Syberję. Nawet przedmioty żelazne, miedziane i szklane, — przeważnie produkty syberyjskie — przychodzą z fabryk niższonowogrodzkich i uralskich. Syberja bogata w sadzę holenderską, terpentynę, kwas siarczany i solny, w kopalne materiały chemiczne i leśne, czerpie to wszystko z Rosyi. Skazańcy rzemieślnicy i wogóle uzdolnieni fachowcy wysłani na Syberję, pod względem swych specjalności zupełnie są straceni dla kraju, i to dla tego tylko, że ich klasyfikują i wysyłają pojedynczo, zamiast grupami, dobranymi odpowiednio do fachu i uzdolnienia. Stworzono tylko jakiś wrzekomy cech służących, znany na papierze. Tymczasem sybiracy widzą marynarza odeskiego w Kurhanie, zamiast na Bajkale; kucharza w Berezowie, zamiast w Tomsku, Krasnojarsku, Jenisejsku i Barnaule, miejscowości od dawien dawna słynnych z uczt lukullusowych. Stepowiec chersoński marnieje w drzemiącej tajdze turyńskiej. Wyborny gospodarz wiacki, który przez całe życie walczył z lasem o pole i łąki, siedzi w stepach Barabińskich. Lokaj przez długi czas pozostaje bez zajęcia w Pełymie, zanim wreszcie zdobędzie tajemnicę handlu, oszukiwania Ostjaków, Wogulów i Samojedów. Ci sami skazańcy, których kancelarya zaliczyła do cechu sług, włoczyli się po całych miesiącach od gospodarza do gospodarza; przytem sztucznie stworzeni służący stają się ludźmi najniezdutniejszymi i najnieszczęśliwymi.

Skutkiem takiej gmatwaniny wzrasta stopniowo ta olbrzymia masa ludności włóczegoskiej i koczowniczej, wędrującej nieustannie po całej Syberyi i spadającej na jej różne dzielnice jak szarańcza. Dzieje się to na olbrzymich obszarach kraju żyznego, urodzajnego, gdzie zbiegowie zęcnie ukryci pilują drzewo w miastach i wsiach, zajmują się robotami „podziennymi“, koszą stopy obfite, pomagają włóścianom syberyjskim w sprzęcie zboża i siana. Za jedno tylko ukrywanie, za herbatę cegiełkową, za resztki ze stołu i ubranie znoszone, pracuje nie tylko osiedleńiec, lecz i katorżnik. Tymczasem kraj ten jest nieszczęśliwy z po-

wodu osiedleńców. Oni także są nieszczęśliwi; ale najnieszczęśliwsi z nich—to niewielka kategoria, pogardzana przez wszystkich sybiraków, a nawet i samych osiedleńców. Są to oprawcy: przestępcy, dla których sąd i losy wyznaczyły osiedlenie, ale którzy, bądź zachęceni, bądź z własnej woli wybrali ten ohydny fach, licząc na lepszą dolę. To ich zwolniło od plag i wogóle od kary cielesnej. Osobna szkoła nauczyła ich władać narzędziem kary, czasem po mistrzowsku. Według prawa, jeżeli ktokolwiek z osiedleńców nie chce zostać oprawcą, to władza gubernialna sama wybiera do tej czynności bądź skazanców z rot aresztanckich—za ich zgodą, bądź też posługuje się najemnikami wolnymi. Ten ostatni sposób bywa praktykowany niesłychanie rzadko. W prawodawstwie można go uważać jako szczątki przepisów dawnych, wciągnięte do nowych tylko na wszelki wypadek. Niegdyś prawo nakazywało w Moskwie wybierać oprawców z ludzi wolnych za poręczeniem; pensyę zaś obiecywano wypłacać z kasy skarbowej. W miastach kazano powoływać ludzi do tej czynności z przedmieścia i powiatów, od sochy. Oprawcy musieli przysięgać; ludzie od sochy odmawiali wyborów, do których wszakże zmuszano ich grzywnami. Ochotników było bardzo mało. Car Teodor (r. 1680) zachęcał pensyą 4 r. Ale już w następnym roku bojarowie musieli wydać rozkaz do wojewodów, ażeby ci na katów werbowali ludzi z przedmieść nie przymusowo, lecz tylko takich, którzy z własnej woli podejmą się tego zadania. Skarżono się jednak, że niema chętnych, a wybrani przymusowo,—uciekają. W wieku ubiegłym skargi te ustały. Ukazy senatu wymagały na każdą kancelaryę gubernialną po dwu oprawców. W r. 1738 nawet już pensyi im nie wyznaczano, następnie płacono żołnierską (na odzież i chleb 9 r. 95 kop. rocznie). Było wtedy wielkie zapotrzebowanie tych ludzi. W pierwszej połowie wieku ubiegłego oprawcy mieli znaczne zarobki i otrzymywali wielkie zamówienia, bo, jak głosi podanie, szeroko rozpowszechnione, bito knutem nawet wodę, jeżeli ona, poruszona przez wiatr, wywo-

ływała niepokój. Według świadectwa znakomitego admirała Mordwinowa, kiedy to „na 20 uderzeń knuta trzeba było poświęcić całą godzinę, a przy wielkiej ilości uderzeń kara trwała od wschodu do zachodu słońca” — płacono po dziesięć tysięcy rubli, ażeby nie oszpecać ludzi i oszczędzić im męczarni“. Na oprawcę zwykle szedł jakiś złodziej, przestępca. Stanowisko to okrywało człowieka hańbą wobec ludu, lecz usprawiedliwiało wobec władzy.

Oprawca, zamieszkały zwykle w więzieniu na odwachu, zupełnie osobno, cieszy się wielkiem poważaniem aresztantów. Przy spotkaniu z nim odkrywają oni swoje głowy golone. Nazwiska tych ludzi, jako imiona historyczne, przechodzą do potomstwa. Na cześć kata moskiewskiego, Barchatowa, wszyscy jego następcy, rekrutujący się z „niepomnych“, przybierają to nazwisko. (Na Syberyi większa część oprawców — Barchatowowie. Niegdyś wszyscy byli tego nazwiska). Między sobą aresztanci pozwalają tych majstrów nazywać imionami zdrobniałemi (Kirjuszka — znany oprawca petersburski, — ztąd Kirjuszkowa kobyła — miejsce kary; Izoska — syberyjski, Kryworotyj i t. d.); ale w oczy okazują im szacunek i tym sposobem wbijają ich w wielką dumę. Dla oprawców artel aresztantów składa ofiarę w różnych postaciach: bułki, herbatę, cukier i t. d. Nadto, w dobrze zorganizowanych więzieniach oprawca od gminy aresztanckiej otrzymuje po pół rubla miesięcznie za każdego karanego. Część tych pieniędzy, które lud daje na odzież dla skazańców, idzie także na rzecz oprawcy pod nazwą „rogózki“ lub „półrogózki“ i t. d. Kat o twardem sercu (doświadczenie wygnańców mówi, że takimi bywają zazwyczaj skazani żołnierze i „popowicze“), oprócz datków określonych zwyczajem, wymaga jeszcze więcej.

Wogóle oprawcy otrzymywali pieniądze lekko. Dość było przejść się po rynku w drodze na miejsce kary, ażeby każdy włościanin dał mu grosz lub pięć kopiejek jako zaliczkę. Sam on woła przed wozami: „Dla kata należy się zapłata!“

Jeżeli spadała kara na więźnia poważanego, ulubieńca artelu, natenczas on sam lub „starosta“ obchodził więzienie z „puszką imieninową“ (pierwszem lepszem naczyniem), i zbierał składki. Wogóle dzięki tym datkom, kaci prowadzili życie wygodne. Wybornie odżywiani, syci, tłuści, o policzkach pełnych, dobrze się wysypiają i wypoczywają, a chociaż zawsze są pod strażą, cieszą się jednak zdrowiem. Jedyna choroba, na którą się uskarżają, to nadmiar krwi i kongestya. Jedyne cierpienia moralne, to tęsknota i nudy. Wielu uskarża się, że im nie dają roboty. Oszczędni umieją nawet zebrać sporo pieniędzy. Po skończeniu terminu służby mogliby oni rozpocząć życie bez troski, gdyby nie to, że jako rozdawcy cierpień, sami później cierpią.

Osadzeni w gminach na prawach włościan państwowych, należą do najniezwyklejszych ludzi nie tylko w gub. Tobolskiej, gdzie ich umieszczano gromadnie, lecz wogóle wszędzie. Nie wolno im przekraczać granic gminy. Włościanie—sąsiedzi uważają za ujmę dzielić się z nimi kawałkiem chleba, sadzać przy stole; kobiety nie chcą dawać im zapasów gospodarskich, uważają to bowiem za profanację darów bożych. Mały przy każdej sposobności na ulicy natrzęsają się z nich. Byli oprawcy ani kupić ani sprzedać nie nie mogą, słowem — życie ich na wolności gorsze niż w ciężkich robotach. Niektórzy rozmyślnie uciekali i w drodze popełniali przestępstwa, dla tego jedynie, ażeby się dostać do katorgi. Tam tylko unikali hanby ostatecznej¹⁾. Niewielu wytrzymało w takich warunkach. Żaden zaś z oprawców nie mógł się ożenić z sybiraczką. W końcu szóstego dziesięciolecia wieku niniejszego członkowie ekspedycyi, stworzonej i wysłanej do ziemi turuchańskiej przez syberyjski oddział Towarzystwa geograficznego, znaleźli tam osiedleńców ztungusiałych. Ojcowie

¹⁾ Oprawca tobolski zabił własną żonę i stał się katorżnikiem. W zakładach nercyżńskich, w mieszkaniu kata, pełniącego służbę znaleziono trzy trupy.

tych mieszkańców—Rosyanie, matki—Tunguski. Większą część potomków nosi imię Barchatowów. Wszyscy są dziećmi oprawców. Bywają zresztą na Syberyi innego rodzaju zjawiska. Wskazują tam mnóstwo wysłanych, którzy się stali ludźmi bogatymi¹⁾. Wymownym przykładem jest Piotr Kandyńskij, włościanin skazany do robót w kopalniach nerczyńskich, który się ożenił i na wyżywieniu rozpoczął handelek wędrowny. Osiadł nad Szyłką w kącie strasznie zapadłym w pobliżu wielkich gór Borszczowskich. Rodzina jego wielce się rozmnożyła: w ciągu 50-ciu lat liczba dzieci i wnuków dosięgła cyfry 60. Powstała cała kolonia Bajankina z cerkwią murowaną, wsporniale ozdobioną. Piotr Kandyńskij, rozwinąwszy następnie handel zbożowy, zaczął się wzbogacać. W tym nędznym kraju, gdzie mieszkańcy trudnili się tylko myśliwstwem i nie uprawiali pola, zboże miało stałą cenę. Wymiana tego produktu na skóry zwierzęce dała możność Kandyńskiemu rozwinąć handel futrzany i zawiązać stosunki z Nerczyńskiem w stopniu drugiej gildyi, a następnie dotrzeć do Kjachty w stopniu pierwszej. Przedsiębiorstwo solne (pośrednictwo rządowe) dopomogło mu jeszcze bardziej do zwiększenia majątku. W rolnictwie posługiwał się plugami, dobrą siłą roboczą konną i ludzką. Dzięki temu, urodzaje były bardzo pomysne i pewne, gdy jednocześnie innych spotykało niepowodzenie. Kandyńscy bardzo dobrze rozwinęli uprawę jęczmienia himalajskiego, mieli bezpośredni wpływ na ceny zboża w całym okręgu fabrycznym, a należąc do stanu włościańskiego, wywiązywali się rzetelnie z ciężarów podatkowych, zarówno jako włościanie i kupcy. Posypani siwizną w długich kapotach z medalami, witali gubernatorów na ogromnych łodziach, ubranych dywanami. Podejmowali w domach, podobnych do dawnych siedzib pańskich: przylepionych do zbocza gór, z balkonem i tarasem na słupach, nad wodą rzeki Szyłki.

¹⁾ Osiedleńcom nie wolno poszukiwać złota. Prowadzą oni takie przedsięwzięcia na cudze imię.

Przed 50 ciu laty nie było gospodarza, któryby nie siedział w kieszeniach Kandyńskich; nie było towaru, któryby nie pochodził z ich składów. Gdy włóścian fabrycznych zamieniono na kozaków, i aby ułatwić nową fazę bytu, zwolniono ich z dawnych długów, dom Kandyńskich doznał silnego wstrząśnienia i szybko upadł. Nie zbankrotowali oni jednak całkowicie. Prawnuki Piotra prowadzą w dalszym ciągu handel nie tylko za Bajkałem i nad Amurem, ale w Rosyi (w Moskie), mają dobre imię i cieszą się zaufaniem powszechnem. Dwaj synowie Piotra dostali pięć milionów kapitału obrotowego. Dzieje jego zdobycia czeka na osobnego historyka i zczasem rzuci dużo światła charakterystycznego na stan całego Zabajkala. W pierwszej połowie XIX wieku Kandyńscy byli mocarzami rozległego kraju.

Przykład powyższy nie jest jedynym. Prawie w każdej kopalni i przy każdej fabryce można spotkać katorżników—handlarzy ze sporym kapitałem. Dzieci ich korzystają już z wszelkich praw stanu wolnego. Nie powracają do Rosyi, więc są stałym fundamentem kupiectwa miejscowego ze świetną przyszłością. Stanowi ono poważny czynnik w postępie i rozwoju ekonomicznym Syberyi. Ludziom tym grzechy ojców i dziadów dawno już są przebaczone i zapomniane. Jako pożyteczni działacze, idący swobodnie drogą prostą, mieszają się z masą, a w drugim pokoleniu już są ogniwami tego łańcucha, który tworzy rdzenną ludność, oddawna tam zamieszkałą.

Podróżnik europejski, Simpson, odwiedził w okolicach Kańska wygnańca, którego syn, przybyły z Petersburga, stał się właścicielem bogatego mienia i rozległego gospodarstwa, obsługiwanego 140 robotnikami. Ermann znał innego z gub. Nowogrodzkiej, którego dom i gospodarstwo z 11-tu robotnikami i robotnicami można było nazwać wzorem, godnym uwagi: bydło rogate i konie miały schronienie w krytych budynkach i żywione były sianem, pochodzącem z nizinnych obfitych w trawę wysp Leny, oddległych o 20 wiorst od tego majątku. Pola jego wydawa-

ły świetno plony żyta, jęczmienia, kapusty i rzepy. W dobrym stanie była także hodowla ptactwa domowego. Skazaniec uchodził za bogatego ziemianina.

Przestępcy polityczni nieraz bywali dobroczyńcami tych miejscowości, do których rzuciły ich losy. Wygnańcy francuscy za Ludwika XIV założyli w Anglii fabryki wyrobów jedwabnych; inni nauczyli Saksończyków wyrabiać sukno i czapki, które przedtem były zmonopolizowane przez Francję. Jeszcze inni na przykładu Dobrej Nadziei zaprowadzili winnice. W Rosyi, księżę W. Golicyń, ulubieniec córki cesarskiej, Zofii Aleksandrówny, wysłany do Pinegi, wprowadził tam hodowlę koni, słynnych dotychczas. Mienszykowowie urządzili w Berezowie pierwszy na Syberyi zakład dobroczynny. Baron Mangden, wygnany r. 1742 z 4-ma członkami swojej rodziny, w dzikim Nowokołymsku zaprowadził krowy i konie, zaopatrywał Czukczów w różne towary, zakupywane w Jakucku. W tym samym czasie wygnany Iwaszkin uczył dzieci na Kamczatce.

Syberya, dzięki wygnaniu przestępców państwowych, politycznych i innych ludzi ukształconych, zyskała w ten sposób, że dziś tam wszystkie warstwy ludności bardziej są rozwinięte i uzdolnione, niż w innych dzielnicach państwa. Wygnańcy polityczni korzystali z wszelkich możliwych ulg; rdzenna ludność nie witała ich z nieufnością; wysłani na zamieszkanie mieli możność praktycznego zastosowania swej wiedzy i zdolności. Wolno im było osiadać gromadnie, a z kolonij takich rozplęwało się światło na okolicę. Początek tej działalności datuje się jeszcze od Piotra Wielkiego. Baron Stralenberg oficer szwedzki, wzięty przez Piotra do niewoli w bitwie pod Poltawą, wraz z towarzyszami swoimi, wniósł do Syberyi rzemiosła z Europy. Ludzie ci założyli tam pierwsze szkoły. Fryd. von Wreck (z sekty pietystów), adjutant Michaelis Schlegel pastor Habermann r. 1715 założyli w Tobolsku szkołę dla współwyznawców, a potem i dla dzieci Rosyan (r. 1719 uczyło się tam 96 malców). Zwróciło to nawet uwagę Europy, a znakomity profesor Franke zebrał zagranicą na

korzyść tej szkoły 5000 rb. Gdy wziętych do niewoli zwrócono ich ojczyźnie — szkoła upadła. Ale istniała wtedy już inna, założona wcześniej (r. 1707) przez metropolitę Leszczyńskiego, którą następnie zamieniono na seminarium. Wychodzą ztamtąd dotychczas nie tylko duchowni, lecz i urzędnicy.

Wielkie usługi oddali Syberyi działacze późniejsi, a owoce ich pracy dotychczas jeszcze dają wyniki dobroczynne. Syberya zna i błogosławi imiona swych nauczycieli, którzy pod względem oświaty podnieśli ją znacznie w końcu pierwszej połowy wieku niniejszego. Jeszcze są świeże i wyraźne ślady tych ludzi.

Na zakończenie, dorzucić musimy kilka uwag ogólnych.

Byt osiedleńców syberyjskich nie jest dostatecznie zabezpieczony. Niewłaściwie i nietrwale osadzani, porzucają swoje siedziby i wędrują. Podczas włóczęgostwa pod wpływem potrzeb i innych wypadków popełniają przestępstwa i dostają się do ciężkich robót. Jednocześnie katorżnicy, kryjąc się pod oryginalną nazwą „niepomnych“, zostają osiedleńcami.

Tak więc wykrety dają możność uczciwego i pożytecznego życia. Istotne, prawdziwe siły wygnanych nie są wyzyskane należycie, znaczenie zaś środków karnych nie jest określone w tym stopniu, ażeby kara nie stała na przeszkodzie innym celom wygnania, korzystnym dla kraju mało rozwiniętego, mianowicie — kolonizacji. Kapitał ekonomiczny tak jest wielki, że mógłby wyleczyć mnóstwo ran; dziś jednak stanowiąc tylko znaczną oszczędność skarbów, nie wystarczyłyby na gruntowną reformę systemu więziennego i deportacyjnego. Sposób dozoru jest niewłaściwy. Przy stałej apatii działalność w tej mierze zaznacza się tylko wybuchami surowości, więc oczywiście musi być bezowocna w znaczeniu dodatniem. Pod ochroną obojętności porastają niezem nietamowane chwasty. Środki naprawy przedsiębrane są na powierzchni, gdy rdzeń i korzenie gniją. Tymczasem nauka poszła naprzód i nawet

teraz, gdy jeszcze nie przeprodzono należytej i uważnej dyagnozy, nowe lekarstwa wykazały pewien związek ze środkami specjalnymi. Zabiegi o ulepszenie więzień, wywołane przez zmianę sądownictwa, weszły w czyn. Zastosowano się do wzorów europejskich, zmieniono sposób deportacyi więźniów na Syberję. Pozostaje jeszcze kwestya wygnania i sposobów wyzyskania go w życiu.

Warunki gospodarstwa na Syberyi najbardziej sprzyjają krzewieniu osadnictwa. Nic ustępowałoby ono w niczem amerykańskiemu, gdyby uwzględniano wymagania ludności, usunięto biurokracyzm i formalistykę; gdyby wreszcie stłumiono nadmierną podejrzliwość i obawy niebezpieczeństwa tam, gdzie go niema wcale.

Doświadczenie z przeszłości nie jest jednak bezowocne. Przedsięwzięte reformy nie mogły stanąć w połowie drogi. Deportacya etapowa, która wywołała słuszne niezadowolenie i dążność do zmian na lepsze, nie przestaje być przedmiotem bacznej uwagi ministeryum. Co rok spostrzegamy zmiany i ulepszenia, których suma wkłada na nas obowiązek dorzucenia jeszcze słów następujących.

Dziesięć lat, które w epoce reform nie przechodzą jałowo, nie pozostały i tutaj bez śladu. Dążności humanitarne, wywołane przez uświadomienie własnych braków, dały nadzieję lepszej przyszłości.

Sieć kolej żelaznych, przerywnających Rosję w różnych kierunkach, ułatwiły transport skazańców wewnątrz państwa. Przewożeni kolejami południowemi do Odesy, odpływają następnie na statkach floty ochotniczej do Sachalinu.

Od Niższego Nowogrodu do Aczyńska jeszcze w r. 1865 urządzono transport zimą na furmankach, a wiosną i latem statkami na Woldze i Kamie do Permu, koleją żelazną od Permu do Tiumentia, dalej zaś parostatkami na rzekach syberyjskich do Tomska i znowu furmankami do Aczyń-

ska ¹⁾ Gdy próba wykazała drożyznę przewozu furmankami i ogromne wydatki na robienie zapasów odzieży ciepłej,—zaniechano transportu zimowego. Skazańców pozostawiano do lata w tych guberniach, w których zapadły na nich wyroki lub tam, gdzie ich skupiono na głównym trakcie. Do takich punktów należą: Orel, Moskwa, Niższy Nowogród, Kazań, Perm, Tiumeń, Tomsk i t. d. Urządzono tam więzienia centralne sposobem ekonomicznym z budynków gotowych, przeznaczonych uprzednio dla rot aresztanckich. W Tomsku, Tiumeniu i Moskwie wybudowano nowe więzienia, za pomocą sum, powstałych z różnych oszczędności. Zmniejszyły się datki na żywność w drodze, zaprzestano wypłacać tak zwane „progony“ (opłata od koni) między Niższym Nowogrodem a Permem. Zmniejszył się także koszt odzieży ciepłej, utrzymania konwoju, (zamiast 40, tylko 8 ludzi), między Niższym Nowogrodem a Tomskiem. Wreszcie zniesienie budynków etapowych na tej przestrzeni dało również pewne oszczędności. Pokażna suma, 300 tysięcy rubli, zebrana pierwszego roku po wprowadzeniu tych reform, dała możność następnie zaoszczędzenia całego miliona, który pochłonęłyby etapy, gdyby istniały w takiej jak dawniej liczbie i były tak zrujnowane.

Obecnie na właścicieli statków parowych włożono obowiązek przewożenia skazańców. Zbudowano dla nich specjalnie statki z zachowaniem warunków higieny i bezpieczeństwa.

W Tiumeniu aresztanci wsiadają na statki, holowane przez parowce na rzekach: Turze, Tobolu, Irtyszu, Obiu i Tomie. Podróż ta trwa zwykle 20 dni.

Wewnątrz statków aresztanckich urządzono trzy oddziały z tapczanami i dwa piętra w taki sposób, że mogą

¹⁾ Otwarta aż do Irkucka kolej Syberyjska, w niedalekiej zaś przyszłości skończenie innych jej części za Bajkałem, znacznie ułatwi i zwróci do gruntu dotychczasowy system deportacyjny. Pozostanie tylko smutna i zasmieniona karta historyczna. (*Przyp. Tom.*)

tam wygodnie stać i chodzić ludzie nawet wysokiego wzrostu. Dla każdego człowieka wyznaczono $5\frac{1}{2}$ — $2\frac{1}{2}$ arszynów długości i najmniej 1 arsz. szerokości. Światło i powietrze dostaje się przez otwory, które podczas niepogody zakrywane są ramami oszklonemi. Wentylacye urządzone za pomocą rur drewnianych, wychodzących na pokład. Kajuty dla oficera, urzędnika cywilnego i lekarza umieszczono na pokładzie. Tam również są kajuty dla konwoju i chorych, oraz kuchenna. Wewnątrz mieszczą się dwie cele osobne (karcery). Brzegi statku okalają poręcze kratowane, mocne, wzniesione na wysokość kajut górnych.

Nie na tem się kończą ulepszenia zalecone przez ministerjum spraw wewnętrznych. Dawniej wszystkie trakty deportacyjne zbiegały się w Kazaniu, ztamtąd zaś prowadził ogólny szlak syberyjski. Obecnie koleje żelazne skierowały wszystkie drogi deportacyjne do Moskwy i urwały się w Niższym Nowogrodzie, który tym sposobem jest krańcowym punktem wschodnim komunikacji kolejowej. Tam, gdzie przebiegają koleje żelazne, zniesiono wszystkie etapy. Z chwilą gdy upadło dawne znaczenie Kazania, skasowano tam ekspedycyę w sprawie skazańców, a natomiast stworzono na innych zasadach ekspedycyę permską. Kancelaryę tobolską przeniesiono do Tiumenia. Wszystkie te wielkie reformy oraz znaczne zmniejszenie kosztów drogi etapowej składają do archiwum historii część tych urządzeń, na które patrzyliśmy własnymi oczami w Syberyi. Chociaż reforma ta dotarła tylko do Tomsku, a dalej ciągną się etapy aż po za Karę, to w każdym razie połowa drogi jest przebyta. Skazańcy niezłomnie zachowują siły świeże; nie zaraziła ich atmosfera etapowa. W Tomsku może nadal nie będą oni ofiarami dawnych warunków, jeżeli dadzą się przyspieszyć środki naprawy złego i jeżeli ogniska robót ciężkich będą przybliżone za pomocą skrócenia drogi przynajmniej do Altaju (co jest najpożądanwsze), albo jeżeli w skład konwoju nie będą wchodziłi ludzie źli, na których w ostatnich czasach nawet sami aresztanci musieli się skarżyć przed wyższą władzą. Do Aczyńska kon-

ny transport trwa rok okrągły, a jednak piesza droga etapowa istnieje jeszcze w najlepsze.

Niechże nasze opowiadanie o etapach jaknajprędzej przejdzie do dziedziny podań pod postacią materiału historycznego, tak samo jak przeszła opowieść o męczenniku historycznym, Awwakumie. Wobec tego, iż znikła większa część lichych budynków etapowych i ustała wielce povolna deportacya piesza, ziszczenie się tych życzeń i nadziei nie jest dalekie.

DOPEŁNIENIA.

I. Pieśni więzienne.

II. Jezyk więzienny.

I.

Pieśni więziennne.

Sród rozrywek więziennych wybitne miejsce zajmują pieśni. Pomimo że surowo są zakazane wszelkiego rodzaju swawole, przekleństwa, zaklęcia, sprzeczek, polajanki, rozmowy, śmiech a także i *pieśni*, — rozbrzmiewają one w więzieniach i osładzają dolę aresztantów. Pomimo, że dozorcóm polecono oddzielać śpiewających od innych (w karcerach), dawać im najumiarkowańsze porcy strawy, od jednego do sześciu dni trzymać o chlebie i wodzie — piosnki nie ustały. Posiadają one taką formę i taką treść charakterystyczną, że śmiało je można nazwać więziennymi, jako wyłącznie opiewające położenie człowieka w tej niewoli, która się zowie „murowaną turmą.“ Nawet więcej powiemy: pieśni więziennych istnieje takie mnóstwo, że można z nich stworzyć osobny zbiór. Niektóre z nich są znane tylko skazańcom syberyjskim. Większość zaś przyniesiono z Rosyi. Są to owoce twórczości ludowej, przeinacone, bądź zaopatrzone w różne dodatki, bądź wreszcie podzielone na części, z których każda tworzy piosnkę odrębną. Bywa nawet, że motywy jednej przechodzą do innej, skutkiem czego piosnka robi takie wrażenie, jak gdyby nie przybrała formy skończonej, zaokrąglonej, lecz ciągle jeszcze się tworzyła. Niektóre piosnki pamięć

ludzka tak poobeinała i skaziła, że stały się one i treścią i formą ubogie. W Syberyi jednak ocalały piosnki, zapomniane już w Rosyi lub wcielone do innych.

Istnieją dwa rodzaje pieśni więziennych: stare i nowe. Lepsze pochodzą z cyklu zbójceckich. Życie szerokie, wolne, przeplatane walkami, przygodami wszelkiego rodzaju i niepokojem, wywołało osobny rodzaj twórczości ludowej, zupełnie odrębny, jakiego nie można już znaleźć wśród innych plemion. Część pieśni zbójceckich o życiu bohater-skiem i przesładowaniu — jest najpoetyczniejsza i najświeższa. Gdzie ustaje swoboda, a zaczyna się niewola, widzimy już inny rodzaj: pieśni stworzone, wypielegnowane i upiękzone w więzieniu. Tam już się kończą ostatnio westchnienia bohaterów; tam się skupili pieśniarze i autorowie. Od początku istnienia więzień syberyjskich przechodzą z ust do ust legendy o czynach bohaterskich, wybiegają poza ściany i stają się ogólną własnością, jak wszystko na Syberyi: lasy, tajgi, łąki, stopy. Posiew wzrósł i przetrwał dwa wieki. Zresztą i na Syberyi czas zrobił to samo, co w Rosyi. Śród kłosów czysto gruntowych, zaaklimatyzowanych, wyrosły chwasty tak obficie, że grożą niebezpieczeństwem zagłady pierwszym.

Obce wpływy, zwłaszcza długotrwałe, przenikają do wszelkich stosunków bytu wewnętrznego, niszczą i kają ducha ludu. Panowanie Piotra jest okresem granicznym prawdziwych pieśni historycznych ludu, które następnie powstawały tylko wśród kozaków wołżańskich i dońskich. Pieśni późniejsze, o pochodach i wojnach wybitnie się różnią od wszystkich obecnych: pozbawione są wszelkiej wartości poetycznej i zasługują na uwagę tylko jako ciekawe zabytki czasu. Pieśni przypisywane w podaniach towarzysom Stienki Razina, a także jemu, zatem śpiewano przed Piotrem, ożywione są świeżą myślą i blaskiem kolorytu poetycznego. Cech i zalet tych nie posiadają już piosnki, stworzone w początkach wieku ubiegłego przez znanego wśród ludu bohatera pod imieniem Waniki Kaina. W końcu zaś wieku przeszłego wyrosło już mnóstwo tych

motywów, w których znać wyraźne ślady przełomu i przewrotów ludowych. Na tych owocach twórczości narosło sporo kurzu i pleśni miejskiej, fabrycznej, przedpokojowej, szynkowej. Do pamięci ludu dostały się piosnki drukowane, najbardziej rozpowszechniane w początkach wieku bieżącego. Ocalały rdzenne pieśni ludu tylko w kątach zapadłych, gdzie jeszcze obce wpływy nie dotarły, gdzie w trzecim dziesięcioleciu wieku niniejszego wzrósł małorus Karmeluk, autor pieśni, w których tkwi siła twórczości ludowej, chociaż są lekkie ślady obcych naleciałości. Rozumie się, że konsumenci—wyznańcy, gdy ustał dopływ materiału rodzinnego, zaczęli z konieczności spożywać owoce lichejśzej pośpiesznej produkcji fabrycznej.

Ci, którzy zbliżka mieli do czynienia z bohaterami więziennymi, dostrzegli w nich cechy charakterystyczne: pośepni, obraźliwi, zawzięci, jednocześnie posiadają w najwyższym stopniu rozwiniętą próżność, samochwalstwo, są zanadto pewni swojej siły wewnętrznej i rozmiłowani w sobie. Cechy te występują tem- wyraźniej, im więcej bohater popełnił czynów zuchwałych, które doprowadziły go do katorgi. Czyny te starają się oni uwiecznić w pieśniach, a towarzyszym pozwalają dodać tylko to, co sami zapomnieli lub nie dopowiedzieli, i przekazać owe opowiadania masom. To też lud słusznie przypisuje pieśni zbójckie przywódcom rozbójników. Podanie ludowe nie myli się wcale, utrzymując, że Stienka Razin, podczas pobytu w więzieniu i oczekiwania surowej kary, stworzył pieśń, dotychczas jeszcze powszechnie znaną, którą przekazał towarzyszym i prosił, ażeby go „pochowali między trzema drogami: moskiewską, astrachańską i sławną kijowską.“

Wańka Kain, w podaniu ludu dziki rabuś, który, jak sam wyznaje, był złodziejem, zbrojcem i szpiegiem, posiadał jednocześnie dużo ambicyi bohaterskiej. We własnym jego zeznaniu, uczynionem w fortecy rosyjskiej, Rogerwiku (obecnie Port bałtycki), tak silnie się zaznacza samochwalstwo i opisywanie czynów bohaterskich wobec sędziów, pomimo ciężkiego położenia, że Iwana Kaina można śmiało

nazwać pierwowzorem w tej mierze, a podanie ludowe całkiem się nie myli przypisując mu kilkadziesiąt pieśni, między innymi „Wdół po matce, po Woldze“ znaną w całej Rosyi. Dowcipny w słowach, sprytny w czynach, Iwan Kain uwiecznił na piśmie opowiadania o swojej działalności bohaterskiej i rozpowszechnił je wśród ludu. Skazane przez przepisujących, dostały się w ręce „mieszkańca miasta Moskwy, Matwieja Komarowa“, który według własnej fantazy przerobił te opowiadania i rozpowszechnił je w trzech wydaniach (r. 1773, 1784 i 1788). R. 1755 Kain dostał się w ręce komisji śledczej, a wydawca jego pieśni i przygód (Komarow) miał wtedy sposobność widzieć go i słyszeć osobście. „Kain, dzięki względności sekretarza, siedział osobno, nie tak jak inni zbrodniarze i mając na nogach kajdany, przechadzał się po podwórzu, zaglądał do przedpokoju urzędu śledczego, rozmawiał tam swobodnie z pisarzami i czasami ze szlachtą. Między innymi opowiedział swoje czyny szlachcicowi Lewszinowi.“ Będąc łapaczem, uprawiał jednocześnie złodziejstwo i posunął się do tego stopnia, że nawet ukradł cudzą żonę. Sąd skazał go na chłostę, napiętnowanie znakami, wyrwanie nozdrzy, ciężkie roboty w Rogerwiku i następnie w Syberyi.

Na gruncie syberyjskim również z opryszków zuchwałych wyrastali autorowie pieśni więziennych. Niezbyt dawno, zbój Gorkin, postrach całego Zabajkala, niemniej słynął jako wyborny pieśniarz i opowiadacz humorystyczny. Po odbyciu robót ciężkich, na osiedleniu polubił namiętne konie. Woził pełnomocników dzierzawców, zabawiając ich przez drogę piosnkami i nadzwyczaj szybką jazdą. (Piszacemu te słowa opowiedział on chętnie swoje przygody). Następnie wałęsając się po Zabajkalu jako ubogi, tańczył i przyspiewywał na ucieknę działwy wiejskiej. Zbój Gusiew uciekł z Syberyi do Rosyi i zrabował sobór w Saratowie; tam w więzieniu miejscowem ułożył piosnkę, która powędrowała na Syberję. Zbrodniarz ten, który kilkakrotnie uciekał z za Urala przed rabunkiem saratowskim, potem już więcej tam nie powędrował. Zgubiła go ta

charakterystyczna u niezwykłych zbrodniarzy buńczuczność. Gdy oprawca na rynku saratowskim już zamierzał przywiązać go do „kobyły” rzemieniem, Gusiew zwracając się do zgromadzonego ludu, zawołał na cały głos: „Ach, kobyłko, kobyłko!—wywoziłaś ty mnie nieraz, wywieź-że i teraz!”—„Nie, bratku!”—rzekł na to oprawca;—teraz ciebie już nie wywiezie!” I dotrzymał słowa: Gusiew wyzionął ducha na szafocie.

Znany zbój małoruski, Karmeluk, był także poetą i autorem pieśni nie zbójceckich, lecz elegijnych, ułożonych w mowie rodzinnej. Był on kredencierzem u obywatela ziemskiego, miał pod swoją opieką naczynia i srebra. Skradziono je i podejrzenie padło na Karmeluka. Bił go pan prawie codziennie. Karmeluk nie mógł wytrzymać, uciekł. W końcu, gdy go nie przestawano prześladować, postanowił się zemścić: podpalił dom pański, zebrał bandę i zaczął rozbijać. Pojmano go i skazano na Syberję. Ztamtąd jednak uciekł przez Ural; jak głosi podanie, przepłynął przez rzekę na drzwiach od chaty kozaczej. W stonach rodzinnych zaczął znowu rozbijać, ujmować się za chłopami i prześladować panów na każdym kroku, za krzywdy, wyrządzone włościanom. Stał się głośnym na całym Wołyniu, sława o nim rozbiegła się szeroko, a opowiadania o jego czynach stanowią całą epopeję. Jest to jeden z bohaterów ludowych (być może ostatnich), który, ożywiony energią i szlachetnym zapalem, walczył z przemocą pańską za wolność kozaczy. O popularności jego świadczy mnóstwo pieśni, śpiewanych na całym południu. Podanie utrzymuje, że on nie zamordował nikogo, lecz był rycerzem lepszego pokroju. Pojmano go dwa razy. Za pierwszym udało mu się umknąć w sposób następujący: podczas gdy go prowadzono pod konwojem żołnierzy do więzienia, zatrzymał się jakiś pan, jadący w karetce i zapytał, kogo prowadzą; a gdy się dowiedział, że to jest Karmeluk, zaczął go łącać i upominać. Więzień pomimo to zbliżył się do podróznego po jałmużnę. Nagle porwano go do karety, drzwiczki się zatrzasnęły, zacięto konie i powieszono, ku

zdumieniu osłupiałego konwoju. W karecie tej byli towarzysze uwięzionego, którzy taką pułapkę urządzili, ażeby go uwolnić. Drugim razem uciekł z więzienia wraz z towarzyszami podczas ciemnej, burzliwej nocy jesiennej. Stało się to w sposób następujący: Więzienie było ogrodzone częstokołem. Karmeluk wyłamał kraty żelazne w oknie, z koszul aresztanckich zrobił długi powróż, na końcu przywiązał kamień i zarzucił go pomiędzy ostre wierzchołki ogrodzenia. Po takim spadzistym moście wiszącym spuścili się więźniowie i umknęli do lasu. Karmeluk znalazł śmierć w chacie swej kochanki, przekupionej przez pana. Podanie mówi, iż jako „charakternika“, zamordowano go wystrzałem ze strzelby, nabitej guzikiem. Gdy przechodził przez sień, w ciemności wychyliły się głowy przesładowców. Przechuwając coś niedobrego, Karmeluk zapytał kochanki, co to jest. Otrzymałszy odpowiedź, że to owce, uspokoił się. W tej chwili ugodzony w czoło, padł na miejscu. Przy tem podanie zaznacza, że organizator zasadzki, panicz, wraz z towarzyszami za morderstwo dostał się na Syberję, ponieważ do takiego wymierzania sprawiedliwości nikt ich nie upoważniał, a Karmeluk nie był właściwie złoczyńcą tej kategorii, która wymaga ukarania śmiercią.

Na Wołyniu wypadek ten przekazała potomności pieśń następująca:

Oj, ty Karmeluk po świtu chodysz,
 Ne jidnu diwczynu s uma swodysz,
 Ne jidnu diwczynu, ne jidnu wdowu
 Biłolicu, rumiann, szcze-j czornobrownu.
 Oj ty diwczyna, ty czorniawaja,
 Oj deś ty meni priwadu dała?
 Bodaj ty tak znaw z sinej do chaty,
 Jak ja znaju czim czarowaty.
 Oj, u mere czary, očeńki kary
 A u mene otruta w ohorodi ruta!
 Piszow Karmeluk do kumy w hosti,
 Pokinuw płatje w ńlisu pri mosti.
 — Oj kumelu, kumciu, poswoimosia,
 — Daj horiżoczki da napimosia.

Oj radu, radu, chodim do sadu
 Narwemo hruszok powen chwartaszok,
 Siademo sobi pod jabłonoju,
 Budemo pyty med z horiikoju,
 Budemo pyty, budem spiwaty,
 Pride czorniawa—pidem hulaty!“
 — Skażiż, diwczyno, jak tebe zwaty,
 Szczob ja potrapyw do twojej chaty?
 „A mene zwaty Mahdalinoju,
 A moja chata nad dołynoju,
 A moja chata snopkami szyta.
 Prijdy, Karmeluk, choť budu byta.
 Choť budu byta, znaju za koho:
 Pristało serdeńko moje do twoho!“
 Oj, sam ja dawsia z swita zhubyty,
 Szczob ja ji skazaw kuli światyty.
 Samaż ty dała do dwora znaty,
 Szczob mene ubili u twojej chaty!

A oto pieśń Karmoluka:

Zowut' mene rozbojnikom,
 Każut': ubywaju.
 Ja nykoho ne ubiw.
 Bo sam duszu maju.
 Woźmu hroszy z bohatoho—
 Ubohomu daju;
 A tak hroszy podiliwszy,—
 Sam hrecha ne maju.
 Komisary, isprawnyki
 Za mnoju honiajut';
 Bolsze wony ludej hnbiať,
 Czym ja hroszej maju.
 Maju žinku, maju ditok,
 Da i tych ne baczu:
 Jak wzhadaju pro ich uczast',
 To hirko zaplaczu.
 A tak treba sterechczisia,
 Treba w lisu żyty,
 Choť zdajetsia—swit wełykij,—
 Nihde sia podity....

Urywki te, pozostałe w więzieniach syberyjskich, należą do następującej pieśni, zachowanej w całości na Wołyniu, a zapisanej tam przez N. Kostomarowa:

Powernuwsia ja z Sibiru,
 Nema meni doli;
 Ja zdajetsia ne w kajdanach,
 Jednakże w newoli.
 Slidiat' mene w deń i w noczi,
 Na wsiaku hodynu;
 Nehdi mene poditysia,—
 Ja od żurby hynu.
 Maju żinku, maju dity,
 Chot' ja ich ne baczu,
 Jak zhadaju pro ich muku,
 To hirko zaplaczu.
 Zibraw sobi żwanych chłopciew,
 I szczoż meni z toho?
 Zasiđaju pri dorozłi,
 Żdu podorożnoho.
 Czi chto idé, czi chto ide—
 Czasto durno źdaty;
 A tak treba w lisu żyty,
 Bo ne maju chaty.
 Czasom woźmu z bohatoho,—
 Ubohomu daju,
 A tak broszy podiliwszy,
 Ja hricha ne maju.
 Zowut' mene rozbojnikom,
 Każut'—rozbywaju.
 Jaż nykoho ne zabiw,
 Bo sam duszu maju.
 Asesory, isprawnyki—
 Wsi mene honiajut'—
 Bolsz wony ludej zabili,
 Niż ja hroszej maju.
 Piszow-by ja w misto:
 Wsiudu meni znajut'—
 A by-b tilko pokazawsia,
 To zaraz pojmajut'.
 A tak treba sterehtysia,
 Treba w lisu żyty,
 Chot' zdajetsia swit wełykij—
 Nehđisia podity. ¹⁾

¹⁾ W oryginale, zapewne skutkiem błędów zecerskich, znaleźliśmy zmienione brzmienie kilkudziesięciu wyrazów. Poprawiliśmy je według właściwej wymowy ludu. Opowiadanie o Karmeluku rozproszone w paru miejscach, skupiliśmy w jedno.

Zdarzyło się nam osobiście spodkać w karyjskich kopalniach złota katorznika Mokiejewa, skazanego za rabunek. Posiadał on niewątpliwie naturę poetyczną, która się ujawniała zarówno w życiu na wolności, jak i w katordze, a nawet miewał porywy twórczości. Zamówiono u niego pieśń na cześć wyprawy eskadry w celu zdobycia Amuru. Muza Mokiejewa, podniecona obrazami Szyłki, przy akompaniamencie teorbanu, bębna i talerzy, podyktowała mu pieśń, która jednakże nie utrzymała się wśród kozaków. Stworzyli oni własną, zupełnie odmienną pod względem ducha. Ale nie ulega wątpliwości, że Mokiejew za pomocą swych piosnek zdołał zjednać katorzników, opiewając ich życie, otoczenie i nastrój. Aresztanci nie są wybredni i ze szkoda prawdziwych pieśni ludowych przyjęli te, które wymagają akompaniamentu teorbanu i trzasku talerzy. Tam smak dawno już skazonny, a wrażliwość poetyczna zabita.

Śród wielu zachowały się jeszcze pieśni przekazane przez zbójów nadwołżańskich i innych, którzy niegdyś przepełniali więzienia syberyjskie. Twórczość samodzielna w więzieniach nie rozwinęła się, między innymi z powodu prześladowania władzy nadzorczej. Piosnka w więzieniu—to owoc zakazany. Następnie działają tu także ogólne przyczyny historyczne, które zabiły twórczość ludową od czasów Piotra Wielkiego. Zrazu pieśni te wyparły żołnierskie, w których jaskrawo zaznaczyła się osobna twórczość. Z szczególną skwapliwością w więzieniach syberyjskich przyjęto kilka piosnek rekruckich. Następnie wojska rozniosły i rozpowszechniły piosnki sztucznie stworzone, dalej przyjęły się fabryczne, pokrewne z koszarowymi; wreszcie dotarły do ludu zbiory piosnek drukowanych—tandeta niegramatyczna.

Do więzienia dostają się także utwory prawdziwych poetów, jak np. Lermontowa i Puszkina, naturalnie z pewnymi zmianami.

Jest jedna kategoria pieśni więziennych z odcieniem humorystycznym. Znamiennymi cechami piosnek takich,

śpiewanych na swobodzie, jest wesołość i lekka ironia. W więziennych do cech tych dodano jeszcze sporą dozę złości. Nadto,—odznaczają się one w wysokim stopniu treścią niemoralną. Wesołość tam sztuczna, nieszczerza, zart wypływa z chorego i zepsutego serca. Z prawdziwie humorystycznymi piosnkami ludu więziennie mają tylko tyle wspólnego, że posiadają wesołą melodyę. Musi ona być taneczną, zastosowaną do ruchów nóg, okutych w kajdany. Boć i w więzieniu czasem się chce weselić, śmiać i tańczyć, nawet bardziej niż na wolności. Pieśni wesołych oczywiście jest niewiele.

Wraz z Polakami—powstańcami, ze swoim panem,—księciem Romanem Sanguszką, przybył na Syberję do kopalni nerczyńskich Onufry Worozbiuk, włościanin z gub. Podolskiej, jeden z licznych teorbanistów Wacława Rzewuskiego, *emira złotobrodęgo*, uczeń teorbanisty szlachcica Widorta.

Grzegorz Widort (urodzony r. 1764), ludowy poeta ukraiński, był z Rzewuskim na Wschodzie. R. 1821 przeszedł do Eustachego Sanguszki i wysławiał go na teorbanie tylko rok. Umierając przekazał swój zawód synowi Kajetanowi (który umarł r. 1851). Był to ostatni artysta tego rodzaju. Syn jego już nie posiadał tej sztuki, ale nie przedstawiał zabawiać Romana Sanguszkę piosnkami dziada. Z tych na cześć owego pana zachowało się mnóstwo w języku małoruskim. Emir, jak wiadomo, lubił konie i muzykę ukraińską. Miał stajnię, pod względem przepychu nie ustępującą pałacom. W komnatach przybranych po turecku, Rzewuski lubił wieczorami słuchać teorbanistów, którzy rozmarzonemu panu śpiewali pieśni, ułożone na jego cześć. Te właśnie pieśni Worozbiuk przyniósł z sobą na katorgę, zapoznał z niemi skazańców i jednocześnie nauczył ich innych piosnek ukraińskich. Niektóre utwory Widorta, przekazane Worozbiukowi, pamiętali wygnańcy Polacy. Oto jedna z nich na cześć emira z końmi:

Hej! wychaw nasz Rewucha
 W czystyj step hulaty,
 Perewisw czerez płeczy
 Sihajdak bohattyj.

Hraj more! czornoje more, biłoje more, sine more, hała hału hu hu hu hu,
 hała hidu hu hu hu hu.

Siwy koni pojmałi,
 Hniłyje i czorny.
 Tiszte mene, szczob ne tużyw
 Rewucha motornyj.

Hraj more i t. d.

Szachtamir, Tamira (naszy koni)
 Toj moi sokoły!
 Koły wsidu — smiło idn,
 Ne spada nikoli!

Hraj more i t. d.

Ach, ty Hulda moja miła,
 Koły na tia siadu,
 Nosisz mene po powitru —
 Nikoli ne spada.

Hraj more! i t. d.

Podaj Sawo, konia swoho,
 Nechaj mene znajut';
 Koły siadu na konia ja,
 Żyły meni drhajut'.

Hraj more! i t. d.

„Melodya pieśni (mówi Ag. Giller) szybka, piękna i prawdziwie ukraińska, świadczy bardzo wymownie o talencie kompozytorskim Widorta. Worozbiuk na Syberyi śpiewał z energią i zawsze tylko pod wpływem ulubionych i miłych wspomnień. Pieśni te ożywiały jego serce zmęczone i wyglądały zmarszczki na pochmurnem czole. A słicznie śpiewał Worozbiuk i artystycznie grał na teorbanie! Znany był na wygnaniu pod imieniem teorbanisty.“

Dostał się on tam w sposób następujący:

Emir złotobrody r. 1831 poszedł do powstania z orężem, końmi oraz teorbanistami i zginął w bitwie pod Dachowem. Worozbiuka wzięto do niewoli i skazano na Syberyę. W tłumie jeńców szedł on na wygnanie wesóły, ze śpiewką na ustach, dowcipny, wielomówny. Temi oraz innemi zaletami umiał on w drodze dobrze usposabiać dla

siebie żołnierzy konwojowych, wyjednywać u nich ustępstwa i ulgi dla towarzyszków. Wszystkich potrafił rozweselić i zjednać sympatyę ogólną. Przez Wołyń i Ukrainę jeńcy nie szli w niedostatku, gdyż panowie i panny nieśli dla nich ofiary pod postacią pieniędzy, odzieży i rzeczy, niezbędnych w długiej i uciążliwej drodze. W kopalniach nerczyńskich Worozbiuk pojął zażonę sybiraczkę, zajął się gospodarstwem, handlował wódką, głównie zaś wyrabiał fajki drewniano, rozkupywane przez towarzyszków i sybiraków. Nizki, smagły, jasnooki, z czarnymi włosami, był prawdziwym typem Rusina.“

II.

Słownik więzienny i języki sztuczne.

Po wszystkie czasy i u wszystkich ludów europejskich, głębokie tajemnice, na których się opiera cała istota planów zbrodniczych, zawsze były utrzymywane za pomocą różnych sposobów porozumiewania się. Początek tego języka sięga czasów bardzo starożytnych. Zrazu niedokładny, ubogi, stopniowo wzbogaca się i rozwija. Niemiecki język złodziejski stanowi nawet zjawisko ciekawe nie tylko w znaczeniu lingwistycznym, lecz i kulturalno-historycznym, na co jednak dotychczas mało zwracano uwagi.

Ludzie posługujący się językiem umówionym, używają znaków specjalnych tam, gdzie słowa użyć nie można. Są one tak dalece rozmaite, że niepodobna ich wyliczyć: każde poruszenie oczu, ust, palca, pozycja nóg, ma swoje znaczenie. Wziąwszy się za szyję, lub przyłożywszy rękę do ust, ucha, twarzy, przestępca już rozmawia z towarzyszem, który rozumie go wybornie. Zdaleka porozumiewają się za pomocą alfabetu palcowego, jak głuchoniemi, z tą różnicą, że się posługują tylko jedną ręką. Podczas bań, nawet w obecności osób trzecich, przestępcy umieją

z zamkniętymi ustami przekazywać za pomocą ręki swoim towarzyszom wszelkie tajemnice tak dobrze, że nikt tego nie dostrzeże. Przestępca, zmuszony podczas zeznań do wskazania współnika, stawał się zupełnie niemym przy konfrontacji i nie śmiał powtórzyć swoich zeznań tylko dla tego, że towarzysz zabronił mu za pomocą ciężkiego westchnienia. U złodzieja ma znaczenie każdy świst, okrzyk, naśladowanie głosów różnych zwierząt, szczególnie w nocy na polu, lub w lesie; każde chrząknięcie, kaszel, i t. d., a tem lepiej zachowa się tajemnica, im naturalniejsze są te odgłosy. W stronach cywilizowanych złodzieje rozmawiają z sobą za pomocą znaków, nakreślonych kredą, węglem, ołówkami różnokolorowymi na ścianach, piasku i t. d. Obecnie na Zachodzie Europy, w miarę rozwoju różnych systemów więziennych z odosobnieniem zamknięciem i obowiązkiem milczeniem, urozmaicenie języków więziennych stało się jeszcze bogatsze, a nawet mają one systematyczną budowę. Wniosek, wypowiedziany przed stu laty w Niemczech, że wszystkim złoczyńcom należy przerywać błony bębenkowe w uszach, wyrósł na tej podstawie, iż słuch w porozumiewaniu się jest ważnym warunkiem, a dziś już przybrał pierwszorzędne znaczenie w więzieniach. Rozmowę za pomocą pukania wysubtelniono ogromnie. (Uderzenia ciche i głośnie, szybkie i powolne, wykonywane za pomocą palców zgiętych lub miękkiej części dłoni i pięści, pukanie butem, trzewikiem, nogą w skarpetce, czerpakiem, łyżką, szczotką, drewnem i t. d.). W sposobach tych można się posługiwać najrozmaitszymi systemami alfabetów. Kluczków, ułatwiających zrozumienie, jest dość dużo, początek zaś one biorą od złoczyńców żydowskich. Zwykle jednak w więzieniach europejskich znajdowano urywki i ślady, nigdy zaś nie natrafiono na całość tych środków. W więzieniu królewskim, w Berlinie, dwaj Polacy rozmawiali z sobą za pomocą pukania, siedząc w osobnych celach i na różnych piętrach. Doszli do tej doskonałości, że mogli nawet grać w szachy. Najdokładniejsze poszukiwania wykazały, że nie mieli oni in-

nych sposobów, a nawet cele nie były umieszczone wprost nad sobą, lecz ukośnie. Niemcy wymieniają niejakiego Spauna, który uwięziony r. 1826, przebył w niewoli dziesięć lat. Pod koniec znalazł się w więzieniu jakiś sąsiad, oddzielony grubą ścianą. Spaun zaczął z nim rozmawiać za pomocą pukania i stworzył język nadzwyczaj dowcipny. Najtrudniej było przekazać klucz towarzyszoowi, który może nie rozumiał po niemiecku. Spaun zaczął od tego, że zastukał w ścianę 24 razy i powtarzał to póty, aż narozście nieznamy zrozumiał, że to pukanie oznacza 24 litery alfabetu. Po kilku tygodniach zdołali oni szybko i swobodnie opowiedzieć wzajemnie sobie dzieje swego życia. Sąsiadem był M., później wybitny dygnitarz państwowy. Na wolności nie zapomniał on o towarzyszu. Wydostał go z więzienia, wyznaczył mu pensję dożywotnią. *C'est Spaun ou le diable!*—zawołał minister, gdy ten odwiedził go w Monachium, po dziesięciu latach. Pomimo jednak wszelkich zabiegów, Spaun klucza swego nie ujawnił.

Osamotnienie zamkniętego ducha ludzkiego i brak możliwości obcowania z innymi wytworzył w więzieniach ten sposób rozmowy za pomocą pukania, używanego już oddawna, lecz bez metody specjalnej. Rzemieślnicy w warsztatach wyrobów metalowych za pomocą uderzenia młotkiem obwieszają wyjście każdego majstra, czeladnika lub terminatora. Tym sposobem wieść szybko biegnie przez całą ulicę, przy której mieszkają owi robotnicy. Telegrafisci zdaleka odczytują depcze, słysząc tylko stukanie. Systemy rozmów więziennych zawdzięczają właśnie w ostatnich czasach swe udoskonalenie i ujednostajnienie telegrafowi.

Istnienie języka posługującego się pukaniem, znane jest w Rosyi tylko z książek, gdyż olbrzymi procent więźniów stanowią niepiśmienni, a zresztą zamknięcie w celach osobnych nie praktykowało się tak szeroko jak w Europie. Niemniej jednak tam, gdzie są więźniowie odosobnieni w celach, system takiej rozmowy znalazł zastosowanie. Dekabrzyści w fortecy Petropawłowskiej porozumiewali

się przez ściany „Aleksiejewskiego ławelinu“ bardzo łatwo, dzięki urządzeniu cel w klatkach ambrazuowych. Przepierzenia drewniane dawały możność rozmawiania nawet półgłosem. Jeżeli ktoś śpiewał (inny sposób rozmowy), to było słycać w numerze naprzeciwno. W Roczensalmie Bestużew-Marlinskij zastosował pukanie; ułatwił zaś je w ten sposób, że alfabet rosyjski z 30 liter podzielił na trzy dziesiątki. „Wadą alfabetu (słowa brata jego) było to, że samogłoski i spółgłoski należało wypukiwać jednakowo, powolnie. Męczyło to i słuch i umysł, bo trzeba było uważnie liczyć, słuchacz mieszał samogłoski ze spółgłoskami, kazał powtarzać i nużył rozmawiającego.“

O zastosowaniu rozmowy według własnej metody alfabetycznej w fortecy Petropawłowskiej M. Bestużew podaje następujące szczegóły ciekawe (*Russkaja Starina*, kwiecień, r. 1870):

„Chciałem się dowiedzieć, czy jest jaka żywa istota w mojem sąsiedztwie. Zacząłem stukać w jedną ścianę—niema odpowiedzi. Przez drugą odpowiedziano mi ledwido słyszalnym pukaniem. A może to mój brat w sąsiedztwie?—pomyślałem i zagwizdałem melodyę aryi, znaną tylko jemu. Słyszę—odpowiada mi tą samą melodyą.

Przed przyniesieniem kaganka nocnego M. Bestużew siadał w kącie i cicho stukał palcami w ścianę. W odpowiedzi otrzymywał takie same stukanie brata. Potem już każdy dzień zaczynał się od bębnienia do pochodu, co znaczyło: jak się masz! czy zdrow jesteś? Gdy trzeba było przerwać stukanie, ze względu na bezpieczeństwo, uderzano palcami na odwrot.

Do rozmowy stałej obmyślano alfabet ulepszony. Dzięki temu, iż brat był marynarzem, Bestużew skorzystał z sygnału zegara okrętowego (podwójne krótkie uderzenie). Alfabet nakreślił przypalonym pręcikiem brzoźowym z miotły (zgubionym podczas zamiatania) na jednej stronie IX tomu historii Karamzina, danej do czytania. Spółgłoski wypukiwano inaczej niż samogłoski. Gdy palce popuchły od nieustannego stukania, a w paznogiach rozwinął się

trudny do wytrzymania ból, Bestużew zaczął stukać kajdanami ręcznymi, a następnie opaloną pałeczką. Dając ją potem przy świadkach jednej ze swoich siostr, miał prawo śmiało powiedzieć: „*prenez, c'est ma langue!*“

Z początku bracia musieli na wypowiedzenie jednego zdania poświęcać wiele godzin; następnie doszli do takiej wprawy, że rozmowa za pomocą pukania zabierała trochę więcej czasu niż ustna. Doskonając się ciągle, w końcu wyrzucili 10 spółgłosek i 4 samogłoski i domyślali się całego zdania z liter początkowych.

„Wiele poświęcono ciężkich dni na udoskonalenie porozumiewania się, na sposoby szybkiego przesyłania dźwięków, oznaczających litery, na znaki przestankowe, sygnały ostrzegające, lub wzywające do rozmowy i t. d.“ Ale ludzie inteligentni w ciężkich warunkach odosobnionego zamknięcia zdołali wyjść zwycięzko przy pomocy rozmowy stukanej ¹⁾. Tam zaś, gdzie więźniów zamykano wspólnie, gdzie oni musieli żyć gromadnie, — powstał język sztuczny.

Słownik więzienny jest niewielki. Nie posiada on nic samodzielnego, nie odznacza się takim bogactwem, jak np. język szeplenięcych „ofenów“ (handlarzy wędrownych) lub „bajkowy“ złodziejski („muzyka“). Tworzono albo brano wyrazy, że tak powiemy, z powietrza, do użytku codziennego, do skromnych potrzeb życia w niewoli, o ile trzeba było zachować tajemnicę wobec władzy nadzorczej. Widnokrąg mały i sztucznie zwężony, tak, iżby można było rozmawiać niezrozumiale dla obcych, w niewielu wypadkach i o sprawach nielicznych. Ażeby ukryć grę w karty tudzież inne rozrywki i przyjemności, zabronione w więzieniu, ostrzedz towarzyszków, porozumieć się z nimi—na to wszystko wystarczy dwudziestu lub trzydziestu

¹⁾ Autor zapomniał o bardzo ciekawych szczegółach w książce Agatona Gillera, który opisał dokładnie rozmowę za pomocą pukania przez ściany w cytadeli warszawskiej. Dane owe pochodzą mniej więcej z tego czasu, kiedy p. Maksimow pisał swoje dzieło. (*Trzyp. ilom.*)

wyrazów. Najgorliwsze poszukiwania w dziesiątkach więzień syberyjskich przyniosły nam plon bardzo ubogi. Wprawdzie mówiono, że np. w południowych więzieniach syberyjskich istnieje inny język, ale no to nie zdołaliśmy zebrać dowodów faktycznych¹⁾. Język złodziejski najbardziej wzbogacił słownik więzienny. Ale ponieważ język ten, czyli „muzyka“, pochodzi z bardzo dawnych czasów, kiedy to posługiwali się nim jeszcze zbóje nadwożańscy i inni, więc tem bardziej obcena mowa więzienna oparta jest w znacznej mierze na wyrazach złodziejskich. W więzieniach wojennych dawały się słyszeć wyrazy innego pochodzenia. Garść ich zanotował Dostojewski w Omsku. Np. *sam-pan-tre* znaczy tabaka, *sam-krasze* — tytoń i t. d. W wielu wyrazach przebija się humor i sarkazm więźniów. Tak np. w niektórych więzieniach koszarowych barszcz aresztancki nazywa się *szurymury*, więzienie — *akademia kijowa* (*pałocznaja*), pozbawić się praw stanu — *słuchać skóry bębna*; *prostokiszki zjeść* — uciekać niefortunnie i być pojmanym; *blota się najęść* — wrócić do katorgi; *pasport własnoręczny* — fałszywy; *worek kamienny* — więzienie i t. d.

Ten sarkazm, te wybuchy złośliwego humoru z poniżeniem siebie, stanowią znamienne cechy nie tylko wyrazów więziennych lecz i pieśni zbójceckich.

Różne języki więzienne dążą do zachowania odrębności dla bezpieczeństwa i wygody tych, którzy się nimi posługują. Wiele wyrazów, jako zanadto znanych, zamieniono na inne, nowe. Wiele dawnych, straciwszy swój charakter tajemniczości, przeszło do użytku mas ludu.

Do najbogatszych języków sztucznych należy mowa roznosicieli towarów (handlarzy wędrownych), u których już sama obfitość przedmiotów handlu i słów niezbędnych do posługiwania się nim, musiały wnieść materiały zasobny. Obok tej mowy, również pod względem bogactwa, jak rzekliśmy wyżej, stoi język złodziejski.

Ażeby dać pojęcie o różnicach i brzmieniu sztucznych języków, przytaczamy trochę wyrazów:

Syberya i ciężk. roboty.

Jezyk polski	Handlarzy wędrown.	Otwernicki (odwrócony)	„Muzyki“ złodziejski	Więzienny
pieniądze	jusy	krywcy	babki	sary, kuryńcza
kobieta	kuba	jarucha	marucha	mazicha, sufflera
rubel chata, dom	chrust riacha, rym	krugłak chaz	car, ders kurecha, domuma, domowucha	siedojoj, birs —
kupiec	pulec	kuchtor	arszyn	majdan- szczyk, (majdaniarz)
knut, batog	wizzak wizziocha	—	minoga, manny	łyko, łyko adamowe,
Niebezpie- czeństwo	—	—	strioma, mokro, dwa- dzieścia sześć.	woda.

Liczby polskie	Roznosicielei towarów	Haliwońskie (wybijaczów wełny i handlarzów koni)
jeden	jekoj	także
dwa	zdiu, wziu	kiekur
trzy	striom	stiema, kumar
cztery	kisera	dszczora, cziwak
pięć	—	penda, wyczus
sześć	szonda	także
siedem	siezium	—

i t. d.

W języku roznosicielei towarów korespondowali od-
szczepieńcy białokrynicy (austriacy) z moskiewskimi,
wogóle mieszkającymi w obrębie państwa rosyjskiego.
Podobna do języka handlarzy wędrownych („ofeńskiego“)
istnieje mowa wybijaczów wełny kostromskich i kołogryw-
skich, którzy się udają do Rosyi wschodniej i na Syberyę,

ażeby tam wełnę wybijać, konowałować i zuachorzyć. Mają także swój język bujewscy drobni handlarze, którzy obnoszą po podwórzach domów stołecznych towar i wołają kozim głosem: „szczotki, grzebienie!“ Posługują się również własnym językiem sztucznym zebraicy, tam gdzie zebractwo stało się przedsiębiorstwem zorganizowanym (w gub. Włodzimierskiej, Twerskiej, Razańskiej i Moskiewskiej). Handlarze koni, gdy potrzeba zachować tajemnicę, używają wyrazów cygańskich. Języki te wśród ludu znane są pod rozmaitemi nazwami: kantjużny¹⁾ (język zebaków), haliwoński (wybijaczów wełny), łamański albo ałamański (ofeński albo ofiński — handlarzy wędrownych), bajkowy albo złodziejski, — muzyka. Istniały jeszcze języki: tarabarski i chierowy. Ostatni tworzy się z przystawiania w wyrazach jakiegokolwiek mowy rodzinnej brzmienia „chier“ po każdej sylabie. Tarabarski stworzyli uczniowie z przedstawiania liter. Wogóle tarabarszczyzną nazywa się każde pismo cyfrowane, wymagające klucza. Językami tymi posługiwali się ludzie oświeceni, zwłaszcza wychowawcy seminariów i innych zakładów. Podobny do tarabarskiego z przystawkami do słów żywych istnieje język kubracki kubraków — zbieraczów jałmużny w cerkwiach, którzy te obowiązki, w mieście Mścislawiu i miasteczku Dubrownie gub. Mohylewskiej, zamienili na proceder zyskowy: nabijali przez lat dziesiątki własne kieszenie, gdy tymczasem cerkwie, na które zbierali jałmużnę, stały opuszczone i zrujnowane. Przystawka *szajka*—*sziri* w ich języku wymawia się tak szybko, że istotnie nie można pochwycić brzmienia słów żywych. Trzeba do tego wielkiej wprawy²⁾.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

¹⁾ Kantjużyć—zebrać.

²⁾ Znana nam jest innego rodzaju mowa: czytanie na odwrót. Kto się w to wprawi, umie najdłuższe wyrazy „odwracać“ na pamięć i mówić biegle. (Przyp. łom.).

Treść tomu pierwszego.

ROZDZIAŁ I.

W drodze.

Miłosierna. — Obraz wędrowki etapowej od Moskwy do katorgi, życie w drodze i więzieniu. — Bęben. — Siła i znaczenie miłosierdzia. — Moskwa i miasta kupieckie. — Starowiercy. — Odwieczny nieład. — Pokrwawieni kajdaniarze. — Zbieranie jałmużny. — Puszki przy drzwiach. — Obfitość ofiar. — Zdzierstwo zwierchności. — Żołnierze i dowódcy etapowi. — Kozuszki. — Pieniądze aresztanckie. — Pochód. — Kochanki etapowe. — Zwierzchnicy łagodni i gniewni. — Więzienie tobolskie. — Prety żelazne i kajdany. — Artel aresztantów. — Szynki etapowe. — Budowle. — Przystanki etapowe. — Własność aresztanta. — Kajdany ręczne. — Postój. — Majdaniarze i dzierzawa. — Furmanki. — Starsi. — Z etapów nie uciekają. — Dochody żołnierzy i oficerów. — Golenie głów i scena z Polakami. — Złoty piasek. — Wódka. — Tapczany. — Noc etapowa. — Obraz wielkanocny. — Wiosna na etapach. — Dzieci aresztanckie. — Koszary. — Żołnierze. — Stróże i handlarze. — Braki systemu etapowego i drogi. — Przybycie aresztantów do ciężkich robót str. 1

ROZDZIAŁ II.

W ciężkich robotach.

Wycieczka moja do surowej katorgi pierwszorzędnej. — W Karze. — Pierwsze wrażenia i spotkania. — Iwan głupi. — Praca w katordze. — Mieszkanie. — Katorżnicy. — Ciężkie roboty. — Dozorcy. — Wyznaczenie robót. — Porządki skarbowe. — Pieśni

II

więzienne. — Stosunki wzajemne więźniów. — Gmina w więzieniu. — Donosiciele. — Towarzystwo. — Majdan. — Karty. — Gry hazardowe. — Jułka. — Jurdówka. — Jedno. — Bieguńce. — Język więzienny. — Prawo dzierżawne. — Przepisy majdanu. — Szynki w więzieniu. — Przebiegłość. — Kapitał więzienny. — Porasznicy. — Rogózka. — Artysci. — Podróźni. — Bohaterowie więzienni i postacie historyczne. — Tumanow i piramida żywa. — Choroby sztucznie wytwarzane. — Arystokracja i czerń. — Zabawy. str. 53

ROZDZIAŁ III.

U c i e c z k a.

Góry Nerczyńskie i ich bogactwo. — Srebro. — Kopalnie Zarentujskie. — Wnętrze. — Katorga w kopalni. — Sztolnia. — Lichtlog. — Nieszczęścia. — Gospodarz. — Służba. — Co to jest katorga. — Katorga w kopalniach złota. Fabryczna: w warzelniach soli i gorzelniach. — Ulepszenia. — Uciezki. — Warnak i Czakdon. — Lisa. — Uciezki zbiorowe. — Przygotowania. — Pora uciezek. — Pierwsze kroki. — Niepowodzenia. — Pomoc szyldwachów. — Droga warnacka. — Zemsta zwierzęca. — Oblawy. — Burjaci. — Przygody włóczęgów. — Niedźwiedzie. — Schronienia. — Prześladowania. — Kajdany. — Żywność leśna. — Garbacze. — Wymordowanie całej bandy włóczęgów. — Gubernator Rupert. — Karym. — Włóczęgowie nieszkodliwi. — Lewicki. — Mieszczanin z Kjachty. — Włóczęgowie na Bajkale, na Angarze, pod Irkuckiem, na Barabie, za Kamieniem (Uralem) pod Kazaniem, w Petersburgu. — Bywalecy. — Losy włóczęgów w drodze. — Przytułki i zwyczaje syberyjskie. — Granice włóczęgoskie. — Czerkiesi uzbrojeni w ucieczce. — Włóczęgowie w Astrachaniu str. 93

ROZDZIAŁ IV.

N a w y ż y w i e n i u.

Doświadczeni. — Powściągliwi. — Niepowściągliwi. — Porządki skarbowe i stopniowanie ulg. — Przykuci. — Dzwon. — Obląkanie. — Akatuj (Akatuja). — Łańcuchowi. — Sekretni. — Wsie katorżne i ich mieszkańcy. — Jurdowski. — Terebiłowski. — Fabryki pasportów fałszywych. — Służba górnicza. — Handel kruszcem kradzionym. — Żółta pszeniczka. — Karymi. — Fabrykant czerwoców. — Banknoty fałszywe. — Choroby na katordze. — „Wyżywieńcy“. — Poprawio-ny. — Kradzieże. — Uwolnienie od robót. — Dzieci. . . . str. 151

III

ROZDZIAŁ V.

N a o s i e d l e n i u .

Kolonizacya.—Niedobra sława. — Położenie bez wyjścia.— Stosunki z sybirakami.— Włóczęgostwo i wałęsanie się.— Zepsucie osiedleńców i przyczyny tego zjawiska.— Brak trwałego osadnictwa.— Jałowość środków.— Pierwsze kroki skazańca.— Niezdolni.— Dozorcy osiedleńców.— Kradzieże.— Kolonizacya samowolna.— Kirzacy.— Mularze.— Kolonie nieznanne i znane. — Zdzicziali osiedleńcy.— Osiedleńcy na poszukiwaniu złota w tajdze. — Żydzi na Syberyi.— Obcoplemieńcy. — Odszczepieńcy za Bajkałem.— Gospodarstwa kwitnące.— Duchoborcy. — Kozacy uralscy. — Wagnani niewinnie.— Porucznik Kozliński.— Mniszka.— Pątnik Iwan Zacharow Spasow.— Zamiana imion.— Niewłaściwe rozmieszczenie wygnañców na Syberyi. — Oprawcy.— Pogarda dla nich i jej wyniki.— Knut.— Bogaci katorżnicy.— Cudzoziemcy na wygnaniu. str. 183

DOPEŁNIENIA.

I. Pieśni więzienne.

Twórcy piosnek: Wańka Kain.— Gusiew.— Karmeluk.— Wiodort.— Woroźbiuk str. 257

II. Słownik więzienny i języki sztuczne.

Starożytność języków sztucznych. — Rozmowa za pomocą znaków, mimiki i pukania.— Polacy i Spaun.— Telegraf, jako środek udoskonalenia. — Rozmowa dekabrystów. — Udoskonalenia, wprowadzone przez braci Bestużewów.— Słownik więzienny.— Języki: ofeński (handlarzy wędrownych), bajkowy, czyli „muzyka“ (złodziejski), kantjużny (żebraczy), otwernicki, tarabarski, kubracki str. 272
